

★★★★★
WIELKIE BITWY
- WIELCY
DOWÓDCY



Charles Whiting

WAL BITWA O ZACHODNI

Słowo wstępne autora

To była największa bitwa, jaką Stany Zjednoczone Ameryki Północnej stoczyły w XX wieku. Chwilami, tylko w części tego wielkiego konfliktu uczestniczyło do 2 milionów amerykańskich żołnierzy. Między nimi znajdowały się kluczowe postaci, które w drugiej połowie naszego wieku uczyniły z Ameryki supermocarstwo, jakim jest ona dzisiaj - Eisenhower, Kissinger¹, Marshall itd., pisarze, ludzie rozrywki, gwiazdy filmowe oraz wielka masa zwykłych ludzi, bezimienna, lecz żywotna.

Podobnie było z tym już umierającym mocarstwem, które wówczas rządziło jedną trzecią globu - tym wszystkim, co „czerwone na mapie”. Wielka Brytania mogła pozostać w cieniu rozwijających się Stanów Zjednoczonych, jednak również sama odgrywała kluczową rolę. Był taki okres, że miała jeden korpus, który (większy niż cała obecna armia brytyjska) liczył około dwustu tysięcy żołnierzy i walczył w tym epickim zwarciu tytanów. W jego strukturze byli żołnierze, którzy później kierowali losem swojego państwa - Heath, Grimond, Carrington i inni. Tylko w jednym batalionie Gwardii Szkockiej (Scots Guards) był przyszły arcybiskup Canterbury, wice-premier oraz przewodniczący Zgromadzenia Ogólnego Kościoła Szkocji.

Ostatecznie bitwa szalała przez sześć długich krwawych miesięcy na froncie długości 560 kilometrów, kosztowała życie i zdrowie dwustu pięćdziesięciu tysięcy brytyjskich, kanadyjskich, amerykańskich i francuskich żołnierzy. Jej rezultat wisiął na włosku prawie do samego końca. Mimo to nigdy nie uznawano jej za pojedynczą zwartą bitwę. W przeciwieństwie do bitwy o Normandię czy bitwy o porty kanału La Manche tej żaden historyk, wojskowy czy inny, nie definiował w należyty sposób. Zarówno dla specjalistów, jak i dla pisarzy te niebywałe boje zimą 1944/1945 były pasmem oddzielnych starć, jedynie nieznacznie ze sobą powiązanych.

Nie tylko nie udało im się dostrzec, że bitwa ta była najważniejsza w kampanii 1944-1945 prowadzonej przeciwko Niemcom, ale nie zauważyli również, że to była *kluczowa* bitwa wojny na zachodzie. Gdyby alianci jej nie wygrali, doszłoby do zawarcia kompromisowego pokoju z Niemcami. Stany Zjednoczone musiałyby powrócić do przedwojennego izolacjonizmu na swoim wielkim kontynencie. USA nie

¹ Wówczas starszy szeregowy w amerykańskiej 84. Dywizji Piechoty. Jej żołnierze byli nazywani „drwalami”.

zostałyby mocarstwem, a reszta XX wieku w Europie mogłaby objawić się jako „wiek Niemiec”. Ostatecznie zwycięstwo aliantów (co należy czytać: Amerykanów) wiosną 1945 roku dało USA pewność, iż to one będą wpływały na przyszłość zachodniej i środkowej Europy.

30 stycznia 1933 roku, kiedy nowy przywódca Niemiec Adolf Hitler przejął władzę w Berlinie, Jadowity karzeł³ [Goebbels] przechwalał się, że nowe imperium narodowo-socjalistyczne (Trzecia Rzesza) będzie trwało przez tysiąc lat. W rzeczywistości istniało ono jedynie dwanaście lat, cztery miesiące i pięć dni. Gdy tak przereklamowana „Tysiącletnia Rzesza” waliła się w gruzy w płomieniach Berlina, tam gdzie powstała, to imperium Hitlera, nie licząc geograficznych i politycznych skutków najpotworniejszej z wojen w historii, niewiele po sobie pozostawiło – jedynie kilka przykładów „neoklasycystycznych” (to jest nazistowskich) rozwalonych budynków, pierwsze *Autobahny* (autostrady) oraz kilka z tych pompatycznych stadionów używanych przez ubrane w czarne koszule nazistowskie masy demonstrujące swą okrutną, aczkolwiek przejściową, władzę. Nic ważnego nie przetrwało – z jednym wyjątkiem.

Nawet dzisiaj, ponad sześćdziesiąt lat po tym, jak Hitler w tajemnicy rozkazał rozpoczęcie tej budowy, Linia Hitlera, Todtwall czy Wał Zachodni nadal istnieje⁴. „Wielki Wał Niemiecki”, podobnie jak Wielki Mur Chiński, podobno można zobaczyć ze stratosfery i ciągnie się przez krajobraz Niemiec jak obsceniczny szary prehistoryczny gad.

Przez setki kilometrów, w górę i w dół zboczy wzgórz, przez bagna i lasy, chłopskie chaty i odległe wioski, wał wije się od granicy ze Szwajcarią do równinnych wilgotnych nizin południowej Holandii. Mimo wszystkich wysiłków aliantów (oraz, co należy przyznać, również Niemców), by zniszczyć go w czasie wojny i pokoju, jego różne fragmenty można zauważyć wędrując przez ten pusty graniczny region. Popękane, betonowe, prowadzące donikąd wojskowe drogi, porośnięte mchem „zęby smoka”, zniszczone bunkry wyglądające jak bezmyślne i surowe współczesne rzeźby, groteskowo powyginane zardzewiałe stalowe belki w żywopłotach i w rowach, wyraźne, czasami (nawet teraz) przerażające pomniki straszliwej przeszłości nadal będą istnieć, kiedy ostatni z tych, którzy przeżyli te niemożliwe do spełnienia marzenie o Tysiącletniej Rzeszy, umrą i odejdą w przeszłość.

W okresie 1936-1939, kiedy był budowany olbrzymim kosztem⁴, a przy jego powstawaniu zatrudniono masy tanich lub przymusowych robotników z całych Niemiec, Wał Hitlera był przez niektórych uważany za gigantyczną kosztowną zabawkę. Inni widzieli w nim pozorny środek odstraszący, który nie mógł być porówny-

³ Przechwisko Goebbelsa było rezultatem jego nikczemnej postury i jadowitego języka.

⁴ W latach późniejszych nazywany błędnie Linią Zygfrida. Wynikało to z utożsamiania jej z niemieckimi pozycjami na froncie zachodnim podczas pierwszej wojny światowej.

⁴ Jednak nie był tak kosztowny jak Linia Maginota, która pochłonięta tak wiele środków, że Francja nigdy nie zdołała wprowadzić na nią mobilnych jednostek pancernych, które mogłyby zastrzymać niemiecki blitzkrieg w 1940 roku.

wany z francuską Linia Maginota. Krytycy zadawali pytania - czemu ma on służyć? Niemcy ze swoimi kartonowymi czołgami i żołnierzami uzbrojonymi w karabiny z okresu pierwszej wojny światowej nic mieli żadnej szansy na pokonanie Linii Maginota; no i nikt nie zamierzał atakować Niemiec.

W Wielkiej Brytanii, Francji i później w Stanach Zjednoczonych ten nowy betonowy wał, który niespodziewanie pojawił się wzdłuż granic z Francją, Belgią i Luksemburgiem oraz częściowo z Holandią nie wydawał się istotnym zagrożeniem. W istocie stał się tematem jednej z bardziej znanych satyrycznych piosenek XX wieku. Jeszcze po 1939 roku, kiedy stała się przebojem, wojska sojusznicze szły na wojnę śpiewając tę pozbawioną sensu pioseneczkę o tym, jak to powieszą swoją „brudną bieliznę” na Linii Zygfyda, „jeżeli tam nadal Linia Zygfyda jest”.

O ironio losu, wielu z tysięcy, później z setek tysięcy, którzy pomaszzerowali we wrześniu 1939 roku z tą piosenką na ustach, miało tragicznie zginąć, zanim dotarło do stalowych i betonowych fortyfikacji, z których tak frywolnie kpiła Tin Pan Alley*.

Na Adolfie Hitlerze, człowieku, który zbudował ten wał, kpiny przeciwników nie robiły wrażenia. Bez względu na to, co inni mogli myśleć o tym nowym „Wale Niemieckim”, on wiedział, że ta konstrukcja da mu swobodę działania, której potrzebował do prowadzenia działań na wschodzie. Po raz pierwszy w historii wojskowości Niemiec Rzesza nie musiała obawiać się prowadzenia wojny na dwóch frontach. Na zachodzie wał chronił i był czynnikiem odstrasającym, a Hitler mógł zająć się wschodem - Austrią, Czechosłowacją i Polską.

Zimą i wiosną 1939-1940 roku wał ten nadal dawał Niemcom swobodę działań. Hitler zajął Polskę, osiągnął kompromisowe porozumienie ze swoim dawnym arcywrogiem „Iwanem” (radziecką Rosją) i kiedy jego propozycja zawarcia pokoju na zachodzie nie powiodła się, w pełni wykorzystał dany mu czas, by przygotować się do wielkiego uderzenia na zachód, które miało rozbić francuską armię, a brytyjską zmusić do salwowania się ucieczką z Dunkierki, nie pozwalając jej powrócić do „Twierdzy Europa” przez kolejne cztery lata. Tak, głupia Linia Zygfyda, ośmieszana przez przeciwników Hitlera, opłaciła się po stokroć, a może jeszcze więcej. Latem 1940 roku Hitler już nie potrzebował Wału Zachodniego. Wówczas, podobnie jak przed nim Napoleon, był już panem Europy. Prawie przez trzy kolejne lata rozszerzał swoje „Imperium Nowego Porządku”, które objęło trzysta milionów ludzi i sięgało od Krymu do kanału La Manche oraz od Północnej Afryki do Norwegii. Wał Zachodni nie strzegł już granicy Niemiec, ponieważ znajdowała się ona wówczas w Alzacji, Luksemburgu i sięgała do wschodnich kantonów Belgii”.

* Część Nowego Jorku, gdzie mieszka i pracuje wielu muzyków, kompozytorów, autorów tekstów [przyp. tłum.].

⁵ Nawet obecnie w państwach tych w pobliżu granicy z Niemcami zamieszkuje niemieckojęzyczna ludność. Belgijskie *OstkaïUonen* (wschodnie kantony) St. Vith, Eupen i Malmédy na podstawie traktatu wersalskiego zostały odebrane Niemcom. Nie biorąc pod uwagę większej części Malmédy, są to obszary zamieszkałe przez ludność niemieckojęzyczną, która ma własne szkoły, parlament etc.

Począwszy od 1940 roku Wał Zachodni pozostawiono na pastwę przyrody, natury i miejscowych przygranicznych rolników. Bunkry zamknięto, i jak się później okazało, zagubiono do nich klucze. Wyposażenie, takie jak sprzęt optyczny, złożono w magazynach centralnych, a działa, karabiny maszynowe itp. wysłano na wybrzeże Francji, gdzie francuskie przedsiębiorstwa budowlane wznosiły (chętnie i za sówite pieniądze) nową konstrukcję - Wał Atlantycki, który miał zatrzymać aliantów, gdyby ośmieli się kiedykolwiek powrócić do nowej narodowosocjalistycznej Europy.

Ostatecznie „Wielki Wał Niemiecki” został ukończony dopiero we wrześniu 1944 roku. Po raz pierwszy, po dziesięciu latach, miał być sprawdzony w bitwie. Potężna, ubrana w mundury khaki, fala siedmiu sojuszniczych armii parła przez Francję i Belgię do granic Niemiec. Uciekał przed nią, ratując swoje życie, rozbity Wehrmacht. Nic było już naturalnych przeszkód, które mogłyby zatrzymać przeciwnika i ocalić Ren.

Podczas pierwszego tygodnia września, w którym ulegano panice, wszystko było uzależnione od Wału Hitlera. Czy wytrzyma? Czy oprze się naporowi aliantów? Czy nie było już zbyt późno na przebrojenie długo lekceważonej linii fortyfikacji?

Wielu Niemców tak właśnie sądziło. Generał Adam z *Oberkommando der Wehrmacht*, który w drugiej połowie sierpnia w pośpiechu ruszył z Berlina, by przeprowadzić inspekcję wału, wystawił mu negatywną ocenę. To były przestarzałe bunkry; ich otwory strzelnicze nie mogły być wykorzystywane przez niemiecką artylerię polową i wielkokalibrowe karabiny maszynowe; sektory ognia były pozarastane; pola minowe przestały istnieć⁶.

Szef sztabu feldmarszałka von Rundstedta, generał Westphal, krzyczał „Te cholerne bunkry zostały zajęte przez chłopów [...] przechowują w nich ziemniaki na zimę i buraki [...] Jako pozycje obronne nie przedstawiają żadnej wartości”. „Nasza jedyna szansa, a i ona jest diabelnie mała, polega na tym, by wykopać nowe transeje, obsadzić je żołnierzami, a bunkry pozostawić puste”.

Pospiesznie próbowano powołać około miliona cywili - mężczyzn, kobiety, młodzież, którzy mieli rozpocząć prowadzenie prac ziemnych. Jednak stawiło się tylko trzysta sześćdziesiąt tysięcy. Nawet cywile zdawali się wyczuwać, że to nie ma sensu. Wał Zachodni był przestarzały i niedozbrojony. Nie zatrzymałby ani jednego czołgu „Ami”⁷.

Jednak wątpiący nie mieli racji. Wał Zachodni, tak jak zawsze utrzymywał Hitler, okazał się silnie ufortyfikowaną linią. Nawet gdy został obsadzony przez niewyszkolonych żołnierzy - „ołowianych żołnierzyków” - jak pogardliwie nazywał ich jeden z pierwszych obrońców wału, generał graf von Schwerin, to wytrzymał napór. Bataliony trzeciej kategorii, złożone z „pułków głuchych żołnierzy”, „kompanii

⁶ Niektóre z nich zostały przekopane przez rolników. Plany pozostałych pól w 1939 roku gdzieś przepadły.

⁷ Tak Niemcy pogardliwie nazywali Amerykanów.

żołądźkoców" i „etnicznie czystych niemieckich dywizji" zatrzymały najlepsze jednostki aliantów. Warto zauważyć, że obrońcy, mimo iż byli starzy, słabi bądź chorzy, prowadzili ogień z za trzydziestocentymetrowej warstwy żelazobetonu.

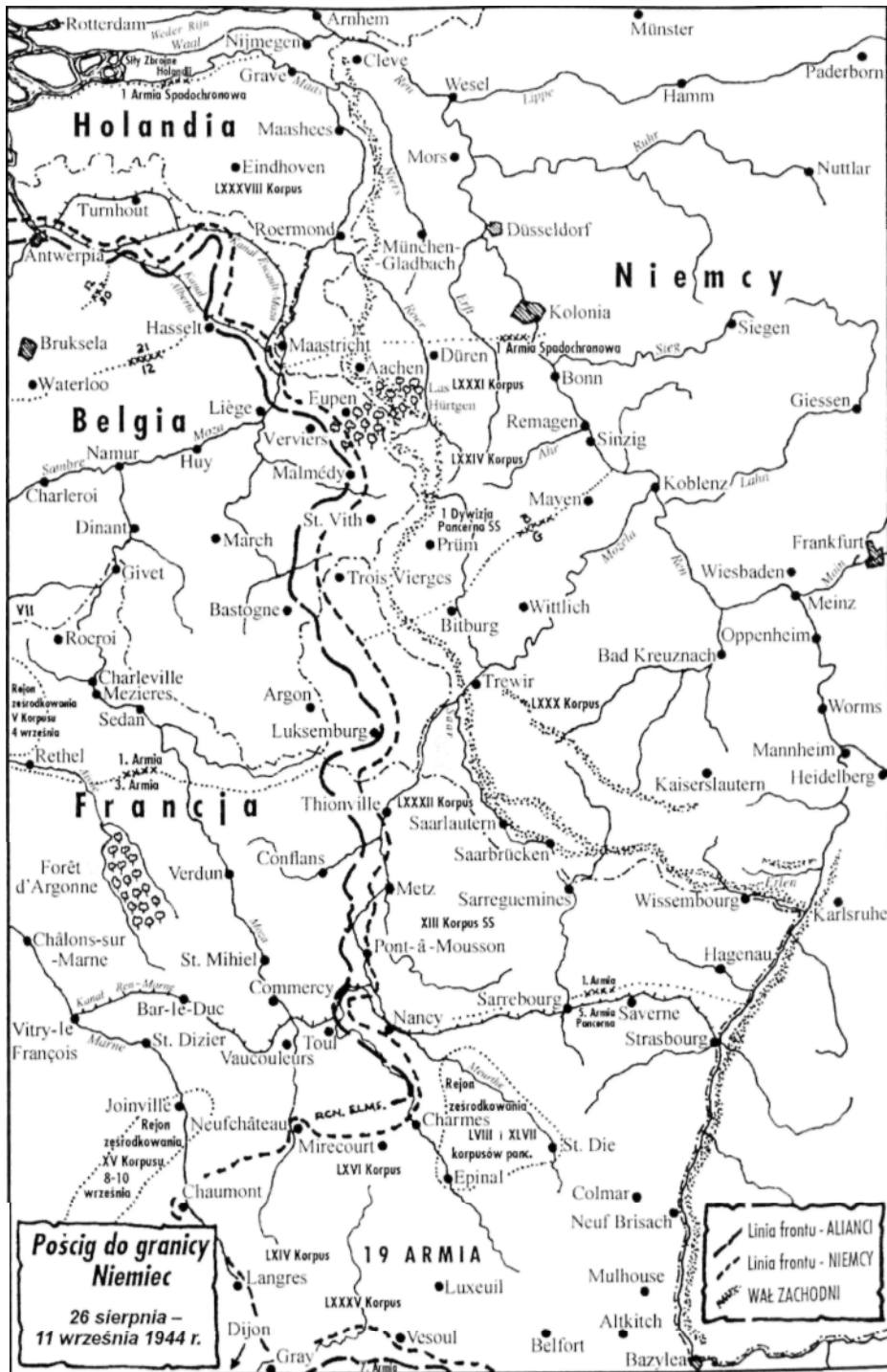
Przez sześć długich krwawych miesięcy Brytyjczycy, Kanadyjczycy, Amerykanie i Francuzi (o których można powiedzieć, że to oni zaczęli grę swoją zabawką - Linia Maginota) próbowali ją przełamać. Wielokrotnie wyprowadzali ataki na wał na czterech, oddalonych od siebie o wiele kilometrów, różnych odcinkach granicy. Za każdym razem byli odrzucani i ponosili poważne straty. Plutony poddawały się, z powierzchni ziemi ścierano kompanie, a całe bataliony w bezładzie odstępowały. W kilka dni dywizje zostały dziesiątkowane i traciły tysiące żołnierzy, broniąc kilku metrów kwadratowych bezwartościowego terenu. Ostatecznie Wał Zachodni został zdobyty, ponieważ alianci zajęli na jego tyłach linię Renu i odcięli obrońców od ich baz.

Ale w obozie aliantów nie było radości. Wydawało się, że generalicja nie chce przyjąć do wiadomości, że przełamanie zostało osiągnięte za tak przerażającą cenę.

Nieodwołalnie, po walkach, które trwały od połowy września 1944 roku do połowy marca 1945 roku, Linia Zygryda znikła z wojskowych map aliantów. Bitwa ta przedłużyła drugą wojnę światową na zachodzie o pół roku, a alianci stracili w niej więcej ludzi niż siły lądowe Stanów Zjednoczonych podczas dziesięciu lat wojny w Korei i w Wietnamie.

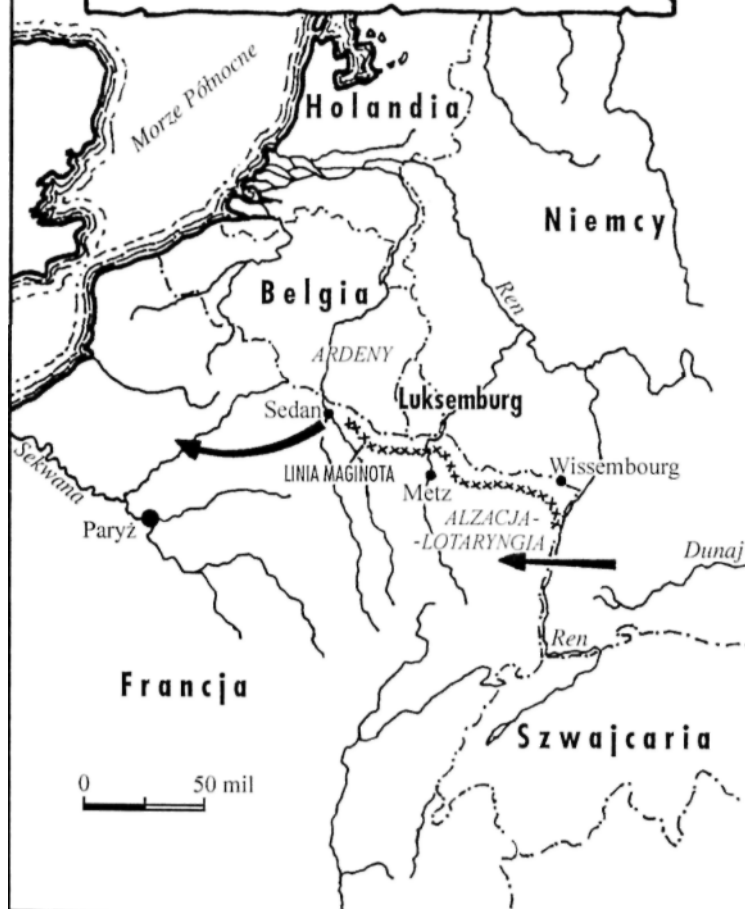
I wówczas, i teraz historia „Wielkiego Wału Niemiec" -jest historią zapisaną krwią.

Charles Whiting
Bollendorf (Niemcy), Echternach (Luksemburg),
Etain (Francja), York (Wielka Brytania),
1999

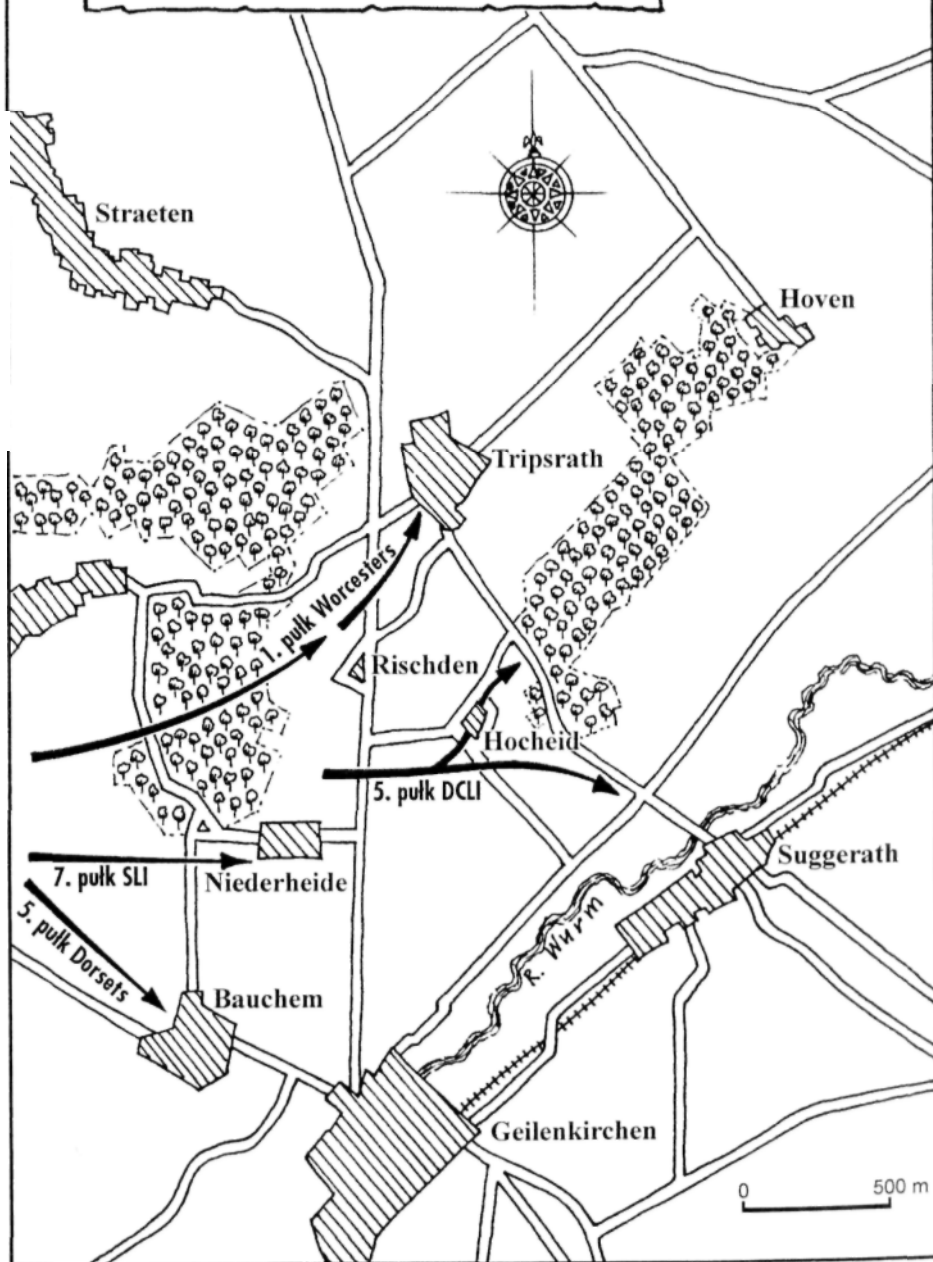


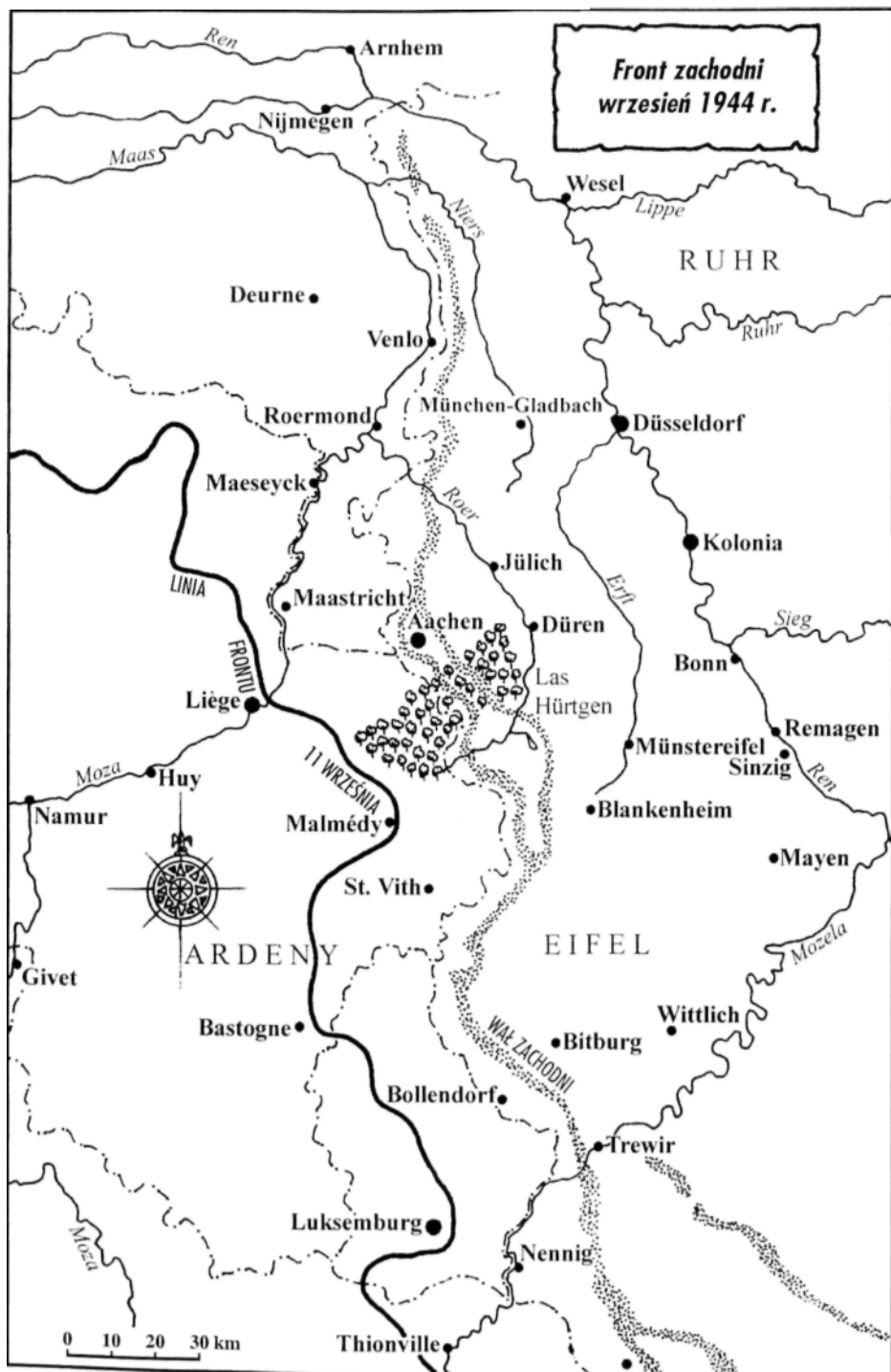
Niemieckie uderzenie w 1940 r. z Linii Zygfyda

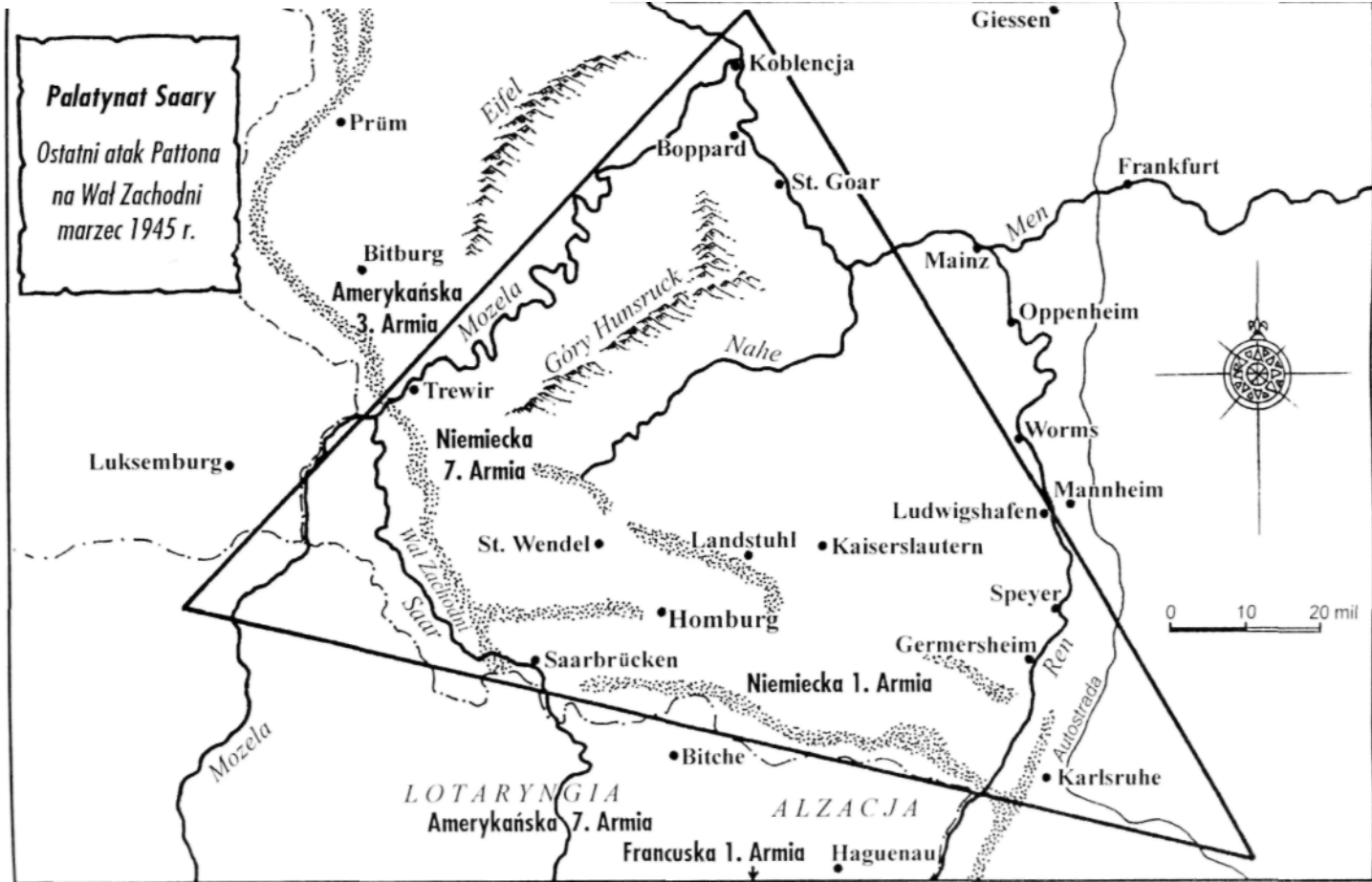
Strzałki wskazują, jak Niemcy obszli Linie Maginota, przez Ardeny i przez Ren. Sama linia pozostała nienaruszona.



Brytyjskie uderzenie. Bitwa o Geilenkirchen







Preludium walki 1936-1944

Mogę was zapewnić, że 28 maja rozpoczęła się budowa najbardziej gigantycznych fortyfikacji wszechczasów.

Adolf Hitler, 12 września 1938

Nie obchodzi innie, czy facet po drugiej strony lufy jest stuletnim kutasem zarażonym syfilisem, jeśli nadal siedzi za dwuipółmetrową warstwą betonu i ciągle ma wystarczająco dużo palców, by naciskać język spustowy i wypuszczać kule, no nie?

anonimowy żołnierz dla magazynu „Yank”, wrzesień 1944

Tej piątkowej nocy - Dnia Z-1 - fihrer nie spał zbyt dobrze w swym podobnym do wojskowej pryczy, wąskim żelaznym łóżku. To był już druga noc, kiedy tylko od czasu do czasu pochrupując, rzucał się i kręcił zastanawiając, czy podjął właściwą decyzję. Prawdziwym problemem byli Francuzi. Zastanawiał się, jaka będzie ich reakcja.

Nie spodziewał się żadnych kłopotów ze strony „Angoli” -jak nadal nazywał Anglików od pobytu w okopach we Flandrii. Ich nowy król Edward skarżył się na „Hunów”* (choć w jego żyłach płynęło więcej niemieckiej krwi niż u Hitlera, który jeszcze osiem lat wcześniej był obywatelem Austrii) przez całą pierwszą wojnę światową. Teraz ów niewysoki jasnowłosy Anglik, przede wszystkim zainteresowany mężatkami, koktajlami i tańcami, był bardzo proniemiecki i, co ważniejsze, prohitlerowski.

Oprócz tego, jak powiedział byłemu kapitanowi Wiedermannowi, swojemu adiutantowi, a wcześniej oficerowi z jego pułku, Hitler wybrał na to wielkie przedsięwzięcie sobotę, ponieważ żadnego Anglika nie było tego dnia w biurze. *Das Englische Weekend*, jak nazywali go Niemcy, stanowił dla Anglików świętość. „Oni wrócą dopiero w poniedziałek - powiedział w zaufaniu Hitler do Wiedermanna. gdy cała początkowa nerwowość osłabnie”.

* Tak Anglicy podczas pierwszej wojny światowej pogardliwie nazywali niemieckich żołnierzy [przypr. tłum.].

Führer nadal czuł się nieswojo. Wszyscy jego generałowie i najważniejsi ministrowie sprzeciwiali się śmiałemu posunięciu Hitlera, a ponieważ ogłosił rozpoczęcie posiedzenia Reichstagu na sobotnie popołudnie, zaśnieżony i mroźny Berlin हुआ od plotek. Co naturalne, krajowi i zagraniczni dziennikarze upominali się o szczegóły. Chcieli wiedzieć, co się dzieje, ale przedstawiciele Goebbelsa w Ministerstwie Propagandy ujawnili im tylko to, że następnego poranka mają udać się w tajną podróż. Do tego czasu mają być „otoczeni opieką”. I to było wszystko.

Był sobotni poranek 7 marca 1936 roku. Niedawno minęły trzy lata od chwili, kiedy Hitler przejął władzę w Niemczech. W tym czasie doszło do wielu stresujących i niebezpiecznych wydarzeń. Ale to było pierwsze ryzykowne posunięcie Hitlera poza Rzeszę. Jak miało być przeprowadzone? Hitler osobiście uważał, że może tego dokonać bez żadnych większych problemów. Siły lądowe, które miały przeprowadzić tę operację, nie były tego takie pewne. Aż do ostatniej chwili najważniejsi generałowie prosili go, by zmienił decyzję. Ale Hitler uparcie odmawiał, a późnym rankiem tej brzemiennej w skutki soboty było już za późno. Korespondenci już ruszyli z berlińskiego lotniska Tempelhof, a o dziesiątej ambasador Niemiec w Londynie Hoesch zadzwonił do brytyjskiego sekretarza spraw zagranicznych Anthony Edena. W trakcie omawiania rutynowych spraw ambasador nagle powiedział: „Mam do zakomunikowania bardzo ważną wiadomość. Obawiam się, że jej pierwsza część nie będzie Panu odpowiadała [...] lecz zawiera również propozycje o historycznym znaczeniu”.

Ku zaskoczeniu Edena, niemiecki ambasador odczytał memorandum, które znaczyło tyle, że „Nowe Niemcy” zajmują tę strefę Nadrenii, która została zdemilitaryzowana przez zwycięskie państwa sojusznicze na konferencji wersalskiej po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Innymi słowy, Hitler zaczynał unieważniać dyktat wersalski, tak jak to obiecywał od chwili, kiedy wszedł do niemieckiej polityki.

Zawodowy dyplomata Eden nie ujawnił swoich uczuć. Ubolewał, że Niemcy weszły do Nadrenii i stwierdził, iż dokładnie rozważy niemieckie propozycje. Jednak aż do poniedziałku nie można było nic zrobić, jako że większość członków brytyjskiego gabinetu znajdowała się poza Londynem w swoich wiejskich domach i *naturalnie* nie można było im przeszkadzać. Hitler miał rację. „Angole” nie zareagowali, a potem było już zbyt późno.

Tuż po południu, kiedy wszystko się już zaczęło, junkersy wiozące zaintrygowanych korespondentów z Berlina wylądowały na lotnisku Kolonia-Wahn. Pół godziny później dziennikarze wmieszali się w kilkutyśięczny tłum Niemców zgromadzonych w cieniu wielkiej gotyckiej katedry w Kolonii naprzeciwko mostu Hohenzollernów nad Renem.

Osiemnaście lat wcześniej przynębieni mieszkańcy tego samego miasta nad Renem w milczeniu przyglądali się, jak pułk za pułkiem pokonanych we Francji żołnierzy cesarskiej armii maszerował przez most na wschód, skąd już nigdy miał nic powrócić. Obecnie panował zupełnie inny nastrój. Żołnierze wracali. „Nowe

Niemcy" Adolfa Hitlera zrzuciły z siebie stygmat porażki. Dzięki fiihrcrowi Niemcy ponownie były narodem, z którym trzeba się było liczyć.

Nagle tłum zgęstniał. Usłyszano długo oczekiwany stukot podkutych butów miarowo uderzających o bruk. „*Siekommen*” z bojaźniaw głosie mówili cywile. Mali chłopcy wspinali się na ramiona ojców, gotowi do machania papierowymi flagami ze swastyką. Kobiety wyciągały chusteczki. Mężczyźni prostowali ramiona, jakby znów byli rekrutami. Cały ruch zamarł. Nawet barki na rzece zwolniły, gdy orkiestra dęta zagrała pompatycznego marsza. „*Sie kommen!*”

Sprawy miały się podobnie w Trewirze, dawnym rzymskim cesarskim mieście położonym dalej na południu nad brzegiem Mozeli; tak samo było w Saarbrucken nad Sarą, tuż przy granicy z Francją. Te miasta oraz położone wokół nich obszary przez prawie dziesięć lat były zarządzane przez zwycięzców - *Angoli, die Amis* i *Franzmanner*. Dopiero wtedy odeszli, ale Nadrenia nadal znajdowała się pod ich niewidoczną dominacją. Teraz *ich* żołnierze powrócili. W operacji wzięło udział dziewiętnaście batalionów piechoty, w rzeczywistości jednak tylko trzy przekroczyły „niemiecki” Ren, którego ich praojcowie tak dumnie strzegli aż do tego straszego dnia, 11 listopada 1918 roku, kiedy zostali zmuszeni do przyznania się do porażki. Jednak wystarczyły trzy bataliony w Kolonii, Trewirze i Saarbrucken.

W Berlinie zdenerwowany, spocony” Hitler oznajmił w Reichstagu niespodziewanie niskim opanowanym głosem: „Teraz niemieckie wojska maszerują”. Wiedział, że ryzyko się opłaciło. Parlamentarzyści zgromadzeni w budynku Kroll Opera oszaleli ze szczęścia. Tupali nogami, gwizdali, klaskali, zrywali się z siedzeń z czerwonymi twarzami i wyprostowanymi rękoma, wrzeszcząc HEIL HITLER! HEIL HITLER! HEIL HITLER! Ochryple okrzyki triumfu wyrażające te szczególne niemieckie pragnienie zemsty zdawały się nie mieć końca.

Nadeszła niedziela. Paryż rzucił na dopiero co zbudowaną Linie Maginota trzynastą dywizję. Generałowie Hitlera błagali go, by się wycofał. Naciskali, by przynajmniej cofnął trzy bataliony z Kolonii, Trewiru i Saarbrucken. Hitler nakazał swoim generałom czekać. Jedną decyzją mógł wycofać je następnego dnia. Ale w końcu, chociaż Hitler wyznał później jednemu ze swoich kronikarzy, że ten weekend był „najbardziej wyniszczającym nerwy okresem jego życia”, nic się nie wydarzyło. Francja wycofała swoje trzynastą dywizję z fortyfikacji Linii Maginota, ponieważ jej żołnierze... uskarżali się na zbyt dużą wilgotność w podziemiach bunkrów.

Krótko potem Hitler odbył triumfalną podróż do ponownie zajętej Nadrenii, gdzie nawet miejscowy katolicki kler, który przez pewien okres był głównym oponentem nazistów, pobłogosławił Prusaków”. W podróży powrotnej do Berlina, odpoczywa-

⁵ Podczas długich przemówień często tracił na wadze nawet ponad 3 kilogramy.

⁵ Niemcy są podzielone wewnętrznie z powodu istniejących antagonizmów między protestancką północą a katolickim południem. Niemcy mieszkający na północy byli często nazywani „niebieskimi” (od barwy dawnych granatowych mundurów armii pruskiej) lub „Prusakami”.

jąc w pociągu specjalnym o kryptonimie „Amerika”. Hitler odnotował: „Wielki Boże, kamień spadł mi z serca, wszystko poszło bardzo dobrze!”. „Amerika” turkotała jadąc na północ, a fuhrer, który wygrał swą pierwszą polityczną bitwą z przyszłymi przeciwnikami, zaczął się chwalić. „Tak, do odważnego świata należy. *To jemu Bóg pomaga*”. Poprosił jednego z adiutantów o nastawienie swojej ulubionej płyty z muzyką Wagnerowskiego *Parsifala*. Kiedy rozbrzmiała głośna, pełna pompacyjnej frazy muzyka, Hitler napomknął: „Z dziewiętnastowiecznych oper stworzę moją własną religię...”. Doszedł do wniosku, że „jedynie jako bohater może służyć Bogu”.

W miarę upływu 1936 roku wydawało się, że Bóg sprzyjał swojemu nowemu „bohaterowi”. Hitler odnosił sukces za sukcesem. To on ponownie wprowadził dawnego pariasa - naród niemiecki - na środek sceny. Dni, kiedy Niemcy były drugorzędnym państwem, minęły. Jednak nowy „bohater” wiedział, że Bóg był (by użyć banalnego sformułowania) zawsze po stronie silniejszych. Hitler musiał nie tylko kontynuować tworzenie swojego nowego Wehrmachtu¹¹ - co pozostawało w sprzeczności z zapisami traktatu wersalskiego - ale również musiał tak zabezpieczyć granice swojej nowej „Tysiącletniej Rzeszy”, by je osłaniać i uczynić z jednej strony szczelnymi dla przeciwników, a z drugiej otwartymi do wyprowadzania uderzeń.

Hitler uświadomił to sobie i zainspirowało go to do zatwierdzenia programu korygowania granic nowych Niemiec. Plan ten pozostawał tajny przez dwa lata, do 9 marca 1938 roku, kiedy Hitler oficjalnie przyznał, co robił w owych oddalonych wioskach położonych nad górnym Renem i dlaczego miejscowi chłopcy musieli przysiąc, że zachowają w tajemnicy działania wojskowych (niezaprzeczalnie) w cywilnych ubraniach, którzy nagle się tu pojawili. Wówczas dla koalicji, która miała wypowiedzieć wojnę Niemcom osiemnaście miesięcy potem, było już za późno na jakiegokolwiek działania.

Ci oficerowie wojsk inżynieryjnych w cywilu mieli mnóstwo wzorów do realizacji nowych zadań postawionych przez Berlin. Około 2000 lat wcześniej inżynierowie armii rzymskiej rozpoczęli swoją pracę niemal na tym samym obszarze. Ich zadaniem było zbudowanie *Limes Germanicus*, łańcucha połączonych drewnianych warowni, które miały zatrzymać marsz germańskich plemion ze wschodu do właśnie zdobytej przez Rzym Galii, obecnej Francji. W bardziej współczesnych czasach to Francja zbudowała nową *Limes* na swoim własnym terytorium, by uniemożliwić hitlerowskiemu narodowemu socjalistom - spadkobiercom owych germańskich pogańskich wojowników - uderzenie na zachód.

Jeszcze w 1925 roku zwycięska, lecz wyczerpana Francja rozważała wybudowanie wału obronnego na swojej wschodniej granicy. To marszałek Pétain, zwycięzca spod Verdun z 1916 roku, zbawiciel zbuntowanej francuskiej armii, rzucił tę sugestię. Nie chciał, by doszło do powtórzenia bitwy na ponurych wzgórzach otaczających Verdun, która prawie całkowicie wykrwawiła francuską armię. Ale to

¹¹ Wehrmacht zajął miejsce istniejącej do 1933 roku w Republice Weimarskiej Reichswehry.

emerytowany sierżant Andre Maginot, który stracił nogę pod Verdun, był siłą sprawczą planu budowy linii. Całymi latami jako minister wojny pracował nad przekonaniem Izby Deputowanych oraz francuskich podatników (rzadkość w państwie, w którym przeciętny obywatel ukrywał swoje pieniądze w skrzyni pod łóżkiem, chcąc uniknąć płacenia podatków), aby skierować większość wojkowego budżetu państwa na potężną linię obronną.

Jak to sobie wyobrażał Maginot, linia, która później została nazwana jego imieniem, miała przebiegać od górnego Renu pod Bazyleą w Szwajcarii, przez Zagłębie Saary na północ do Mozeli i do granicy Francji z Belgią. Nie miała sięgać dalej, ponieważ Francja uważała, że Belgia, sojuszniczka Francji w pierwszej wojnie światowej, będzie jej sprzymierzeńcem w ewentualnym konflikcie z frycami. Belgia miała swój własny system obronny na granicy z Niemcami. W stosownym momencie Francja miała zaskoczyć Niemcy i przyjść Belgii na pomoc - ale do tego miało dojść znacznie później.

Budowa Linii Maginota rozpoczęła się, kiedy lata dwudzieste ustępowały trudnym latom trzydziestym. Towarzyszyły jej alarmujące artykuły w niemieckiej prasie i (co było do przewidzenia) niekontrolowane umieszczane wzmianki o niej w taniach brytyjskich gazetach. Przykładowo w 1933 roku „Daily Express” donosił, że na Linii Maginota cały korpus armijny może przez rok przebywać pod ziemią. W 1935 roku „Evening News” po raz pierwszy użył nazwy Linia Maginota i wyraził opinię, że podczas wojny żołnierze polegli wewnątrz fortów będą umieszczani w olbrzymich zbiornikach z kwasem. Tu niemal natychmiast miały się rozkładać zwłoki, a pozostały szlam miał być spuszczone, co zapobiegłoby epidemii.

Mimo to Linia Maginota (on sam nigdy nie zobaczył ukończonej tej kosztownej zabawki XX wieku) robiła wrażenie: trzy potężne trzypiętrowe podziemne forty z obracanymi wieżami, przez które nawet z dolnych pięter można było kierować automatycznym ogniem dział, karabinów maszynowych, a nawet miotaczy ognia. Forty miały wsparcie w postaci różnorodnych bunkrów i wysuniętych pozycji obronnych. Były one obsadzone śmietanką francuskiej armii, wielu żołnierzy było specjalistami, którym przysługiwały specjalne racje żywnościowe, w tym dodatkowo mocne • czerwone wino z Burgundii, czas na wypoczynek na słońcu, gimnastykę i siłownię, itp. Na najniższych piętrach fortów francuscy żołnierze hodowali nawet pieczarki.

Ale, jak zauważyli ówczesni cynicy, istniały *dwie* Linie Maginota: fortece nie do przejścia, którymi lubił przechwalać się francuski Sztab Generalny, oraz ta druga, która w żadnym punkcie nie była tak mocna, jak twierdziła generalicja. Linia Maginota miała dwa newralgiczne słabe punkty: otwarte skrzydło na granicy francusko-belgijskiej i była zbyt płytka. Po obejściu jej flanki, czyli *de facto* przedarcia się przez nią, nie przedstawiała sobą żadnej wartości.

Tak więc nie był to model dla Wału Hitlera, który w tajemnicy był budowany tuż za niemiecką granicą. Jeden z ówczesnych niemieckich cyników, kiedy po raz pierwszy usłyszał o tajnych planach fuhrera dotyczących budowy własnej linii, stwierdził: „Francja ma własną linię i Hitler też musi mieć swoją”. Jednak cynik ów był pyszał-

kowatym chwalipiętą. To nie był powód, dla którego Hitler rozpoczął budowę Wału Zachodniego.

A przecież wcześniej niż jego własny Sztab Generalny Hitler ocenił słabe punkty Linii Maginota. W rezultacie zdecydował, że jego własna (jeszcze nienazwana) linia fortyfikacyjna będzie rozlokowana wzdłuż całej niemieckiej granicy z Francją i Belgią (łącznie około 560 km), od granicy z Holandią do granicy ze Szwajcarią. Oba te państwa tradycyjnie zachowywały neutralność i nie było powiązań traktatowych między nimi a państwami dawnej ententy.

Ponadto linia Hitlera miała charakteryzować się odpowiednią głębokością - miejscami do trzydziestu kilometrów. Punkty kluczowe, gdzie istniało duże prawdopodobieństwo uderzenia przeciwnika w czasie wojny, miały być osłaniane podwójną linią fortyfikacji. Linia miała być utworzona wokół punktów umocnionych osłanianych słabszymi elementami fortyfikacji, które, jak chciał Hitler, wciągałyby atakującego coraz głębiej w pas obrony, dopóki ten całkowicie nie utraci sił. Hitler miał dać swojej linii jeszcze coś, czego nie miała francuska Linia Maginota: strefę obrony powietrznej, uniemożliwiającej atakującemu zatrzymanie podciąganych na linię odwodów.

W istocie Hitler wyciągnął wnioski z trwającego dziesięć lat okresu planowania i budowy francuskich obiektów. Dostrzegł ich słabości i nie zamierzał popełnić tych samych błędów. Ale już wtedy miał świadomość jednej z poważniejszych słabości swojego planu dotyczącego Wału Zachodniego - kosztów. Francja finansowała budowę Linii Maginota kosztem pozostałej części armii francuskiej. Na jej budowę skierowano olbrzymie sumy, a mobilne jednostki armii francuskiej odczuwały brak nowoczesnego uzbrojenia, w szczególności pojazdów pancernych. Te miałyby kluczowe znaczenie, gdyby Francja w razie wojny musiała osłaniać swoje otwarte skrzydło na granicy z Belgią. Hitler wiedział, że będzie musiał wyłożyć olbrzymią sumę pieniędzy na Wał Zachodni, ale nie był przygotowany na to, że linia pochłonie jego cały wojskowy budżet. Potrzebował pieniędzy na stworzenie dywizji pancernych, które pewnego dnia miały się stać newralgicznym komponentem zaplanowanego przez niego blitzkriegu.

Co miał wobec tego zrobić? W ostatniej analizie uciekł się do kłamstw i propagandy, opisując potęgę linii, której budowę w tajemnicy rozpoczął. Zrobił tak jak radził „jadowity karzeł”: „Jeżeli zamierzasz mijać się z prawdą, posługuj się tylko wielkimi kłamstwami”. I taki był cel fuhrera. Wkrótce ruszyła propaganda wojny. Generał Gerd von Rundstedt, sprawca porażki aliantów na zachodzie, miał się cynicznie zaśmiać, gdy zobaczył linię po raz pierwszy. Śmiałyby się jeszcze głośniejszy, gdyby otworzył propagandową książkę Rudolfa Kuhnego *Der Westwall* i przeczytał:

Żaden przeciwnik nie może bezkarnie zbliżyć się do tego przedmurza ze stali i betonu. Nawet atak przy użyciu najsilniejszych środków, mimo największych poświęceń, załamie się wobec obronnego uzbrojenia.

Powód do śmiechu przyszłego feldmarszałka? Prosty. Nawet ilustracje do tej książki nie były niemieckie. Były to fotografie fortów położonych w głębi tzw. mi-

niaturowej Linii Maginota na wschodniej granicy Niemiec. W rzeczywistości były to czeskie zdjęcia.

Ale w 1936 roku, kiedy Hitler w tajemnicy uruchomił ów wielki projekt, oczywiście nawet nie próbowano przekazać tej wiadomości opinii publicznej. W późniejszym okresie dumny fuhrer miał się chwalić generałowi Guderianowi: „Proszę mi wierzyć, generale, jestem największym budowniczym fortyfikacji wszech czasów [...] Buduję Wał Zachodni”.

Jednak tymczasem świat właściwie nic nie wiedział o osiągnięciach Hitlera jako „największego budowniczego fortyfikacji”. W rzeczywistości Hitler nie mógł rościć sobie praw do tego tytułu. Zaszczyt ten przypadł wysokiemu, mocno zbudowanemu, byłemu lotnikowi z okresu pierwszej wojny światowej, doktorowi Fritzowi Todtowi, który w chwili gdy zaczynał ów tajny projekt miał przed sobą dokładnie pięć lat życia.

NA SCENIE POJAWIA SIĘ DOKTOR ŚMIERĆ

Fritz Todt (w języku niemieckim „śmierć”) miał przejść do historii jako inżynier odpowiedzialny za większość głównych prac budowlanych wykonywanych w walczących Niemczech. Rzeczywiście, dwa duże niemieckie projekty budowlane dwudziestego wieku - sieć autostrad i Linia Zygfryda - na zawsze zostaną związane z nazwiskiem potężnego niezgrabnego inżyniera, który dzisiaj spoczywa w cieniu „Orlego Gniazda” pod Bertechsgaden, gdzie Hitler zbudował swój przedwojenny dom.

Todt był ulepiony z tej samej gliny co wielcy angielscy i amerykańscy organizatorzy prowadzonych na masową skalę prac okresu drugiej wojny światowej - Ernest Bevin i Henry Kaiser. Todt jednak był także zatwardziałym nazistą, który dzięki machinie partyjnej miał do swojej dyspozycji prawie nieograniczoną władzę. Wykorzystując *gauleiterów* z partii nazistowskiej mobilizował potężne rzesze bezrobotnych mężczyzn (i kobiet) z terytorium całej Rzeszy. Bez wchodzenia w poważniejszą dyskusję, owi *de facto* niewolnicy byli wysyłani na polecenie Todta w nieznaną, do pracy przy urzeczywistnianiu wielkiego i nadal tajnego projektu. Ci przymusowi robotnicy byli przyzwyczajeni do bardziej uprzemysłowionego obrazu Niemiec i przeraził ich widok oddalonych, biednych wiosek wokół gór Eifel i Schwarzwald.

Tu chłopcy nadal pracowali wykorzystując średniowieczny system trójpłowy i orali wołami swoje małe pola. Kiedy nie było ich stać na posiadanie bydła, pracę tę wykonywały ich bosonogie kobiety i niedożywione dzieci, oblewając się potem i ciągnąc pług po ciężkiej, gliniastej glebie”.

Nie martwił się tym wysoki nazistowski inżynier, który kierował prowadzącą ów projekt z bezwzględną wojskową skutecznością Organizacją Todta. Pracowano od świtu do zmierzchu i, jeśli było to konieczne, również w nocy.

¹¹ Kiedy amor po raz pierwszy zobaczył ten obszar 10 lat po wojnie, miejscowi nadal wykorzystywali woły, nie mieli dostępu do prądu oraz kanalizacji. Nic było nawet bitych dróg.

W niewielkich wioskach, gdzie Todt zakwaterował swoich przymusowych robotników, nie było bieżącej wody ani żadnych sanitariatów. Szerzyły się tężec i tyfus. Miejscowi i ci, którym przydzielono miejsca w ich szopach (nazywani w miejscowym dialekcie *Welclu* co oznaczało „obcy” lub „cudzoziemcy”), korzystali z dołów wykopanych przy budynkach dla zwierząt. Zarówno odchody zwierzęce, jak i ludzkie były używane jako nawóz mający zwiększyć marnie zbiory rzepy, ziemniaków i koniczyny (dla zwierząt). W rezultacie każdy, kto się skałeczył, ryzykował zachorowaniem na tężec, którzy miejscowi nazywali „sztynnością szyi”. Lecz Todta, który w swych bryczesach i wysokich wyglansowanych butach pojawiał się to tu, to tam, doglądając postępu prac i sprawdzając skuteczność poleceń, nic to nie obchodziło. Miał do dyspozycji wielkie rezerwy bezrobotnych robotników - w 1936 roku było ich aż sześć milionów. Motto Todta „*marschieren oder krepieren*” („maszeruj albo giń”) miało sprawić, by okupowana Europa nauczyła się strachu.

W rzeczywistości odchody były przez chłopów wysoko cenione (nazywali je *Jauche*). „Bogaci” gospodarze składali je w przyzmach pod oknami, co miało demonstrować ich bogactwo (prości amerykańscy żołnierze nazywali to później „zwałami spadzi”). Większa liczba zwierząt oznaczała większą ilość odchodów. Była to jedna z tych rzeczy, na które młodzi chłopci w wieku odpowiednim do poszukiwania żony zwracali uwagę, kiedy ruszali na *Brautschau* (poszukiwanie panny młodej). Jak otwarcie mówili: „gówno to pieniądze”.

Jednak wkrótce importowani robotnicy przywykli do warunków, w których musieli mieszkać: do braku radia, kina, tańców (na tych obszarach surowo przestrzegano zasad religii katolickiej); często nie było nawet gospody (*Gasthaus*). Po raz pierwszy od wielu lat robotnicy dobrze zarabiali. A między nimi było wiele dziewcząt w odpowiednim wieku, chętnych do zamażpójścia. Często stodoły i stajnie dla zwierząt, w których spały młode panny, nie były wiele lepsze niż prowizoryczne burdele. Wskaźnik narodzin dramatycznie skoczył w górę.

Co dziwne, importowani robotnicy oraz młodzi z nowej obowiązkowej służby pracy (*der Arbeitsdienst*) solidnie przykładali się do pracy. Wzdłuż całej granicy Niemiec zaczęły pojawiać się bunkry. Między małymi bunkrami odległości wynosiły 50-100 metrów. W przeciwieństwie do tych z Linii Maginota były one proste i nieskomplikowane, miały wielkość małego domku, znajdowały się w odległości 0,5-1,5 kilometrów od linii głównej i były chronione przed uderzeniami sił pancernych przez produkowane masowo pułapki na czołgi - dobrze znane „zęby smoka”.

Nowe fortyfikacje wznoszono kilometr za kilometrem wzdłuż niemieckiej granicy - po zboczach wzgórz, w poprzek wiejskich ścieżek, przez głębokie lasy, wokół bagien, nawet wokół dużych gospodarstw, przez wsie. Wyglądały jak pokryty łuskami betonowy kręgosłup szkaradnego prehistorycznego smoka. Gdzieś tam linia ta była poprzerywana głębokimi wielopiętrowymi podziemnymi bunkrami w stylu tych z Linii Maginota. Drugim co do wielkości był *Panzerwerk Katzenkopf* (Fort Pancerny „Głowa Kota”), położony w pobliżu przygranicznej wioski Irrel na południe od gór Eifel, który dominował nad rzeką Saper oraz główną drogą z Ettelbruck (Niemcy) do stolicy Luksemburga.

Budowa „Głowy Kota” w największej tajemnicy rozpoczęła się wiosną 1937 roku. Sprowadzono tysiące mężczyzn, którzy zaczęli drażyć górujące nad Irrel wzgórze, w większości pracując kilofami i łopatami, na głębokość trzydziestu sześciu metrów. Kopacze ukryci za deskami, siatkami maskującymi oraz matami trzciniowymi wynieśli tony ziemi i skał, a następnie zalali to miejsce 32 tysiącami ton betonu wartości 6 milionów marek niemieckich.

Po zakończeniu tego gigantycznego zadania w potężnej podziemnej jaskini wybudowano trzypiętrowy bunkier z obracaną wieżą artyleryjską, karabinami maszynowymi, a nawet automatycznymi miotaczami ognia. Wszystkie te elementy były chronione przed bojowymi środkami trującymi przez potężne filtry i zbiorniki z tlenem. Miało w nim stacjonować 84 żołnierzy z pułku fizylierów z Dusseldorfu. Rotacja żołnierzy z tego samego reńskiego pułku miała następować co 4-6 tygodni. W czasie, kiedy ukończono „Głowę Kota” w Syczeniu 1939 roku, obok niej istniało już 22 tysiące mniejszych bunkrów i schronów, które tworzyły linię uważaną za niepokonaną.

Ale, jak się później okazało, wcale tak nie było. Jednak poważnie to niepokoiło wywiad angielski i amerykański, jako że ten element dominował nad niebronionym lewym skrzydłem Linii Maginota. W rzeczywistości ten cały nowy niemiecki kompleks, teraz już oficjalnie nazywany Wałem Zachodnim¹² wywoływał ból głowy u tej tajemniczej, pochodzącej z wyższej klasy grupy brytyjskich dżentelmenów, których zadaniem było wykradanie sekretów „Dwunastolandii”¹³.

LATAJĄCY CYRK COTTONA

12 września 1938 roku Hitler zdecydowanie wkroczył na podium podczas dorocznego zjazdu partii w Norymberdze, „mieście ruchu”¹⁴ i wygłosił jedno ze swoich zwyczajowych, ożywiających masy przemówień. Ale przynajmniej wtedy nie było ono połączeniem partyjnej nudy i próżnej filozofii. Tym razem fuhrer pocąc się i ciągle odrzucając na bok niesforny kosmyk farbowanych na czarno włosów miał ujawnić niepokojące fakty. W przemówieniu skierowanym do słuchających go 250 tysięcy ludzi znalazły się szczegóły dotyczące gigantycznego projektu budowlanego realizowanego przez milion obywateli Niemiec na granicy z Francją i Belgią.

„Wydąłem rozkaz rozpoczęcia budowy naszych fortyfikacji na zachodzie” - grzmiał Hitler spoglądając na nieruchome szeregi SA, brunatnych koszul i młodzieńców z *Arbeitsdienst*, których wypolerowane łopaty, trzymane jak broń przy prawym ramieniu, rzucały błyski światła. „Mogę was zapewnić, że 28 maja rozpoczęła się budowa najbardziej gigantycznych fortyfikacji wszech czasów”.

¹² Od 1936 roku te fortyfikacje obronne znane były pod nazwami „Linia Hitlera”, „Linia Fihrera” i „Linia Todta”. Niemcy nadali jej oficjalną nazwę 19 listopada 1938 roku.

¹³ Wielka Brytania oznaczała wówczas swoich potencjalnych przeciwników kryptonimami liczbowymi.

¹⁴ Była tak nazywana, ponieważ właśnie tam odbywały się coroczne zjazdy partii nazistowskiej.

Przerwał na chwilą, by wziąć oddech i pozwolił zaskoczonym zgromadzonym poczuć, jak ważną tajemnicą wyjawia im fuhrer, zanim wybuchną spontanicznym wiwatem i histerycznym okrzykiem HEIL HITLER!, który wydawał się trwać wiecznie.

Jednak ci entuzjastycznie nastawieni naziści nie byli jedynymi ludźmi zaskoczonymi rewelacjami ujawnionymi przez Hitlera. Zaliczał się do nich również wywiad państw sojuszniczych. Agenci francuskiego *Deuxieme Bureau* wiedzieli, że coś się dzieje, zwłaszcza że Niemcy budowali bunkry Wału Zachodniego po drugiej stronie Renu, naprzeciwko fortyfikacji Linii Maginota. Jednak ani oni, ani ich brytyjscy odpowiednicy w MI6 (brytyjska agencja wywiadowcza znana również pod nazwą SIS) nie byli w stanie zdobyć dokładnych danych o nowej nazistowskiej, tak zachwalanej linii fortyfikacji. „Dwunastolandia”, jak nazywano Niemcy, była przez ostatnie dwa lata dosłownie zamknięta dla wywiadu sojuszników.

Stała się ona jednym z najważniejszych celów brytyjskiego wywiadu natychmiast po wejściu Hitlera do Nadrenii w 1936 roku. Do tego roku Niemcy były łatwym i raczej spokojnym obszarem aktywności asów wywiadu z Londynu. Wszędzie mieli swoich agentów, kilku nawet pracujących na samym szczycie od 1919 roku, kiedy rozczarowani, pokonani obywatele nowej Republiki Weimarskiej byli z łatwością kupowani za twardą walutę.

Między nimi znajdowali się również działacze liczącej milion członków SPD (niemieckiej partii socjalistycznej), zatwardziali oponenti nazistów; oficerowie-kolaboranci; katolickie zakonnice, które nienawidziły „bezbożnych” zwolenników „antychrysta” Hitlera; nawet zawodowi kolarze, którzy nie mogli ścigać się poza granicami Niemiec, ponieważ władze nie pozwalały im na wywożenie pieniędzy za granicę.

Hitler zawsze obawiał się machinacji, jak to określił, „angielskich służb specjalnych”. W 1939 roku powiedział generałowi SS Schellenbergowi, zwierzchnikowi wywiadu SS:

Angielskie Służby Specjalne mają długą tradycję. Niemcy nie mają niczego, co można by z nimi porównywać [...] Dlatego każdy sukces oznacza budowanie naszych tradycji i wymaga jeszcze większej determinacji. Zdrajcy, którzy podczas tej decydującej walki wbijają nóż w plecy Niemiec, muszą być bezlitośnie zniszczeni. Światu jest znany spryt i perfidia angielskich Służb Specjalnych, ale wszystko to na nic, chyba że sami Niemcy będą w stanie zdradzać własną ojczyznę.

Kierowany przez Schellenberga wywiad SS i dowodzona przez „świętego Mikołaja”¹⁵ Abwehra dosłownie potraktowała wytyczne Hitlera. W drugiej połowie lat

Admirał Canaris, szef Abwehry by! nazywany „świętym Mikołajem” ze względu na jego siwiznę i łagodny wygląd.

trzydziestych „bezlitośnie niszczyły” one siatki brytyjskich agentów. Co więcej, władze oświadczyły, że strefa Wału Zachodniego stanowi *Sperrgebiet* (obszar zastrzeżony), gdzie nawet miejscowi potrzebowali specjalnych przepustek, by wkroczyć w bezpośrednie sąsiedztwo nowych fortyfikacji. Brytyjskie asy wywiadu w Bramie Królowej Anny nagle utraciły zdolność widzenia.

W miarę jak naziści wyłapywali szpiegów Brytyjczycy byli coraz bardziej zrozpaczeni. Zwerbowali asystenta węgiersko-żydowskiego króla kina, Alexandra Kordeę, który przekonał stałą Brytyjsko-Żydowską Radę Strażników do przygotowania ankiety dla Żydów nadal mieszkających w Rzeszy. W dokumencie tym, skierowanym do potencjalnych emigrantów do Wielkiej Brytanii, sprytnie ukryto pytania dotyczące obszarów granicznych, w szczególności obszaru Wału Zachodniego.

Pozostali Żydzi z okazałej populacji mieszkającej w Nadrenii, którzy z powodu pochodzenia byli zmuszani do opuszczenia Niemiec, wprowadzali w błąd gestapo i udawali, że próbują przemycać walutę. Na kontrolnych punktach granicznych podawano im olej rycynowy i strażnicy z reguły znajdowali połącznięte przez nich klejnoty czy zamykane w stalowych pojemnikach złote monety ukrywane następnie w odbytnicy. Jednak uwagi usatysfakcjonowanych kontrolerów całkowicie uchodziły informacje dotyczące Wału Zachodniego.

W Berlinie chroniony immunitetem dyplomatycznym młody generał major Kenneth Strong z Królewskiego Pułku Szkockiego (Royal Scots), zastępca attache wojskowego przy brytyjskiej ambasadzie, również próbował rozwiązać różne problemy związane z Wałem Zachodnim. W szczególności interesował się liczbą jednostek obsadzających Wał Zachodni i stopniem ich wyszkolenia. Czy, podobnie jak na francuskiej Linii Maginota, będą to dywizje pierwszej kategorii? Czy też będzie to druga klasa z rezerwowych dywizji, co podczas wojny dałoby Hitlerowi możliwość skierowania na inne obszary jednostek pierwszej kategorii przeznaczonych do prowadzenia operacji mobilnych?

W czerwcu 1939 roku generał Strong (który pewnego dnia miał zostać szefem wywiadu Eisenhowera i sześć lat później nadal interesował się tajemnicami „Linii Zygfyda”) miał szczęście. W Berlinie zaplanowano wielką defiladę na cześć regenta Jugosławii, księcia Pawła. Wieczorem przed paradą Strong otrzymał telefon od oficera, przyjaciela z niemieckiego Ministerstwa Wojny. „Przyjaciel” (którego imienia Strong nigdy nie zdradził) ogródkiem zasugerował Strongowi, by ten za kilka godzin wybrał się na spacer. W Berlinie zapowiadał się piękny wieczór.

„Uznałem to za dziwną wiadomość - wspominał wiele lat później wysoki ciemnowłosy Szkot - ale zdecydowałem się pójść. Ku memu zaskoczeniu dostrzegłem, że Niemcy zaznaczyli na nawierzchni drogi nazwy jednostek, które miały wziąć udział w paradzie wieczorem kolejnego dnia. To był prawdziwy skarb”.

Kilka chwil później młody szkocki oficer dostrzegł „armię” pulchnych *Putzfrauen* (sprzątaczek) w średnim wieku, wyposażonych „w wiadra i ścierki [...], które miały zmyć tajne informacje. Ktoś we władzach odkrył błąd. Ale ja już wiedziałem, jakie jednostki obsadzały Linie Zygfyda”.

Mniej więcej w tym samym czasie SIS spróbowało bardziej bezpośrednich metod poszukiwania informacji dotyczących wydarzeń na Wałę Zachodnim. Dotychczas brytyjskie asy wywiadu płaciły chętnym stewardom i stewardesom latającym nad Niemcami w brytyjskich samolotach za fotografowanie wału i innych kluczowych celów na trasie do lotniska Tempelhof w Berlinie.

Francuzi korzystali z tej samej metody. Komendant Georges Ronin z *Deuxieme Bureau* dawał łapówki personelowi Air France za pospiesznie robione zdjęcia Wału Zachodniego podczas przelotów nad Renem. Informacje te były przekazywane do jego odpowiednika w sekcji wywiadu powietrznego SIS Freda Winterbothama, który sam wcześniej był pilotem. Ronin nawet wynajął imponującego staruszka z długą brodą, który w Paryżu zajmował się fotografią portretową, by zainstalował swój potężny sfatygowany drewniany aparat w starym samolocie i z niego fotografował fortyfikacje Wału Zachodniego.

Jednak przed wiosną 1939 roku, kiedy Hitler rozpoczął przygotowania do wojny, przeloty, nawet wzdłuż Renu, stawały się coraz trudniejsze. Niemieckie samoloty myśliwskie zmuszały podejrzane maszyny do zajmowania wysokich pułapów w niemieckiej przestrzeni powietrznej. W rezultacie, zgodnie z oczekiwaniami wywiadu niemieckiej Luftwaffe, obiektywy szpiegowskich aparatów fotograficznych w chłodniejszym powietrzu pokrywały się skroploną parą wodną, co uniemożliwiało wykonywanie zdjęć. Nagle eksperci wywiadu francuskiego i brytyjskiego znaleźli się w kłopotach, zwłaszcza że w „Dwunastolandii” Wielka Brytania nie miała wtedy żadnego wartościowego agenta.

Wysoki jasnowłosy i przystojny Winterbotham, który wkrótce miał strzec sekretów tajnej operacji deszyfracji „Ultra” w Bletchley, wymyślił wspaniały projekt. Razem z australijskim pilotem, dobrze znanym łowcą przygód i kobiet, Sidneyem Cottonem przekonał swoich przełożonych do kupna nowego amerykańskiego samolotu Lockheed 12A. Była to dwusilnikowa maszyna do przewozu osób, mogąca latać na wysokości 6700 metrów, wyżej niż jakikolwiek ówczesny niemiecki samolot. Mimo że Winterbotham nie lubił Australijczyka, który zawsze wybierał najbardziej opłaczalne oferty, to blisko z nim współpracował, by uzyskać zgodę na loty w przestrzeni powietrznej Niemiec.

W kadłubie Lockheeda wycięto otwór i zainstalowano trzy aparaty fotograficzne. Obiektyw pierwszego z nich był skierowany w dół, a dwa pozostałe ustawiono pod takim kątem, by samolot rozpoznawczy mógł objąć jak największą powierzchnię fotografowanego obiektu. I tu zaskoczenie. Podczas jednego z lotów Lockheed nad Anglią odkryto, że kiedy z ogrzewanej kabiny otwierano ukrytą migawkę znajdującą się na zewnątrz kadłuba, znad obiektywu natychmiast znikało gorące powietrze.

Na samym początku wojny porucznik wywiadu marynarki wojennej Ian Fleming (słynny autor powieści o Jamesie Bondzie) usłyszał o „cyрку Cottona” i próbował skłonić go do wstąpienia do wywiadu marynarki wojennej. Jednak RAF był szybszy i dlatego w cyklu powieści o Bondzie Cotton się nie pojawia.

Jak Winterbotham oświadczy! wiele lat później, kiedy następca lockheeda - U-2 wykonywał nad Związkiem Radzieckim te same zadania, było „cudem nad cudami, że one [obiektywy] nie pokrywały się mgłą, nawet na wysokości 20 tysięcy stóp. Wydaje się to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe”.

Od tego czasu (od wiosny 1939 roku) Cotton, czasami w towarzystwie siwobrodego francuskiego portrecisty, latał *w te i z powrotem* nad Renem fotografując istotne elementy Linii Zygryda, a niemieccy piloci myśliwców kierowani do przechwytywania wszystkich obiektów pokonujących tak zwaną „czerwoną strefę”, mogli tylko w bezsilnej złości marnować paliwo.

Uganiający się za spódniczkami Otton kilkakrotnie zabierał swą aktualną dziewczynę na te szpiegowskie zadania, a nawet wlatywał na terytorium neutralnej Belgii, by fotografować Wał Zachodni biegnący wzdłuż granicy belgijsko-niemieckiej. Były to pierwsze zdjęcia tego regionu i kiedy alianci zobaczyli dowody na istnienie Linii Zygryda biegnącej prawie przez 500 kilometrów od Szwajcarii do Holandii, to musiały one wywołać poważny wstrząs w ich wywiadzie.

24 sierpnia 1939 roku Cotton oraz jego nowy kanadyjski asystent Bob Niven wykonali swój ostatni lot. Nie wiedzieli, że ten dzień został wybrany przez Hitlera jako data uderzenia na Polskę, co miało doprowadzić do wybuchu drugiej wojny światowej. Wydawało się, że dwóch młodych ryzykantów zdaje sobie sprawę, iż wkrótce bomba pójdzie w górę. Cotton dostał zgodę od niemieckich kontrolerów ruchu powietrznego na przelot nad terytorium Niemiec, ale w razie zboczenia z kursu choćby o metr, jego loekheed mógł zostać zestrzelony bez ostrzeżenia. Dla wierzącego w swoje szczęście Cottona było oczywiste, że Niemcy w końcu go przyłapią. Mimo to obaj lotnicy zdołali wykonać kilka szybkich zdjęć, gdy przekraczali niemiecką granicę. Dwie godziny później wylądowali w Croydon, skąd rok wcześniej premier Chamberlain leciał (po raz pierwszy w życiu) do Monachium, „by ratować pokój”. Na miejscu celnicy zapytali ich, skąd wracają.

„Z Berlina” - odpowiedział Cotton.

„Trochę późno, nieprawdaż?” - zauważył celnik.

Cotton puścił uwagę mimo uszu, chociaż wiedział lepiej niż inni, jak „późno” było tego dnia. I tak wielka powietrzna szpiegowska gra ześrodkowana wokół Wału Zachodniego Hitlera, poprzedniczka wszystkich szpiegowskich satelitów, które w chwili obecnej orbitują nad ziemią i odnotowują każdy nasz ruch, zakończyła się.

-Sześć dni później Niemcy rozpoczęły wojnę z Polską, po trzech dalszych dniach Wielka Brytania i Francja stanęły po stronie Polski. Bez względu na zamiary alian-tów nadeszła chwila na wykorzystanie Wału Zachodniego. Walka Wielkiej Brytanii z „Dwunastolandią” mogła rozpocząć się na serio.

Jednakże nic się nie wydarzyło - w ogóle do niczego nie doszło! Mimo że na Linii Maginota od 24 sierpnia obowiązywał reżim wojenny, francuska armia nic próbowała zaatakować wału, który znajdował się zaledwie kilka kilometrów dalej. Wydawało się, że francuscy generałowie zastanawiają się, dlaczego powinni to zrobić. Generał Marin, minister wojny w 1935 roku powiedział: „Jak nadal możemy wierzyć w ofen-

sywę, kiedy wydaliśmy tysiące milionów na zbudowanie ufortyfikowanej bariery? Kto będzie na tyle szalony, by uderzyć w nią, Bóg jeden wie, w jakim celu?"

Tak więc podczas pierwszego tygodnia września 1939 roku, kiedy Hitler uderzył na sojuszniczą Polskę, sześćdziesiąt siedem francuskich dywizji stało przed dziewiętnastoma słabymi niemieckimi dywizjami obsadzającymi ufortyfikowane pozycje, które znajdowały się dosłownie w zasięgu głosu, i nie robiły nic. Jeżeli chodzi o fuhrera, on najwyraźniej nie podzielał obaw swoich generałów. Uważał, że wie, jak trzeba ugłaskać anglo-francuskich sojuszników, pokojowców, którzy tak ulegle przewinęli się rok wcześniej przez Monachium. Nie zrobią niczego na zachodzie. A nawet gdyby coś zrobili - powiedział swojemu kamerdynerowi Lingemu¹⁷ - to „połamię sobie zęby na moim Wale Zachodnim”.

Amerykański emerytowany berliński korespondent William Shirer w trakcie podróży po niemieckiej stronie Renu wzdłuż obu fortyfikowanych linii między Karlsruhe i Bazyleą zaobserwował:

Żadnej oznaki wojny: obsługa pociągu mówiła mi, że na tym froncie nie padł żaden strzał. [...] Mogliśmy dostrzec francuskie bunkry i w wielu miejscach znajdowały się osłony, za którymi Francuzi wznosili fortyfikacje. Identyczne obrazy były po stronie niemieckiej. Wydawało się, że wojska przestrzegają zawieszenia broni. Żołnierze mogli się wzajemnie widzieć podczas prowadzenia prac. [...] Dziwna wojna.

I taka była. Jak opowiadał główny brytyjski oficer łącznikowy we Francji generał Spears, dostrzegł on niemiecki napis adresowany do „żołnierzy prowincji północnych”: „Perfidni brytyjczy żołnierze śpią z waszymi żonami i gwałcą wasze córki”. W odpowiedzi jednostka francuska wywiesiła napis „Gównno nas to obchodzi. Jesteśmy z południa”.

Jednak francuski Sztab Generalny wiedział, że coś trzeba zrobić. W swoim rozkazie ogólnym nr 1 z 8 września 1939 roku generał Eduard Requin ujął to w następujący sposób: „Nadszedł czas, by uderzyć i odpowiedzieć artylerią i karabinami maszynowymi na wszystkie próby bratania się. Każdy z żołnierzy przeciwnika, który się pokaże, będzie zabity lub wzięty do niewoli. [...] Wszyscy muszą być przekonani, że obecna wojna nie zna ani słabości, ani litości”. Nie był to podnoszący na duchu ani inspirujący rozkaz, ale wskazywał, że Francuzi są przygotowani do ataku (Brytyjski Korpus Ekspedycyjny jeszcze w całości nie pojawił się we Francji¹⁸).

¹⁷ Kapitan SS. W szeregach osobistej służby Hitlera nawet służący nosili oficerskie stopnie elitarnego Czarnego Korpusu.

3. Dywizja Piechoty Montgomery'ego, aby wysiać żołnierzy na jej pozycje do Francji musiała wynająć ciężarówki z dobrze znanej firmy Pickforda zajmującej się przeprowadzkami. Było to typowe dla Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego, który posiadał mobilne kina dla wojsk, ale nie miał ciężarówek ani pojazdów gaśnicowych.

Świadomość, że Francja miała w końcu coś zrobić, wywołała dreszcz niepokoju u niemieckich generałów, oczywiście u tych, którzy o tym wiedzieli. Dowódca korpusu, generał von Mellenthin, który przeprowadził inspekcję linii obrony Wału Zachodniego *vis a vis* Linii Maginota, był przerażony poziomem wyszkolenia niemieckich jednostek obsadzających linią obrony. Były to jednostki drugiej kategorii, słabo wyposażone i wyszkolone, sama linia obrony była daleka od opisywanych przez propagandę, fortyfikacji nie do pokonania. Im bardziej przyglądałem się, naszej obronie, tym słabiej rozumiałem całkowicie pasywne zachowanie Francuzów". Teraz ruch miała wykonać Francja.

Być może to był ruch, lecz przeprowadzony bez entuzjazmu czy słynnej napoleońskiej *elan*. Osiem dywizji, dwie z nich zmotoryzowane, pięć batalionów czołgów i artylerii ruszyło 9 września na jeden z najtrudniejszych do obrony sektorów Wału Zachodniego - płaski przemysłowy obszar wokół Saarbrücken. Nocą z 8 na 9 września jedno z dział forticy pod Hochwald z Linii Maginota oddało pierwszy strzał w wojnie na zachodzie, który był skierowany na Niemcy. Był to symboliczny gest i takim pozostał, jako że z forticy Hochwald nie strzelono już więcej aż do końca wojny - przynajmniej w stronę Niemiec. Kiedy ponownie z tego miejsca padł strzał, było to niemiecki ogień skierowany na nacierających Amerykanów.

We właściwym czasie francuska ofensywa „zajęła” 200 kilometrów kwadratowych lasów i pól, które Niemcy ewakuowały, jako część planu obejmującego „strefę czerwoną”, zanim wybuchła wojna. Brytyjska i francuska prasa miały swój dzień wojny.

Gazety utrzymywały, że ofensywa była „metodyczna” i „ograniczona”. Po prostu było to wielkie zwycięstwo. Cały obszar aż do Wału Zachodniego został zajęty. Wszędzie Niemcy „uciekli w panice” etc. W rzeczywistości niemiecka ewakuacja „strefy czerwonej” została zaplanowana jeszcze w 1937 roku i zanim wydano triumfalne komunikaty, które zostały przeanalizowane przez niepodważalne autorytety (już przewidujące, że nazistowskie Niemcy nie będą w stanie dłużej prowadzić wojny na dwóch frontach), Francuzi okopywali się na zajętych terenach leśnych i w pięćdziesięciu wioskach wokół nieszczęsnej Saary. Obszar ten był całkowicie wyludniony. Ewakuowano nawet miejscowe psy.

Po około miesiącu Polska została pokonana. Dowódca francuskiego Frontu Północno-Wschodniego generał Alphonse Gorges przybył do Saary, by wytłumaczyć swoim podwładnym coś, o czym oni dobrze wiedzieli: pozostawanie na terytorium przeciwnika przed frontem Linii Maginota bez planu ataku na Wał Zachodni mogło doprowadzić do katastrofy. Można było zrobić tylko jedno - wycofać się.

Tak więc *l'Offensiv Sarre* zakończyła się skomleniem. Droga do Rzeszy była w mniejszym bądź w większym stopniu otwarta przez dwa, trzy tygodnie, jednak Francja nie zdołała na nią wstąpić. Nie zaatakowała nawet jednego schronu na Wał Zachodnim. I kiedy umilkła brytyjska i francuska prasa, z rzadka wspominająca o obszarze Saary, siły francuskie wycofały się, a teren ten został skwapliwie zajęty przez Niemców, wzmocnionych pierwszymi walczącymi uprzednio na wschodzie jednostkami, które w Polsce zebrały pierwsze, krwawe doświadczenia.

SITZKRIEG* NA LINII ZYGFRYDA

Wrzesień przeszedł w październik i Hitler przygotowywał się do kolejnego ruchu, do następnej fazy *Sitzkriegu*^o. Przed frontem Linii Zygfryda panował irytujący dla żołnierzy pokój, zakłócany jedynie przez niedawno przybyłych i żądnych krwi „Ingleze”. Wydawało się, że ci „Anglicy” (w rzeczywistości większość stanowili Szkoci z 51. Dywizji) chcieli zrobić wyłom w linii, na której zamierzali powiesić swoje „brudne pranie, matko droga”. Rozpoczęli oni operacje zaczepne, którym Francuzi bardzo się sprzeciwiali. Ówczesne francuskie motto brzmiało: „Żyj i pozwól żyć”. Ponadto w operacjach zaczepnych giną przecież żołnierze. Jednak pierwszy zabity przez tych nadgorliwych Anglików był Francuzem. Był głuchy i nie dość szybko zareagował na regulaminowe zawołanie brytyjskiego wartownika „Stój, kto idzie!”. Zginął za swoją opieszałość i za brak znajomości języka angielskiego. Typowo brytyjskie. Tymczasem front pod Saara i w Alzacji ponownie zamarzał.

W neutralnej Belgii sprawy się miały bardzo podobnie. Rok 1939 przeszedł w 1940. a lewa flanka Linii Maginota nadal była niebezpiecznie otwarta. Belgowie w swojej części Ardenów nic uczynili nic, mimo że wiedzieli o kierowaniu niemieckich wojsk na odcinek Wału Zachodniego między Echternach i Monschau. Dodatkowo zostali ostrzeżeni o niemieckich zamiarach. 10 stycznia 1940 roku pod Meehelen (Malines) blisko Brukseli rozbił się niemiecki samolot łącznikowy. Na jego pokładzie było dwóch majorów, z których jeden miał ze sobą ściśle tajne plany uderzenia Hitlera na państwa Beneluksu. Potem Belgowie zgromadzili kolejne dowody, że Niemcy po raz drugi w tym wieku zamierzają pogwałcić neutralność Belgii. Wysocy oficerowie Abwehry ostrzegli Belgów o zbliżających się wydarzeniach, podając im nawet datę spodziewanego uderzenia Niemiec. Mimo to nic nie uczyniono.

Werbowani lokalnie niemieckojęzyczni, a częstokroć urodzeni w Niemczech (na obszarze, który w 1919 roku leżał w granicach Niemiec i wystawiał *pu(k), Arden-nenjdger* ostrzegali, że Wał Zachodni zapełnia się wojskami i że nocami w leżących tuż za granicą lasach gór Eifel ma miejsce ożywiona działalność wojskowa. Wszyscy ich przyjaciele i krewni po niemieckiej stronie zostali ewakuowani razem z pozostałą ludnością zamieszkującą strefę czerwoną. A to mogło oznaczać tylko jedno: Niemcy zamierzają zaatakować.

Niektórzy z najbardziej żądnych przygód dowódców lekkiej piechoty zgłaszali się na ochotnika do patrolowania granicy wokół St. Vith, gdzie znajdował się położony najbliżej Belgii odcinek Wału Zachodniego nazywany odcinkiem „Czarnego Człowieka”²ⁿ. Jednak patrole zostały wstrzymane. Król Belgów Leopold III, który był

* *Sitzkrieg* [porównanie do blitzkrieg - wojny błyskawicznej, wojna siedząca - gra słów w języku niemieckim - przyp. tłum.].

Niemiecki termin oznaczający „niby-wojnę” został stworzony przez Amerykanów, ale po zakończeniu drugiej wojny światowej Niemcy używali go do opisywania okresów braku aktywności.

– Linia fortyfikacji *Der Schwarze Mann* znajdowała się na północ od Rewiru i będę o niej jeszcze wspominał.

również naczelnym dowódcą, stanowczo sprzeciwiał się jakimkolwiek działaniom, które mogłyby antagonizować stosunki z Hitlerem.

Nawet kiedy szef sztabu Abwehry pułkownik Hans Oster powiedział duńskiemu attache wojskowemu w Berlinie (który przekazywał wiadomości swoim kolegom z belgijskiego wywiadu), że „ta świnia [Hitler] ruszył na front zachodni”, i przekazał kolejny sygnał do Hagi - „Jutro [10 maja] o świcie. Trzymajcie się” - król Belgii nie zrobił nic. Wyglądało to tak, jakby chciał, by Niemcy zwyciężyli. I tak się stało.

Wczesnym rankiem 10 maja 1940 roku Adolf Hitler razem ze swoim Sztabem Generalnym zajął pozycję pod *Felsenest* (Eyrie) w rejonie Miinstereifel²¹ i czekał. Czterdzieści kilometrów dalej na granicy z Belgią jego jednostki pancerne ruszyły ze swoich pozycji z Wału Zachodniego i rozpoczęły trudny manewr przez neutralną Belgię i Luksemburg. W lasach obu tych państw z ogromnym poświęceniem walczyli w potyczkach *Ardennenjager*, pięć lat później mieli tam walczyć Amerykanie. *Ardennenjager* nie mieli najmniejszych szans.

Do 14 maja Niemcy doszli do granicy z Francją. Tu natknęli się na jeden z pozostałych na uboczu fortów Linii Maginota - La Ferte. Znajdował się on kilka kilometrów od głównego celu Niemców - Sedanu, gdzie w 1870 roku Prusy odniosły wielkie zwycięstwo prowadzące do upadku imperialnej Francji Napoleona III. Szczęśliwy strzał trafił bezpośrednio w główny otwór obserwacyjny. Oślepieni na jakiś czas obrońcy nie byli w stanie zatrzymać niemieckiej piechoty wrzucającej pedardy dymne, materiały wybuchowe i granaty przez powstały otwór. 266 obrońców walczyło w maskach przeciwgazowych. Wcześniej dowódca fortu pisał do swojej żony: „Wiemy, że zadanie, które otrzymaliśmy, wymaga od nas, byśmy zginęli na miejscu”.

Dowódca, porucznik elitarnych jednostek fortecznych Linii Maginota, nie zginął w bitwie pod La Ferte. W rzeczywistości walczył dalej, wspierał nawet francuskie kontrataki prowadzone siłami Legii Cudzoziemskiej i nieustepliwe w boju marokańskie jednostki „interwałowe”, które miały walczyć w lukach między poszczególnymi fortami. Porucznik walczył do samego końca. Kiedy Niemcy ostatecznie zaakceptowali kapitulację La Ferte, ku swojemu zaskoczeniu znaleźli ciała 210 francuskich żołnierzy. Większość z nich została ranna, a następnie udusiła się, kiedy systemy wentylacyjne fortu przestały pracować. Podczas gdy niemiecka piechota dokonała makabrycznego odkrycia, w sercu zniszczonych fortyfikacji usłyszano pojedynczy strzał. To był komendant. Nie zginął w bitwie, jak sugerował swojej żonie, lecz wybrał inną żołnierską śmierć. Pokonany, nie chcąc poddać się frycom, zastrzelił się.

Niezbyt wielu żołnierzy alianckich naśladowało tego honorowego młodego oficera, kiedy okazało się, że zostali pokonani. Niemcy wygrali. Większość postąpiła jak

²¹ W 1944 roku feldmarszałek Model, „feldmarszałek golowąs”, jak nazywał go pogardliwie von Rundstedt, założył swoje dowództwo w tym samym mieście i próbował przez 6 miesięcy uniemożliwić aliantom przekroczenie Wału Zachodniego.

król Leopold III, który 25 maja złożył deklarację: „Zdecydowałem się pozostać [w Belgii]²². Sprawa aliantów jest przegrana”. Potulnie poddał się Niemcom.

Był jeden prominentny członek anglo-francuskiego sojuszu, który nie chciał się poddać. Krótco po tym jak Hitler w prywatnej rozmowie zapewniał feldmarszałka Kleista: „Nie powinniśmy usłyszeć w tej wojnie dużo więcej o Brytyjczykach”, nowy premier Winston Churchill wygłosił pierwsze ze swoich wojennych przemówień radiowych. Dziś ta retoryka wydaje się staromodna, bardziej dziewiętnasto- niż dwudziestowieczna. Urodzeni po wojnie uznaliby to przemówienie za napuszone. Ale tego zimnego lata prawie 60 lat temu dawało ono iskierkę światła i nadziei.

Churchill wygłosił swoje przemówienie o północy przy przyciemnionym świetle w zimnym pokoju londyńskiego Broadcasting House. Przemawiał z pasją, w stylu, jakiego się nauczył jeszcze w ubiegłym wieku: „Nie wywiesimy flagi ani nie przegramy. Będziemy się trzymać do samego końca, [...] będziemy bronić naszej wyspy bez względu na koszty. [...] NIGDY SIĘ NIE PODDAMY”. Churchill po tych niepokornych słowach przerwał na chwilę, wziął oddech i mówił dalej. Coraz szybciej wyrzucał z siebie starannie przygotowane frazy, miarowy głos był pełen wiary w słuszność sprawy: ... a nawet jeżeli, choć ani przez chwilę nie przyszło mi to do głowy, wyspa ta bądź jej duża część zostaną ujarzmione, [...] wówczas nasze światowe imperium [...] będzie kontynuowało walkę”.

Ponownie zrobił przerwę. Końcowe słowa przemówienia tego wielkiego człowieka wyrażały jego jedyną realną nadzieję na pokonanie nowego suwerena Europy, Adolfa Hitlera: „...jeśli Bóg da nam czas, Nowy Świat z całą swoją mocą i potęgą może ruszyć, wyzwolić i ocalić Stary”.

Tego chłodnego czerwcowego dnia porażki i rozpacz Churchill zdawał sobie sprawę, że dzień „wyzwolenia” jest jeszcze daleki. Być może w tamtej chwili, pochylony nad mikrofonem, słysząc przyciszone odgłosy ulicy, zastanawiał się, czy Ameryka kiedykolwiek będzie walczyła z Hitlerem. Ostatecznie Churchill wziął się w garść. Uderzył ręką w mikrofon i rzekł do amerykańskiego korespondenta Eda Murrowa²³: „A jak *naprawdę* przyjdą, będziemy walić ich po głowach butelkami po piwie, bo to jest wszystko, czym możemy walczyć”.

CHWILA ODDECHU POD WALEM HITLERA

Wojska odeszły. Wehrmacht wykorzystał Wał Zachodni jako pozycją wyjściową do potężnego uderzenia na zachód. Atak ten powiódł się, może nawet bardziej niż Hitler mógł przypuszczać w najśmielszych marzeniach. Brytyjczycy, ostatni przeciwnicy na kontynencie, zostali zmuszeni do ucieczki na łeb na szyję. W końcu na

²² Monarchinie z sąsiednich państw, królowa Holandii i wielka księżna Luksemburga, uciekły do Wielkiej Brytanii.

²³ Murrow ze swoim charakterystycznym, złośliwym uśmiechem wiele uczyniłby dla sprawy włączenia izolacjonistycznych Stanów Zjednoczonych do wojny po stronie Wielkiej Brytanii.

kontynencie zapanował pokój. Nowa Rzesza Hitlera rządziła od Krakowa do Calais, od kola polarnego do Morza Śródziemnego. Fiihrer już zaczął demobilizację bojowych dywizji. W „Nowej Europie” nie miały być potrzebne.

Na zachodnim froncie Niemiec, który od maja 1940 roku radykalnie się zmienił, sprawy wyglądały bardzo podobnie. Alzacja-Lotaryngia, Luksemburg oraz wschodnie kantony Eupen, St. Vith i Malmédy zostały włączone do Wielkiej Rzeszy, podobnie jak przed majem 1940 roku obszary zamieszkiwane przez ludność niemiecką. Znaczna część Wału Zachodniego oraz Linii Maginota znajdowały się na dalekich tyłach nowych niemieckich granic. Czy w znajdującej się wówczas w stanie pokoju Europie potrzebny był biegnący wewnątrz Niemiec wał?

Doszło do tego, że kiedy chłopi z okolic Eifel i Schwarzwaldy wrócili do swoich domów w dawnej strefie czerwonej, z tysięcy bunkrów zabrano uzbrojenie i wyposażenie. Drzwi i włazy pozamykano, a klucze przekazano do centralnych magazynów. Wojskowe drogi, które je łączyły, zostały pozostawione samym sobie i powstały w nich wyrwy. Druty kolczaste zardzewiały lub zostały pozabierane przez miejscowych rolników. Drewniane przybudówki przy betonowych ścianach schronów były przez nich wykorzystywane do przechowywania zimą ziemniaków i *Runkelruben* (rodzaj rzepy przeznaczonej na kannę dla zwierząt). Paprocie (przez miejscowych nazywane *Eifelgoldz* powodu swoich złotych kwiatostanów) i jeżyyny rozpleniły się i wzięły ten obszar w posiadanie. Jedna za drugą struktury stworzone przez człowieka były przejmowane przez przyrodę i znikały tak, jak gdyby nigdy wcześniej nie istniały.

Mijały lata. Organizacja Todta oraz nazistowska Służba Pracy demontowały coraz więcej elementów wyposażenia fortów. Były one przechowywane w magazynach na wypadek sytuacji nadzwyczajnych. Ale jakich? Po wielkim zwycięstwie nad Francją w 1940 roku nazistowskie Niemcy wygrywały wojnę na wszystkich frontach. Rzesza była wypełniona łupami wojennymi pochodzącymi z wielu państw. Niemcy miały w połowie Europy dużą część przemysłu gorliwie pracującego całą parana niemieckie zwycięstwa. Takie firmy jak Skoda z Czechosłowacji, Phillips z Holandii, Renault z Francji, Arbed z Luksemburga zaopatrywały nowych panów Europy w działa, sprzęt elektryczny, czołgi, ciężarówki itp. Wał Zachodni coraz bardziej odchodził w przeszłość.

Desant aliantów w Normandii 6 czerwca 1944 roku wszystko to dramatycznie zmienił. Wał Atlantycki, inne wielkie dzieło dr. Todta, który zmarł w 1942 roku, nie zdołał powstrzymać sił anglo-amerykańskich. Przełamały one obronę Normandii i prowadziły ofensywę przez tę samą płaską bezbronną nizinę północnej Francji, przez którą tak błyskawicznie przeszły armie Hitlera. Teraz wydawało się to odległą przeszłością. Było oczywiste, że jeśli Wehrmacht nie zatrzyma przeciwnika, to wkrótce stanie on u granic Rzeszy.

Reichsminister Albert Spcer, który przejął stanowisko Todta, ostrzegł Hitlera 9 sierpnia o niebezpieczeństwie i przekonał go, że cała dostępna cywilna siła robocza powinna zostać skierowana do odbudowy i wzmocnienia Wału Zachodniego.

Początkowo Hitler wahał się. Uważał, że jeżeli podejmie taką decyzję, to ujawni, że jego armia została we Francji pokonana. W trzecim tygodniu sierpnia wiedział już, że tak się stało. 24 sierpnia podpisał rozkaz zatytułowany *Befehl iihcr c/en Ausbau der deutschen Westellung*. Można to przetłumaczyć jako „Rozkaz rozbudowy niemieckich pozycji zachodnich” - najwyraźniej delikatnie sformułowany i obliczony na to, by nie spowodować paniki wśród ludności cywilnej. W rzeczywistości oznaczał on ponowne uzbrojenie Wału Zachodniego. Odmienne niż w 1939 roku, tym razem Niemcy miały zostać zaatakowane. W końcu Wał Zachodni miał zostać rzeczywiście sprawdzony. Siedem armii sojuszniczych - brytyjskie, amerykańskie, kanadyjskie i francuskie kierowały się do miejsca ostatecznej konfrontacji. Tym razem „Angole” mogli spełnić swoje stare przyrzeczenie z 1939 roku i naprawdę „powieść pranie na Linii Zygryda, matko droga”.

Niemieckie władze wstrząśnięte wydarzeniami we Francji zareagowały stosując drakańskie środki. Zamknięto wszystkie teatry, sale koncertowe i kabarety. To samo spotkało wszystkie wydawnictwa, oprócz tych wydających wyłącznie podręczniki i *Mein Kampffahrera*, a także uniwersytety (z wyjątkiem wydziałów medycznych).

Surowo potraktowano również rodzaje sił zbrojnych. Natychmiast zaprzestano szkolenia pilotów. W Kriegsmarine wszystkie okręty bojowe otrzymały rozkaz cięcia stanów osobowych i kierowania załóg, również z U-Bootów, do jednostek piechoty.

Wszystkie wojskowe szpitale Rzeszy i magazyny rezerw przeczesywano w poszukiwaniu ludzi. Mężczyźni z poważnymi problemami gastrycznymi byli kierowani do tzw. batalionów białego chleba. Istniały również „bataliony głuchych”, gdzie rozkazy często były wydawane w języku migowym. Dowódcy wart ryzykowali, jeżeli odpowiednio wcześniej nie zapowiadali swoich nocnych wizyt. Istniało niebezpieczeństwo, że zostanie się zastrzelonym przez własnych podwładnych.

Cywile byli chwytni w wielkie *levée en masse*. Chłopcy w wieku powyżej 15 lat, dziewczęta powyżej szesnastu i wszyscy mężczyźni do pięćdziesiątego dziesiątego roku życia otrzymywali rozkaz natychmiastowego meldowania się w magazynach położonych w pobliżu Wału Zachodniego. Stamtąd mieli być wysłani do szkół położonych w pobliżu granicy - czerwona strefa ponownie była ewakuowana, szkoły zamykano, i tam mieli otrzymywać kilofy i łopaty²¹¹.

Tymczasem tuż za Wałem Zachodnim w Kolonii, Aachen, Trewirze i Saarbrücken dezercerzy, maruderzy, lekko ranni żołnierze i starsi mężczyźni z niemieckich jednostek *Volkssturmu* pospiesznie przygotowywali się do obsadzenia opustoszałych fortyfikacji. W samym dawnym rzymskim Trewirze zgromadzono 40 tysięcy żołnierzy, ale ponieważ brakowało dowódców, w trybie natychmiastowym zdołano sformować tylko jeden batalion. „Batalion Trewirski” pod dowództwem byłego księdza.

²¹¹ Speer przewidywał, że w ten sposób zostanie zwerbowanych milion robotników. Tego tygodniu do pracy stawilo się, tylko 235 tysięcy.

który uważał swoich podwładnych za „grono mięczaków”, został bezzwłocznie skierowany na front pod Eifel,

Dowódca ten nie różnił się od innych oficerów w swojej ocenie jakości nowych batalionów, które otrzymały zadanie przygotowania Wału Zachodniego do odparcia pierwszego po dziesięciu latach istnienia ataku. W pierwszym tygodniu września miody niemiecki żołnierz pisał do swojej narzeczonej (ten niewysłany list znaleziono przy jego ciele): „Dziś zostałem przeniesiony do 42. fortecznego batalionu karabinów maszynowych, jestem kurierem i będę służył na Wale Zachodnim. Batalion składa się z *Volkssturmu*, żołnierzy półinwalidów. Wśród nich wielu jest takich, którzy na pewno nie są umyślowo sprawni. Niektórzy mają amputowaną jedną rękę, inni nogę. Smutny widok!”.

Te desperackie kroki zmierzające do obsadzenia Wału Zachodniego przed zbliżającym się uderzeniem aliantów zostały podane do wiadomości przez Radio Berlin i środki przekazu „jadowitego karła”, co miało dodać narodowi niemieckiemu siłę. Informacje te zostały podjęte przez prasę aliantów. W Londynie i w Waszyngtonie brytyjcy i amerykańscy wydawcy mieli używanie kpiąc z *Volksstunmi*, starych żołnierzy, chorób żołądka, inwalidów z drewnianymi nogami i szklanymi oczami.

Jednak zwykłym angielskim i amerykańskim żołnierzom, którzy wkrótce mieli zaatakować Wał Zachodni, wcale nie było do śmiechu. Jak ujął to jeden z nich w wypowiedzi dla magazynu Sił Lądowych Stanów Zjednoczonych „Yank”: „Nie obchodzi mnie, czy facet po drugiej strony lufy jest stuletnim kutasem zarażonym syfilisem, jeśli nadal siedzi za dwuipółmetrową warstwą betonu i ciągle ma wystarczająco dużo palców by naciskać język spustowy i wypuszczać kule, no nie?”.

SĄ TU!

W poniedziałkowe popołudnie 11 września 1944 roku *Burgermeister* (burmistrz) niewielkiej miejsciny Sevenig na granicy Luksemburga i Niemiec nad rzeką Our zrobił sobie krótką przerwę. Pomagał kilku swoim sąsiadom w zbiorach. Usiadł na ławce przed zbudowanym z belek pobielonym domkiem i zapalił to, co Niemcy nazywają *Shagpfeife*. Machorka była domowa, mieszana i aromatyzowana zapachem tytoniu z Wirginii. Już od lat nie palił prawdziwego tytoniu. Mimo to smakowała lepiej niż suszone liście mięty, które z reguły palił.

Było ciepło i na niebie nadal świeciło słońce. W powietrzu czuło się obietnicę długiego *Alt\veibersommer* Burmistrz Michel Weber myślał, jak wszystko spokojnie wygląda. Ścięta kukurydza mieniła się złotem w snopach ustawionych wokół pali, ptaki śpiewały, a niewielka rzeczka, przez którą tej porze roku każdy mógłby przejść w bród, wesoło szemrała. Weber z zadowoleniem zaciągnął się dymem ze swojej żółtej fajki, korzystając z chwili pokoju na świecie. Mimo wszystko być może nie było tak źle z ojczyzną.

Nagle usłyszał plusk wody i głosy ludzi przechodzących od strony Luksemburga przez płyciznę Our. Stary wstał i wyjął fajkę z ust. Wysilił swoje stare, słabe oczy. W jego stronę kierował się niemiecki kapitan, którego mundur był cały w strzępach. Wraz z nim szli dwaj obdarci szeregowi, tak samo zakurzeni jak ich oficer. *Hauptmann* dojrawszy Webera zatrzymał się. Wydawało się, że nie spodziewał się kogokolwiek spotkać po niemieckiej stronie rzeki. „*Was?*” - zacharczał z twarzą czerwoną ze złości. - „*Sind Sie noch hier?*” (Co? Jeszcze tu jesteście?).

Burgermeister wyglądał na zaskoczonego. Nie wiedział, o co chodzi temu oficerowi. Stał na baczność, z fajką w dłoni, i czekał. Oficer spieszył się i nie miał czasu na oświecenie starego zmieszanego człowieka. „Ratuj się, jesteśmy ostatni. Za nami jest tylko wróg”.

Zanim Weber zadał jakiekolwiek pytanie, trzech żołnierzy ruszyło w dalszą drogę. Kilka chwil później wspięli się na strome zbocze doliny rzeki i znikli w sosnowym lesie, zostawiając starego, który zastanawiał się nad słowami kapitana.

Czy oficer miał na myśli, że jest ostatnim ze zdziesiątkowanego batalionu piechoty? Czy też, co gorsza - że był ostatni z całej niemieckiej armii pokonanej we Francji i uciekającej przez Belgię i Luksemburg *Heim ins Reich* (do domu w Rzeszy). Czy sprawy rzeczywiście miały się tak źle?

Burgermeister ponownie usiadł. Patrzył w stronę Luksemburga i na zbocze prowadzące od głównej drogi. Było cicho, tylko ptaki ćwierkały i między drzewami słychać było szum lekkiego wrześnieowego wiatru. Nie dochodził żaden dźwięk artylerii, który był wcześniej słyszany z oddali.

I wówczas ich zobaczył. Szli między drzewami, znikali i pojawiali się za gęstymi jodłami, unikając otwartych przestrzeni. Od razu wiedział, że to nie Niemcy. Gdyby to byli oni, rozpoznaliby chrzęst podkutych gwoździami butów na kamieniach, które zawsze wyłaziły z ubogiej gleby tych obszarów. Jednak ci posuwający się naprzód w kierunku rzeki żołnierze nie wydawali prawie żadnych dźwięków. Nosili buty, które musiały mieć gumowe podeszwy. To na pewno byli Amerykanie!

Poruszając się z zadziwiająco na tak starego człowieka szybkością, *Burgermeister* Michel Weber pospieszył do miasteczka, by odnaleźć *Dorfschreier* - osobnika, który od lat dzwonił zwoływając mieszkańców, by przekazać im ważne wieści. Znalazł go i zelektryzował krótkim poleceniem: „*Schnell. Die Amis sind da*”^{2h}.

^{2h} „Szybko. Pojawili się Amerykanie”.

Część 1

wrzesień-grudzień 1944

Być może przed 3. Armią jest 5 tysięcy, może 10 tysięcy nazistowskich bękartów ukrytych w swoich betonowych okopach. Teraz, jeżeli Ike zatrzyma Monty'ego i zaopatrzenie skieruje do mnie, przejdę przez Linie Zygryda jak błyskawica.

generał Patton, 3. Armia, wrzesień 1944

1. Doszli do linii

Żołnierze Frontu Zachodniego, pragnę, byście bronili świętej niemieckiej ziemi do samego końca. HEIL HITLER!

feldmarszałek Gerd von Rundstedt, wrzesień 1944

Zwycięstwo czuć było w powietrzu. Początkowo pokonani Niemcy wycofywali się w niewielkich grupach. Chociaż brudni i nieogoleni, byli zdyscyplinowali i wycofywali się w sposób zorganizowany. Lecz jeszcze przed końcem pierwszego tygodnia tego straszliwego września przeistoczyli się w ogarnięty paniką bezładny tłum. Każdy żołnierz chciał ocalić własną skórę. Spójne jednostki wojskowe już nie istniały. Niemcy uciekali z Francji na czołgach, ciężarówkami, samochodami pancernymi. Niektóre holowały po kilka dalszych samochodów, którym skończyło się paliwo. Opuszczali kraj, w którym żyli - według ich własnych słów - „jak u pana Boga za piecem” na wszystkim, co miało koła. Lądowali się do starodawnych autobusów, zaprzężonych w konie wozów, a nawet do francuskich *gazogenes* (pojazdów, które były napędzane węglem lub gazem z węgla drzewnego, a „zbiorniki na paliwo” miały na dachu). Dostrzeżono nawet pewną grupę żołnierzy niemieckiej piechoty, która uciekała na starej strażackiej motopompie, zarekwirowanej miejscowym *pompiers*.

Podczas gdy owe żałosne konwoje zmykały przez Belgię, Holandię i Luksemburg pod ochronę „Tysiącletniej Rzeszy”, niemiecka armia wyglądała już jak zbieranina. Służyli w niej „hiwis” (rosyjscy ochotnicy w niemieckich mundurach), „niebieskie chłopaki” (marynarze z Kriegsmarine - marynarki wojennej bez okrętów), „szare myszy” (podstarzałe kobiety służby pomocniczej w swoich szarych mundurach - „oficerskie materace” - jak cynicznie je nazywali piechurzy), przegazzeni młodzi żołnierze noszący swe upiorne insygnia - czaszki, piszczele i runy SS. Wśród nich byli nawet kolaborujący z Niemcami sikhowie w turbanach z „Legionu Indyjskiego”.

Razem z nimi uciekali inni zdrajcy - Francuzi, Belgowie, Holendrzy i Luksemburczycy, którzy za osobiste korzyści i wiarę w „Nową Europę” Hitlera, położyli na szalę swój los razem z niemieckim „nowym porządkiem”. Ci, którzy przeżyli, mieli w swoim czasie powrócić i stać się inicjatorami Wspólnego Rynku. Ale teraz fla-

mandzcy chłopci, patrząc jak odchodzą, udawali, że ostrzą swoje noże i złośliwie się uśmiechając mówili, że wkrótce nadejdzie dla nich *bijltesdag* („dzień toporka”).

Za nimi szły zwycięskie wojska sojusznicze - brytyjskie, amerykańskie i kanadyjskie. Dwa ostatnie były podzielone na dwie armie: amerykańską 1. Armię generała Courtneya Hodgesa i 3. Armię generała Pattona. Po szalonym pościgu przez Francję ich natarcie zaczynało nieco tracić impet. Zaopatrzenie - nadal dowożone z plaż, na których lądowali alianci - z trudem do nich docierało, kończyła się również benzyna. Jednak armie, w tym 1. Hodgesa, która prowadziła działania w pasie około stu kilometrów, posuwały się do przodu.

Musiły tak czynić, ponieważ dowódcy jednostek sojuszniczych trzymali się strategii, która została wypracowana na długo przed D-Day. Celem było jak najszybsze podejście do granic Trzeciej Rzeszy. Po dojściu na miejsce miały one „podjąć operacje wymierzone w serce Niemiec i zniszczyć ich siły zbrojne”. Aby osiągnąć ten cel, najpierw należało zdobyć Zagłębie Ruhry. Następnym celem było zajęcie „politycznego serca Niemiec” - Berlina. Kiedy to planowano w Wielkiej Brytanii, wydawało się proste, a kiedy niemiecka armia na zachodzie znajdowała się w pełnym odwrocie, wydawało się jeszcze łatwiejsze.

Podczas pierwszego tygodnia września 1944 roku warunki geograficzne północnej Francji oferowały sojusznikom cztery kierunki prowadzenia operacji. Brytyjczykom i Kanadyjczykom przydzielono Flandrię i nizinę, która prowadziła do północnych Niemiec. Na południu 3. Armia Pattona miała iść przez przemysłowy rejon Metz, Saarbrücken do Frankfurtu - co nie było najkrótszą drogą prowadzącą do Zagłębia Ruhry i Berlina.

Między nimi znajdował się centralny szlak wiodący przez belgijskie Ardeny i prowadzący do niemieckiego Eifel. Mógł być podzielony na dwa pasy. Na północnym skrzydle podległy generałowi Hodgesowi VII Korpus miał przed sobą stosunkowo płaski i niezalesiony teren prowadzący do starego niemieckiego miasta granicznego z okresu cesarstwa - Aachen. Stąd dowódca korpusu, śmiały i dynamiczny Joe „Lightning” Collins mógł uderzyć prosto przez Ren na Zagłębie Ruhry. Na skrzydle południowym, poniżej korpusu Collinsa, znajdował się V Korpus generała Gelowa. Przed nim leżał lesisty i pocięty teren. W rzeczywistości było to pasmo stromych wzgórz prowadzące z Belgii i Luksemburga do dwóch niemieckich rzek granicznych Our i Sauer.

W drugim tygodniu września trzy dywizje korpusu Gerowa: 5. Pancerna, 4. i 28. piechoty (4. DP była pierwszego dnia operacji desantowana na plaży w Utah) bez większych przeszkód posuwały się do przodu. Doświadczeni żołnierze i tysiące dopiero co skierowanych do przereczonych od lądowania w Normandii jednostek liniowych mówiło o świętach Bożego Narodzenia w „kraju, gdzie domy mają okrągłe klamki”²⁷.

²⁷ W Belgii, Luksemburgu i w Niemczech klamki miały kształt kwadratu lub klina.

Nie wszyscy spieszyli się do domu, gdyż „Kranty” („kapuściane głowy” - pogardliwie o Niemcach) znajdowali się w pełnym odwrocie, a walki słabły. Była ładna pogoda, rozluźniała się dyscyplina, mnóstwo łatwych łupów, dużo picia i śpiewu. Miejscowi okazywali swoją wdzięczność, w szczególności dziewczyny, które ją wyrażały w najprzyjemniejszy i najbardziej naturalny sposób.

Skąd ci młodzi podekscytowani żołnierze, kierujący się przecinkami leśnymi w stronę Rzeszy, często odurzeni mocnymi trunkami, mogli wiedzieć, że wkrótce zginą? Wojna w Europie nie miała się skończyć tego ani następnego miesiąca. W rzeczywistości trwała jeszcze *osiem* krwawych miesięcy. Ten odległy obszar graniczny między Belgią i Luksemburgiem a Niemcami, o którym większość z nich jeszcze kilka dni wcześniej nic nie słyszała, miał się stać sceną najbardziej zaciętych walk na zachodzie Europy. Zanim zakończyły się bitwy, 4. i 28. DP zostały zdziesiątkowane - i to dwukrotnie. Zanim oczyścili te lasy z przeciwnika była już wiosna 1945 roku. W tym czasie większość z nich już nie żyła. była ranna lub zwariowała.

W poniedziałek, 11 września 1944 roku, do pościgu włączył się jeden z najsłynniejszych Amerykanów. Był pisarzem, obecnie wielu zna jego nazwisko, jego twarz pojawiła się na okładce magazynu „Life”. Razem z nim był kierowca wojskowego jeepa z Nowego Jorku, kilku francuskich „żołnierzy jednostek nieregularnych” i Peter Lawless - brytyjski korespondent wojenny. Grupa tych cywili przybyła do granicznego belgijskiego miasteczka Houffalize, 10 kilometrów w linii prostej od Rzeszy. Zatrzymali się na wzgórzu, wypili trochę wina, które mieli ze sobą, i czekali, co się wydarzy. W ciepłym wrześniowym słońcu byli podobni do, jak mógłby ich nazwać dziewiętnastowieczny niemiecki obserwator, *Schlachtenbummler* (turyści na polu bitwy), w szczególności ten duży facet w hełmie, który wyglądał na ich przywódcę.

W średnim wieku i z pokaźną brodą wyglądał, jak nazwał go jeden ze znajomych, jak „miś w mundurku”. Mieszał gin z tonikietn, butelki wisały mu u pasa zapiętego na pokaźnych rozmiarów brzuchu. Było dość wcześnie, ale to nie miało żadnego znaczenia, regularnie na śniadanie pijał butelkę szampana.

Był to Ernest Hemingway, nazywany przez bliskich „Papa”, tak jakby miał już co najmniej siedemdziesiątkę na karku. W rzeczywistości miał 41 lat. Lata hulaszczego życia zrobiły swoje. Jego soki życiowe, twórcze i erotyczne wyschły. Chociaż miał nową kochankę, koleżankę po fachu, korespondentkę Mary Walsh, która czekała na niego w hotelu Ritz w Paryżu, był impotentem. Jego, jak go nazywał, „Mr Scrooby” odmawiał współpracy. Człowiek, którego miesiąc wcześniej obwołano najbardziej popularnym pisarzem Ameryki, przybył na wojnę. Miał dołączyć do swojej ulubionej amerykańskiej 4. Dywizji Piechoty, znanej również jako „Ivy League”* i przekazać informacje o zbliżającej się bitwie o Niemcy.

* Ivy League - grupa ekskluzywnych uniwersytetów w północno-wschodniej części USA. tworząca ligę. międzyuczelnianą [przyp. tłum.].

Tego ciepłego wrześniowego dnia, kiedy miały zostać wystrzelone ostatnie niemieckie rakiety V2, Hemingway, który uważał, że reportaże z bitew „są jego specjalnością” (bardzo zazdrośnie strzegł wyłączności na relacje z wielkich wojennych wydarzeń), popijał martini i obserwował starcie z góry. Niewielki pododdział 2. pułku SS „Das Reich” wycofujący się na linie, fortyfikacji swojej ojczyzny^{2*}, które znajdowały się zaledwie 10 kilometrów dalej, zdecydował się zrobić ostatni postój, zanim pojawili się żołnierze „Ivy League”.

Ich przeciwnik był łatwym kąskiem dla SS. weteranów z Rosji i operacji w Normandii. Byli to Belgowie z Resistance Armee Blanche²⁹. Przekonani, że wchodzą do niebronionego miasta, wpadli w pułapkę zastawioną przez SS wokół wybrukowanego rynku głównego.

W ciągu kilku minut było po wszystkim. Hemingway popijał swoje drinki na wzgórzach powyżej i razem ze swoimi towarzyszami obserwował, jak Belgowie „zrywają ze swoich mundurów naszywki” i „uciekając ratują swoje życie”. Niewielkie starcie zakończyło się, jednostka SS bezgłośnie znikła w lesie rosnącym wokół drogi Luksemburg-St. Vith. Wkrótce potem pojawił się w okolicy 22. pułk piechoty pułkownika „Bucka” Lanhama z 4. DP i poinformował kumpla pułkownika - Hemingwaya - że jutro 4. DP będzie „pierwszą amerykańską dywizją, która wejdzie do Szkopolandii”.

Tak jednak się nie stało. Przez pewien czas Hemingway droczył się z miejscowymi, twierdząc, że nie jest generałem (oni widząc jego posturę i oceniając wiek tak właśnie myśleli), lecz zaledwie kapitanem (też nim nie był), „ponieważ nigdy nie nauczył się pisać i czytać”. Inne jednostki amerykańskie weszły na terytorium Rzeszy dwadzieścia kilometrów dalej na południe.

W Luksemburgu, tego samego popołudnia, porucznik Vipond z kompanii B 85. szwadronu rozpoznania amerykańskiej 5. Dywizji Pancерnej przekazał dane o sytuacji jednemu ze swoich podoficerów. Piąta wyzwoliła Księstwo Luksemburskie w kilka godzin, nawet nie zauważwszy, że przez nie przeszła. Na lesistych wzgórzach, górujących nad rzeką Our, Vipond powiedział swojemu sierżantowi sztabowemu Warnerowi L. Holzingerowi, który wkrótce miał pojawić się w ojczyźnie swoich przodków-emigrantów, że jeśli chce być uznany za pierwszego obcego żołnierza od „czasów Napoleona”, który podczas wojny wkroczy do Niemiec, to niech się lepiej pospieszy.

Już sześć amerykańskich jednostek walczyło o ten tytuł. W rzeczywistości zdobyli go artylerzyści z 1. DP („Wielka Czerwona Jedyńka”), która jako pierwsza amerykańska jednostka oddała strzały w obu wojnach światowych. Była ona również pierwszą desantowaną formacją na „krwawej plaży »Omaha«”. Artylerzyści oddali pierwsze strzały, które spadły na Niemcy w okolicach Aachen.

^{2*} Niezupełnie prawda. Jedna trzecia dywizji odpowiedzialna za masakrę we francuskim mieście Oradour-sur-Glane była Alzatzycami i byłymi obywatelami Francji.

²⁹ „Biała Armia” była tak nazywana, ponieważ jej żołnierze jako mundury wykorzystywali białe kombinezony zrucane im przez RAF.

W miarę jak wrześnieowy poniedziałek miał się ku końcowi i ciemne cienie pędziły wzdłuż wąskich tajemniczych dolin jak ciche jastrzębie, Holzinger i jego niewielka grupa żołnierzy ruszyła w nieznaną. Opuścili strome zbocze wzgórza, które kiedyś szeregowi nazwali „Skyline Drive”^{*} i ostrożnie ruszyli w stronę Our. Po prawej stronie leżało luksemburskie miasteczko Stolzembourg, po lewej Gmiind, tym razem po niemieckiej stronie rzeki. Nic można było dostrzec śladów życia, nie było słychać nawet szczekania psów. Jediną oznaką, że kiedykolwiek istniało tu życie, był mały osiemnastowieczny mostek łączący brzegi wartkiego i płytkiego strumienia.

Na chwilę czterej Amerykanie i francuski oficer, który towarzyszył im jako tłumacz, przykucnęli na wąskiej drodze wijącej się dolinami po luksemburskiej stronie granicy. O czym myśleli w owym historycznym momencie, kroniki milczą. Być może myśleli o niebezpieczeństwie. Przecież na własne ryzyko, a było ich tylko pięciu, wdepnęli w wielką „Tysiącletnią Rzeszę Hitlera”.

W końcu zdecydowali się. Prowadził Holzinger, który ruszył przez strumień, trzymając karabin w gotowości. Za nim szli kapral Diven, sierżant techniczny Coy Locke, starszy szeregowy George McNeal i ich francuski tłumacz porucznik Lille. Ale, chociaż ciągle nerwowo wpatrywali się w przeciwny brzeg, nic się nie wydarzyło. Po chwili, mokrzy do pasa, byli już na ścieżce po drugiej stronie i zastanawiali się, czy powinni ruszyć w stronę Gmiind. Tak zadecydowali i wówczas odkryli, że stoją przed sprytnie zakamuflowanym bunkrem, którego zygzakowata strzelnica wychodziła wprost na miejsce, które dopiero co przekroczyli³⁰.

Zaczęli odkrywać coraz więcej bunkrów. Wszędzie było tak samo, nawet kiedy minęli Gmiind i weszli na strome wzgórza z drugiej strony miejscowości. Po prawej stronie lasy były pełne bunkrów. Ci pierwsi żołnierze, którzy wkroczyli do Niemiec, przypadkiem natknęli się na Wał Zachodni Hitlera - „Linie Zygfyda” z 1939 roku - całkowicie *opuszczoną*. Wydawało się, że Niemcy znikli z powierzchni ziemi.

Na szczycie wzgórza zasapany od wspinaczki śmiały patrol odkrył kolejnych 20 schronów. Te również były opuszczone i stało się jasne, że od wielu dni nikt w nich nie przebywał. Na podłogach było dużo kurzu, a tam, gdzie kiedyś stały działa i karabiny maszynowe, pająki od dawna przędły swoje pajęczyny. Wokół jednego bunkra miejscowy rolnik - który teraz, jak każdy mieszkaniec tych okolic, opuścił to miejsce - zbudował klatkę dla kur i wydeptał widoczną ścieżkę między zwojami zardzewiałego drutu kolczastego.

Robiło się coraz ciemniej i nad nagimi wzgórzami nad rzeką Our zaczął wiać zimny wiatr. Holzinger i jego towarzysze wiedzieli już, gdzie są, i nie mieli ochoty na dłuższy pobyt na Linii Zygfyda. Szkopy mogły wrócić³¹. Mimo że porucznik Vipond

* Podjazd do horyzontu [przyp. tłum.].

” Bunkier i ścieżka nadal istnieją. W tej strefie śmierci od 1945 roku niewiele się zmieniło.

³¹ Godzinę, później inny patrol z 5. Dywizji Pancerniej natknął się na Niemców, którzy w małych grupach wyskakiwali z ciężarówek i zajmowali od dawna opuszczone bunkry.

obiecwał im medale, jeśli powrócą z ważnymi informacjami, jednak wyżej sobie cenili własną skórę. Umknęli tą samą drogą, którą przyszli, przez rzekę, na terytorium bezpiecznego, kontrolowanego przez aliantów. Luksemburga.

Amerykańscy generałowie rywalizowali między sobą o to, który pierwszy znajdzie się w Niemczech, i na „tej linii”. Owej nocy dowództwo generała Hodgesa z dumą zawiadomiło: „O 18.05 11 września patrol dowodzony przez sierżanta sztabowego Warnera L. Holzingera wkroczył na terytorium Niemiec pod wioską Stolzenbourg, kilka kilometrów na północny wschód od Vianden w Luksemburgu”.

Później, tej samej nocy, patrole 5. i 28. DP przekroczyły Our w kilku miejscach. Wzmocniona kompania 28. DP weszła na teren między wsią Wciswampach w Luksemburgu a wioską Sevenig w Niemczech. Pododdział ten przyniósł ze sobą bezwartościowe niemieckie marki, czarną czapkę z daszkiem i niemiecką ziemię w butelkach, by udowodnić, że rzeczywiście postawili stopę na świętej ziemi Tysiącletniej Rzeszy. Być może dzisiaj, ponad pół wieku później, butelki te zajmują poczesne miejsca na kominach podmiejskich salonów -jeśli ich właściciele przeżyli i zabrali je do domu.

Podczas gdy Hemingway patrzył i słuchał, pułkownik „Buck” Lanham zorganizował silny patrol rozpoznawczy z żołnierzami 22. pułku piechoty, który miał wejść do Rzeszy. Patrol tworzyli zwiadowcy, dwa samobieżne niszczyciele czołgów i pięć jeepów. Ich zadanie polegało na zebraniu informacji o obronie przeciwnika i przywiezieniu słoika napełnionego niemiecką ziemią, który miał być wysłany do samego schorowanego prezydenta USA Roosevelta (część jego rodziny pochodziła z tego obszaru¹²). 4. DP zawsze dbała o swój wizerunek.

Patrol ruszył w drogę i dotarł do drogi Luksemburg-St. Vith. Było to miejsce, które do 1919 roku należało do Niemiec, i ponownie do nich wróciło w 1940 roku. Żołnierze nie wiedzieli, jak złożona jest historia Europy, ale jeden z nich, porucznik George Wilson, zauważył zmianę w wyrazie twarzy tubylców. Poprzedniego dnia byli oni pozdrawiani przez wesołych, ciepło uśmiechających się cywilów; dzisiaj „twarze widziane na poboczu były napięte i rzadko się uśmiechały. [...] Prawie wszyscy patrzyli prosto przed siebie, nieruchomym wzrokiem, zbyt przestraszeni, by spojrzeć nam w oczy”. Żołnierze dywizji Ivy League nie wiedzieli o tym, że 27 tysięcy mężczyzn z tej osiemdziesiątysięczonej niemieckojęzycznej belgijskiej enklawy w rzeczywistości służyło w niemieckiej armii. Mały konwój opuścił drogę i zaczął schodzić do rzeki Our. Żołnierze przebyli już połowę stromej leśnej ścieżki, która wiodła do małej niemieckiej wsi Hemmeres na drugim brzegu rzeki, „kiedy nagle zauważyli błysk i rozzdzierającą eksplozję”. Most kolejowy wiodący przez Our po prostu znikł³³. Niszczyciele czołgów otworzyły ogień ze swoich potężnych

• Część przodków prezydenta Franklina Delano Roosevelta pochodziła z rodziny Delannoy, która pod nazwiskiem de Lannoy miała zamek w pobliskim Vianden w Luksemburgu. Obiekt ten, obecnie odbudowany, był broniony przez amerykańskich żołnierzy podczas bitwy o Ardeny.

Zniszczony most nadal tam stoi, niemy świadek pierwszego wejścia sił amerykańskich na terytorium Niemiec podczas drugiej wojny światowej.

90-milimetrowych dział. Garstka żołnierzy 2. pułku SS w wiosce na niemieckim brzegu rzeki zaczęła uciekać. Ich półciężarówki wycofywały się wzdłuż jedynej wąskiej wiejskiej drogi i zbierały żołnierzy. Niemcy się wynosili.

Jednak dowódcy obu niszczycieli czołgów niepokoił się o bezpieczeństwo swoich załóg. Zawahali się po belgijskiej stronie rzeki. Żaden z nich nie zamierzał ryzykować utraty pojazdu w płytkiej wodzie. Fryce mogły ją zaminować. Porucznicy Manning i Shugart rzucili monetę, która zadecydowała, kto ruszy pierwszy. Shugart przegrał. Tymczasem powiedzieli oficerowi w okularach nazwiskiem Dawson (który nigdy nie liczył, że ze względu na słaby wzrok nigdy nie ujrzy walki), by ruszał naprzód jeepami. Jak znacznie później Dawson, jeden z nielicznych, którzy przeżyli pierwsze chwile na niemieckiej ziemi, to skomentował: „Czołgiści argumentowali, że jeepy są szybsze, bardziej zwrotne i w zasadzie jednorazowego użytku. Owo sformułowanie »jednorazowego użytku« nie bardzo mi się podobało”.

Ale Dawson był dobrym, sumiennym oficerem. Ruszył naprzód ze swoimi jeepami. Ostrożnie, biorąc po drodze jeńców, przejechał przez niewielkie graniczne miasteczko Bleialf, które było dosłownie wyludnione, a mimo to ono i okoliczne wzgórza miały stać się sceną miesięcy krwawych walk. Oficer zatrzymał się na wzgórzu i obserwował położoną poniżej dolinę. Wydawała się opustoszała. Wówczas zauważył dwóch niemieckich żołnierzy, którzy tak zawzięcie rąbali drewno, jakby byli harcerzami na obozie w lesie w czasie pokoju. I wtedy to się stało. „Jeden z nich wziął naręczę [drewna] i znikł za drzwiami, które wydawały się prowadzić do wnętrza wzgórza. Dawson był zakłopotany. Gdzie znikli ci Niemcy?”.*

„Skierowałem wzrok w to samo miejsce i ponownie dostrzegłem otwarte drzwi. Żołnierz wyszedł po kolejną naręcz drewna. Dostrzegłem ziemny nasyp i zarys działa. Ten element fortyfikacji znajdował się po drugiej stronie doliny i był położony zaledwie 100 metrów od drogi. Nagle chwycił mnie skurcz żołądka i aż zadrzałem, kiedy zdałem sobie sprawę z tego, że mogłem być pierwszym Amerykaninem, który dostrzegł jeden ze schronów słynnej Linii Zygfryda”³⁴.

Wkrótce potem porucznik Dawson został odwołany i fakt, że to on jako pierwszy dostrzegł Linie Zygfryda, został zapomniany. Zaszczyt znalezienia się przed innymi na niemieckiej ziemi 12 września został przypisany „innemu pododdziałowi 22. pułku. Podczas tych dni duma jednostki bardzo się liczyła”.

Kapitan Stevens, oficer odpowiedzialny za publiczny wizerunek 4. DP (armia amerykańska miała ich nawet w tak odległych czasach), nie zwlekając doniósł o tym prasie. Pod tytułem **DZIADKI DO ORZECHÓW Z LINII HINDENBURGA PIERWSZE PRZEŁAMUJĄ LINIĘ ZYGFRYDA**, gazeta sil lądowych Stanów Zjednoczonych, „Stars and Stripes”, informowała: „Dzisiaj ujawniono, że 4. DP, pierwsza ame-

¹⁴ Prawdopodobnie właśnie tak było. George Dawson już dawno nie żyje, lecz schrony, które dostrzegł tego wrześniowego dnia, nadal można znaleźć na całej długości niemieckiego grzbietu górskiego, wykorzystywanego obecnie przez narciarzy i nazywanego przez nich „Der Schwarze Mann”.

rykańska jednostka, która włamała się na linię Hindenburga nad Mozą, a w okolicach Argon podczas poprzedniej wojny pierwsza wkroczyła do Paryża, również była pierwszą, która weszła na terytorium Niemiec przez Linię Zygryda".

W rzeczywistości Dawson razem ze swoimi żołnierzami piechoty nie przeszedł przez Linię Zygryda. Gdyby tak było, prawdopodobnie by nie przeżył i nie miałby możliwości opowiedzenia swojej historii. Jednak wtorkowego poranka, 12 września 1944 roku, dowódca jego pułku, pułkownik „Buck” Lanham był przekonany, że 22. pułk tego dokonał i uczynił to bardzo szybko.

„Papa” Hemingway razem ze swoimi „partyzantami” był zdecydowany „włączyć się do zabawy”. W artykule zatytułowanym *Wojna na Linii Zygryda*, w którym dla magazynu „Collier’s” opisywał ekscytujące wydarzenia tego dnia, doniósł, że kiedy samoloty aliantów uderzały na wycofujących się Niemców, widział jak „dwie półciężarówki przeciwnika zostały rozbite na drodze, która prowadziła do niemieckich wzgórz”. Amerykańska artyleria skierowała na nie swój ogień. „Jedna z półciężarówek zsunęła się z drogi, druga zatrzymała się na zakręcie i dogorywała jak ranne zwierzę. Kolejny wybuch wzbudził fontannę kurzu i dymu obok unieruchomionej półciężarówki i kiedy dym rozwiął się, na drodze można było dostrzec ciała. To był koniec wyścigu szczurów”.

Jakiś czas później Hemingway wraz ze swoją grupą przekroczył „pełen omszałych kamieni” Our. Była 16.27, kiedy doszli do wioski Hcmmers.

Była to typowa niechlujna zniszczona wieś okolic Eifel, gdzie biedni rolnicy nadal orali przy użyciu wołów. Nie było bieżącej wody i latem szerzył się dur brzuszny. Według Hemingwaya ludzie nie wyglądali lepiej niż to miejsce. „Szaradne kobiety i pękaci mężczyźni” człapali w stronę Amerykanów niosąc butelki sznapsa. Podchodząc, popijali ognisty, domowej roboty trunek, co miało jankesom udowodnić, że płyn ten nie jest trujący. Hemingwaya to nie niepokoiło; był przyzwyczajony do tego rodzaju „trucizny”.

Hemingway i jego „partyzanci” nie marnowali czasu. Zarekwirowali dawną wiejską pocztę (budynek ten nadal istnieje), zbudowaną w 1732 roku i poczuli się jak u siebie w domu. Następnie zaprosili pułkownika Lanhama i jego sztab na kolację. Hemingway zamierzał zadbać o to, by jego goście nie spożywali tych samych wojskowych racji żywnościowych, na których byli od tygodni. „Uwolnić” (co naprawdę oznaczało, że zarekwirował) on kury wieśniaków, odstrzelił łby gdaczącego drobiu i kazał pierwszej babie, którą ujrzał, by sporządziła posiłek dla jego gości. Hemingway, jak zawsze, uważał wszystkich Europejczyków (z wyjątkiem arystokratów) za służących, którzy mieli wykonywać jego polecenia. Oczywiście stara kobieta ze wsi w brunatnobrązowej sukni do kostek nic mogła mu w żaden sposób odmówić.

„Buck” Lanham i jego sztab pojawili się na kolacji w rozpadającym się, dawno temu pomalowanym na biało, drewnianym osiemnastowiecznym budynku, którego dach z upływu czasu osiadł. Spodziewali się, że nareszcie dobrze podjedzą. Jak Lanham później wspominał, „był kureczak, groch, cebula, marchew, sałata i owoce z puszek”. Oprócz tego było wino, dobre towarzystwo, trochę powszechnych wśród

żołnierzy mocniejszych używek, zwłaszcza gdy byli z „Papa”. Wszyscy poczuli ulgę, że w końcu są w Niemczech i nie ponieśli strat. To był szczęśliwy wieczór. Tak o tym mówił Lanham:

Jedzenie było wspaniałe, dużo wina i sympatyczne towarzystwo. Wszyscy byliśmy pijani zwycięstwem i winem. Tej nocy nie myśleliśmy o wielkim Wale Zachodnim, na który mieliśmy się porwać w ciągu najbliższych 48 godzin. Śmiałyśmy się, piliśmy i opowiadaliśmy o sobie niesamowite historie. Wówczas wydawało się nam, że jesteśmy półbogami, i Hemingway, siedzący przy najważniejszym miejscu przy stole, mógł być ojcowskim Marsem, zadowolonym ze szczęścia swoich poddanych.

Dla części tych żołnierzy był to rzeczywiście najlepszy dzień ich krótkiego wojennego życia. Większość z nich przed końcem roku została ranna lub zginęła. Czekal na nich wał śmierci Hitlera. Miały nadejść znacznie gorsze czasy.

2. Pierwsza krew

Do diabła! Dobierzmy się do tych fryców. No co! Nikt nas tu teraz nie zatrzyma.

pułkownik „Buck” Lanham, 14 września 1944

Wieczorem w środę 13 września 1944 roku, pułkownik „Buck” Lanham, dowódca 22. pułku piechoty 4. DP, zebrał swoich oficerów. Trzej dowódcy batalionów i ich sztaby spotkali się z nim w małej niemieckiej wsi Schweiler, tuż za granicą z Belgią. Tam w syczącym białym blasku lampy Colemana³⁵, żyłasty absolwent West Point w okularach i z literackimi ambicjami przeprowadził odprawę swoich oficerów. Hemingway, który wraz ze swoim małym zespołem im towarzyszył, przyglądał się uważnie tej oficerskiej odprawie.

Zwiadowcy Lanhama wykryli, że przeciwnik utrzymywał „Der Schwarze Mann”, jakieś 5 kilometrów od ich pozycji. Grzbiet ten był częścią Linii Zygryda, podobnie jak wioska Brandscheid na prawo od niego. Brandscheid - kościół, zajazd i kilka domów leżących na niewielkiej wyniosłości terenu - była broniona przez osiemdziesiąt zamaskowanych bunkrów, wszystkie trudne do zaatakowania. W rzeczywistości, zanim siły lądowe USA w końcu zajęły wieś, była już ona znana jako niemieckie „Verdun”, teren, który podczas trwających sześć miesięcy walk przechodził z rąk do rąk.

Plan Lanhama był sam w sobie prosty. Trzeba było zaatakować schrony betonowe na Linii Zygryda na „Czarnym Człowieku”, a następnie ruszyć w prawo od schronów betonowych wokół Brandscheid. 22. pułk, z którego był on tak dumny, miał zaatakować o 10.00 następnego ranka. Jednostka miała uderzyć na pozycje w kolumnach batalionowych. Trzeci batalion, pod rozkazami zasłużonego podpułkownika Teaguea, miał tym razem zaatakować kolumnami kompanijnymi. Po przedarciu się przez linię, miały ruszyć pozostałe dwa bataliony i zakończyć atak. Porucznik George Wilson, weteran 22. pułku tak pisał po wojnie: „Słabe punkty schronu betonowego znaj-

³⁵ W miejscu tym nie było bieżącej wody ani elektryczności. Woda i prąd pojawiły się tu stosunkowo niedawno.

dowały się z tyłu. Ogień krzyżowy wsparcia tam nie sięgał, a jedyną ochroną był drut kolczasty oraz karabiny maszynowe, które mogłyby zostać tam przeniesione. Sztuka polegała na tym, by szybko dostać się za schron betonowy".

Dla Lanhama cała akcja była wojskową rutyną. Miał nadzieję, że po przełamaniu pod Eifel cała dywizja ruszy prosto na Ren. Poza tym „chłopcy” na Boże Narodzenie byliby „w domu”. Ale pułkownik Lanham, który w swoim wolnym czasie pisywał wiersze, nie patrzyłby na przydzielone mu zadania tak optymistycznie, gdyby wiedział, co mu przyniesie jutro.

Kampfgruppe Kiihne (Grupa Bojowa Kiihne) nazwę otrzymała od nazwiska swojego dowódcy i była jedną z tych stworzonych *ad hoc* jednostek, które w beznadziejnych chwilach zawsze ratowały Niemcom skórę. Była to zbieranina młodych rekrutów, zebranych z Adolf Hitler Kaseme (koszarów) w pobliskim Wittlich, popędzona na front w półcieżarówkach 2. pułku Dywizji SS „Das Reich”. Zajął on tam linię obronną wokół Brandscheid i gotował się do pierwszej bitwy w wielkiej wojnie Hitlera. *Omen est nomen*, w języku niemieckim *kiihn* oznacza „śmiały”, a major Kiihne był bardzo odważnym dowódcą. Żołnierze 22. pułku pakowali się w kłopoty.

Na początku wszystko szło dobrze. Tcague przesunął swoich ludzi z wioski Buchet, która znajdowała się poniżej linii stanowisk Wału Zachodniego. Żołnierze 3. batalionu wykorzystywali każde obniżenie terenu i trzymali się z daleka od wąskiej, wijącej się drogi, która prowadziła do „Czarnego Człowieka”. Wszyscy byli dobrze uzbrojeni, niektórzy z szeregowych mieli broń specjalną: miotacze ognia i materiały wybuchowe, które miały zostać użyte w bezpośredniej walce. Przez cały ten czas artyleryjskie pociski przelatywały nad ich głowami, padając na niemieckie pozycje³”.

Jankesi podchodzili coraz bliżej. Czy to był ten spacer, który obiecał pułkownik Lanham? Hemingway i pułkownik obserwowali pozycje przez lornetki, po stronie niemieckiej nie było żadnego ruchu. Być może Lanham już planował swój następny ruch? Tego Hemingway nie wiedział. Jak zwykle był na wpół pijany. W dwóch manierkach miał pochodzący z łupów niemiecki koniak.

Nagle zaczęło się. Chociaż wiedzieli, że może się tak stać, obaj obserwatorzy zostali zaskoczeni strzałami z niemieckich pozycji. Zawyły moździerz - charakterystyczny gardłowy dźwięk, po nim wstętny odgłos pękających granatów moździerzowych, które wała z nieba. Chwilę później włączyły się niemieckie karabiny maszynowe MG 42. Niemieckie „koniki polne” (piechota) nazywały je „Hitlcrsagen” („piły Hitlera”). Kiedy pociski cięły powietrze na prawo i lewo, wydawały dźwięk podobny do piłowania.

Żołnierze zaczęli padać. Jak Hemingway później opisywał to dla „Collier's”: „zaczęli wracać, wlejąc ze sobą kilku rannych i kilku powłóczących nogami. Następnie zaczęły wracać czołgi i niszczyciele czołgów oraz reszta żołnierzy. Nie mogli

³ Stanowiska te są widoczne po dziś dzień między ruinami bunkrów. W głębi lasu „wojenni poszukiwacze skarbów” mogą natknąć się na stare zardzewiałe amerykańskie granaty nasadkowe i postrzępione, niebezpiecznie wyglądające odłamki innych pocisków.

pozostać na odkrytym polu i ci, którzy nie zostali trafieni, zaczęli wołać o sanitariuszy dla tych, którzy zostali trafieni, a wiecie, że to wszystkich ekscytuje".

Kapitan Howard Blizzard z 3. batalionu, śledząc bitwę z dwoma starszymi oficerami, warknął: „Sir, mogę wyjść tam, skopać tyłki tych bękartów i zdobyć te pozycje".

Lanham, przekrzykując bitewny hałas, zawołał: „Jesteś S2 [oficerem operacyjnym] w sztabie i zostaniesz tutaj".

Blizzard zamilkł. Ale kiedy coraz więcej żołnierzy zaczęło wracać, powiedział półgłosem: „Chyba przegramy tę bitwę".

Lanham musiał czuć tak samo, ponieważ nagle krzyknął: „Ruszamy tam. To ma się udać. Te rożny na dziewczęta³⁷ nie załamają tego ataku".

Pułkownik wyciągnął swój pistolet kalibru 0.45 cala. Za nim ruszył Blizzard, obaj skierowali się do miejsca, gdzie jego ludzie chronili się w zagłębieniach terenu. „Ruszamy i zajmujemy te pozycje" - wrzasnął pułkownik.

Pozwalając sobie na mały melodramatyczny pokaz, Lanham strzelił kilka razy w stronę niemieckich obrońców. Wyobrażał sobie, że to może ośmielić jego opornych bohaterów. „Do diabła - wrzasnął, kiedy usłyszał stukot serii z karabinów maszynowych przeciwnika. - Do diabła! Dostaśmy tych fyców. Naprzód! Nikt teraz nie będzie się zatrzymywał".

Lanham nadal krzyczał, grożąc i pochlebiając żołnierzom, aż podnieśli się i ruszyli w górę zbocza pokrytego ciałami. Od tej chwili 3. batalion posuwał się „bez problemów na południe, aż trafił na silnie bronioną wieś Brandsclieid" -jak przypomina! sobie George Wilson. Tutaj żołnierze Kuhnego w końcu zatrzymali ich z pomocą 2. pułku SS i kiedy zaczęła zapadać ciemność, Lanham rozkazał Teaguemu, by jego ludzie się okopali. Nazajutrz mieli zaatakować Brandsclieid.

Lanham wtedy tego nie wiedział, ale, jak Wilson sobie przypominał, „ta mała miejscina [Brandsclieid] była otoczona przez betonowe schrony i nie było warto jej szturmować". W rzeczywistości żołnierze Teaguego atakowali Brandsclieid - bez wielkich sukcesów - przez kolejne dwa tygodnie.

Hemingway nie miał nic przeciwko temu. Stał w wielkim domu z początku XIX wieku na farmie w Schweiler, tuż nad ścieżką przebiegającą przez zrujnowaną wieś. Na swoją kwaterę wybrał dom najbogatszego rolnika, *Herr Margraffa* (człowieka, który przed wojną miał aż piętnaście krów). Tutaj w „Schloss Hemingstein" pisarz pił z kumplami, grał w pokera, naturalnie przechwalał się i opowiadał historyjki o swojej desperackiej odwadze wszystkim, którzy chcieli go słuchać. Do gospodarstwa stale przybywali goście, od asystenta dowódcy 4. DP, generała George'a Taylora, do najbardziej pokornego żołnierza-poszukiwacza autografów.

Co stary rolnik (miał wówczas 73 lata) sądził o Hemingwayu i jego hałaśliwych pijanych towarzyszach, nie zanotowano. Ale bardzo się troszczył o cnotę swojej osiemnasto-

Oczywiście nic użył terminu „rożny na dziewczęta", ale „Collier's" był czasopismem dla całej rodziny.

letniej córki. Amerykański malarz-batalista John Groth, który spędził kilka tygodni w „Schloss Hemingstein” opisał ją jako „typową niemiecką dziewczyną, chłopką z płaską czerwoną twarzą otoczoną żółtymi włosami”. Jej „oczy były zawsze pełne strachu”. Jej zdenerwowany ojciec znał przyczyną. Każdej nocy, kiedy żołnierze zamykali Niemców w ich własnej stodole, córka spała między rodzicami - na wszelki wypadek. Nie, żeby sam Hemingway stanowił jakieś zagrożenie. „Mr Scrooby” nadal zachowywał się niewłaściwie^{1*}.

Każdego ranka, jeśli nie padało, Hemingway opuszczał swoją „kwatery” i jechał jeepem na nieruchomy front, który znajdował się jakieś pięć kilometrów dalej. Wyglądało to jakby wybierał się do niebezpiecznej pracy, z której wracał, bez żadnych obrażeń, do domowych pieleszy i wesołego towarzystwa w swoim „zamku”.

Do chwili obecnej 22. pułk piechoty niszczył pojedyncze bunkry, metodycznie jeden po drugim, przy użyciu gwałtownych i śmiertelnych (dla obu stron) metod. Poddawały się one systematycznej obróbce, ponieważ wszystkie były w ten sam sposób zaprojektowane. John Groth tak je opisywał:

Miały betonowe dachy, grube na prawie dwa metry i ściany ponad metr grubości. Były wyposażone w klimatyzację i trzypiętrowe prycze. Na ścianach wisiały plakaty ostrzegające przed paleniem papierosów w ciągu dnia lub w czasie jasnych nocy i przed używaniem światła blisko otwartych drzwi czy strzelnic. Były instrukcje, jak całkowicie je uszczelnić w razie alarmów gazowych. Nad drzwiami była umieszczona tabliczka z napisem, na którym najczęściej było napisane: **SCHRON ZOSTAŁ ZBUDOWANY W 1939 R. PRZEZ LEWISA WOERNERA.**

Niszczenie produkcji Woernera zachwycało Hemingwaya. Wydawało się to przemawiać do jego upodobań i młodzieńczej krwiożerczości. Tak opisał zdobycie jednego z nich:

Fryce nie wychodzili, kiedy do nich wołaliśmy, więc podciągnaliśmy niszczyciela czołgów do wykrytych przez nas tylnych stalowych drzwi i stare działo Wump wystrzeliło około sześciu razy, wysadziło drzwi i wówczas słyszało się ich głosy proszące o pozwolenie na wyjście. Wrzeszczeli, jęczeli i krzyczeli „*Kamerad*” [...] Zaczęli wychodzić i nigdy nie widzieliście czegoś takiego. Każdy z nich był ranny pięć czy sześć razy odłamkami betonu i stali. Około osiemnastu ludzi wyszło i padło na kolana na drodze. Oczekiwali, że zostaną zastrzeleni. Ale zostaliśmy zobowiązani, by ich rozczarować [...] wszędzie widać było porzucane urwane ręce i nogi.

Wtedy, po kolejnym dniu rzezi i ran, Hemingway zakłada zaimprovizowany bar z dwiema manierkami zagrabionego koniaku i zaprasza każdego, kto mu się nawi-

^{3*} Kiedy kilka lat temu autor zapytał tę kobietę, czy pamięta Hemingwaya, ta odpowiedziała pytaniem - czy był on jego „towarzyszem partyjnym”. Taka była przeciętna wiedza Niemców o Amerykaninie - laureacie Nagrody Nobla.

nie, na łufę przed powrotem do „Schloss Hemingstein” na kolejne wieczorne picie alkoholu i dawkę, przechwałek.

Ale kiedy Hemingway świętował i bawiło go życie zwykłego żołnierza, lecz bez nieprzyjemnego przymusu spędzania samotnej nocy w wilgotnym błotnistym okopie, bez „górnolotnych pogawędek o wszechświecie”, sprawy walczącej w pierwszej bitwie o Linie Zygryda jednostki pułkownika Lanhama zaczynały iść naprawdę źle.

22. pułk stracił już 800 żołnierzy. A ludzie Kiihnego opierali się tak zażarcie jak nigdy. Niemcy nie tylko kurczowo trzymali się pozycji Wału Zachodniego, ale również wyprawdzali kontrataki. Jeden atak *Kampfgruppe Kuhne* z zajmowanych przez nich bunkrów całkowicie zaskoczył 1. batalion pułku Lanhama. Jego dowódca pułkownik Dowdy zginął, a jedna z jego kompanii wycofała się w beładzie. Poniosła ona 50-procentowe straty i miała tylko dwóch oficerów zdolnych do kierowania walką.

Pojawiły się pierwsze oznaki „wyczerpania walką” - termin ten był wdzięcznym eufemizmem opisującym potworną rzeczywistość. Tej zimy to schorzenie miało być głównym postrachem Armii Stanów Zjednoczonych w Huropie. Teren, pogoda i upór Niemców broniących linii sprawiły, że śmierć wkrótce zaczęła zbierać swoje żniwo. Zaledwie miesiąc po ucieczce na złamanie karku Wehrmachtu z Francji przeciętny żołnierz nie oczekiwał tak ostrego oporu przeciwnika.

W oficjalnej historii kampanii na Linii Zygryda Departmentu Obrony Stanów Zjednoczonych pod datą 17 września czytamy: 1. batalion pod nowym dowódcą, majorem Latimerem, podjął na nowo atak: „Przeciwnik prowadził ostrzał, czym wytracił z równowagi kilku oficerów, w tym dowódcę atakującego plutonu czołgów; zostali oni zmuszeni do ewakuacji z powodu wyczerpania; kolejny ostrzał tak zdenerwował dowódcę kompanii A. że również on musiał zostać ewakuowany. Atak załamał się”.

Przed niedzielą tego tygodnia atak Lanhama został skutecznie zatrzymany. Straty rosły, pogoda pogarszała się, a jego ludzie dotychczas nie zajęli kluczowych dróg prowadzących poza Eifel i do Renu. 1. batalion otrzymał rozkaz wycofania się.

Jak się wydawało, była też inna okoliczność. Pułkownik Lanham i jego żołnierze przypuszczali, że przeszkadzał im brak zaopatrzenia. Jak przedstawił to porucznik Wilson: „Dowiedziałem się później, że naprawdę w gorszym położeniu postawił nas brak zapasów. Mieliliśmy tylko tyle paliwa, by każdy pojazd dywizji mógł przejechać osiem kilometrów i zapas amunicji na jeden dzień walki”.

W 22. pułku żołnierze za braki winili Pattona. Jak stwierdził Wilson: „Krażyły nieprzyjemne pogłoski, że 3. Armia Pattona dostawała więcej, niż jej się należało, a czasami nawet uprawiała rabunek. Wierzono również, że naczelne dowództwo sprzyja Pattonowi, nie spodziewając się, że może on zatrzymać się na dobre w regionie Metz-Nancy”.

Z kolei Patton zarzucał Montgomery'emu na północy, że ten zatrzymuje całą benzynę, olej napędowy, amunicję i żywność potrzebne do ofensywy przez Linie Zygryda i dalej do Renu. „Ole Blood an' Guts” był cytowany jak psioczył, że

gdyby dostał „zielone światło od Eisenhowera, mógłby przejść przez Linie Zygryda jak błyskawica”. Zamiast tego, kluczowe zapasy trafiły do tego „małego smroda Monty'ego”

Po wojnie był to główny punkt rywalizacji między amerykańskimi historykami zajmującymi się kampanią w Europie-wojna na tym kontynencie nie skończyła się we wrześniu 1944 roku, ponieważ Eisenhower wydzielił większość zapasów na potrzeby nieudanej próby Montgomery'ego uderzenia w bok Linii Zygryda pod Arnhem. Gdyby 1. Armia Hodgesa i 3. Pattona otrzymała należne im zaopatrzenie - na pewno zastosowałyby oni „brudną sztuczkę” i ruszyli na Ren, ostatnią i główną linię niemieckiej obrony.

Ale wtedy sprawy wyglądały zupełnie inaczej. 2 września pod Chartres zarówno Hodges, jak i Patton utrzymywali, że mogliby wjechać do Niemiec z tymi zapasami, które wcześniej otrzymywali. „Mamy doskonały plan-powiedział Patton Eisenhowerowi - to uderzenie przez lukę Nancy-Epinal”. Nie było żadnej sugestii, że ta operacja mogłaby zostać zatrzymana ze względu na brak zapasów. W rzeczywistości zarówno Hodges, jak i Patton zachęcali swoich dowódców korpusów, by kontynuowali natarcie do Linii Zygryda. Tydzień później korpusy nadal były zajęte prowadzeniem działań i znów nie było żadnych informacji o niedostarczonym zaopatrzeniu Montgomery'ego na północy, co mogło zatrzymać ich postępy.

Co się działo z niezbędnym zaopatrzeniem w decydującym trzecim tygodniu września 1944 roku, kiedy Pattonowi, i szczególnie Hodgesowi oraz jego 1. Armii, było tak trudno przełamać Linie Zygryda, a Montgomery miał uruchomić swoją śmiałą powietrznodesantową ofensywę na Holandię?

Zarówno Amerykanie, jak i Brytyjczycy nadal byli zaopatrywani z plaż Normandii. Całe paliwo płynęło brytyjskim rurociągiem PLUTO. Korzystały z niego armie Hodgesa i Pattona, było ono doprowadzane do frontu „Red Bali Express” nieprzerwanym strumieniem ciężarówek, kierowanych przez czarnych kierowców i przewożących po pięć ton zaopatrzenia każda.

A co z Brytyjczykami? Czy oni również otrzymywali zaopatrzenie przez „Red Bali Express”, jak nadal ponad pół wieku po wojnie wierzą w to amerykańscy historycy? W rzeczywistości tak nie było. Zamiast tego cztery dni później, 12 września, Hodges i Patton zameldowali generałowi Bradleyowi, że obie armie mają dostateczną ilość benzyny i amunicji, co miało umożliwić im dojście do Renu. Zaopatrzenie dla Brytyjczyków dostarczane było przez ich własne konwoje „Red Lion”. I to one zaopatrywały dowodzoną przez Montgomery'ego anglo-amerykańską armię powietrznodesantową w Holandii.

„Red Lion” została zorganizowana przez armię brytyjską, paliwo, z wyłączeniem ośmiu amerykańskich kompanii transportowych, dostarczali jej brytyjscy kierowcy. Skuteczność „Red Lion” była nieco większa niż „Red Bali”. Każdy konwój dostarczał średnio 650 ton paliwa, podczas gdy amerykańskie konwoje woziły średnio po 500 ton. Ponadto „Red Lion Express” był szybszy i bardziej wydajny, ponieważ całość dostaw była odbierana tylko z jednego magazynu i dostarczana również do

jednego punktu, podczas gdy „Red Bali” korzystała z kilku. Amerykańska oficjalna wersja przedstawia to tak: konwoje „Red Lion” wykonały więcej niż miały w planie i przewiozły łącznie 18 000 ton. Prawie połowę z tego stanowiły dostawy dla dwóch amerykańskich dywizji powietrznodesantowych uczestniczących w operacjach w Holandii; informacja ta często była ignorowana przez krytyków, którzy złym okiem patrzyli na ten „podział” amerykańskich zapasów. Ponadto operację prowadzono po zatrzymaniu pościgu, a 1. oraz 3. Armia natknęły się na przygotowaną obronę Wału Zachodniego.

Co więc zatrzymało 1. Armię Hodgesa i walczącą dalej na południu 3. Armię Pattona podczas pierwszego uderzenia na Wał Hitlera? Nie brak zapasów ani knowania „małego angielskiego smroda” Montgomery'ego, który rzekomo niesprawiedliwie rozdzielał zaopatrzenie. Nie. Tym, co zatrzymało uderzenie na Niemcy, była po prostu zawzięta obrona Niemców, którzy po raz pierwszy walczyli na przygotowanych pozycjach, broniąc niemieckiej ziemi. Kosztowna zabawka Hitlera wreszcie się opłaciła.

Na prawym skrzydle 4. DP w rejonie Eifel, swój pierwszy atak z Luksemburga na Linie Zygryda prowadziła amerykańska 28. DP. Była to jedna z trzech dywizji dowodzonego przez generała Gerowa V Korpusu, część 1. Armii generała Hodgesa, znana jako „Bloody Bucket”, co przypuszczalnie było spowodowane wyglądem dywizyjnego emblematu, który wyglądał jak wiadro wypełnione krwią. Tysiące młodych ludzi, którzy służyli z ekwipunkiem Gwardii Narodowej w drugiej wojnie światowej, wiedziało jednak, że zdobyła ona swój przydomek ponosząc krwawe i przerażające straty. Dwukrotnie w ciągu jedenastu miesięcy kampanii w północno-zachodniej Europie z powodu strat jej skład osobowy został całkowicie wymieniony.

Dwa atakujące pułki „Bloody Bucket” (109. i 110.) stanęły wobec jednego z najlepszych niemieckich oddziałów na froncie zachodnim, Pułku Grenadierów Pancernych Fiihrera z 2. Dywizji SS. SS sprawiło, że Amerykanie gorzko zapłacili za każdy zdobyty metr ziemi. Podczas pierwszego dnia amerykańskiego ataku na Linie Zygryda SS zatrzymało wroga 600 metrów od linii pierwszych bunkrów. Przycholowane niszczyciele czołgów miały rozbić niemieckie bunkry. Ale, jak później zauważył pewien cyniczny obserwator, nie zdołały one uczynić nic więcej poza „strzeptaniem ich zamaskowania”.

Mimo to skazani przez los młodzi ludzie z dywizji „Bloody Bucket” kontynuowali swój atak. Przeszli przez osłaniane przez niemieckie moździerze i karabiny maszynowe pola minowe. Pole walki pokryło się ich ciałami. Okrzyki „Sanitariusz!” podniosły się ze wszystkich stron i wkrótce również medycy ponieśli ciężkie straty. Piechota nadal walczyła. Dotarła do pierwszej linii „zębów smoka”. Pewien porucznik Joseph Dew, próbując pomóc piechocie, podjechał swoim shermanem kilka metrów do linii przeszkód. I chociaż niemieckie działa prowadziły do niego ogień, Dew pokonał je. Za pomocą armaty 75 mm wyciął ścieżkę przez „zęby smoka” i pola minowe, a następnie szybko wycofał się na bezpieczne tyły.

Piechota ponownie rozwinęła natarcie. Ruszyła powoli, ciała żołnierzy pochyliły się jak pod wpływem silnego wiatru. Niemcy skierowali na nich ogień. Żołnierze zostali zdziesiątkowani. W końcu zapadła ciemność i atakujący mogli się ukryć, ale nie SS.

Tej nocy szeregowego Roya Fleminga ze 110. pułku „Bloody Bucket” zaalarmowało nagłe zamilknięcie artylerii. Zameldował później dowódcy pułku, pułkownikowi Seely'emu: „Nagle wszystko ucichło. Potem mogłem usłyszeć łoskot tych pojazdów. Zobaczyłem, jak strzela miotacz ognia i wokół pozycji kapitana Schultza rozpętało się piekło”.

Kilka minut później inna kompania przechwyciła komunikat radiowy, który nie był tak jak zwykle zakodowany: „King Sugar do wszystkich... POMOCY... Mamy kontratak”. Ale zanim pułk mógł przyjść na pomoc swoim towarzyszom, którzy zostali zaatakowani z zaskoczenia przez SS, hałas ucichł. Chwilę później zamilkło radio.

O kompanii F tego pułku nic więcej nie usłyszano. Mówiło się, że SS zaatakowało improwizowanymi miotaczami ognia zamontowanymi na półciężarówkach. I to wszystko. Prawie 110 osób znikło bez śladu. Nawet po wojnie nie znaleziono o nich żadnych informacji. Jednak fakt, że cała kompania (jedna czwarta batalionu) znikła jednej nocy, odebrał impet natarciu „Bloody Bucket”.

Przed 16 września „Bloody Bucket” zdołała wysunąć się do przodu na wąskim froncie. Zdobyła większość kluczowych pozycji i kontrolowała cały teren wokół, chociaż zajmowało go nadal SS. Oficjalna wersja historii została sformułowana zgodnie z rzeczywistością. „Mimo że penetracja była ograniczona i na płaskim odcinku, 28. Dywizja praktycznie przedarła się przez Wał Zachodni”.

Jednak było to pyrrusowe zwycięstwo. 28. DP zasłużyła na swój przydomek. W ciągu tygodnia straciła 1500 żołnierzy - wszystkich piechurów. A tej jesieni brakowało żołnierzy piechoty. Tego samego dnia kiedy 28. DP przedarła się przez Linie Zygryda, generał Gerow, dowódca V Korpusu o głęboko osadzonych oczach, któremu podlegały 4. i 28. DP, rozkazał zakończyć atak. Wydawało się, że obie dywizje w żaden sposób nie mogą go kontynuować. W rezultacie pierwsze duże amerykańskie uderzenie na Wał Zachodni kończyło się. Jak już wspominaliśmy, generalicja Stanów Zjednoczonych przypisywała później swoje niepowodzenie Montgomery'emu i niedoborowi zaopatrzenia. Ale prawda była inna. Przystarzały już Wał Hitlera, obsadzony przez zdeterminowanych żołnierzy, spełnił swoją funkcję i zatrzymał atakujących. Nadchodzące długie, gorzkie i krwawe miesiące walk miały w końcu doprowadzić naczelnego dowódcę generała Eisenhowera do utraty nadziei, że kiedykolwiek uda się przełamać tę „przeklętą Linie Zygryda”.

Co zaskakujące, najbardziej obiecujący był atak pomocniczy przeprowadzony przez trzecią dywizję z korpusu Gerowa - 5. Dywizją Pancerną. Wspierana przez 112. pułk piechoty z 28. DP, „Zwycięskiej Dywizji”, jak ją nazywano, pokonała rzeki Sauer i Our pod miastem Wallendorf. Tu opór Niemców był minimalny i przeciwnik został wzięty przez zaskoczenie.

Następnego ranka Niemcy pchnęli, wspieraną przez piechotę, kompanię czołgów Mark IV nad rzekę i tam wpadli na amerykańskie shermany. Chociaż raz

Amerykanie byli szybsi niż celowniczy dywizji *Panzerlehr*. Pojedynczo żołnierze 5. DPanc wyeliminowali z walki pierwsze trzy czołgi Mark IV. 1, jak sformułował to jeden ze zwycięskich amerykańskich czołgistów, „to było po prostu jak strzelanie do kaczek”. Z pewnością było to zbyt wiele dla pozostałych niemieckich czołgów. Niemcy pomknęli w ukrycia. Amerykanie nie wahali się. Ruszyli naprzód w nieznaną, do punktu znanego jako „Dead Man’s Creek”. Przed zmrokiem znaleźli się już 10 kilometrów w głąb terytorium Niemiec. Linia Zygryda pozostała daleko na nimi.

Wiadomość, że jankesi przedarli się w tym odległym punkcie granicy, wywołała panikę w niemieckim wyższym dowództwie. Przez przypadek amerykański V Korpus wybrał miejsce styku dwóch niemieckich armii. Obecnie bitwa miała być prowadzona przez dwa niemieckie wyższe dowództwa: Grupę Armii B feldmarszałka Modla i Grupę Armii generała Blaskowitza, których kwatery główne znajdowały się około 240 kilometrów od siebie.

Doświadczony sześćdziesięciodziewięcioletni feldmarszałek von Rundstedt, który lubił sobie wypić i był daleko we własnym dowództwie nieopodal autostrady pod Koblenca, doznał wstrząsu, kiedy usłyszał tę wiadomość. Wezwał generała von Knobelsdorffa, który był osobiście odpowiedzialny za ten obszar, i wychrypiął tym swoim szorstkim pruskim głosem: „Jak to możliwe, że Amerykanie mogli tak łatwo przedrzeć się [przez Wał Zachodni]?”.

Dowódca niemieckiej 1. Armii zająknął się: „przekroczyli Sauer na czołgach i użyli miotaczy ognia, by zablokować strzelnice betonowych bunkrów i wykurzyć obrońców. A ci nie byli zbyt doświadczeni”.

Von Rundstedt nie był zainteresowany losem niedoświadczonych „koników polnych”. Warknął: „Meldunki donosiły tylko o ośmiu amerykańskich czołgach”.

Von Knobelsdorff potwierdził, ale dodał: „Od tego czasu również inne przeszły rzekę”.

Fakt, że Amerykanie kierowali posiłki w tym pomocniczym kierunku natarcia, poważnie martwił zasłużonego dowódcę. Zdał sobie sprawę z faktu, którego wówczas Amerykanie być może nie dostrzegali. Jeśli Amis zdołają rozwinąć swoje siły poza ten niewielki przyczółek, to mogą nacierać na Bitburg, miasto położone zaledwie 30 kilometrów dalej. Tutaj mogliby już wykorzystywać sieć drogową regionu Eifel prowadzącą do Renu. A to oznaczałoby katastrofę³¹.

Wtedy wielce zmartwiony von Rundstedt zdecydował się przejąć osobistą kontrolę nad całą operacją. Dowódca 5. DPanc, generał Oliver, stanął w bitwie przeciw samemu najsławniejszemu feldmarszałkowi Niemiec okresu drugiej wojny światowej.

Kiedy Rundstedt próbował, jak to sam określił, *den Kntippel aus dem Sack zu holen* (wyciągnąć pałą z plecaka) i przypuścił silny kontratak na niczego niepodej-

W rzeczywistości sześć miesięcy później Patton właśnie z Bitburga rozpoczął swoją pancerną ofensywę w kierunku linii Renu. 4. DPanc zajęła ten obszar dokładnie w ciągu 52 godzin.

rzewającą „Zwycięską Dywizję”, niemieccy dowódcy rzucili wszystkie odwody, jakie zdołali znaleźć.

Kolejny batalion alarmowy z Trewiru⁴⁰, dowodzony przez byłego katolickiego duchownego, kapitana Karla Kornowskiego, ruszył na front nad Sauer. W pierwszej wsi, do której dotarli, defetystycznie nastawiony miejscowy ksiądz doradził Kornowskiemu, by zdjął swój szary mundur i włożył szatę duchownego - innymi słowy, by zdezerterował. Kornowski odpowiedział, że jest na to zbyt wcześnie, i ruszył na front.

Ale było go bardzo trudno znaleźć. Trafił na dużą grupę żołnierzy w okopie, którzy trzęśli się ze strachu. Kornowski spytał, gdzie ma zaatakować. Przestraszony major nie odpowiedział, ponieważ, jak były duchowny pogardliwie to przedstawił - w słowach, których zwykle nie oczekuje się od księdza - „był on zbyt zajęty waleniem kupy we własne spodnie, by wskazać nam kierunek”.

W końcu jednak odnalazł swoje miejsce w „Dead Maifs Crcek”. Mieszany batalion uchylających się od służby byłych dezertorów i defetystów został pchnięty do walki przez silnego duchem księdza. Odnieśli oni sukces, odzyskując osiem bunkrów. I wtedy ich szczęście się skończyło. Kornowski wpadł w zasadzkę i został schwytany. Zabranym z powrotem do Wallendorf, gdzie jego rzeczy, jak to określili, „zostały splądrowane”, Kornowski najpierw musiał oddać swoją cenną butelkę schnapsa. „Najpierw musiałem pociągnąć łyk, by udowodnić, że nie było w nim trucizny, a następnie trafił on do gardeł zwycięzców. Ale oddali mi moją torbę tytoniu, różaniec i obraz Marii Dziewicy. Miło z ich strony!”.

Być może komentarz byłego duchownego miał być znaczący sarkazmem. Jednak przynajmniej utrzymał się on przy życiu i był duchownym parafialnym w Eifel przez następnych czterdzieści lat. Jak na ironię, kilku z jego parafian było Amerykanami stacjonującymi w pobliskiej amerykańskiej bazie sił powietrznych w Bitburgu.

Teraz z kolei nacierał von Rundstedt. Rzucił pozostałości dwóch dywizji piechoty i jednej pancernej na prawe skrzydło Amerykanów. Po lewej stronie atakowała pancerna dywizja i pancerna brygada, a natarcie „Zwycięskiej Dywizji” było prowadzone przez inną jednostkę piechoty. W dywizjach tych były w dużej mierze resztki żołnierzy, którzy miesiąc wcześniej uciekli z Francji, ale mimo to nadal liczebnie przewyższali Amerykanów. Z powodu coraz gorszej pogody w trzecim tygodniu września dowodzący Zwycięską Dywizją 01iver nie mógł tak często, jak chciał, żądać wsparcia lotniczego.

Sytuacja 5. DPanc szybko się pogorszyła 19-20 września, kiedy dowódca V Korpusu generał Gerow rozkazał dywizji 110. pułkowi piechoty, by rozpoczęły planowe wycofywanie się. Niemcy, widząc szansę na zwycięstwo, wzmocnili ataki na skrzydła Amerykanów. Pozostałe 25 czołgów *Panzerlehrdivision* generała Bayerleina wraz z piechotą zostały rzucone do ataku. Miały one osłonę 25 myśliw-

⁴⁰ *Ad hoc* sformowana jednostka wojskowa, złożona z wszelkich możliwych do zwerbowania żołnierzy.

ców Luftwaffe, które przemykały na wysokości wierzchołków drzew, siejąc śmierć seriami z karabinów maszynowych. Bayrclein („stary zając”, jak Niemcy nazywali swoich weteranów) walczył we Francji, Rosji, Afryce i ponownie we Francji. Był mistrzem w swojej dziedzinie. Jego czołgi zaatakowały dwa razy większą liczbę amerykańskich shermanów i zmusiły je do odwrotu. Po całodziennej bitwie pancernej na polu walki pozostało 60 rozbitych shermanów i niemieckich czołgów. Bayerleinowi nie pozostał już żaden czołg ocalony z klęski we Francji. Również Niemcy zostali wyeliminowani. Ale to oni wygrali. „Planowane” amerykańskie wycofywanie się zamieniło się w paniczną ucieczkę.

Ukryty w stodole we wsi Nausbaum Hermann Piitz patrzył przez szparę w okiennej zasłonie, jak jankesi odchodzą: „Zabrali ze sobą nawet namiot kucharzy. Znikła także większość piechoty. Nasze czołgi były coraz bliżej, i to im wystarczyło. Porzucili resztę swoich rzeczy i wzięli nogi za pas”.

I tak było prawie wszędzie. Prócz trójkąta wsi Gentina-Kewenig-Wallendorf, gdzie żołnierze „Zwycięskiej Dywizji” trzymali się kurczowo swojego przyczółka - rzeczywiście do swojego gorzkiego końca. 22 września amerykańska piechota wielokrotnie atakowała kluczowe wzniesienie Romersberg. Pierwsze uderzenie zostało wyprowadzone w gęstej mgle. Kiedy już wydawało się, że mogą zdobyć wzgórze, mgła się podniosła. Niemiecka artyleria natychmiast podjęła wyzwanie. Ich pociski spadły poniżej na otwarte pole. Amerykanie powrócili na pozycje wyjściowe. Ale pół godziny później znów podjęli szturm. I ponownie zostali odrzuceni. Wkrótce zbocza zostały pokryte odzianymi w khaki zwłokami. Ale Amerykanie nadal atakowali, w sumie pięciokrotnie. W końcu ustąpili i uradowani Niemcy przejęli betonowe bunkry Linii Zygryda zdobyte przez Amerykanów. W archiwach zapisano, że tego dnia amerykański kapitan zrzucił swój mundur i w cywilnym ubraniu uciekł z powrotem do Luksemburga.

Zwycięscy Niemcy mieli swój wielki dzień. Były łupy, jakich nie widzieli od wielu dni - batony czekoladowe Hershey, papierosy Virginia, prawdziwa kawa zamiast zwykłego ersatzu, nazywanego pogardliwie przez niemieckich żołnierzy „murzyńskim potem”, nawet alkohol (amerykańscy oficerowie dostawali specjalny miesięczny przydział mocnych trunków). Głębiej na tyłach ludzie „jadowitego karła” z Ministerstwa Propagandy także świętowali pierwsze niemieckie zwycięstwo na Wale Zachodnim.

Wykorzystali oni odzyskanie mniej więcej 12 niemieckich wsi i fakty, które wydarzyły się tam podczas amerykańskiej okupacji jako ostrzeżenie dla narodu niemieckiego, co może się zdarzyć, jeśli wróg ponownie przedrze się przez Wał Zachodni i najedzie na Rzeszę. Takie nagłówki, jak „Zgwałcona wieś” oraz „Kobiety dzieci służyły jako ludzkie tarcze”, propagandyści w Berlinie wykorzystywali do podawania następujących szczegółów: „Świńscy Amerykanie wspomagani przez belgijskich, polskich i luksemburskich przestępców zapoczątkowali rządy terroru”. używając „czekolady za przynętę”, pobili do nieprzytomności pewną matkę we wsi Kruchten i zabrali jej czwórkę dzieci. Dlaczego tak się stało, nigdy nie zostało wy-

jaśnione. Wallendorf było celem „jankesów, którzy byli wyszkolonymi podpalaczami. Na próżno miejscowi obywatele błagali na kolanach o litość. Jankesi nadal podpalali każdy dom we wsi nad rzeką, zapowiadając, że zrobią tak z każdą niemiecką wsią, którą zajmą”.

Było jasne, że wojna wchodzi w nową fazę. Podczas wycofywania się z Francji co bardziej fanatyczni naziści powstrzymali się od odwetu - obawiali się zemsty, jeśli przegrają wojnę, co wówczas było prawdopodobne. A teraz odnieśli swoje pierwsze zwycięstwo na niemieckiej ziemi. Odparli cały amerykański korpus (około 40-50 tys. żołnierzy) ze swoich stanowisk na Linii Zygfryda. Jankesi mogli być pokonani, jeżeli tylko będzie wola walki. Nareszcie wyzbyto się skrupułów.

Tego samego dnia, 22 września 1944 roku, kiedy resztki „Zwycięskiej Dywizji” wycofała się na drugą stronę Sauer i lizała rany, w Ardennach zapadło coś na kształt niespokojnego pokoju. Miało to trwać aż do czasu ogromnej tragedii, do której doszło w grudniu, kiedy uderzyli Niemcy.

O świcie grupa silnie uzbrojonych żołnierzy SS, pod rozkazami nieprzeniknionego „starego zająca” (weterana), nagle wyszła z wczesnej porannej mgły po drugiej stronie Our we wsi Kalborn w Luksemburgu. Było oczywiste, że nocą łodziami pokonali rzekę. Zanim tępi wieśniacy zdążyli zareagować, zostali zebrani przez SS w maskujących mundurach i ztrzonkowymi granatami za cholewami butów. Kapitan ustawił w szeregu swoich jeńców i krzyknął „*Habt ihr Waffen?*” (Czy macie broń?). „*Nein*” (Nie) - brzmiała odpowiedź.

Naturalnie chłopci kłamali i oficer SS wiedział o tym. Za jego plecami kobiety dawały znaki swoim mężczyznom. Schowały one kilka przestarzałych karabinów myśliwskich w słomie w stodołach.

„Wiecie, co przytrafia się ludziom, którzy kłamią?” - groził oficer SS. Wtedy wykrzyknął rozkaz „*Los!*” (Naprzód!). Jego podwładni zaczęli kierować wieśniaków wzdłuż wąskiej brukowanej uliczki do dużego stawu. Większość z nich do niego nie dotarła. Zaterkotał karabin maszynowy. Z tej odległości esesmani nic mogli nic trafić. Chłopci, ranni i ci, którzy nic odnieśli szwanku, uciekali w chaotycznej płataninie rąk i nóg.

Ale dramat jeszcze się nie skończył. Z Heinerscheid, dalej w górę wzgórze, gdzie wiodła droga, którą żołnierze później nazwali „Skyline Drive”, ukazała się dwójka chłopców. Mieli odwiedzić rodzinną wieś i nakarmić zwierzęta. Na ich nieszczęście jeden z nich nosił odznakę belgijskiego mchu oporu, a drugi przy biodrze miał rewolwer.

SS szybko wkroczyło do akcji. Rozbroili chłopca, który szepnął do swojego towarzysza: „Myślę, że mnie zastrzelą”. Miał rację. Kiedy tylko chłopcy dotarli do stawu, SS ponownie otworzyło ogień. Ten, który miał rewolwer, padł martwy na kolczaste zasieki.

W tej samej chwili wyłonił się nagle amerykański jeep, który stoczył się w dół zbocza do wsi. SS posłało w jego kierunku kule. Kierowca jeepa zbyt późno ich zauważył. Esesman wystrzelił serię ze schmeissera. Na przedniej szybie pojawiła się połyskująca pajęczyna. Kierowca wydał z siebie przenikliwy krzyk. Jeep trafił

na krawężnik i zatrzymał się tak gwałtownie, że martwy kierowca przeleciał nad maską. Dwaj pasażerowie siedzący za nim podnieśli ręce na znak, iż się poddają.

Esesmani działali w pośpiechu. Sądzili, że zostali dostrzeżeni. Ograbili swoich dwóch jeńców, zabierając im papierosy i inne cenne rzeczy. Później, jakby po namyśle, zabrali ich tabliczki identyfikacyjne. Miało to być wyjaśnione w przyszłości. Wtedy było zbyt późno, by zareagować na ten zaskakujący atak z pobliskiej Linii Zygfryda i na wszystkie pozostałe, które nastąpiły podczas kolejnych tygodni, kiedy Ardeny stały się „frontem duchów”⁴¹. Na koniec SS wróciło na swoje pozycje w dole rzeki we wsi Dahnen tuż przy Wale Hitlera.

⁴¹ Był łak nazywany, ponieważ wydawało się, że nic się na nim nic dzieje.

3. Pat

Im Westen nichts neues (Na zachodzie bez zmian).

standardowy dzienny komunikat niemieckiej armii,
późna jesień 1944

Nadszedł październik, prawie zima. Porośnięte sosnami grzbiety Eifel i Arden były spowite mgłą. Prawie przez cały czas miarowo padała szara zimna mżawka. Wszędzie krople deszczu kapały jak łzy drzew. Często nie było słycać żadnych innych dźwięków.

Na długim odcinku frontu na Linii Zygryda, od Echternach na południu do Monschau na północy, nic się nie działo. Od czasu do czasu dochodziło do pozornie niepotrzebnego niemieckiego ataku przez rzekę. Pewnego dnia znikło trzech lekarzy; zostały po nich tylko mundury i opuszczony rozbity jeep. Do niewoli został wzięty dowódca batalionu. Czasami Niemcy po prostu podkradali się do gospodarstw rolnych nad granicą, by przespać się z miejscowymi kobietami - tak przynajmniej twierdził amerykański wywiad.

Na południu w rejonie Saary, generał Patton, który chwalił się, że przejdzie przez Linie Zygryda „jak błyskawica”, nadal do niej nie doszedł. Zatrzymała go walka wokół lotaryńskiego miasta Metz. Na północy najlepsza amerykańska dywizja, „Big Red One” (1. DP) nadal zaciekle walczyła o każdą uliczkę starego niemieckiego miasta Aachen. Nigdzie jednak nie było widać postępów. Z Amerykanów początkowo zaciekle atakujących uszła para. Obrona Linii Zygryda stawała się coraz trudniejsza do pokonania. Wydawało się, że nie ma żadnego sposobu przedarcia się przez fortyfikacje bez znacznego zwiększenia zasobów, a sposób, w jaki Eisenhower rozciągnął swoje oddziały na froncie od Szwajcarii do południowej Holandii, nie miał na to korzystnego wpływu.

Wzdłuż „frontu duchów” chodziły wycieczki podobne do tych na spokojnych odcinkach okopów we Francji podczas pierwszej wojny światowej. Największą obawą planistów było bezpieczne doprowadzenie oddziałów na linię, a nie wydarzenia, które miały na niej nastąpić. Kapitan Charles MacDonaid, który pewnego dnia został szefem wojskowych historyków specjalizujących się w „amerykan-

skim Gettysburgu XX wieku" (bitwy o Ardeny), przypomina sobie „jazdę”, która zaczęła się 3 października⁴²:

Nasz konwój ciężarówek przedzierał się przez gęsty las do Schocnberg, gdzie dojechał następnego ranka i ruszył dalej autostradą prowadzącą na wschód. Kiedy zbliżyliśmy się do frontu i niemieckiej granicy, droga zaczęła piąć się stromo pod górę. Duży biały napis, wypisany rzucającymi się w oczy literami, wskazywał nam, dokąd się zbliżamy. **WKRACZASZ DO NIEMIEC, NIE-PRZYJACIELSKIEGO KRAJU. BĄDŹ W POGOTOWIU.**

„Nowi chłopcy” zostawili swoje ciężarówki i pomaszzerowali dalej. Przewodnik powiedział MacDonaldowi, by zdjął swoje kapitańskie srebrne insygnia. Było to nie do pomyślenia w armii brytyjskiej, lecz tu błysk srebra mógł ściągnąć ogień snajperów. Dwudziestodwuletni wówczas kapitan, który nigdy wcześniej nie był w akcji, po raz pierwszy zobaczył Wał Zachodni:

Przeszliśmy przez niewielki pagórek i dostrzegliśmy przeciwozłogową ścianę Linii Zygfryda. Wyglądała jak prehistoryczny potwór wijący się wokół stoków; betonowe zęby smoka wyglądały jak łuski na grzbiecie potwora - albo jak nagrobki na swego rodzaju zwariowanym cmentarzu.

Weszli na pocięty teren i w końcu „nowi chłopcy” dotarli do swoich pozycji - gospodarstwa wewnątrz wału, tuż pod pozycją „Czarnego Człowieka”:

Odnaleźliśmy dowódcę kompanii w małej niskiej piwnicy oświetlonej tylko przyćmioną lampą naftową, której klosz wymagał umycia. Żołnierze spali w każdej możliwej pozycji na całej podłodze [...] Kiedy dotarliśmy do światła pierwszego piętra, dostrzegłem, że oczy porucznika nabiegły krwią, a jego twarz ukryta była w kilkudniowym zarosie. Głos mu drżał, kiedy mówił, i drzenie to nasilało się przy każdym najdrobniejszym hałasie.

• MacDonald zazdrośnie strzegł, by inni historycy nie zagłębiali się w dzieje „jego bitwy”. Oczywiście jako Amerykanin uważał ją za czysto amerykańską sprawę. Wydana przez niego książka w niewielkim stopniu dotyka działań Brytyjczyków, a jeżeli już do tego dochodzi, to Montgomery’ego i jego „herbacianych” żołnierzy wylewa swoją pogardę. Ale i MacDonald miał wady; był „oficjalnym” historykiem rządowym, który nie znał ludzi żyjących w pobliżu granicy ani ich historii: nie mówił w żadnym z miejscowych języków i musiał polegać na lokalnych partyzantach, którzy byli jego przewodnikami i udzielali mu pomocy. Wielokrotnie miał błędne pojęcie o sytuacji tego regionu w latach 1944-1945. W rezultacie powstał pewien stereotyp - odważni Amerykanie, zdradzieccy naziści, przeszkadzający Brytyjczykom i amerykańskim generałowie walczący ze wszystkimi, by utrzymać prestiż amerykańskiej armii.

Kapitan Charles MacDonald z I kompanii 23. pułku piechoty 2. DP był pierwszy raz „na linii”. To miało zmienić jego życie.

2. Dywizja „Indianhead” (nazywana tak ze względu na swój dywizyjny emblemat) i inne amerykańskie dywizje wchodzące na Linie Zygryda tego października nie zostały jednak rzucone do walki na śmierć i życie – jak spodziewało się wielu żołnierzy.

Jak już wspomniano, walki faktycznie ustały. Nawet ta statyczna wojna, którą owi „nowi chłopcy” mogli przewidywać, została zredukowana do nieruchawych patroli prowadzonych do tysiąca metrów w głąb niemieckiego Wału Zachodniego. Wydawało się, że amerykańska generalicja doszła do wniosku, iż patrole nie mają szansy na penetrację labiryntu węzłów z drutu kolczastego, pól minowych i czołowych pozycji niemieckiej piechoty broniącej głównej linii obrony. Po co narażać bezcenne życie piechurów? Lepiej zostawić zbieranie danych wywiadowczych samolotom rozpoznawczym, które poruszają się na wysokich pułapach i codziennie fotografują całą długość Linii Zygryda. Gdyby Niemcy coś planowali na tyłach swoich fortyfikacji, lotnicy dowiedzieliby się o tym⁴³.

Zamiast walczyć żołnierze spędzali zimne nudne dni ulepszając swoje kwatery, utrzymując w nich ciepło i marząc o nowych sposobach przygotowywania puszkowanych racji żywnościowych „K” i „C”. Kilku pechowców mieszkało w okopach, które były dla nich domem, pozycją obronną, latryną (pod stałym ostrzałem przeciwnika), a nawet grobem. Ale większość mieszkała w drewnianych „chatach drużyn” zbudowanych z drewna, w które obfitowały okolice Eifel-Ardeny. Stopniowo wzbogacili się o nowe przedmioty, takie jak żelazne piece i pościel skradziona z opuszczonych domów. Później jeden z nich tak opisał „chatę” swojej drużyny: „[mieliśmy] koje, koce i piece na drewno [...] To było jak życie w harcerskim obozie, a nie na linii frontu”.

Kucharze, którzy mieli dużo czasu, przygotowywali dobre posiłki, często piekli ciasta z produktów z puszek i przyrządzali potrawy z obficie występującej na tym obszarze dziczyzny. Chodziły nawet pogłoski, że żołnierze mieli kontakty z kobietami. Pewien podekscytowany nastolatek zameldował swoim towarzyszom, że podczas wążsania się po okolicy (żołnierze w takich okolicznościach zawsze byli niestrudżonymi „wędrowcami”), spotkał niewielką samodzielną jednostkę artylerii, która „utrzymywała pewną kobietę – prywatną «panienkę»”. Według niego artylerzyści zbierali cotygodniowo czterdzieści dolców i w dniu wypłaty kobieta przychodziła potajemnie na linię i „pojedynczo obsługiwała facetów”. Pomyślał o „przyłączeniu się do zrzutki i uczestniczeniu w akcji”, ale jednak z tego zrezygnował. Ostatecznie była ona ich „prywatną” kobietą.

⁴³ Chociaż raz generalicja miała rację. W 1936 roku miejscowi byli zaskoczeni przez przebrane w cywilne ubrania zespoły armii niemieckiej, które zajęły Nadrenię. Grupy te szczegółowo badały każde wzgórze i kiedy były usatysfakcjonowane, pozostawiały wielki biały kamień (czasami jeszcze dziś można je znaleźć). Były to „punkty trygonalne”. Później z pozycji wybudowanych na tych wzgórzach Niemcy obrońcy mogli obserwować każdy cal terenu, co czyniło przełamanie wału przez przeciwnika niezwykle irudnym zadaniem.

Ale na Linii Zygryda nie wszystko było takie beztrudne. Na obu końcach długiego nieruchomego frontu amerykańskie straty szybko rosły. Było tak zarówno w VII Korpusie atakującym Aachen na froncie 1. Armii, jak i w dwóch korpusach atakujących Metz na obszarze 3. Armii na południu.

Codziennie „wozy mięsa” przyjeżdżały na nowe amerykańskie cmentarze wojskowe w Henri-la-Chapelle w Belgii i Epinal we Francji, podskakując na zabłoconych koleinach i wioząc łądunek martwych ciał żołnierzy. Pośpiesznie je rozładowywano - bez przesadnego pietyzmu, ponieważ trzeba było szybko wracać po następne. W armii dbano o to, by jak najszybciej pozbyć się zmarłych. Już wykonali oni swoje zadanie, a widok zakrwawionych, poharatanych ciał nie poprawiał morale żyjących.

„Podoficerowie sortujący” szli pracować przy zwłokach. Sierżanci biegle rozcinali mundury nieboszczyków i wyciągali całe mienie, które mieli oni przy sobie. Rzeczy osobiste wkładano w niewielkie brezentowe torby, które miały być wysłane do najbliższych. „Nieskromne” francuskie pocztówki, prezerwatywy, wszystko, co mogło naruszyć uczucia pogrążonej w żałobie rodziny, było usuwane. Następnie zajmowano się identyfikatorami. Jedną blachę odcinano i wysyłało do Komisji Mogił i Grobów na tyłach; a drugą wkładano w usta zwłok i zwierano szczęki. Miało to pomóc w przyszej identyfikacji ciał.

Nie zawsze była to łatwa sprawa. Wiele zwłok nie było kompletnych. Niektóre ciała były rozerwane na minach lub były trafione pociskami dużego kalibru. Owe straszne ciała „X”, jak je nazywano, były znienawidzone przez żołnierzy, którzy przy nich pracowali. Często śmierdziały. Czasami poruszały się, miały drgawki i wydziełały gazy - miało to miejsce, gdy żołnierz przed śmiercią jadł jakiś posiłek. Jeżeli ciało „X” nadal miało głowę, sierżant na „linii rozbiórki” musiał otworzyć szczęki, by porównać uzębienie z kartą identyfikacyjną opracowaną podczas poboru. Jeżeli nie było głowy, robiono zastrzyki ze specjalnego płynu w zimne i martwe palce, co umożliwiało wykonanie odcisków palców - praca przyprawiająca o mdłości.

Czasami brakowało głowy i obu rąk. Wówczas ciało stawało się „nieznany amerykański żołnierz”. Zanim kampania na Linii Zygryda się zakończyła, na cmentarzach za frontem Eifel-Ardeny pojawiły się tysiące „nieznanych amerykańskich żołnierzy”⁴⁴.

Ale żyjący młodzi żołnierze, którzy sami mogli się znaleźć na wozach ze zwłokami, nie poddawali się ciężarowi myśli o poległych towarzyszach. Odczuwali niesamowitą, prawie elektryzującą, żądzę życia i cieszenia się nim, póki mieli na to czas.

Wykapani i ogoleni, w mundurach pozbawionych zapachu śmierci i błota, wsiedali do dwupółtonowych ciężarówek, które zabierały ich z pól śmierci na siedemdziesięciodwugodzinne przepustki do takich miejsc w Belgii, Luksemburgu i Paryżu, gdzie mogli zaznać trochę luksusu. Tam czekali na nich „dostarczyciele rozry-

Nawet dziś, ponad 50 lat później, władze próbują zidentyfikować „nowe” szkielety znajdujące w odległych zakątkach lasów w Ardenach i w regionie Eifel.

wek" [w oryg. „feather merchants” - *przyp. wyd. pol.*] - których zasadniczym celem było utrzymanie morale walczących wojsk.

Założono obozy odpoczynku, w których żołnierze frontowych jednostek mogli się wykapać, wyspać i zrelaksować. Bez ograniczeń podawano „ponczki [celowo zniekształcone, również w oryginale -*przyp. tłum.*] i gorącą kawę”; były występy artystów ze Stanów, a nawet konkursy ortograficzne i ping-pong. Ale frontowcy nie chcieli grać w ping-ponga i w ogóle nie lubili tych „dostarczycieli rozrywek”, którzy nigdy nic ryzykowali swoim życiem na froncie.

Chcieli „gorzały i lasek”, właśnie w tej kolejności. Na froncie skazani byli na krótkie brutalne życie. Nie mieli paczków i kawy. Jak mówił generał Patton (który, podobnie jak większość generalicji, w tym naczelny dowódca, przez większość kampanii utrzymywał przy sobie kochankę): „Żołnierz, który nie pierdoli, nie walczy”. Żołnierze, którym czas szybko uciekał, z pewnością byli do tego gotowi.

Pijani, w „bluzach Ike'a” z kieszeniami wypchanymi pobranym żółdem, krążyli po zaciemnionych ulicach większych miast szukając dziwek-cichodajek i profesjonalistek. Te, najczęściej chude, ubrane w żakiety uszyte z króliczych futer lub czarnorynkowych wojskowych koców, w bramach oferowały na sprzedaż swoje niedożywione, zsiniałe z zimna ciała. Nocami podświetlały niebieskimi latarkami swoje brzuchy, by „uwypuklić” ofertę.

Nie było zaskoczeniem, że ówczesne „choroby społeczne” były endemiczne. Żołnierze, którzy nie korzystali z prezerwatyw, łapali choroby weneryczne i często byli karani aresztem. Jednak szeregowych było zbyt mało, by ich wsadzać do więzienia. Nowy wspaniały lek, penicylina, był stosowany w wielkich ilościach i leczył chorobę w ciągu 2-3 dni. Następnie pechowy żołnierz miał zaaplikowane coś straszego, tak zwaną „parasolkę” - cewnik, którego ostre płytki mogły się otworzyć wewnątrz penisa i doprowadzić do patologicznych zmian. Po tym, jak określali to szeregowi, „szczałeś krwią w dziesięć różnych stron” przez kilka dni.

W październiku 1944 roku Ernest Hemingway musiał opuścić 4. DP oraz Linie Żygryda i powrócić do swojej „kwatery” ulokowanej w modnym hotelu Ritz w Paryżu, który, co oczywiste, osobiście wyzwolił w sierpniu 1944 roku. Zabawiał tam „frycowe” (Marlenę Dietrich) i czterech dowódców batalionów - podwładnych „Bucka” Lanhama przebywających na urlopie w stolicy Francji oraz swoją nową miłość, korespondentkę Mary Walsh.

Początkowo młodzi majorowie byli bardzo powściągliwi. Skrępowani obecnością gwiazdy *Niebieskiego Anioła* i *Destry znów w siodle* zachowywali się poprawnie. Jeden z nich grzecznie poprosił Dietrich o wspólną fotografię. Zgodziła się na zdjęcie na hotelowym łóżku, tak by major mógł wysłać fotkę do Stanów i „zrobić wrażenie na ludziach w rodzinnych stronach”. Jak wspomina Mary Walsh, „zaczerwieniony oficer ostrożnie stanął przy niej na baczność”.

Jeszcze zanim pojawili się na posiłku, przeważnie byli już pijani - „ich oczy lśniły, a języki się plątały”. Jeden z młodych oficerów piechoty znalazł się przy Clarc Booth

Luce, upartej kongreswoman, żonie właściciela „Time Life” i jednocześnie szefowej Mary Walsh. Luce powiedziała pijanemu oficerowi, że jest pod wrażeniem działań korpusu lotnictwa sił lądowych w obecnej kampanii i sugerowała - co w tym towarzystwie było głupie - by w Belgii i w Niemczech „w jakiś sposób” wykorzystać piechotę..

„Masz rację, dziewczyno - warknął jeden z oficerów 4. DP. - (nie pchaj tam swojego nosa”.

„Piechota - naciskała niezrażona kongreswoman, która nie dostrzegła oznak niebezpieczeństwa - lokalizuje natarcie, nieprawdaż?”

„Lokalizuje? Słodki Jezu - eksplodował oficer. - Powinnaś przeczytać jakąś książkę, głupia babo. Co ty w ogóle tutaj robisz?”. Jednak był zbyt pijany lub zaabsorbowany, by wysłuchać odpowiedzi, jakiej mu ona udzieliła.

Tego wieczoru Mary Walsh robiła wyrzuty Hemingwayowi w związku z jego gośćmi. „Twoi przyjaciele to moczymordy i prostytutki - wściekała się na niego. - Zarzycali mi całą łazienkę. Prawdopodobnie przez nich stracę pracę. Odstraszyli Marlenę. Może w Niemczech są bohaterami, ale tu to śmierdzie!”

Hemingway, w sierpniu tego roku uznany za największego pisarza USA, uderzył ją.

Ale, podobnie jak „moczymordy i prostytutki” Hemingwaya, żołnierze przeważnie wracali. Ich żołd się kończył, głowy pękały. Z pustymi oczami i przygnębieni, zastanawiali się, czy zabrali ze sobą małą „pamiątkę” w postaci grzybicy albo syfa. Zniesmaczeni „dostarczycielami rozrywek”, kantynowymi komandosami z ich „policzkami i kawą” wracali do czystszej powietrza frontu i owych zabójczych pól, które już czekały na nich na ciemnozielonych, mokrych grzbietach Wielkiego Niemieckiego Walu Hitlera.

W jedynej powieści, którą napisał na podstawie swoich doświadczeń w Europie w latach 1944-1945, *Za rzeką, w cień drzew*, Hemingway pozwolił swojemu *porte-parole*, pułkownikowi Richardowi Cantwellowi⁴⁵, wyjaśnić, co potem wydarzyło się na Linii Zygryda tej wczesnej zimy. Rachunek Cantwella jest pełen gorczy, zagmatwany i naturalnie „fragmentaryczny”, ale Hemingway odniósł sukces przedstawiając sytuację korzystniejszą niż jakkolwiek wojskowy historyk. Oto głos Cantwella:

...i wtedy generał Walter Bedell Smith [szef sztabu Eisenhowera] objaśnił nam wszystkim, jak łatwa będzie ta operacja, która później otrzymała nazwę bitwy w lesie Hiirtgen. [...] I otóż wchodzi generał [Eisenhower]. Ten nic jest pistoletowym klapaczem, ale wielkim biznesmenem, doskonałym politykiem typu administracyjnego. W tej chwili armia jest największym biznesem na

Na postać te. prawdopodobnie składały się sylwetki samego Hemingwaya, dowódcy 42. pułku piechoty pułkownika Lanham'a oraz kilku oficerów, których pisarz spotkał podczas pobytu w 4. DP.

świecie. Generał bierze taki zrypany patyk i pokazuje nam, z całkowitym przekonaniem i bez żadnych obaw, jak dokładnie będzie wyglądał atak, dlaczego go robimy i z jaką łatwością się powiedzie. Nie ma żadnego problemu. [...] Ten przedsiębiorczy kupiec, a mówię to bez żadnego lekceważenia, tylko z podziwu dla wszystkich jego talentów czy talentu. Nie zabraknie nam niczego. [tłum. B.Zieliński, PIW 1961, s. 213, 216]

Dla „fragmentarycznego” Cantwella, w którego usta Hemingway włożył własne poglądy, w beczce miodu była tylko jedna łyżka dziegciu, jak tłumaczył to wielki biznesmen Eisenhower, gdy objaśniał nowy plan przełamania przez Linie Zygryda. Armia miała zaatakować „na wschód od Aachen, około 380 kilometrów od miejsca, gdzie znajdowało się jego dowództwo”.

Armia może rozrosnąć się do olbrzymich rozmiarów, ale można też podsunąć się trochę naprzód. Rozumiem, że wielki dyrektor nie może mieć bezpośredniej styczności ze swoimi robotnikami. Rozumiem, jakie są rozmiary, a także rozumiem różne problemy, rozumiem nawet zagadnienia transportu i zaopatrzenia, co nie jest trudne. Ale jeszcze nikt w dziejach nie dowodził z tak daleka, [jw., s. 217]

Hemingway ustami Cantwella nazwał przyszlą bitwę na Wale Zachodnim „Passchendaele z wybuchającymi drzewami”. Nareszcie, mimo cynizmu, goryczy i przenośni, Hemingway prawidłowo ją nazwał. I tak to wyglądało dla tysięcy żołnierzy, którzy mieli tam umrzeć (było ich więcej niż w całej wojnie w Wietnamie). „Passchendaele z wybuchającymi drzewami” - mimo że ani oni, ani ich dowódcy nie nazywali jej tak. Generalicja nazwała i miejsce, i bitwę grzecznie i bezemocjonalnie „bitwą las Hiirtgen”.

Pełni obaw żołnierze, dywizja za dywizją, czekając na wejście do ataku, nazywali ją bardziej dramatycznie, lecz prawdziwie „fabryką śmierci”. A przez tych niewielu korespondentów, którzy ryzykowali, by tam być i pisać o niej (czynili to naprawdę nieliczni; była to bitwa nie do wygrania, ginęli tam nawet korespondenci), została nazwana „zielonym piekłem Hiirtgen”.

Las znajduje się tuż na południe od Aachen. Ma 32 kilometry długości i 16 kilometrów szerokości. Rozdzielony przez strome wąwozy, których zbocza są pokryte sosnami i jodłami, jest miejscem, w którym łatwo się zgubić - nawet dzisiaj, gdy szlaki są wszędzie oznaczone (dzięki uprzejmości wielu miejscowych przedsiębiorstw turystycznych).

To także miejsce, które może nieco przstraszyć, związane z owymi mrocznymi, nieprzyjemnymi bajkami zebranych przez braci Grimm w XIX wieku. W rzeczywistości ktoś obdarzony wyobraźnią mógłby zostawiać za sobą ślady w lesie i zaznaczyć swoją ścieżkę, tak jak uczynili to Jaś i Małgosia, mając nadzieję na znalezienie drogi do domu. Biedne dzieci zamiast tego nadziały się na straszną wiedźmę, która zjadała ludzi. W październiku 1944 roku było w tym lesie dużo ciał, które mogły zaspokoić apetyt nawet najbardziej łakomego miłośnika ludzkiego mięsa.

Bitwa o las Hiirtgen zaczęła się we wrześniu. Już wtedy generał Joe „Lightning” Collins VII z powodzeniem przedarł się przez pierwszą linię obrony Wału Zachodniego w okolicy Aachen. Jednak potem piechota i czołgi Collinsa ugrzęzły. Agresywne uderzenie amerykańskiego generała pochodzenia irlandzkiego w kierunku Renu stawało się coraz trudniejsze i coraz mniej skuteczne.

Generał wypróbował nowy sposób. Zaatakował przez las, chociaż był on broniony zarówno od frontu, jak i od tyłu przez Linie Zygryda, i skierował się w stronę Renu, pozostawiając Aachen, by zająć się nim w wolnym czasie. Taki był plan, ale okazało się, że wcale nie był łatwy do urzeczywistnienia.

Collins rozkazał generałowi Craigowi, dowodzącemu doświadczoną 9. Dywizją Piechoty, by ten rozpoczął bitwę, kierując jeden z pułków do ataku. Musiał zaatakować pierwszą linię obrony Wału Zachodniego, ale -jak rozumował Collins - po przełamaniu, natarcie przez las, który raczej nie był broniony przez Niemców, nie byłoby trudne.

W rzeczywistości zdobywanie pierwszych betonowych bunkrów trwało pięć dni. Jeden z nich, bunkier 116, rozmieszczony w „Ochsenkopf (Głowa Wołu)”⁴⁰ kosztował życie żołnierzy prawie całego batalionu piechoty. Ginęli, byli ranni i dostawali się do niewoli, zanim w końcu go zdobyli. Przez pięć dni 9. DP atakując ze wsi Zweifall w rejonie Eifel, bez skutku uderzała w niemiecką obronę. Niezdolna do manewrowania na wąskich leśnych ścieżkach i przecinkach, osłanianych przez miny i karabiny maszynowe, piechota poniosła przerażające straty.

Ostatni raz amerykańscy żołnierze walczyli w tak strasznych warunkach w 1918 roku w Argonne. Byli całkowicie nieprzygotowani do tego rodzaju walki. „Wydawało się wtedy, że przeciwnik jest wszędzie - mówił korespondentowi wojennemu sfrustrowany piechur 9. DP - w ciemności gęstych drzew i zamieszaniu wydawało się, że wszędzie dochodzi do wymiany ognia”.

„Jeżeli ktokolwiek, od szeregowego aż do mnie - skarżył się gorzko jeden z dowódców kompanii, który kilka dni później zginął w walce - twierdził, że wie, gdzie się znajduje, to był cholernym kłamcą”.

Żołnierze, którzy zostali wyszkoleni wyłącznie w prowadzeniu działań zaczepnych, by przeżyć noce musieli opanować nowe techniki działania. W przeciwnym razie następnego dnia mogli już nie żyć. Kryjówki, jakie do tej pory kopali, były zupełnie bezużyteczne. Tu pociski nie eksplodowały na poziomie ziemi, wyrzucając stosunkowo niegroźne odłamki w górę. Wybuchały w koronach drzew (były nawet nazywane „niszczycielami drzew”). A odłamki szybowały w dół. Żołnierze nauczyli się przykrywać okopy damią oraz pniami i konarami drzew, tak jak robili to Niemcy. Gdyby tego nie czynili, okopy mogłyby stać się ich grobami.

Przemieszczanie nocą było zakazane. W lesie zarówno przeciwnik, jak i własne wojska najpierw otwierały ogień, pytania zadawano potem. Bezpieczniej było pozo-

⁴⁰ Obecnie zniszczony bunkier jest częścią zwykłego parkingu zbudowanego tuż przy drodze nr LI60 na południowy wschód od Aachen.

stać na miejscu. Jeżeli ktoś czuł potrzebę i nie miał pustej łuski artyleryjskiej, do której mógł się załatać, to wypróżniał się w okopie. Lepiej w gnoju niż w trumnie.

Od samego początku sześciomiesięcznej bitwy o las Hiirtgen piechota i jej dowódcy gorączkowo marzyli o opuszczeniu przerażającego lasu z jego gąszczem drzew. Zarówno najwyższy rangą oficer, jak i najprostszy piechur czuli się w nim jak ślepi. Desperacko poszukiwali otwartej przestrzeni. Jednak za każdym razem, kiedy wyrwali się ze śmiertelnego zielonego uścisku lasu, ich droga była zablokowana przez kolejne wzgórze czy wąwóz, w którym były niemieckie czołgi i samobieżne działa. I z powrotem, w panice, uciekali pod ochronę owych przeklętych drzew.

Każdy dzień przeradzał się w piekło. Nikt już nie dostrzegał upływu pojedynczej doby. Nieszczęścia i krwawajotka trwały bezustannie. Każdy świt między roztraskanymi jodłami i połamanymi jak zapałki drzewami przynosił kolejne uzupełnienia nowymi żołnierzami, którzy całkiem niedawno zaczęli się golić. W czystych mundurach, nawet w krawatach, pojawiali się z pełnym wyposażeniem jak zwierzęta juczne. Byli wyznaczani do plutonów, które tak naprawdę nic chciały ich znać. Już byli żołnierzami śmierci. Niedoświadczeni, mieli szczęście do dnia, kiedy nagła śmierć albo „rana warta milion dolarów” zabierała ich z tego przerażającego lasu.

Nawet Niemcy, bardziej obeznani z tym sposobem prowadzenia wojny po doświadczeniach w potężnych lasach rosyjskich stepów, czuli grozę tych ostępów śmierci. Pułkownik Wegelein, dowódca niemieckiej grupy bojowej Kampfgruppe Wegelein, został dostrzeżony przez amerykańskiego sierżanta. Pułkownik opuścił swój okop bez broni i miał ze sobą tylko psa. Podoficer natychmiast go zastrzelił. Szybko przeszukał zwłoki i zabrał plany kontrataku grupy bojowej na ten dzień.

Później amerykański wywiad próbował wysnuć wnioski dotyczące niemieckiego morale na podstawie dziwnego zachowania martwego już pułkownika. Dlaczego doświadczony starszy oficer, mający za sobą pięć lat doświadczeń bojowych, który służył w niemieckiej armii od 1921 roku chodził po lesie bez żadnej ochrony? Czy miał już dość masowej rzezi? Czy umyślnie poszukiwał śmierci? Czy po prostu się zgubił.'

Nigdy nie znaleziono zadowolającego tłumaczenia. Jednak co to oznaczało? Pułkownik Wegelein był tylko jednym z wielu. W lesie Hiirtgen los żołnierzy już się nie liczył. Wegelein ruszył na „wozie mięsa” w ostatnią podróż do Henri-la-Chapelle i do nowego cmentarza otwartego w Margraten w Holandii. Przynajmniej wojskowi przedsiębiorcy pogrzebowi mieli ręce pełne roboty. Kiedy dwa pułki 9. DP wycofały się z bitwy z „zielonego piekła” w połowie października, liczyły połowę swojego stanu osobowego. 4500 żołnierzy zginęło, zostało rannych lub zaginęło. Amerykanie oceniali, że Niemcy obrońcy stracili 2000 żołnierzy, w tym około 1200 jeńców wojennych.

Postronny obserwator mógłby spytać, czy ktokolwiek wygrał, patrząc na zwłoki martwych Amerykanów i Niemców ułożone na całej długości Zweifall Hasselbackstrasse i oczekujące na transport na tyły przez przełamany Wal Zachodni.

Odpowiedź brzmiałaby: Tak. Tego szarego wilgotnego października mógł być tylko jeden zwycięzca - Wal Zachodni.

4. Spiskowcy

Cała sztuka wojny polega na odgadnięciu tego, co jest po drugiej stronie wzgórza.

książę Wellington

Rankiem 21 października 1944 roku pułkownik Wilck, przez ostatnich siedem tygodni dowódca starego cesarskiego niemieckiego miasta Aachen, podjął decyzję. Wcześniej tego sobotniego poranka, kiedy Amerykanie bezpośrednim ogniem z dział 155 mm prowadzili ostrzał kwatery, wysłał ostatni meldunek radiowy do dowódcy Grupy Armii B feldmarszałka Modlą, który był odpowiedzialny za prawie całą Linie Zygryda. Był to śmiały komunikat, któremu zadawało kłam widoczne wokół cierpienie. Brzmiał on: „Wszystkie siły zaangażowane w końcową walkę. [...] Ostatni obrońcy Aachen, pamiętający o ukochanej niemieckiej ojczyźnie i pełni wiary w końcowe zwycięstwo, przekazali 10 468 marek na pomoc zimową⁴⁷. Będziemy walczyli dalej. Niech żyje Fuhrer!”.

Wilck nie traktował poważnie nawet jednego słowa tego emocjonującego komunikatu. Ale wiedział, że musiał być wysłany, jeśli miał uchronić swoją żonę, przebywającą 160 kilometrów stąd w Nadrenii, od uwięzienia w obozie koncentracyjnym. Hitler wprowadził *Sippenhajt* (aresztowanie znajomych i rodziny), zgodnie z którym krewnych kogoś, kto nie dopełnił swojego wojskowego obowiązku można było aresztować i ukarać na miejscu. Wilck nie chciał, by żona musiała cierpieć zajego słabości.

O świcie major Rink, były student teologii, przydzielony do elitarnego 1. Pułku Ochrony SS „Adolf Hitler”, który stanowił podstawę oporu w Aachen, zameldował się u Wilcka. Oświadczył pułkownikowi w średnim wieku, że nie jest przygotowany do „walki do ostatniej kuli i ostatniego żołnierza”, jak rozkazał Model, i że on i jego żołnierze byli „gotowi uciec”. I to wszystko.

Jeśli SS było przygotowane do opuszczenia tonącego statku, powiedział sobie Wilck, to on sam był usprawiedliwiony, czyniąc swoje przygotowania przez ten długi

⁴⁷ Nazistowski fundusz przed wojną miał na celu zapewnienie ciepłych zimowych ubrań dla biednych. Od 1939 roku służył również niemieckiej armii.

straszny tydzień. Jawnym tekstem, by każdy mógł go usłyszeć, Wilck wysłał sygnał radiowy do swojej dawnej 246. Dywizji Volksgrenadier. Sygnał brzmiał: „Cała amunicja skończyła się z powodu zaciętej walki o każdy dom. Brak wody i żywności. Przeciwnik zbliża się do punktu dowodzenia obrońców cesarskiego miasta. Radiostacja gotowa do zniszczenia. Ende”.

Pięć minut później radiostacja na dobre zamilkła i na przedmieściach niemiecka artyleria zaczęła ostrzeliwać zarówno amerykańskich żołnierzy, jak i niemieckich cywilów. Wilck wiedział, że Model już o nim zapomniał. Nadszedł czas na poddanie się. Ale jak?

Już dwóch niemieckich oficerów samodzielnie próbowało się poddać wyciągając prowizorycznie wykonaną białą flagę i zostało zastrzelonych przez jankesów. Być może doszło do tego z powodu wielkiego zamieszania spowodowanego prowadzonymi na zewnątrz jego bunkra walkami ulicznymi lub była to zwykła krwiożerczość części Amerykanów, którzy w bitwie pod Aachen stracili 3000 żołnierzy.

Ostatecznie Wilck prosił o zgłoszenie się ochotników spośród około 30 jeńców wojennych z amerykańskiej 1. Dywizji, którzy byli w bunkrze. Przed szereg wystąpiło dwóch, sierżant Ewart Padgett i starszy szeregowy James Haswell. Każdy z nich otrzymał kanapkę i ręcznie zrobioną białą Hagę. Przy wejściu do bunkra mówiący po angielsku niemiecki oficer zachrypłym głosem życzył im szczęścia. Za chwilę znaleźli się sami na zewnątrz bunkra. W jasnym świetle mrugali oczyma, przyzwyczajeni do ciemności w bunkrze.

Powietrze wokół nich zaroilo się od kul. Wściekle zaczęli machać białą flagą, wiedząc, że od tego zależy ich życie. Strzały ucichły. Obdarty nieogolony strzelec przez chwilę podejrzliwie im się przyglądał, aż w końcu pokazał im, by wolno się zbliżyli.

Dwie godziny później było po wszystkim. Aachen w końcu się poddało, po drugiej stronie granicy belgijska gazeta „La Nation” pisała o tym wielkimi literami: „Aix-la-Chapelle n'existe plus”.

Oficerem, który otrzymał ostatnią wiadomość od pułkownika Wilcka i który przeżył do naszych czasów, by zająć się swoim ukochanym rosarium, był feldmarszałek Walter Model. Miał on zostać jedną z kluczowych postaci w historii Wału Hitlera. Dowódca niemieckiej Grupy Armii B wyglądał jak hollywoodzki stereotyp pruskiego oficera - trochę zaniedbany, arogancki w obejściu, z monoklem w lewym oku i w czapce włożonej nieco na bakier. W rzeczywistości nie wywodził się z długiej linii arystokratycznych pruskich oficerów. Był raczej potomkiem trzech pokoleń nauczycieli muzyki, pobożnych protestantów, niechętnych wojnie i wywodzących się z klasy średniej. Społeczność, w której urodził się Model, daleko miała do posiadłości Prus Wschodnich, gdzie junkrowie, z których tradycyjnie wywodzili się niemieccy oficerowie, traktowali swoich chłopów jak niewolników.

Model wykazywał wszystkie cnoty pobożnego wychowania wpajane w klasie średniej. W przeciwieństwie do większości amerykańskich generałów, przeciwko którym walczył aż do śmierci, był obeznany z wojną. Był czterokrotnie ranny, dwu-

krotnie w pierwszej wojnie światowej. Któregoś razu kula przeszła jego ciało. Chirurg nazwał to „medycznym cudem”, gdyż pocisk nie naruszył żadnego ważnego organu. Wkrótce zaś, co było dla niego charakterystyczne, Model zrobił zajmującym się nim lekarzom i pielęgniarkom piekło na ziemi. Niecierpliwiał się i oczekiwał powrotu na front.

Był bezlitosny jak starzy Prusacy. Większość jego oficerów sztabowych nienawidziła go za apodyktyczność i ustawiczne żądania. Kiedy wyjechał na jeden ze swoich rzadkich urlopów, jego szef sztabu przekazał sygnał „Schwcinlurt”; to gra słów dotycząca nazwy niemieckiego miasta, którą również można przetłumaczyć jako „świnia wyjechała”.

Pewnego dnia w 1942 roku niemiecka 9. Armia osiągnęła na froncie wschodnim punkt krytyczny. Model niespodziewanie pojawił się na punkcie dowodzenia armii. Miał na sobie ciężki płaszcz z futrzanym kołnierzem, który sięgał mu do kostek, i staromodne nauszники chroniące przed szczypiącym rosyjskim mrozem. Rzucił czapkę na najbliższe krzesło i ignorując honory oddawane przez zaskoczonych oficerów sztabowych podszedł do mapy frontu.

„Raczej mętlik” - powiedział po krótkiej chwili. Następnie wyszczeł szereg rozkazów. Zaskoczeni oficerowie patrzyli na siebie nawzajem. Gdzie, do diabła. Model zamierzał znaleźć żołnierzy, którzy wykonaliby te rozkazy?

W końcu szef sztabu 9. Armii pułkownik Blaurock odważył się zaryzykować: „A co pan, panie generale, wniesie do tej operacji?”

Model, zanim odpowiedział, pytającym wzrokiem zlustrował swojego nowego szefa sztabu i rzekł: „Siebie samego!”

Była to typowa arogancka odpowiedź apodyktycznego i próżnego Modlą. Dlatego właśnie jego sztab po prostu go nie lubił. Często groził swoim oficerom sądem wojennym⁴⁸. Ale niepopularny wśród niektórych oficerów, był lubiany przez zwykłe „koniki polne”, jak sami siebie nazywali niemieccy piechurzy. Model spędzał do 8 godzin dziennie na froncie, czasami przejmował dowodzenie nad źle kierowanymi batalionami, a nawet kompaniami, zwłaszcza gdy sytuacja była „szczególnie delikatna”. Wielokrotnie w 1943 i w 1944 roku ratował front wschodni przed całkowitą katastrofą.

Hitler, mimo że nienawidził „Monokelfritzen”, jak nazywał pruskich generałów, wysoko cenił Modlą. Nazywał go „swoją strażą pożarną” i wysyłał wszędzie tam, gdzie wybuchał wielki ogień. Awansował go, pomijając w tym czasie innych wyższych oficerów. Dlatego feldmarszałek von Rundstedt przezywał go „feldmarszałkiem gołowąsem”.

Model w swoim dowództwie w Münster-Eifel przesłał Wilckowi w Aachen rozkaz: „Walki do ostatniej kuli [...] i ma pan dać się pogrzebać w ruinach”. Po pod-

Syn Modlą powiedział autorowi, że jego ojciec musiał to czynić, by utrzymywać wahających się po właściwej stronie.

daniu Aachen musiał się zastanawiać nad własnym położeniem. Prawdopodobnie zdał sobie sprawę, że atak przeciwnika na Aachen nie był najlepszym posunięciem Amerykanów. Ruch ten wiązał cały korpus i pozwalał jednostkom na Wale Zachodnim przygotować się do zbliżającej się ofensywy na wał przy użyciu wszelkich środków.

Ale na razie Amerykanie tracili siły i żołnierzy na raczej bezużyteczne uderzenie na las Hiirtgen oraz położony dalej na południe kompleks Metz. Aby mogli je przeprowadzić, musieli zluzować swoje doświadczony dywizje na wale w Belgii oraz w Luksemburgu i zastąpić niedoświadczonymi (wkrótce również tymi, które były rozrzucone po lesie Hiirtgen). Model musiał dojść do wniosku, że z tego kierunku nie będzie żadnego zagrożenia. Dwa miesiące później, kiedy się wydawało, że przeciwnik bez zakłóceń przejdzie przez Wat Zachodni, zostały tu zatrzymane trzy amerykańskie armie, w tym nowa 9. Armia, która miała dopiero wejść do działań.

Z koncepcją Modła kolidowała jedynie obecność angielskiego marszałka polnego Bernarda L. Montgomery'ego. Na północy, na belgijsko-holenderskiej granicy, Brytyjczycy nadal lizali rany po porażce pod Arnhem. Ale Model wiedział, że mały brytyjski marszałek polny mimo zbliżającej się zimy nie pozwoli na pozostawienie spraw w takim stanie. Anglik miał ponownie próbować obejść Wał Zachodni na północy, gdzie kończyły się niemieckie linie obrony. Miał zamiar oskrzydlić wał, podobnie jak uczynili to Niemcy z Linia Maginota w 1940 roku.

Brytyjczycy z natury nie spieszyli się. Ale sprytny szef sztabu Modla, generał Westphal, który jako jedyny ze swojego sztabu walczył u boku Rommla z Montgomerym w Afryce Północnej, często mu mówił, że Anglik mimo swej opieszałości był bardzo dokładny - prawie tak jak Niemiec. Uderzał wyłącznie wtedy, gdy miał całkowitą pewność, że dysponuje wystarczającą liczbą żołnierzy i zaopatrzenia do osiągnięcia zwycięstwa.

W trzecią sobotę października 1944 roku Model musiał powiedzieć sobie, że niebawem zacznie się wyścig, którego celem było uratowanie Wału Zachodniego. Jeżeli Niemcy miały zostać uratowane, to Hitler musiał uderzyć przed Montgomerym. Ale gdzie i jak?

Dzień po tym, jak Wilck poddał Aachen Amerykanom, generałowie Westphal i Krebs, dwaj wysocy oficerowie sztabowi Wehrmachtu, zostali wezwani do odległej posępnej kwatery Hitlera w Prusach Wschodnich. Generałowie byli przekonani, że mają uczestniczyć w rutynowej odprawie. Czekali ich niespodzianka.

Od próby zamachu na swoje życie 20 lipca 1944 roku Hitler niektórym generałom, którzy stali za próbą zamachu, nie dał żadnych szans. Westphalowi i Krebsowi, gdy tylko się pojawili, odebrano broń osobistą. Zostali przeszukani, przetrząsnięto również ich teczki, a później rozkazano im (zanim w ogóle zobaczyli fuhrera) podpisać zobowiązanie do zachowania ścisłej tajemnicy - za której złamanie groziła kara śmierci. Zakomunikowano im, że jeżeli ujawnią cokolwiek z tego, co usłyszą, zosta-

na bez procesu rozstrzelani. Przełknęli tę zniewagę statusu niemieckiego oficera i podpisali, że nigdy nie ujawnią szczegółów operacji „Wacht am Rhein” („Warta nad Renem”), nazwanej tak od słów piosenki z szowinistycznych, monarchicznych dni tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Ale nawet kiedy podpisali dokumenty, zastanawiali się, o co całe to zamieszanie. Kryptonim operacji wskazywał, że będzie ona miała charakter defensywny. Dlaczego miała być ściśle tajna? Poza tym, na Wale Zachodnim już od początku września prowadzono operacją obronną na dużą skalę.

Wkrótce Westphal i Krebs zostali wezwani przed oblicze fuhrera. Poiryutowany Hitler i jego sprytny doradca generał pułkownik Jodl ukazali im plan „Wacht am Rhein”. Najwyraźniej został on przygotowany przez Hitlera i jego Sztab Generalny. Teraz chciał, by dwóch oficerów sztabowych razem z ich przełożonymi, feldmarszałkami von Rundstedtem i Modlem, przygotowali grupę uderzeniową liczącą trzynaście dywizji piechoty, dwie spadochronowe i sześć dywizji pancernych, łącznie około 250 000 żołnierzy, którzy mieli ruszyć na zachód z Wалу Zachodniego między Mlonschau i Echternach.

Celem było rozdzielenie armii aliantów, zajęcie kluczowego portu zaopatrzeniowego, Antwerpii, i wyłączenie Wielkiej Brytanii (państwa, którego zasoby osobowe były już niemal wyczerpane) z wojny przynajmniej na rok. Wówczas, jak utrzymywał Hitler, mógłby zawrzeć separatystyczny pokój z Zachodem i skierować całą swoją uwagę na prawdziwego przeciwnika, którym była Rosja.

Hitler ujawnił to dwóm zaszokowanym oficerom sztabowym, którzy nie mogli uwierzyć, że Niemcy za pięć dwunasta mogą zebrać tak duże siły, a ponadto, że wszystko zależało od dwóch czynników - zachowania tajemnicy i zaskoczenia. Kiedy tylko alianci zorientowali się, że dojdzie do niemieckiego uderzenia przez słaby „front duchów”⁴⁹, rzucili na ten odcinek swoje odwody (Amerykanie w samej Wielkiej Brytanii mieli trzy dywizje, które oczekiwały na transport na kontynent). Było pewne, że „Wacht am Rhein” zakończy się niepowodzeniem.

Modlowi, podobnie jak jego dwóm oficerom sztabowym, plan ten się nie podobał. Jwazał, że jest on zbyt ambitny. Zgadzał się z ideą niespodziewanej ofensywy. W jego opinii miała ona wytrącić Amerykanów (którzy myśleli, że już wygrali wojnę) z równowagi, ale uważał, że jej cel powinien być bardziej ograniczony. Większe prawdopodobieństwo powodzenia miałyby operacja, której celem byłoby zajęcie Aachen i odcięcie jakichś dziesięciu amerykańskich dywizji na obszarze Aachen-Hurtgen—Eifel.

Jednak Model wiedział, że kiedy fuhrer podejmie decyzję, nie ma możliwości jej zmiany. Wiedział również, że bez względu na to, jaki plan zostanie ostatecznie przyjęty, jego własne „małe rozwiązanie” czy też „duże rozwiązanie” Hitlera, powodze-

⁴⁹ Stukilometrowy odcinek frontu utrzymywany był przez amerykański korpus liczący cztery dywizje. Niemcy na tym odcinku mieli przewagę 4:1.

nic zależało od braku wiedzy znajdujących się przy Wale Zachodnim Amerykanów o planach Niemców, aż do czasu, kiedy i tak nic mogliby już nic zrobić. Bezpieczeństwo, jak to określił fuhrer, było najważniejsze.

Model niewidoma sprawami się martwił, bez względu na to, czy wiedział, co dzieje się w obozie przeciwnika na przełomie października i listopada. Nie denerwował go również zbliżający się termin rozpoczęcia ofensywy. Gdyby „feldmarszałek gołowąs” znał myśli najważniejszych generałów przeciwnika, wiedziałby, że chętnie przyjmą niemiecką ofensywę na „froncie duchów”. W oficjalnych dokumentach jest mowa przynajmniej o dwóch takich generałach; a najważniejszy z nich nie wydawał się zmartwiony tym, że Niemcy coś planują.

W archiwach amerykańskiego Korpusu Łączności zachowała się fotografia, na której widać dowódcę VIII Korpusu generała Troya Middletona. Zdjęcie zrobiono w Luksemburgu w niewielkim biurze w pobliżu Wiltz późnym popołudniem 8 listopada 1944 roku. Po jego lewej stronie stoi jego przełożony, dowódca 12. Grupy Armii generał Bradley, który ma u boku kaburę, a na sobie bojową kamizelkę. Po drugiej stronie stoi generał Leonard, dowódca 9. Dywizji Pancerniej, która niedawno przybyła na teatr działań. Przy jedynym biurku, popijając kawę z wyszczerbionego kubka, siedzi naczelny dowódca generał Eisenhower. Oczywiście Eisenhower trzyma w prawym ręku papieros Lucky Strick. Codziennie wypalał ich sześćdziesiąt.

Gruby okularnik Middleton, który przed wojną był rektorem uczelni, przechyla głowę nieco w prawo. Uniósł prawą rękę, jak gdyby zwracał na coś uwagę. Eisenhower i Bradley słuchają wypowiedzi dowódcy VIII Korpusu. Ale na co zwraca uwagę Middleton?

Musiało to być coś ważnego, choć żaden z wyższych dowódców nigdy tego nie ujawnił, a naczelny dowódca nie zostawił w archiwach nawet najmniejszych danych o wizycie na froncie między 8 a 10 listopada. Nie wspomina o tym w swojej dwutomowej biografii generał Bradley. A przecież ci dwaj byli odpowiedzialni za życie setek tysięcy żołnierzy. Regułą było, że przez ich ręce codziennie przechodziły setki informacji. Wydaje się jednak, że podczas tych 72 godzin nie uczynili absolutnie nic. Od tamtych dni historycy zajmujący się tą kampanią muszą się zastanawiać, co się wydarzyło podczas ostatniej wizyty „Ike'a” i „Brada” na „froncie duchów” przed grudniowym dramatem.

Oto jeden ze znanych faktów z tego okresu. Na początku listopada najwyżsi amerykańscy generałowie w Europie mieli już szczerze dość walenia głowami w umocnienia Linii Zygfryda. Nigdzie nie odnosili sukcesu - nie doszło do żadnego decydującego przełamania. Głębokość uderzenia przez wał, płacona życiem młodych amerykańskich żołnierzy, mierzona była w metrach.

Było zrozumiałe, że generał Bradley wybuchł w obecności szefa sztabu Eisenhowera, Bedella Smitha: „Gdyby tylko nas teraz uderzyli. Chętnie wyprowadziłbym kontratak. Znacznie mniejszym wysiłkiem moglibyśmy zabić więcej Niemców, gdyby wyleźli ze swoich dziur [na Linii Zygfryda] i dla odmiany uderzyliby na nas”.

Wiemy również (od Middletona), że tego popołudnia w Wiltz Eisenhower zapytał go: „Czy będziemy mieli poważny problem, jeśli Hitler zaatakuje przez Ardeny?”.

Być może właśnie w tym miejscu, gdzie wojskowy fotograf zrobił zdjęcie Middletona z podniesioną ręką, ten gorączkowo odpowiadał na to pytanie: „Dla nas to byłoby najlepsze rozwiązanie. [...] Jeżeli wejdą tu, możemy wpuścić ich w pułapkę i ściąć głowy; to skróci wojnę o kilka miesięcy”.

Jeżeli cokolwiek wiadomo na temat wcześniejszej wiedzy Amerykanów o wielkiej niemieckiej „zaskakującej” ofensywie, to to, że „front duchów” był miejscem, w którym, przynajmniej według opinii amerykańskiej generalicji, atak był najbardziej prawdopodobny.

Jeżeli tak było, to dlaczego Eisenhower i Bradley nie uczynili nic, by wzmocnić VIII Korpus Middletona, a wręcz przeciwnie, zluźniali doświadczonych w bojowydziały piechoty i na ich miejsce wprowadzili jednostki złożone z wyczerpanych żołnierzy oraz inne, które w ogóle nie miały doświadczenia bojowego? Teraz wiadomo już, że Eisenhower wiedział o „zaskakującym” ataku z Linii Zygfryda na „front duchów” Middletona, w którym ostatecznie Amerykanie ponieśli 80-tysięczne straty w ludziach.

Ale gdy Eisenhower 1 listopada 1944 roku przejął dowodzenie nad wszystkimi siłami lądowymi aliantów (po raz pierwszy w jego długiej karierze wojskowej dowodził jednostkami w polu), wydawał się całkowicie pewny i nie zdradzał oznak zdenerwowania zbliżającymi się wydarzeniami. Brytyjski król, Jerzy VI, złożył wizytę jednostkom amerykańskim na froncie i odznaczył medalami generalicję. Kiedy Eisenhower rozmawiał ze swoimi żołnierzami w polu, ku ich rozbawieniu poślizgnął się na błocie i upadł na swój elegancki tyłek.

Na froncie pojawił się kolejny amerykański związek operacyjny - 9. Armia, dowodzona przez generała Simpsona, i generał Bradley, za zgodą Eisenhowera, zdecydował, że wzmocni ona pozycje Montgomery'ego na północy: „Monty mógłby nią sterować”, a że „armia Simpsona była najmniej otrząskana w boju, uważałem, iż może bez problemów być przekazana”.

Nie trzeba dodawać, że Eisenhower nie odwiedził swoich jednostek walczących w „zielonym piekle Hiirtgen”. Żadna ważna postać tego nie uczyniła. Poza tym rejon Hiirtgen był niebezpieczny. Tu mogli polec nawet generałowie. Zamiast tego, będący w doskonałym humorze Eisenhower, mimo braku perspektyw na przełamanie Linii Zygfryda, złożył wizytę na spokojnym froncie w 9. Armii generała „Big” Simpsona.

O „Big Simpiew”, który golił czaszkę na łyso, Patton mówił: „Gdy nie walczy, reklamuje klinikę transplantacji włosów”. Na spotkanie z „Ikiem” i jego porywczym szefem sztabu „Beetlem” Smithem zaprosił brytyjskiego gościa.

Gościem tym był generał, dowódca brytyjskiego XXX Koipusu, Brian Horrocks, znany wszystkim jako „Jorrocks”. Wysoki, ascetycznie wyglądający generał, który już dość napatrzył się na wojnę (był ranny w obu wojnach światowych i przebywał zarówno w niewoli niemieckiej, jak i rosyjskiej), lubił Amerykanów. Poszedł na do-
-konały obiad z naczelnym dowódcą i jego dwoma generałami (na który Horrocks

dostarczył rzadki towar-whisky). Eisenhower zapytał go jowialnie: „Dobrze, Jor-rocks, czy zdobędziesz dla nas Gcilenkirchen?”⁵⁰”.

Horrocks odpowiedział, że „oczy chcą, ale ciało nie może”. Jediną dywizją w dyspozycji Horroksa była 43. DP, która poniosła olbrzymie straty. Jej dowódca, generał „Butcher” Thomas, nigdy nie oszczędzał swoich umęczonych żołnierzy i zanim kampania się zakończyła, straty dywizji wyniosły 12 500 zabitych i rannych - pełen skład walczącego stanu osobowego. Dlatego Horrocks wiedział, że jedyna dostąpiła dywizja była zbyt słaba, by ruszyć na jedną z najsilniejszych pozycji na Wale Zachodnim.

Ale Eisenhower nie wahał się. Swoim swobodnym, zrelaksowanym tonem powiedział do Simpsona: „Daj mu jedną z naszych, Simp”.

Simpson zaproponował 84. DP („Raił Splittcrs”), która dopiero co przybyła do Europy.

Hoirrocks zaprotestował, twierdząc, że zadanie to będzie zbyt trudne dla „świeżych chłopców”. Nic wydawało się właściwe, by amerykańska dywizja wchodziła po raz pierwszy do bitwy pod dowództwem brytyjskiego generała.

Eisenhower nie uwzględnił jego sprzeciwów i rozmowa przeszła na ostatnią nieudaną operacją pod Arnhem, w której były zaangażowane dwie amerykańskie dywizje powietrznodesantowe, 82. i 101. Zostały one wycofane do Francji, gdzie zademonstrowały wyjątkowo duży brak dyscypliny. Było mnóstwo dezercji, dużo pijaństwa i kilka gwałtów. Eisenhowera kusiło, by nakazać publiczną egzekucją skazanych amerykańskich gwałtocieli i pokazać Francuzom, że Amerykanie poważnie traktują prawo wojenne. W gniewie naczelny dowódca oświadczył, że „oni [żołnierze jednostek powietrznodesantowych] przynieśli hańbę całej amerykańskiej armii”.

Horrocks, który przybył, by podziwiać spadochroniarzy Stanów Zjednoczonych pod Arnhem, ostro odparował, że szkoda, iż cała amerykańska armia nie składała się z takich przynoszących hańbę „przypadków”. Ta gniewna wypowiedź spowodowała wybuch śmiechu Smitha, który najwyraźniej przecież nie mógł być probrytyjski. Jego komentarz brzmiał: „No cóż, nigdy nie myślałem, że usłyszę Brytyjczyka broniącego amerykańskich oddziałów przed amerykańskim generałem”.

A zatem przygotowano nowe plany ataku na Linię Zygfrйда. W końcu włączono w nic praktycznie wszystkie siły sprzymierzonych - od 9. Armii Simpsona w Holandii, 1. Armii generała Hodgesa w lesie Hiirtgen na granicy Belgii z Niemcami aż do 3. Armii Pattona w Metz i Zagłębiu Saary.

Wydawało się, że tylko jeden odcinek tego długiego frontu nie odegra roli w nadchodzących wydarzeniach, czyli „front duchów”. Żadne amerykańskie patrole nie zagłębiały się w stanowiska Linii Zygfrйда po drugiej stronie granicy wzdłuż rzek

⁵⁰ Tu brytyjska 2. Armia i amerykańska 9. połączyły się u położonego najbardziej na północ krańca Linii Zygfrйда.

Sauer i Our. Nawet dotychczasowe codzienne loty rozpoznawcze na całej długości frontu bez żadnego oczywistego powodu zostały zawieszono⁵¹.

Co oczywiste, miejscowi chłopci mając krewnych mieszkających po niemieckiej stronie granicy, przekazywali dużo pogłosek. Zнали historie, niemieckiej działalności praktycznie w każdej części Linii Zygryda. Ale jankesi nie słuchali już historii chłopów. Być może założyli, że miejscowi są proniemieccy i tylko chcą wywołać niepokój.

Podczas gdy Model przygotował się do wielkiej „zaskakującej” niemieckiej kontr-ofensywy (która być może ostatecznie nic okazała się takim zaskoczeniem), alianci także przygotowali się do ostatecznego wielkiego uderzenia na Linie Zygryda. Wiedzieli, że gdyby tym razem odnieśli powodzenie, wojna w Europie mogłaby ostatecznie zakończyć się do świąt Bożego Narodzenia 1944 roku. Przy odrobinie szczęścia „chłopcy” wróciliby po decydującym zwycięstwie na „przyrządzonego przez mamę indyka” przed zakończeniem roku.

Niestety, „szczęście” nie sprzyjało sojusznikom.

Mapy tych przelotów przechowywane są na University of Keele. Jednak te dotyczące tego okresu nie istnieją. Dziwny brak najważniejszych zdjęć z rozpoznania powietrznego z okresu tuż przed „zaskakującą” niemiecką ofensywą zazwyczaj tłumaczy się złą pogodą, co miało być normą o tej porze roku. Jednak ten rodzaj rozpoznania wykorzystywał radary, które powinny wykryć główne obszary aktywności Niemców.

5. Odpowiedzialność przejmują Brytole

*Bezgłośnie działał wkrótce przerwie swoje milczenie, Wkrótce zostanie odprzodkowane i da początek splamionemu krwią obo-
wiązkowi.*

Walt Whitman, „Dram Tap”, 1865

Świt, 2 listopada 1944 roku.

Był to typowy wczesny ranek o tej porze roku, który teraz żołnierze nazywali „straszonym Eifel” - zimny, wilgotny i poszarzały. Cienka mgła zwinęła się jak cichy chudy kot, który pojawiał się i znikał w poszarpanej mokrej linii jodeł w lesie Hiirtgen.

Po obu stronach dostrzegało się kontrolowane i opanowane napięcie. W górze frontu piechota szturmowa „Bloody Bucket” 28. DP zaległa wokół potrzaskanych bunkrów Linii Zygryda. Ich betonowe boki ze śladami pocisków wyglądały jak dotknięte wstępną chorobą skórą. Większość żołnierzy oddawała dużo moczu - pewna oznaka zdenerwowania. Niektórzy modlili się - ale nie było ich wielu.

Bardziej z tyłu artylerzyści stali obok stert pocisków i detonatory były już na miejscu. Zanim wszystko się zaczęło, po raz ostatni zagrali w pokera. Za nimi pozycje zajmowały batalionowe i pułkowe punkty opatrunkowe. Były to przeważnie rozłożone namioty z zaimprovizowanymi, zrobionymi z arkuszy blachy po kanistrach paliwa „reflektorami”, które wisiały nad gotowymi, wyszorowanymi stołami. Woj-skowi lekarze rozłożyli już swoje błyszczące instrumenty w oczekiwaniu na krwa-wą pracę. Kierowcy ambulansów szpitala polowego stali z przodu przed pojazdami z napisem PIERWSZENSTWO-TRANSPORT RANNYCH. Scena została przy-gotowana, aktorzy byli na miejscu; dramat mógł się zacząć.

Dokładnie o godzinie 8.00 poranną ciszę przerwał ogłuszający huk. Na artyleryj-skie przygotowanie ataku zaplanowano 12 000 pocisków. To ponownie był Front Zachodni z 1917 roku. Nagle wszędzie pojawiły się hałas, ogień, płomienie i furia.

Dokładnie to samo co ich ojcowie w Cesarskiej Armii uczynili żołnierze w sza-rych mundurach polowych - skulili się na dnie swoich przykrytych drewnem oko-pów i w bunkrach, a ziemia dygotała jak żywe stworzenie. Opadał betonowy szary kurz. Czekali na przerwanie ostrzału i zajmowali wtedy stanowiska karabinów ma-

szynowych. Wydawało się, że jankesi od zakończenia pierwszej wojny światowej nie nauczyli się wiele o atakach piechoty.

Dokładnie o 8.30 ostrzał artylerii zatrzymał się.

Pozostawił za sobą głośnie dzwoniące echo, które wydawało się trwać wiecznie. Obrońcy zaczęli ostrożnie podnosić głowy. Spoglądali przez strzelnice na zupełnie inny krajobraz: połamane drzewa, wypalone, parujące doły, stopy zielonej roślinności. Czekali. Ale jankesi nie nadchodzili. Czy to jakiś rodzaj nowej taktyki? - zastanawiali się Niemcy. W pewnym sensie tak było. Ale ta taktyka zawiodła.

Generał „Dutch” Cota, dowódca dywizji, zażądał wsparcia lotniczego, by ruszyło w ślad za ostrzałem artylerii i osłoniło atakującą piechotę. Ale minuty płynęły z ołowianym spokojem, a nurkujące samoloty bombowe sił powietrznych nie przybywały. Ze względu na złą pogodę maszyny były uziemione na swoich lotniskach na tyłach w Belgii i Francji. Stopniowo Niemcy zaczęli się uspokajać. Cokolwiek jankesi kombinowali, nic nie wskazywało, by miało to wpływ na ich marny wilgotny byt, szczególnie w ten listopadowy ranek.

W południe pułkownik Pcterscn, smukły, żylasty oficer, który wychował się między górnikami, robotnikami pól naftowych i handlarzami w Pensylwanii, nadal tworzących rdzeń jego jednostki, 119. pułku piechoty z 28. DP, wydał rozkaz zajęcia lasu. Żołnierze mieli zdobyć wieś Schmidt, która miała kluczowe znaczenie.

Wszystko, po tym jak uderzyli ich poprzednicy z pechowej 9. DP, wydawało się stosunkowo łatwe. Długa tyraliera ostrożnej piechoty nacierała przez księżycowy krajobraz, pokryty wypełnionymi wodą lejami, rozbitymi drzewami i innymi pozostałościami bitwy. Żołnierze przeszli w bród rzekę Kall, wspięli się na zbocze i rozgromili grupę podrzędnej niemieckiej piechoty, która usiłowała powstrzymać ich natarcie. W ciągu dwóch dni zdołali zdobyć Schmidt. To było łatwe... aż za łatwe.

Podczas drugiej nocy ataku „Bloody Buckct” saperzy z 28. DP zaczęli sprawdzać krętą pagórkowatą ścieżkę „Kall”, która prowadziła do niemieckiej piechoty okopanej pod Schmidt. Za nimi posuwała się kompania czołgów z 707. batalionu czołgów.

Posuwanie się w górę ścieżki nocą było dla czołgistów trudne. Wszystko szło dobrze, dopóki czołgi prowadzone przez kapitana Hostrupa nie natknęły się na przeszkody. Prawe pobocze ścieżki zaczęło załamywać się pod ciężarem shermanów. Klnąc i pocąc się, Hostrup wycofał się do miejsca, gdzie na ścieżce nadal pracowali saperzy. Powiedział im, co się zdarzyło, i obie strony uzgodniły, że będą czekali do świtu, dopóki saperzy nie przygotują odpowiedniej drogi podpierając ścieżkę stemplami, tak by czołgi mogły ruszyć do natarcia.

Tymczasem w dowództwie „Dutch” Cota odbierał telefony od dowódców walczących wzdłuż całej Linii Zygryda, którzy gratulowali mu przełamania. Agresywny, ruchliwy dowódca twierdził później, że zaczął się czuć jak Napoleon - ale nie trwało to długo.

Niemcy wyprowadzili kontratak tuż przed świtem. Najwyraźniej całkowicie zaskoczyli amerykańską piechotę. Ta pierzchała ze Schmidt do najbliższej wsi, Komerscheidt. Tu oficerowie z trudem ją zatrzymali. „Szwabskie czołgi!”, krzyczeli

w panice. „Szwabskie czołgi nadchodzą”. Podoficerowie musieli ich bić. Niewątpliwie więcej niż jeden oficer groził żołnierzom, mówiąc im, że ich zastrzeli, jeśli nie utrzymają pozycji. Ale nic nie było w stanie zatrzymać batalionów, które wpadły w panikę. Sierżant sztabowy Frank Ripperdam meldował później: „Wojsko było bardzo przestraszone i zachowywało się jak oszalałe”. Dwie godziny trwało, by zebrać 200 żołnierzy (jedna czwarta batalionu) i wesprzeć obronę niedużej wsi.

Cota rzucił do boju bombowce nurkujące. W tym samym czasie niemieckie pantery zaczęły spuszczać z tonu. Z szarego nieba wypadły P-47. Z wysokości drzew zaatakowały wiodące pantery. W pancernie trafiały pociski.

Niemiecki czołg stanął dęba na tylnej osi jak osiodłany po raz pierwszy dziki koń. Nagle zatrzymał się, z wieżyczki buchnął gęsty biały dym. Trafiony został jeszcze jeden czołg; jego załoga uciekła. Niemiecki atak pancerny stracił impet. Pozostałe czołgi wycofały się tą samą drogą, którą nadeszły.

W trybie pilnym Cota wydał rozkaz pułkownikowi Petersenowi, by ten ponownie zajął Schmidt. Jednak Petersen czuł, że nie może niczego zrobić bez wsparcia czołgów kapitana Hostrupa, który nadal znajdował się na ścieżce pod Kall. Przez całą noc saperzy pracowali jak szaleni, by oczyścić im drogę. O świcie 5 listopada czołgi znów ruszyły. Godzinę później wjechały do Kommerscheidt i były witane przez silnie naciskanych obrońców, jak 7. pułk kawalerii przez pionierów w hollywoodzkim westernie.

I wtedy Niemcy zmienili taktykę. Zamiast frontalnego ataku na wieś, przeniknęli aż do ścieżki do Kall. Załoga jeepa przybyłego z zaopatrzeniem zauważyła piechotę czającą się za drzewami. Próbowali się wycofać - bezskutecznie. Ścieżka była zbyt wąska. Dowodzący porucznik wrzasnął: „Strzelaj, człowieku, strzelaj!”. Jednocześnie Niemcy otworzyli ogień ze swoich karabinów.

„Nie mogę, poruczniku, zginę tutaj” - odpowiedział kierowca.

I nie pomylił się.

Przez całą długą nerwową noc do odpowiedzialnego za saperów dywizji pułkownika Daleya trafiały raporty. Jego rozkaz brzmiał: „Wszyscy na linię walki”. Sytuacja musiała być krytyczna, jeśli wykwalifikowani saperzy mieli zostać użyci jako żołnierze piechoty.

Do tego czasu Niemcy wydawali się walczyć na każdym odcinku frontu 112. pp pułkownika Pctersena.

Trafiały do niego, jeden za drugim, pełne paniki raporty. Ktoś powiedział, że jego żołnierze „płakali jak dzieci ze złamanymi serduszkami”; inny, że żołnierze otrzymali rozkaz, by spożyć swoje racje żywnościowe K. Pewien dowódca batalionu nagle usiadł na podłodze w piwnicy swojego punktu dowodzenia, zakrył twarz rękami, ramiona mu drżały, i szlochał.

Został zaatakowany kolejny batalion Petersena. Żołnierze poszli w rozsypkę. Panika ogarniała kolejne kompanie. Pękła nawet kompania z odwodu. „To był najsmutniejszy widok, jaki kiedykolwiek zobaczyłem”-relacjonował później porucznik Condon z kompanii E:

Wzdłuż drogi od wschodu szli ludzie z kompanii E, F i G popychając lub wyrzucając wyposażenie i sprzęt, próbując wyprzedzić artylerię i siebie nawzajem, w szalonym wysiłku, by uciec. Wszyscy byli ogarnięci wprost zwierzęcym strachem. Niektórzy znajdowali się w szoku. Tylko kilku pomagało lekko rannym w ucieczce, a wielu ciężko rannych, prawdopodobnie od ognia artylerii, leżało przy drodze i wołało o pomoc. To była łamiąca serce, deprawująca scena.

Dotychczas nikt nie zobaczył ani jednego Niemca z atakującej 116. Grupy Szturmowej Dywizji Pancerniej, ale nie trzeba było ich wskazywać panikującym uciekinierom. „Biegli tak szybko jak mogli” - wspomina! oficer personalny batalionu, kapitan James Nesbitt. Ci, których widzieliśmy, byli zupełnie zdruzgotani. [...] Nie było sensu siebie oszukiwać. To było bezładne wycofywanie wojsk. Żołnierze szli w całkowitym chaosie”.

Część oficerów uważała, że odniosła sukces, tworząc linię blokady. Zbudowali prowizoryczną pozycję biegnącą przez środek wsi. Została ona obsadzona przez siedemdziesięciu ludzi, ale kiedy oficerowie się odwrócili, połowa z nich także uciekła na tyły.

O świcie 7 listopada, gdy deszcz lał jak z cebra, piętnaście niemieckich czołgów przy wsparciu batalionu piechoty zaatakowało ze Schmidt w kierunku Kommerscheidt. Niszczyciele czołgów, które zdołały dotrzeć w górę ścieżki do Kall, rzuciły się do akcji. Przynajmniej raz Amerykanie wystrzelali Niemców. Jeden za drugim niszczyciele wyeliminowały pięć panter.

Ale amerykańscy czołgiści również ponosili straty. Powoli, ale zdecydowanie pozostałe niszczyciele czołgów zaczęły się wycofywać. Przed południem Niemcy ruszyli dalej. Byli na przedmieściach Kommerscheidt i strzelali do jankeskich okopów lub wykorzystywali tę straszną technikę, której nauczyli się w Rosji. Polegała ona najeźdzeniu czołgiem dookoła okopu, aż siedzący w nim narobił w spodnie i krzycząc z przerażenia był żywcem zakopywany pod ziemią.

Tym razem żołnierze „Bloody Bucket” nie załamali się. Jednak ich odwaga szybko osłabła. Niemiecki czołg wsunął swoją długą lufę 75 mm, armaty w drzwi domu, który służył jako stanowisko dowodzenia amerykańskich batalionów złapanych w pułapkę we wsi. Ta kropla przełała wiadro. Jak przypomina sobie sierżant sztabowy Ripperdamz kompanii L:

Było piekielnie wiele hałasu i zamieszania i wszyscy byli dość niespokojni. Czuję się podłe. Wtedy dotarło do mnie, że jeden z chłopaków na zewnątrz powiedział, że na dachu batalionowego stanowiska dowodzenia jest wielki czołg. Wyrzeliśmy, by rzucić okiem. Zobaczyłem czołg na SD, który przykrywał wejście. [...] Przed nim stali amerykańscy żołnierze i mieli uniesione ręce w geście poddania. Widać było białą flagę. [...] Mając tę scenę w pamięci, widzieliśmy żołnierzy kompanii A i B spływający z powrotem na tyły, biegnących, ale większość z nich nadal miała broń. Ruszyliśmy i dołączyliśmy do nich.

Rozwój wydarzeń wstrząsnął pułkownikiem Petersenem. Zobaczył jak jego własny pułk zmyka w panice - ludzie, których znał od niepamiętnych czasów. I winił za to generała Cotę. To dowódca dywizji wydał niemożliwy do zrealizowania rozkaz. Kładąc całą logikę i racje na jedną szalę, Petersen przekazał pozostałe jednostki pod dowództwo pułkownika Ripple'a, mówiąc mu, że idzie skrytykować „Dutch” Cotę. Chciał powiedzieć „małemu Napoleonowi”, co naprawdę zdarzyło się w Hiirtgen.

Petersen w drodze przez strome wzgórza na tyłach został ranny. Wkrótce znów go trafiono - tym razem został ostrzelany przez niemiecką artylerię. Gdy znaleźli go pracujący na ścieżce do Kall saperzy, Petersen coś niezrozumiale mamrotał. Sanitariusze zabrali go do dywizyjnego punktu medycznego i tam zażądał widzenia się z Cotą.

Kiedy przybył dowódca dywizji, był zaskoczony stanem, w jakim znajdował się Petersen - zszarzały, nieogolony, z oczami czerwonymi po nieprzespanych czterech dobach. Cota, sam zmęczony i zaniepokojony niepowodzeniem ataku, natychmiast pomyślał, że Petersen opuścił swój pułk. Jak dla Coty to było zbyt wiele. Bohater normandzkich plaż (został odznaczony drugim w kolejności amerykańskim orderem za męstwo) zemdłał.

Miał powód, by to uczynić, ponieważ uderzenie „Bloody Bucket” na Hiirtgen okazało się jednym z najbardziej kosztownych amerykańskich posunięć podczas wojny w Europie. Sam 112. pp Petersena stracił dwie trzecie swojego stanu w ciągu siedmiu dni działań. Straty dywizji wyniosły 6184 żołnierzy, a liczyła ona ich na początku około 15 000. 28. Dywizja Piechoty była już jednostką straconą dla wszelkich możliwych działań.

Podczas gdy 28. DP niemal wykrawiała się na śmierć, dalej na północ „Raił Splitters” z niedoświadczonej 84. DP przygotowywali się do krwawego chrztu na Linii Zygryda. Horrocks, który miał ją poprowadzić do pierwszego ataku pod Geilenkirchen, nie był zadowolony z „Raił Splitters”. Uważał, że szeregowi są wspaniale przygotowani, ale niedoświadczeni. Nic przejmował się jednak tym, w jaki sposób oficerowie zajmowali się swoimi podwładnymi.

Z amerykańskiego punktu widzenia armia brytyjska była strukturą klasową - „proszę o pozwolenie zabrania głosu, panie pułkowniku”, etc. Ale, jak dostrzegł Horrocks, oficerowie najbardziej demokratycznej armii na świecie, w przeciwieństwie do wywodzących się z wyższej i średniej klasy brytyjskich oficerów, prawie wcale nie dbali o swoich żołnierzy.

Przykładowo, część amerykańskich oficerów w ogóle nie troszczyła się o stan stóp szeregowych żołnierzy - sprawa dość nieprzyjemna. W armii brytyjskiej obowiązkiem oficerów było sprawdzanie stóp podwładnych po zakończeniu marszu czy po kilku dniach, podczas których nie było możliwości zdejmowania butów. Dla Horrocksa nie było wielkim zaskoczeniem, że w ciągu tygodnia po przybyciu 84. DP do mokrawej Holandii Amerykanie mieli 500 przypadków chorób stóp, bolączka amerykańskiej armii tej zimy na Linii Zygryda.

Dowódca 84. DP generał Boiling nie troszczył się o to, by jego żołnierze na froncie mieli przynajmniej jeden gorący posiłek dziennie. Suche racje żywnościowe armii brytyjskiej miały w swoim zestawie plastry wołowiny i wieprzowiny, co pozwalało na szybkie przyrządzenie ciepłego gulaszu czy innego dania. Był w nich nawet tłusty kanadyjski boczek, zawijany w natłuszczany papier, na którym można było go smażyć (niestety żartowniś, który niezmiennie pytał podczas otwierania racji „Sierzancie, która konserwa jest gorąca?”, zawsze był rozczarowany). Amerykanie byli zmuszeni żywić się racjami „C” i „K”. Gdy Horrocks dowiedział się o tym, rozkazał, by codziennie na front docierało 500 puszek zupy, którą można było podgrzewać. Liczba ta rosła z dnia na dzień. Gotowanieeee!

Amerykańskie wojska czuły się bardzo bezpiecznie i żołnierze byli rozluźnieni. Nie zajmowali się ewakuacją miejscowej ludności niemieckiej, która mogła przekazywać szczegóły ataków swoim rodakom po drugiej stronie frontu. Brytyjczycy nie czuli się tak swobodnie. Miejscowi, którzy przekraczali granicę, byli pod uważnym okiem „Redcaps” (żandarmerii) kierowani do Holandii. Zabierali ze sobą swoje żałosne mienie, ale tylko to, na które pozwalał Horrocks.

Stosunki między doświadczoną 43. Dywizją Piechoty „Wessex” i „nowymi” z 84. DP nie od początku układały się poprawnie, ponieważ 84. „zapomniała” rozbroić pole minowe, które miało być pokonane przez obie te formacje. Dowódca 43. DP „Butcher” Thomas pospiesznie skierował swoich saperów do wykonania tego zadania. W ciągu jednego dnia wykryli oni i zebrali 700 śmiertelnych małych urządzeń - ale nie było to jeszcze wszystko. Gdy brygadier Mole z 43. DP ruszył na inspekcję swoich wojsk na linii wyjściowej, jego pojazd wjechał w skupisko min. W potężnej eksplozji znikły krwawe szczątki ciała brygadiera i jego 14 żołnierzy.

O 12.45 15 listopada, zgodnie z planem, 1200 latających fortów ze stacjonującej w Wielkiej Brytanii amerykańskiej 8. Armii Powietrznej, w szyku bojowym, w towarzystwie takiej samej liczby bombowców RAF-u, przeleciało nad Holandią w stronę Linii Zygryda. W miarę jak maszyny zbliżały się do frontu, na ziemi ruszyły jeepy z radiostacjami naprowadzające pilotów. Niemcy otworzyli ogień przeciwlotniczy. Balony zaporowe weszły na pułap około 500 metrów. Ich zadaniem było zapewnienie, by lotnicy nie zbombardowali wojsk własnych. W miarę jak formacja za formacją przelatywały nad głowami, pozdrowiała ich utrzymująca gotowość do działań angielska i amerykańska piechota. To po ich stronie była przewaga w powietrzu, a oni przygotowywali się na niewielki drugorzędny pokaz. Nagle artyleria dwóch dywizji - tysiące luf- 43. i 84. weszła do akcji. Piechota oczekująca na wejście do działań nie byłaby zadowolona, gdyby wiedziała, że tylko 3 procent samolotów zrzuciło bomby na bunkry Wału Zachodniego. Reszta, chcąc uniknąć atakowania własnych wojsk lądowych, zrzuciła swój ładunek daleko na tyłach przeciwnika.

Plan ataku był dość prosty - jak zazwyczaj miało to miejsce na papierze. 84. DP miała uderzyć pierwsza. Zadaniem „Raił Splitters” było zajęcie dominujących wzgórz 2,5 kilometra od wioski Prummen. Mając zabezpieczone prawe skrzydło, doświad-

czona 43. miała atakować w ugrupowaniu, którego głębokość wynosiła 4 kilometry, i całkowicie okrążyć Geilenkirchen. Tu mieli być pokonani Niemcy. Najpierw planowano całkowicie zmieść niemieckie zgrupowanie, a następnie nacierać 7 kilometrów dalej i zająć wsie Hoven, Wurm, Mullendorf i Beek.

Czas był wyliczony co do minuty, powodzenie zależało od przestrzegania terminów pośrednich przez obie dywizje. Gdyby jednej się nie powiodło, odsłoniłoby to skrzydło drugiej na możliwy niemiecki kontratak. Ale wszyscy, Brytyjczycy i Amerykanie, byli pewni, że linia będzie utrzymana. Nic nie mogli pójść źle.

O świcie w dniu ataku „księżycowe światła Monty'ego”⁵² oświetliły pole walki. Kiedy niebo na wschodzie zaczęło odbijać fałszywe światła świtu, do przodu ruszyły dwie kompanie „zabawek Churchilla”. Były to specjalne pojazdy opancerzone. Wiele z tych projektów było propozycją brytyjskiego premiera, ze składu 79. Dywizji Pancernernej dowodzonej przez szwagra Montgomery'ego, do 1940 roku zwykłego plutonowego w jednostce Home Guard. Były to „cepy”, czołgi, które miały zamontowane z przodu duże stalowe bębny z zamocowanymi stalowymi łańcuchami. Podczas obrotu bębna łańcuchy powodowały detonację min, nie stwarzając jednocześnie zagrożenia dla załogi wozu. Rozpoczęły one swoją mozolną, ryzykowną pracę robiąc dwa przejścia przez poła minowe. Przez nie mogła prowadzić natarcie piechota.

Za nimi czaili się brytyjscy artylerzyści. Teraz, po pięciu latach wojny, doprowadzili swoją umiejętność strzelania do perfekcji. Byli lepsi nie tylko od swoich kolegów ze Stanów Zjednoczonych, ale również od Niemców. Byli tak dobrzy, że w ciągu 30 sekund w dowolnym miejscu potrafili ześrodkować ogień 300 dział. Teraz to oni byli zwycięzcami. Po krótkim pięciominutowym ostrzale dwa bataliony 84. DP podniosły się z okopów i rozpoczęły natarcie. Ich pierwsza akcja została przeprowadzona w najbardziej niebezpiecznym miejscu w Europie Zachodniej - na Linii Zygryda. Na froncie szły przed nimi brytyjskie shermany.

Horrocks poczuł ulgę, ponieważ wszystko szło zaskakująco dobrze. „Nowi” nie popełniali poważnych błędów i koło południa ich natarcie nadal się posuwało. Brytyjskiemu generałowi to wystarczało. Artyleria ponownie na krótką chwilę otworzyła ogień. Tym razem dwa bataliony brytyjskiej piechoty z 43. DP rozpoczęły swój atak.

Większość z nich stanowili mocno zbudowani chłopcy z zachodnich wiejskich terenów Wielkiej Brytanii. Z rumianymi policzkami szli do przodu mając ze sobą zawsze kubki na herbatę zwisające z małych plecaków. Ostrożnie i powoli brnęli przez rozmięktą ziemię.

Shermany o wąskich gaśienicach zaczęły zostawać z tyłu. Nie były w stanie przejść przez błoto (amerykański przemysł zbrojeniowy potrzebował dużo czasu, by zrozumieć, że czołgi do przejścia przez błoto potrzebują szerokich gaśienic. Niemcy wiedzieli to już od czasu, gdy weszli do Rosji). Piechota uparcie brnęła naprzód. Ich załadowane zaopa-

⁵² Szperacze ustawione w taki sposób, że ich światło było kierowane w dół, aby oświetlać pole walki.

trzeniem ciężarówki zaczęły po osie tonać w kleistej mazi. A żołnierze nadal szli. Wówczas uderzyli Niemcy. Samobieżne działa wysunęły się z lasu i otworzyły ogień. Biota ich nie zatrzymywała. W ciągu kilku minut zginęło lub zostało rannych około 30 strzelców. Razem z nimi zginął ich dowódca, który w agonii wil się w błocie.

W ciągu całego dnia i następnej nocy Brytyjczycy i Amerykanie przedzierali się do przodu, zajmowali obiekt za obiektem, aż kolejnego dnia otoczyli bastion Wału Zachodniego Geilenkirchn. „Wspaniałą kawał dobrej roboty - wychrypiął skonany wyższy brytyjski oficer. - Ten pokaz sprawił mi dużo radości!” Pierwsza wspólna brytyjsko-amerykańska operacja przeciwko Wielkiemu Murowi Niemiec „szła wspaniale”.

W rzeczywistości operacja dopiero się zaczęła. Tej nocy otwarło się niebo. Lało jak z cebra. Żołnierze piechoty po pas w okopach wypełnionych wodą byli przemoczeni. Teren zmienił się w trzęsawisko. Z przodu Niemcy otworzyli ogień do „nowych” z 84. DR Ale oni następnego dnia z powrotem byli gotowi do działań i nacierali na bunkry i schrony. Nie doszli daleko. Pierwsze lekkie czołgi doświadczony niemieckiej 15. Dywizji Pancernej ruszyły w ich kierunku. Długie działa 75 mm weszły za ofiarami. Obserwując je stary wiarus, brygadier Essame z 43. DP pomyślał: „Wkurza mnie, kiedy widzę ich czołgi z szerokimi gaśnienicami manewrujące przez błota niedostępne dla nas”. Jak można było przewidzieć, niedoświadczona piechota 84. DP nie odważyła się zacząć jakichkolwiek działań.

Żołnierze 43. nadal nacierali. Widzieli już to wcześniej -w Normandii i pod Arnhem. Ale nawet weterani czuli się przemoczeni, kiedy ciągle padało, jak gdyby Bóg na wysokościach chciał zniszczyć ten zbudowany tam na dole przez człowieka wstrętny twór. Historyk jednostki Duke of Cornwall s Light Infantry (DCLI) napisał:

Lata później, ci, którzy przeżyli, pamiętali intensywny ogień przeciwnika oraz błotnisty teren, który musieli pokonać, aby zdobyć obiekty. To, co trudno opisać, to fizyczną agonię piechura. [...] Listopadowy deszcz wydawał się przeraźliwie zimny. Po wysiłku, kiedy ciało się ogrzało, zimne powietrze i wilgoć niemal przenikała do szpiku kości, tak że całe ciało się trzęsło, a następnie pojawiało się odrętwienie rąk, nóg i umysłu oraz uczucie ulegania siłom natury, znacznie silniejszym niż jakikolwiek przeciwnik.

Uczucie to można było pokonać jedynie, jak dodaje historyk, „przez nieodłączne poczucie konieczności przetrwania i determinację w wykonywaniu swoich obowiązków”.

Po czterodniowej walce w straszliwych warunkach dwie sojusznicze dywizje były u kresu swoich możliwości. Jak później pisał brygadier Essame: „Jedynie ci, którzy zdobyli rzeczywiste doświadczenie w takich warunkach, wiedzą, czym jest moralna walka z emocjami, którą muszą przetrwać i znieść dowódcy batalionów i brygad. Nie jest łatwo wydać rozkaz przemoczonemu żołnierzom, by ponownie ruszyli do działań w mokrych lasach”.

Ale Essame musiał przezwyciężyć własne emocje. Tego dnia rozkazał pułkowi Duke of Cornwall s Light Infantry [DCLI], który już stracił jednego dowódcę

batalionu i przed końcem kampanii miał utracić kolejnego, zajęcie lasów wokół wioski Hoven.

Na nieszczęście 10. Dywizja Pancerna SS dowiedziona przez generała Harmela, który zwyciężył pod Arnhem, oczekiwała na Kornwalijczyków. Grenadierzy SS zaatakowali Brytyjczyków morderczym gradem ognia. Wszędzie padali zabici. Błotniste pola zapełniły się leżącymi ciałami. Nacierają SS. Niemcy próbowali odciąć tych, którzy przeżyli, a wszędzie rozlegały się okrzyki: „Sanitariusz... nosze... tutaj!”.

Personel medyczny z narażeniem życia działał pod ogniem przeciwnika, unikał miejsc z karabinami z wbitymi w błoto lufami. Tak oznaczano pozycje tych, którzy już nie potrzebowali pomocy medycznej - byli martwi. Kornwalijczycy dotarli do skraju niemieckiej wioski.

Rozpoczął się koszmar. Najmniejszy ruch, nawet w ciemności, powodował bzyknięcie kuli snajpera lub wysokotonową historyczną serię niemieckiego MG 42. Przeciwnik krył się w każdej kupie gruzów, która pozostała w zniszczonej wiosce. Ale DCLI nie załamywał się. Piechota okopała się i czekała.

Wówczas wszystko zależało od „Raif Spltters” z 84. DP, którzy doszli do nich tuż przed świtem. Gdyby im się nie udało, DCLI zostałby odcięty i byłby na łasce SS. 10. DPanc SS mocno wgrzyła się w ziemię.

Ale amerykańskie uderzenie zatrzymało się. Amerykanie nie byli w stanie przeдрzeć się przez linie bunkrów na wzgórzach wioski Suggesterath na prawym skrzydle. Tu SS mocno trzymało Wał Zachodni.

Co miał robić Essame? Wiedział, że jeżeli chce ocalić swoich żołnierzy, musi ich wycofać pod osłoną nocy. Ale jeśli jankesi mieli szansę na przełamanie wału? To posunięcie mogło ich rozczarować. Essame był między młotem a kowadłem.

Mniej więcej w tym czasie w ciemnościach pojawił się dowódca korpusu Horrocks, owinięty przeciwdeszczowym płaszczem. Essame wyłuszczył mu sytuację. Zakończył ostrzeżeniem, że SS zaatakują o świcie. Tego był pewien.

Horrocks, który mocno wierzył w jankesów, uważał, że 84. DP zdoła połączyć się ze schwytanymi w pułapkę Kornwalijczykami, ale decyzję w tej sprawie pozostawił w rękach Essame'a. Ten później pisał: „Jeżeli brygadier [sam Essame] chce wycofać teraz DCLI, kiedy jest jeszcze na to czas, może tak uczynić. Jeżeli zdecyduje, by jednostka ta tam pozostała, i zaryzykuje, że Amerykanie ponowią swój atak o świcie, bez względu na to, co się wydarzy, będzie miał wsparcie ze strony Horrocksa”.

Dla Essame'a to była trudna decyzja. Siedział na pudle po racjach żywnościowych w mrocznym budynku gospodarstwa wiejskiego, który był jego punktem dowodzenia. Na zewnątrz grzmiały działa, niebo było rozdierane czerwonymi błyskami, a deszcz wściekle walił w zaciemnione okna. Czy mógł ryzykować życie około 500-600 brytyjskich żołnierzy, liczyć na niedoświadczonych, nieprzewidywalnych jankesów? Od czerwca, kiedy wszedł do walki DCLI, stracił 100 procent stanu osobowego. Czy ma ryzykować życie tych młodych ludzi, którzy zmienili pierwotny skład jednostki? Jak pisał: „DCLI od Normandii nig

dynie walczył inaczej, jak do samego końca”. Ale czy mógł narazić go na kolejne straszliwe wykrwawienie.

Deszcz głośno padał, Horrocks cierpliwie czekał i patrzył na widoczną w migotliwym świetle lampy naftowej twarz Essame'a. W końcu brygadier skinął głową. Pozostanie tu i podejmie owo krwawe ryzyko.

Horrocks zamierzał ograniczyć straty. Ruszył w noc, jego wóz dowodzenia został ostrzelany pociskami smugowymi, i zameldował się w sztabie generała Boilinga. Obiecał Amerykaninowi, którego syn na Linii Zygfyda miał wkrótce trafić do niemieckiej niewoli, że część jego „zabawek” uderzy o świcie, osłaniając 2,5 kilometra terenu, który dzieliły czołowe jednostki amerykańskiej piechoty od zamkniętej w pułapce brytyjskiej – jeżeli Amerykanie uderzą. Boiling zgodził się, by jego żołnierze uczestniczyli w ataku.

Ale Amerykanie nie zaatakowali. Jak przewidywano, o świcie uderzyło SS. Esesmani poruszali się z charakterystyczną dla nich werwą. Dowódca kompanii D, major Spencer, próbując samodzielnie zatrzymać niemiecki czołg został ciężko ranny. Inna kompania DCLI została odcięta. Wywiązała się zażarta walka o każdy dom. Część żołnierzy zeszła do piwnic i z nich prowadziła walkę. Do niewoli wzięto niemieckiego lekarza. Kiedy zapytano go, dlaczego walczy, zadziornie im odpowiedział: „Biję się za swój kraj, tak samo jak wy”.

Wówczas większość wioski stała już w ogniu. Kornwalijczykom kończyła się amunicja. W boju korzystali z amunicji, którą zabierali poległym Niemcom. Kolejnych dwóch dowódców kompanii zostało ciężko rannych. Jankesów nadal nie było w zasięgu wzroku.

Tego popołudnia niebo było coraz niżej, a SS atakowało i coraz bardziej naciskało. DCLI dosłownie nie miał już ani jednej sztuki amunicji, nie posiadał broni przeciwpancernej, która mogłaby zwalczać ociężałe pancerne giganty 10. DPanc SS, i zaczął się wycofywać. Walcząca na czele kompania D została przetrzebiona – ze 120 zostało 15 żołnierzy. Kompania A znajdowała się pod ciężkim ogniem czołgów i piechoty SS. W pewnej chwili niedobitki DCLI wyprowadziły kontratak i odrzuciły przeciwnika na 40-50 metrów. Nikt nie wie, jak do tego doszło. Ale owa zdobycz na wiele się nie zdała. Dwóch ostatnich rannych majorów podjęło decyzję za brygadiera Essaine'a. Nadal nie było widać Amerykanów, dlatego ci oficerowie zaczęli wycofywać swoich ostatnich żywych żołnierzy.

Krótko po tym przyszły wieści, że 84. DP ostatecznie przełamała niemieckie linie. Ale teraz to już niewiele znaczyło. Przeprowadzone siłami 17 dywizji uderzenie, które, jak utrzymywał dowódca 1. Armii, generał Hodges, było „ostatnią ofensywą konieczną do rzucenia Niemców na kolana”, załamało się. Essame czuł później, że powodem tego był fakt, iż dowódca amerykańskiej grupy armii, generał Bradley, na miejsce ataku wybrał odcinek, gdzie „Niemcy mieli przewagę liczebną, a ich wyższość wyrażała się również w zbrojonej betonem obronie i gęstych lasach, co stanowiło nowy problem dla jego wojsk, do którego nie zostały one przeszkolone. [...] Skazana na wyniszczającą bitwę piechota poniosła takie straty, że wkrótce dywizje nie były w stanie kontynuować walki”.

Linia Zygfyda ponownie pokonała aliantów.

6. Fabryka śmierci

*Byłem jedynym, który był w stanie wyjść z tego straszego lasu.
Być może nawet płakałem.*

porucznik George Wilson, 22. pułk piechoty

Wtedy po raz pierwszy widziałem, jak niemiecki pies je spalonego fryca.

Ernest Hemingway, *Za rzekę, w cień drzew*, 1950

Późnym popołudniem 15 listopada 1944 roku podpułkownik Tom Kenan z 2. batalionu 22. pułku piechoty pułkownika Lanhama, wyglądał z błotnistego wykopu, w którym było jego stanowisko dowodzenia w lesie Hiirtgen. Przed sobą dostrzegł nieznanego w hełmie, wojskowych spodniach, który na plecach miał mały plecak. Kenan nie mógł ukryć zaskoczenia spowodowanego jego nagłym pojawieniem się w środku ugrupowania okopanego batalionu.

Musiał zadawać sobie pytanie, co ten „cywil” robi tu, na linii ognia. Był zbyt stary jak na żołnierza - „na karku miał przynajmniej sześćdziesiątką” - i spoglądał na Kenana przez okulary w stalowej oprawie. Nie był to ten gatunek człowieka, którego można byłoby się spodziewać na linii frontu między młodzieniaszkami z BSP (Biednej Skrwawionej Piechoty).

Kenan jeszcze nie rozpoznał obcego, ale był pod wrażeniem gabarytów tego człowieka, co dodatkowo podkreślała biała, chroniąca przed kaszającym zimnem i podbita baranicą kurtka. Kenan patrząc na okulary wiszące na końcu czerwonego od nadmiaru trunków nosa uważał, że są „nieodpowiednie i żałośnie małe”.

Nieznanomy, którym oczywiście był Ernest Hemingway, przedstawił się jakby to było całkowicie naturalne, że pojawia się w tym odległym, objętym walką lesie Hiirtgen. Wyjaśnił Kenanowi, że dopiero co był w sztabie generała „Tubby’ego” Bartona w szkole w Zweifall. Dowódca dywizji wysłał go, by „Buck” Lanham poinformował go o sytuacji. Jeżeli Kenan zastanawiał się, w jaki sposób cywilny korespondent wojenny dotarł do informacji o ściśle tajnej i mającej się nazajutrz rozpocząć dużej ofensywie, to myśli te zachował dla siebie. Poza tym to był *ten* Ernest Hemingway, a film na podstawie jego powieści *To Have and Have Not* [Mieć i nie mieć -*przyp. tłum.*].

właśnie miał premierą w Hollywood. Główne role grali w nim Humphrey Bogart oraz jego nowa osiemnastoletnia kochanka, Lauren Bacall.

Pułkownik Kenan bez wahania poprowadził Hemingwaya do swojego wozu. Kiedyś takie mobilne zakwaterowanie przysługiwało dowództwu szczebla armijnego. Obecnie mieli je nawet pułkownicy niższych szczebli, ciągnący swoje wozy po całej Europie. W końcu 1944 roku był to symbol pozycji oficera.

Razem z innym korespondentem Billem Waltonem (amerykańskim dziennikarzem, który chciał zostać spadochroniarzem) zasiedli nad kilkoma drinkami w samochodzie pułkownika, w którym znajdował się pomalowany niemiecki hełm służący Lanhamowi jako nocnik.

„Buck” Lanham nie czuł się szczęśliwym człowiekiem. Powiedział Hemingwayowi, że ma przecucie, iż nie przeżyje zbliżającej się bitwy, która była trzecią próbą przełamania Wału Zachodniego, pozycji w lesie Hiirtgen i wyjścia na nizinę Renu podejmowanaprzez amerykańską armię. Hemingway wybuchł. Powiedział Lanhamowi, że rzygać mu się chce i już ma dość, kiedy słyszy „całe to gównno” o przecuciach. Jego odwieczny wróg i słynny rywal amerykański korespondent wojenny Ernie Pyle zawsze miał te cholerne przecucia. *A on przecież nadal żył*⁵³. Wzburzony zaatakował Pyle'ego, który od 1942 roku był na wszystkich frontach, gdzie walczyli Amerykanie, a sam Hemingway unikał wojny i siedział w tym czasie w neutralnej Kubie. Ale Hemingway nawet jak się wściekał, to „odpukiwał w niemalowane drewno” stołu Lanhama-był tak samo przesądny jak każdy inny człowiek.

Następnego poranka, kiedy Hemingway popijał swój pierwszy drink tego dnia, trzy dywizje uderzyły na las Hiirtgen. Pisał on, że szturm „rozpoczął się” tuż po świcie. Ale pierwsza faza ataku nie miała zbytniego rozmachu. Teren był zbyt pościły, wszędzie były niemieckie bunkry, a las po prostu był zbyt gęsty.

Jeden z żołnierzy sztabu Lanhama powiedział sierżantowi Maćkowi Morrisowi, który był korespondentem magazynu „Yank”: „[natarcie] jest jak pokonywanie oceanu. Wszystko idzie dobrze, ale wszędzie dookoła jest woda”. W rezultacie bataliony wkrótce rozpadły się na niewielkie grupy żołnierzy dowodzone przez młodszych oficerów i podoficerów. Walczyły one w odosobnieniu w zielonym piekle, które nazywali „fabryką śmierci”.

Tym razem pogoda w „prerażającym Eifel” była po stronie atakujących. Porucznik George Wilson z 22. pp, już wkrótce jedyny oficer liniowy tego pułku, który przeżył od lądowania na plaży „Utah” 6 czerwca, wspominał: „spadło 5 centymetrów świeżego śniegu. [...] Nagle otaczający nas świat stał się czysty, świeży i niezniszczony, wydawało się to bez sensu, że nie polujemy na jelenie w ojczyźnie w Michigan, ale jesteśmy na wojnie i polujemy na ludzi znajdujących się na następnym grzbiecie”.

Hemingway zawsze nazywał samego siebie „Ernini Hemoroidem, Ernie Pyle’em dla ubogich”. W rzeczywistości Pyle, obiekt podziwu przeciętnego amerykańskiego żołnierza, zginął w walce na Pacyfiku w 1945 roku.

„Czysty, świeży i niezniszczony” świat opisywany przez porucznika Wilsona nie miał trwać zbyt długo. Jak pisał on sam: „2. batalion natychmiast natrafił na zaciętą niemiecką obronę. [...] Niemcy wykorzystywali okopane pozycje i kładli brutalnie celny artyleryjski i moździerzowy ogień na naszych żołnierzy znajdujących się na otwartym terenie. Cięli nas bezpośrednim ogniem karabinów maszynowych. Po- nieśliśmy straszliwe straty”.

Przed piątą było już bardzo ciemno i bitwa *de facto* ucichła. Żołnierze widzieli, że muszą szybko znaleźć sobie kryjówkę. Pułkownik Lanham wydał rozkaz okopania się na noc. Ale gdzie i jak? Jak stwierdził zgryźliwie jeden z oficerów 1. batalionu pułku Lanhama: „Żołnierz szybciej pozbyłby się karabinu, aniżeli wyrzuciłby toporek”. Dalej wyjaśniał: „Toporkiem można było rąbać drewno [służące za paliwo i na schrony], a także zabijać Niemiaszków”.

Wielu żołnierzy miało kłopoty ze lokalizowaniem swoich macierzystych kompanii, aby przy nich się okopać i jednocześnie wzajemnie osłaniać. Wilson pamięta, że przez gęstą marznącą ciemność przesuwiał się ze swoimi żołnierzami w stronę własnych wojsk.

Jedynym sposobem powrotu było trzymanie ręki na kablu telefonu polowego. Potykaliśmy się na korzeniach i niewielkich zagłębieniach terenu, nadziewaliśmy się na krzaki, a na koniec całą grupą trafiliśmy na kłęby drutu kolczastego. W ciemności jego poprzecinanie zajęło nam trochę czasu.

Ostatecznie zagubieni żołnierze dotarli na pozycje kompanii, otrzymali rozkaz okopania się i usłyszeli od dowódcy kompanii: „Miejmy nadzieję na dobrą noc”. Życzenie spełniało się aż do szarego świtu, kiedy Wilson odkrył, iż zajmują okop tuż nad wejściem do wykopu, w którym „znajduje się czterech niesamowicie wystraszonych niemieckich żołnierzy”. Było to typowe w panującym zamieszaniu w lesie Hiirtgen. Niemcy „mogli nie poddać się dostatecznie szybko” - myśleli, że zaskoczeni jankesi mogą wrzucić do ich kryjówki granat i ich wszystkich rozwalić. Porucznik Wilson ze swojej strony zauważył, że Niemcy w każdej chwili tej długiej zimnej nocy mogli „go wykończyć”.

Następnego ranka Hemingway, który oczywiście spędził noc zamarzając w okopie, towarzyszył Lanhamowi, kiedy ten sprawdzał swoje trzy bataliony. Ich jeep zatrzymał się w punkcie dowodzenia pełniącego obowiązki dowódcy 1. batalionu, który zgodnie z planem tego dnia miał rozpocząć atak. Był to „mały szary człowiek”, major, oficer, w którym Lanham nie pokładał zbyt dużo wiary. Potem Lanham zwierzył się Hemingwayowi ze swoich wątpliwości, sugerując, że może w ciągu dnia lub dwóch zdjąć Drake'a ze stanowiska, jeżeli ten „nie będzie skuteczniejszy w boju”.

Hemingway przerwał melancholijną ciszę i uroczyście powiedział, „Buck, nigdy nie będziesz musiał zdejmować go ze stanowiska”.

„Dlaczego?” - zapytał zakłopotany Lanham.

„Nie uda mu się - odpowiedział Hemingway - on śmierdzi trupem”.

Ich jeep właśnie dojechał do stanowiska dowodzenia 22. pp, kiedy zastępca Lanhama, pułkownik Ruggles, zbliżył się i zasalutował. „Major Drake właśnie zginął, panie pułkowniku. Kto ma przejąć 1. batalion?”

Hemingway nie skomentował tego. Sam poszedł do cennego pojazdu Lanhama. Kiedy już znikł, Lanham wezwał majora Gofortha, który miał przejąć I. batalion. Wydał mu tylko jeden rozkaz. „Po przybyciu masz nie pakować się; w to samo miejsce, co pułkownik Henley. Już straciliśmy zbyt wielu oficerów”. Lanham nie chciał od jednego pocisku stracić dwóch najważniejszych oficerów. Jednak zanim wszystko się skończyło, Lanham miał ich stracić znacznie więcej, a jego „piękny pułk”, jak go nazywał, dosłownie zniknął w „fabryce śmierci”.

Tego samego dnia Wilson doświadczył straty całego dowództwa batalionu, dowódcy, pułkownika Walkera, „oraz całego jego sztabu”. Następnie stracił dowódcę kompanii. W to miejsce natychmiast trafił inny oficer, który jednak na tym stanowisku nie zagrzał miejsca. Podczas wykonywania rozkazu majora, który kazał im utrzymać pozycję nie do utrzymania, wielu żołnierzy jego nowej kompanii zostało trafionych ogniem niemieckiej artylerii. „Nowy dowódca rozpłakał się i łkając marmotał, że to wszystko jest jego winą. Nie przestawał płakać i kiedy zdałem sobie sprawę, że całkowicie nie jest w stanie kierować działaniami, zadzwoniłem do dowództwa batalionu. [...] i usłyszałem, że mam go wysłać na punkt opatrunkowy”.

Kilka godzin później dowódca kompanii został zmieniony, a nowy oficer został ranny wkrótce potem. Mimo listopadowego zimna, miał on „krople potu na czole; a ręce tak mu drżały, że nie potrafił zapalić papierosa”. Następnego dnia był już w batalionie. I tak to wyglądało.

Hemingway cały czas, przez osiemnaście dni, był z 22. pp, który został rozgromiony przez Niemców. Swoim pracodawcom z „CollierY” nigdy nie przekazał, co zobaczył (mówił, że nie chce marnować „dobrego materiału” na tygodnik). Wszystko, co kiedykolwiek napisał o Hlirtgen, to kilka zdań w książce z 1950 roku *Za rzekę, w cień drzew*, w zręcznym, pozbawionym uczuć, nadętym stylu, który przyswoił sobie w tym okresie swojego życia, kiedy był twardym żołnierzem okresu wojny. Ale „Buck” Lanham, przyszły pisarz, potrafił wyrażać swoje uczucia. Pod koniec tego straszliwego okresu uskarżał się: „Nie sposób opisać mojego cierpienia. Mój wspañiały sztab dosłownie przestał istnieć”.

W deszczu ze śniegiem, w deszczu i śniegu, w potwornych zmaganiach i szturmach na fortyfikacje Hurtgen straty 22. pp były przerażające. Drugiego dnia szturmu, kiedy zginął dowódca 2. batalionu pułkownik Walker, dowodzenie nad 2. przejął major „Wild Man” Blizzard, który we wrześniu jako porucznik prowadził pierwszy patrol przez rzekę Our. Zanim dotarł do stanowiska dowodzenia batalionu, wszyscy oficerowie i podoficerowie jego sztabu byli już zabici bądź ranni. Blizzard, jeśli nie liczy łączników, musiał prowadzić swój bój bez niczyjej pomocy.

Straty 22. pp rosły dzień po dniu. Podobnie było w innych walczących jednostkach. stu... dwustu... trzystu; jednego koszmarnego dnia było ich prawie *pięciuset*. Został ranny nawet porucznik George Wilson: „Coś mnie ukłuło w prawe ramię. Spojrzałem, a w przedramieniu tkwił odłamek szrapnela”. Nie przerwał walki, ale jak później wspomina: „Z mojej strony to było dość głupie, ponieważ po prostu nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się wracać na punkt opatrunkowy pięćset metrów do tyłu”.

Lecz inni tak czynili - całymi kompaniami! Byli wleczeni ze zboczy, na których zostali trafieni, przez przeklinające, pocące się i przestraszone grupy żołnierzy, przeprawiani przez rzeczkę Weisse Weihe, która wylała i sięgała im do szyi, i następnie pozostawiani w pułkowym punkcie medycznym - pozbawionym dachu wiejskim domu. Tu pracowali nad nimi zmęczeni, znękani, poplamieni krwią, palący papierosy lekarze, którzy najpierw odprawiali mogących kontynuować walkę oraz lekko rannych. Poważniej ranionymi - z ranami w płucach, trafionymi we wnętrzości, z poważnymi ranami nóg itp. - zajmowali się w drugiej kolejności. A przez cały czas na zewnątrz rosły stopy zamarzających na zimnie „sztwylniaków”.

Były również inne ofiary. Im nie można było pomóc igłą, skalpelem czy sulfonamidami. Do ich brudnych od odchodów mundurów przyцепione były napisy - nabazgrane ołówkiem tylko jedno słowo - WYCZERPANIE.

Początkowo pojawiało się niewielu szlochających, krzyczących, otępiałych, których kończyny drżały jak liście, przerażał ich każdy nagły odgłos, mieli dzikie oczy, szeroko otwarte, tak jakby doświadczyli niewypowiedzianych okropności. Potem, gdy walki w „fabryce śmierci” zaostrzyły się, pojawiali się na punktach medycznych i opatrunkowych dziesiątkami, setkami, a jeszcze później tysiącami. Stopień nie miał żadnego znaczenia. Dotykało to wszystkich żołnierzy - od osiemnastoletnich rekrutów, którzy prawniej szczerze się nie golili, do dowódców kompanii, a nawet pułkowników dowodzących batalionami. Literatura tamtego czasu pełna jest takich przypadków, które nazywano „wstrząśnięci ostrzałem” czy „uszcześliwieni bombami”. Obecnie nazywa się je bardziej prozaicznie „zmęczenie bojowe” (wiadomo, że koledzy takich ofiar używali bardziej przyziemnych sformułowań, przykładowo „gównowo warty, tchórzliwy skurwysyn”).

Obok porucznika Wilsona, dochodzącego do siebie po zebraniu szczątków zabitego oficera, pod którym natknął się na ciężko rannego, ale będącego w całkiem dobrym stanie ducha podoficera, nagle znalazł się nowy radiotelegrafista. „Targały nim gwałtowne wstrząsy, łyzy łały mu się po twarzy. Całym jego ciałem wstrząsały spazmy, w przerwach między nimi z trudem wydukał, że nie może znieść *tego tutaj*... Łkał jak dziecko przez cały czas i walił głową o ziemię”.

Doświadczony Wilson próbował przemówić „nowemu” do rozumu. Kiedy się to nie udało, zaczął mu grozić. Miał być, jako dezterter, zastrzelony. „Wówczas powiedziałem mu, jak za niego wstydziłoby się rodzice i dalej nic go to nie obchodziło. Nic na niego nie działało, chociaż nieco się uspokoił i zaszokował mnie swoim spostrzeżeniem: »Jestem po prostu nikczemnym, nic nie wartym, tchórzliwym, żydowskim skurwysynem ^ Miałem już tego wszystkiego dość i usiadłem całkowicie skonsternowany”.

W rzeczywistości radiotelegrafista udawał. Był „nygusem”⁵⁴, jak nazywali ich zwykli żołnierze. Ale wielu było takich, którzy nie udawali. Pod Eupen w Belgii, mieście

^M W oryginale *golcl-bricker* - termin, którym obdarzano oszustów sprzedających pokryte złotem cegety jako prawdziwe sztaby złota.

najbliższym lasu Hiirtgen, władze utworzyły 622. Centrum Przemęczonych, które miało zajmować się tymi nieszczęśliwymi żołnierzami. Między nimi a pozostałymi rannymi 4. DP nie było kontaktu. Dostali wystarczająco silne zastrzyki z. amobarbitalu sodu, by trzymać ich we śnie przez trzy dni; budzono ich tylko na posiłki oraz do zabiegów podtrzymujących funkcje życiowe. W regularnych odstępach czasu podawano im dożylnie roztwór, dopóki ich nie obudzono. Mieli zapadnięte policzki, wpadnięte oczy, nadal drżeli. Kierowano ich pod bardzo gorące prysznice i do golenia.

Następnie służby medyczne zadawały im pytania i przeprowadzano podstawową psychoanalizę. Front wołał o strzelców. Większość wracała z powrotem do linii, gdzie prawdopodobnie około 50 procent ponownie się załamywało.

Kapelan 22. pułku, dr Boice, uważał, że wśród odsyłanych z pola walki jest zbyt wielu „nygusów”. Później napisał: „Kiedy żołnierze raz odkryli, że mogą być ewakuowani razem z rannymi, już instynktownie wiedzieli, że tabliczka z napisem „zmęczenie bojowe” oznaczała bezpieczeństwo i wytchnienie. Niektórzy żołnierze trzy- czy czterokrotnie krążyli między ośrodkami odpoczynku a linią frontu. Był to inny wymiar piekła wojny. Psychiatrzy nie mieli wyboru, ponieważ nie można było kierować żołnierzy nigdzie indziej, chyba że uznano by ich za fizycznie niezdolnych lub nie zrównoważonych umysłowo”⁵⁵.

Hemingway, który podczas bitwy ciągle przemieszczał się między batalionowymi i pułkowymi punktami dowodzenia, nie wierzył w zmęczenie bojowe. Żołnierz, który uciekł lub „stchórzył” i odmawiał walki, był „panikarzem”. Oczywiście nie darzył on sympatią psychiatrów - „podstępnych rowerzystów”, którzy wysyłali tych bumelantów na tyły, a w tym czasie ich towarzysze tkwili w śniegu i w błocie.

Ale chociaż Hemingway niewątpliwie reprezentował poglądy wyższych oficerów, którzy mieli umrzeć w wygodnych, ciepłych i bezpiecznych łóżkach, to nie można mu było odmówić odwagi. Wszyscy oficerowie 22. pułku podziwiali go, ponieważ z własnej woli pojawił się w „fabryce śmierci”. Jeden z dowódców batalionów, pułkownik „Swede” Henley, wysoko cenił cywila, który był od niego dwa razy starszy. Jak później wspominał:

Był ze mną na stanowisku dowodzenia na froncie, kiedy padał deszcz, śnieg i śnieg z deszczem. Zawsze znajdował się w środku najcięższych walk, szukając czegoś, co mógłby potem opisać. Nosił ze sobą dwie manierki - jedną ze sznappsem, niemieckim odpowiednikiem południowej kukurydzianej whiskey, w drugiej miał koniak. Zawsze oferował łyka, a kiedy mu proponowano - nigdy nie odmawiał.

- Ostatnio ujawniono tajny dotychczas film amerykańskiego korpusu medycznego dotyczący takich przypadków. Prerażający zapis na celuloidzie. W rzeczywistości jeden z lekarzy, który później go przedstawiał, odmawiał kierowania „wyleczonych” przypadków „zmęczenia bojowego” z powrotem na linię frontu.

„«Swede» - jak mówił Hemingway - w walce nie bał się niczego. Zginiesz albo nie". Jeżeli polegiesz - to masz z głowy. Niczego więcej się nie dowiesz. Jeżeli przeżyjesz - wygrasz. Hemingway w swojej prostej filozofii przeoczył fakt, że żołnierz piechoty stale i niezmiennie przez dwadzieścia cztery godziny doświadczał niedoli. Ciężko brnął przez głębokie błota, spędzał noce, zazwyczaj w strachu, w zalanych wodą okopach, jadł tylko zimne konserwy. Nie miał manier z mocnymi trunkami, nie prowadził górnołotnych rozmów o wszechświecie i nie filozofował o naturze walki.

To nie perspektywa zabicia w „fabryce śmierci” załamywała żołnierzy, lecz niekończąca się niedola i ciągłe niebezpieczeństwo. Faktu tego Hemingway nigdy nie mógł zrozumieć. Nawet kiedy w swoim czasie podjął decyzję, by strzelić sobie w głowę, prawdopodobnie nadal lekceważył powody, które załamywały człowieka. Być może uważał samobójstwo za akt odwagi.

Nocą 26 listopada patrol z 22. pp Lanhama dotarł do Grosshau, wioski leżącej na drodze do zrujnowanego nadreńskiego miasta Dureń. Gdyby 22. pp mógł zająć Dureń, to praktycznie przeszedłby Linię Zygryda i ruszyłby na Ren, ostatnią naturalną przeszkodę w ofensywie aliantów wiodącej do serca Rzeszy.

O 9.00 następnego ranka 105 żołnierzy z kompanii B Lanhama zaatakowało dominujące wzgórze obok Grosshau. Prowadzący atak pluton został zdziesiątkowany w ciągu dziesięciu minut. Wszyscy żołnierze zostali albo ranni, albo zabici. Niemcy czekali na nich. Do szturmów ruszył kolejny pluton. Na niego również czekały niemieckie karabiny maszynowe, bezlitosny ogień nie tknął jedynie 10 żołnierzy.

Żołnierze byli zrozpaczeni. Zgłosił się ochotnik, który chciał wyeliminować główny niemiecki karabin maszynowy. Został rozerwany na strzępy, zanim zrobił dziesięć kroków. Następnie wyzwanie podjął sierżant. Zaproponował, że wyjdzie na skrzydło niemieckiego stanowiska ogniowego. Nigdy mu się to nie udało.

Przyszła kolej na starszego szeregowego Macano Garcię, który zaledwie rok wcześniej otrzymał amerykańskie obywatelstwo. Samotnie zniknął w lesie. Usłyszano eksplozje granatów. Krótką chwilę później pojawił się Garcia. Był ranny, ale wiódł ze sobą czterech niemieckich jeńców. „Do diabła- mówił, kalecząc język angielski -ja zabić trzech Niemców i wybić karabin maszynowy”. Został ewakuowany na tyły, zanim którykolwiek z jego towarzyszy broni poznał jego imię. „Ten żołnierz dostanie najlepszy medal, jaki mogę mu dać”, deklarował Lanham, kiedy dowiedział się o odwadze Garcii. W swoim czasie „Tex-Mex”, jak pogardliwie nazywano ludzi o podobnym do Garcii pochodzeniu, otrzymał najwyższe odznaczenie swojej nowej ojczyzny - Congressional Medal of Honor. Był jednym z niewielu, którzy je zdobyli za udział w bitwie o Linię Zygryda i który przeżył, by odebrać go osobiście.

Ale zabijanie trwało nadal. Dowódca 4. DP generał „Tuby” Barton był zdenerwowany wolnym tempem natarcia 22. pp. Rozkazał Lanhamowi zajęcie Grosshau tego dnia „bez względu na koszty”. Lanham spróbował oszustwa. Pod pozorem rozejmu zaprosił obrońców do poddania się. Odmówili. Lanham rzucił do walki cały 2. batalion. W ciągu dwóch godzin posunął się on najwyżej o 70 metrów wzdłuż

drogi wiodącej przez zniszczoną wieś. Niemcy wyprowadzili kontratak, Lanham odpowiedział czołgami. Amerykanie weszli na pole minowe. Gaśienice rozerwały się w wybuchach i zwinęły za gwałtownie zatrzymanymi shermanami, jak zmiażdżone kończyny. Przed nadejściem nocy straty 2. batalionu liczyły 162 żołnierzy, około 20 procent stanu osobowego.

Naturalnie Hemingway aż się palił, żeby odwiedzić cel działań 22. pp. Mimo że Grosshau nadal znajdowało się pod ogniem gigantycznego działa stojącego 8 kilometrów dalej na stacji Duren, Lanham pozwolił mu na to. Miał mu towarzyszyć samozwańczy spadochroniarz i korespondent w jednej osobie. Bill Walton.

Zdjęcie zrobione tego dnia we wsi Grosshau⁵⁶ (Hemingway nazywał ją „kartoflaną wsią”) pokazuje, że stanowiła ona kupę porozbijanych ruin na tle listopadowego słońca. Wiodąca przez nią droga była błotnistym bagnem. Nawet maleńki kościółek Świętej Apolonii był wielokrotnie trafiony artyleryjskimi pociskami. Poważna część dzwonnicy była zniszczona, ale jeden dzwon pozostał nietknięty (i wisi na niej do dziś).

Rezultatem pobytu w Grosshau w dzień, kiedy wioska została zdobyta, był jeden artykuł Hemingwaya w „Colliers”. Był on raczej prozaiczny, ale mówił prawdę o tragicznej bezsensownej bitwie o Hiirtgen. Pisał on:

Nikt już nie pamiętał o minionych dniach, nie widział, że każdy dzień zapisuje następne karty historii. Było to jedynie wielkie zmęczenie i kurz, woń padliny, swąd ziemi rozrywanej trotylem, warkot czołgów i buldożerów, łoskot karabinków automatycznych i karabinów maszynowych, przerywany suchy szczełk niemieckich pistoletów maszynowych podobny do dźwięków wydawanych przez grzechotniki oraz szybki werbel lekkich niemieckich karabinów maszynowych - a ogień zawsze był prowadzony do innych...

Dla Hemingwaya „Historia to stare pudła po racjach żywnościowych, puste okopy, zbierane z drzew suche liście służące jako kamuflaż. [...] Ale przeważnie historia polegała na tym, by dostać się w określone miejsce w określonym czasie i czekać na innych, by podeszli”. Ale żołnierze 22. pp, którzy w końcu zeszli z linii frontu, tacy jak George Wilson -jeden z dwóch oficerów batalionu, którzy przeżyli, nie podzielali tych *uczuć*:

Byłem w szoku, którego prawdopodobnie doznałem z dużym opóźnieniem. Myślałem o tych wszystkich żołnierzach, którzy zaczynali ze mną szturm w kom-

⁵⁶ Nawet dzisiaj, ponad 50 lat później, istnieją komórki pokryte dachami zrobionymi z wyklepanych amerykańskich tusek artyleryjskich 75 mm. Pięć lat temu, kiedy odnawiano miejscową szkołę., w piwnicy znaleziono nietknięte wyposażenie amerykańskiego punktu medycznego. Znajdowało się ono dokładnie w takim stanie, jak pozostawiono je w 1944 roku. Nosze były pokryte rdzą i poplamione zaschniętą krwią.

panii F kilka tygodni wcześniej. Byłem jedynym, który mógł samodzielnie wyjść z tego przerażającego lasu. Być może nawet płakałem. Mój wzrok był zamglony i nie mogłem dostrzec swojego starego przyjaciela z kompanii E, sierżanta zaopatrzeniowego O'Malleya, który zbliżył się do mnie. Kiedy szedłem wzdłuż drogi.

O'Malley objął mnie ramieniem i chciał wziąć cały mój ekwipunek. [...] i nieść go przez dalszą część trasy. Próbowaliśmy coś do niego powiedzieć, ale wrzuciłem się i nie mogłem mówić.

Nie było żadnym zaskoczeniem, że ów młody oficer „wrzucił się”. W czasie 18 dni, które 22. pp pułkownika Lanhama spędził w boju, jednostka straciła 3000 żołnierzy. Wilson podsumował to tak: „Stanowiło to około 100 procent stanu osobowego trzech batalionów pułku. To okropna cena za skrawek lasu o szerokości około 8 kilometrów”.

Pięć lat później, kiedy Hemingway zaczął opisywać swoje doświadczenia w powieści *Za rzekę, w cień drzew* i dał swoim czytelnikom „najlepszy towar”, którego odmówił „Collier's” w 1944 roku, pisał jakiegoś główny bohater, pułkownik Cantwell, spotyka w Grosshau żołnierza o poszarzałej twarzy. Mówi on: „Panie pułkowniku, tam na środku drogi leży zabity żołnierz. Za każdym razem, kiedy przejeżdża samochód, musi na niego najechać i obawiam się, że ma to zły wpływ na wojsko”.

Można zastanawiać się, czy zwykły żołnierz mógł mówić takimi słowami w tych okropnych czasach. Za każdym razem, kiedy Cantwell/Hemingway podchodzi, by spojrzeć na martwego żołnierza, decyduje, że należy go usunąć z drogi i pomaga go podnieść, „...i pamiętam co czułem podnosząc go i jaki był bezwładny, dziwnie bezwładny”. Później Cantwell rusza wzdłuż błotnistej drogi prowadzącej przez Grosshau i na szczęście dla jego dziewiętnastoletniej włoskiej dziewczyny, która wydaje się być oczarowana jego zdolnościami literackimi, wspomina: „rzuciliśmy na miasto całe mnóstwo białego fosforu, zanim na dobre do niego weszliśmy, czy jak to sam nazwiesz. Wtedy po raz pierwszy widziałem jak niemiecki pies je spalonego fryca. Później widziałem, jak dobierał się do niego również kot. Był głodny, w rzeczy samej wyglądał na milutkiego. Nie pomyślałbyś, że dobry niemiecki kot jadłby dobrego niemieckiego żołnierza, nieprawdaż? Czy też, że dobry niemiecki pies jadłby dobrą dupę niemieckiego żołnierza, która została upieczona na białym fosforze?”.

Oczywiście opis Hemingwaya miał na celu przekazanie „płacącym” czytelnikom tanią namiastkę koszmaru. Lecz czy oddawało to zrozumienie, szacunek czy honor tym wszystkim młodym żołnierzom, poległym bądź kalekim, którzy w kwiecie swych lat walczyli u boku „papy Hemingwaya”?

Dla Hemingwaya „fabryka śmierci” była po prostu „materiałem”, towarem, z którego miał stworzyć swoją „wielką trylogię” drugiej wojny światowej (nigdy jej nie dokończył). Mając tę wiedzę, uzyskaną za cenę wielu bezsensownych przypadków

nierci, ruszył do swojej kwatery w hotelu Ritz w Paryżu, by sprawdzić, czy „Mr Crooby” popracuje z nową kochanką. Miał już nigdy nie wrócić na front⁵⁷.

Jak się ostatecznie okazało, Hemingway nie miał powodu, by wracać na północną część Wału Zachodniego. Na całym froncie, od armii Pattona na południu, we aneuskiej części Saary, aż do Ardenów i Eifel na angielskich i amerykańskich odczynach w południowej Holandii, ofensywa aliantów zatrzymała się.

I nie był to brak zaopatrzenia, czym amerykańska generalicja usprawiedliwiała swój brak powodzenia we wrześniu i w październiku, ani straszliwe warunki pogodne, które w listopadzie i w grudniu były wygodną wymówką. Nawet „strategia ierokiego frontu” Eisenhowera, która polegała na jednoczesnym wyprowadzaniu taków na całą Linie Zygryda, nie mogły tłumaczyć porażki aliantów.

Przyczyna tego, że Eisenhower nie zdołał przełamać wybudowanego przez Hitlera Wału Zachodniego, znajdowała się gdzie indziej. I naprawdę była bardzo prosta. Niemiecki żołnierz, broniący po raz pierwszy swojej ojczyzny, był bardziej zdeterminowany i wykazywał większą wytrzymałość niż atakujący żołnierze aliantów, rozbite niemieckie jednostki, które uciekły z Francji we wrześniu 1944 roku, walczyły z amerykańskimi dywizjami, mającymi przewagę rzędu 3:1, a nawet 4:1. Przyczyną do wału Niemcy walczyli *bis zum bittern Ende*.

Podczas ostatniego tygodnia listopada 1944 roku nowy dowódca sił lądowych, generał Eisenhower, musiał mieć wrażenie, że jeśli przeciwnik nie popełni poważnego błędu taktycznego, takiego jak opuszczenie pozycji obrony Linii Zygryda, „frye” będą trzymały się na Wale Zachodnim przez całą wieczność.

W grudniu 1944 roku Hemingway opuścił Rilza, by powrócić do 22. pułku w Luksemburgu, który brał udział w bitwie o Ardeny. Jednak większość czasu spędził pijąc lub będąc złożonym z bólem w łóżku w domu księdza kilka kilometrów za linią frontu. Dziś, dzięki autorowi tej książki, w domu tym wisi tablica upamiętniająca Hemingwaya. Jednak w całym „małym Luksemburgu” wisi tablice upamiętniające drugą wojnę światową.

Część 2

listopad-grudzien 1944

Jeżeli wywiad nie ponosił za to winy, to kto?

generał major Ken Strong, szef wywiadu Eisenhowera, 1968

1. Nad Renem

/ znaleźliśmy się na tym wzgórzu około 900 m od fortu i widzieliśmy pociski 203 mm odbijające się od jego ścian. Klnę się na Boga, artyleria - najcięższa, jaką mieliśmy, i nawet go nie wyszczerbiła... Wydaje mi się, że wszyscy myśleli, „jak do diabła mamy zdobyć to miejsce? ”.

Harry Garman, piechota, listopad 1944

O świecie niewysoki francuski generał, nad którym wisiała wydana przez jego *grandę nation* (wielki naród) kara śmierci, ponownie zlekceważył otrzymane rozkazy. Nie było w tym nic nowego. Dowódca francuskiej 2. Dywizji Pancерnej generał Leclerc od 1940 r. był przyzwyczajony do niewykonywania jakichkolwiek rozkazów, które mu nie odpowiadały. Przede wszystkim liczyła się *la glorie*. Utrzymanie honoru i prestiżu Francji było ważniejsze niż trywialne życzenia zdrajców i renegatów, którzy stanęli po stronie nazistowskich zdobywców lub przyłączyli się do „kolabusiów” proniemieckiego rządu Vichy. Francja była ważniejsza od żądań dowództwa armii brytyjskiej, w której kiedyś Leclerc służył, a także od amerykańskiej, w której wówczas byli jego przełożeni⁵⁸.

Uparty dowódca jednostki pancерnej, który w sierpniu 1944 roku wjechał do Paryża, rozkazał swojej dywizji, by ta zajęła Strasbourg, kolejne francuskie „święte miejsce”. Atak z zaskoczenia miał się rozpocząć rankiem 23 listopada.

Porucznik Triumpho, oficer trzyosobowego mobilnego zespołu łącznikowego obsługującego francuską 2. DPanc wyruszył jeepem o świecie na miejsce spotkania, „Jako Amerykanin posługujący się językiem francuskim wiedział, jakie grozi mu niebezpie-

⁵⁸ Kapitan Visconte dc 1 lautecloaque zmieni! nazwisko na Leclerc i w 1940 r. opuścił Francję., by przyłączyć się do de Gaullc'a. Rząd Vichy zaocznie skazał go na karę śmierci. Odląd generał Leclerc nigdy nie chciał mieć czegokolwiek wspólnego z tymi, którzy służyli rządowi Vichy. w tym z dowódcą francuskiej 1. Armii marszałkiem de Lattre'em, który podlegał amerykańskiemu dowództwu. (Jak się mówiło, de Lattre w 1940 r. miał zaferować Niemcom pomoc w inwazji na Wielką Brytanię i opuścił Francję dopiero w 1942 r, na pokładzie okrętu podwodnego).

czeństwo. Niemcy w stolicy Alzacji mieli garnizon liczący 15 000 żołnierzy, a porównywalna liczba ludności niemieckiej miała pronazistowskie poglądy (przecież od 1940 roku byli to *Reichsdeutsche*, czyli etniczni Niemcy). Lotne kolumny Leclerca wyłaniające się z Wogezów i kierujące się w stronę położonego niżej Renu miały przed sobą nie tylko perspektywę walki z niemieckim garnizonem, lecz również możliwość zdrady przez proniemieckich Alzatzyków, i to jeszcze przed dojściem do Strasbourga.

Jednak, jak odnotował to miody oficer artylerii, szczęście sprzyjało Leclercowi. „Ruszyliśmy przez równinę naszym jeepem. Razem z nami jechało cztery czy pięć :zołgów i kilka półciążarówek z piechotą. Mijaliśmy pracujących robotników oraz grupy niemieckich żołnierzy, którzy stali z rozdziawionymi ustami. Kiedy zobaczyli, że jesteśmy Francuzami, przestraszyli się na śmierć, ponieważ słyszeli, iż Francuzi nie biorą jeńców”. Atak Leclerca z pewnością się opłacał.

Lotne kolumny z fasonem parły do przodu. Jadący na czele francuscy oficerowie usiłowali zobaczyć słynną katedrę w Strasbourgu. Leclerc zobaczył kościół, rozkazał zatrzymać kolumnę i wydał polecenie oficerowi, który znał język niemiecki, by ten z publicznego telefonu zadzwonił do najbliższych niemieckich koszar. Francuski oficer krzyczał do słuchawki, tak jakby znalazł się w trudnym położeniu: „Pilnie potrzebujemy tu wsparcia. Przyślijcie batalion!”.

Niemcy posłusznie skierowali batalion alarmowy, który wpadł prosto do worka, Leclerc nie wahał się. Jeden zdolny do walki batalion został wyeliminowany. Wydał rozkaz kontynuowania uderzenia na Strasbourg. Wiele lat po śmierci Leclerca, która nastąpiła w tajemniczych okolicznościach, wspomina tę akcję dowódca amerykańskiego korpusu, w którym była 2. DPanc, generał Haislip: „Gdy Leclerc opowiadała mi o tym był bardzo podekscytowany. Po prostu uwielbiał ten rodzaj działań”.

Cywil Dennis Woodcock, angielski kwakier jeżdżący ambulansiem we francuskiej jednostce, pamięta sytuację, jaka miała miejsce, kiedy Leclerc wjechał do stolicy Alzacji: „Niemcy nie mieli najmniejszego pojęcia, co się dzieje. [...] Byli całkowicie zszokowali. Wielu z nich w ogóle nie walczyło⁵”. Byli to cywile, administracja, ludzie z teczkami lub będący na zakupach, z żonami lub bez. Trafiliśmy prosto między nich, a splamieni krwią francuscy żołnierze nie pasowali do tego miejsca”.

Gdzieś tam wybuchły walki. To nie martwiło Leclerca. Bardzo chciał święcić wój triumf- najpierw Paryż, teraz Strasbourg. Na wysunięte stanowisko dowodzenia przekazano zakodowaną wiadomość: „Szmątka w jodynie”. Francuz się nic walczył. Razem z eskortą ruszył do centrum dopiero co zdobytego miasta, które jest położone na brzegu niemieckiego Renu. Podążający za nim adiutant, kapitan Chatel, zanotował triumfalny wjazd:

* W okresie rządów niemieckich miała miejsce bardzo aktywna współpraca między francuskim rzemysłem ciężkim Alzacji i Lotaryngii a Rzeszą. Ten sam rodzaj współpracy został odnowiony iż kilka lat po pokonaniu nazistowskich Niemiec. Nic było zaskoczeniem, że Strasbourg stał się ierwszą siedzibą struktury nazwanej później EWG.

Działy się fantastyczne rzeczy. Kiedy mijaliśmy zakład fryzjerski zobaczyłem, jak ginie niemiecki oficer, który wysiadł z samochodu sztabowego stojącego przy kra-
węzniku. Tramwaje nadal jeździły i wielu Niemców, przede wszystkim z jedno-
stek tyłowych, udawało się w miejsce wykonywania swoich obowiązków, nie
zdając sobie sprawy z naszej obecności. Wówczas zobaczyłem najbardziej wzru-
szającą scenę. Kiedy ludzie zdali sobie sprawę, że jesteśmy Francuzami, wielu
z nich upadło na kolana, płakało z radości i składało dziękczynne modlitwy. Jecha-
liśmy prosto do *Kaiserpalast*, gdzie mieściło się niemieckie dowództwo i kwatery
gestapo. Kiedy przybyliśmy, filiżanki z kawą dla niemieckich sztabowców, teraz
pod strażą, nadał były gorące. Tak wielkie było zaskoczenie.

W tym samym czasie porucznik Tony Triumpho zdecydował się przekroczyć
szeroki Ren, ostatnią poważną przeszkodę na drodze do Niemiec. „Grzaliśmy pro-
sto przez Strasbourg, przejechaliśmy przez Ren i byliśmy już w Kehl po niemieckiej
stronie”. Wydawało się, że wokół nikogo nie ma. Przeprowadziliśmy rozpoznanie,
by dowiedzieć się czegoś więcej, ale wszystko, co usłyszeliśmy, to ćwierkanie pta-
ków. Było to niesamowite i opustoszałe miejsce”.

Niedaleko od nich korespondent wojenny BBC zanotował ten fakt dla słuchaczy
Home Service. „I są tam, na tle ciemnego od deszczu nieba na wschodzie widać
zarys odległych wzgórz - Schwarzwald, zachodniej granicy Rzeszy Hitlera. Czuli-
śmy, że zbliża się kres długiej podróży... *W końcu doszliśmy do Renu*”

Kiedy naczelny dowódca usłyszał te wieści w swoim dowództwie w pałacu
w Wersalu, nie był zadowolony. Leclerc ruszając na Ren nie zastosował się do
rozkazów. Później mówiono, że była to zasadnicza przyczyna jego niezadowolenia.
„Ike” nie był też zbyt zadowolony ze sposobu, w jaki Leclerc zaczynał rządzić
w stolicy Alzacji. Zapowiedział, że za każdego Francuza zastrzelonego przez snaj-
perów rozstrzela pięciu niemieckich jeńców⁶⁰.

Wszędzie oficerowie Leclerca aresztowali francuskich urzędników, przedsię-
biorców i podejrzanych o pracę dla Niemców - a było ich całe mnóstwo⁶¹. W rze-
czywistości Eisenhower był tak rozwścieżony, że rozkazał Leclercowi przywrócić
w całym Strasbourgu poprzednie niemieckojęzyczne nazwy ulic. Miało to na celu
uniknięcie, jak oświadczył, „administracyjnego chaosu”, i niewiele brakowało, by
naczelny dowódca wrócił do niebiesko-białego znaku *Adolf-Hitler-Platz*.

⁶⁰ Kiedy de Gaulle przybył do Strasbourga kilka dni później, by uczestniczyć w dziękczynnej mszy,
okna katedry zostały zakryte kocami, co miało uniemożliwić prowadzenie celnego ognia snajperskiego.

⁶¹ Miesiąc po tym jak Leclerc zajął Strasbourg Niemcy i Francuzi przemysłowcy odbyli ściśle
tajną konferencję, w hotelu Maison Rouge (hotel ten do dziś funkcjonuje). Grupa przemysłowa „Przy-
jaciele Reichsführera SS Himmlera” zdecydowała o sposobach kierowania i inwestowania niemiec-
kiego kapitału w fabryki położone za granicą Niemiec, co miało finansować przyszłą „IV Rzeszę”. Po
dziś dzień uczestnicy tej konferencji, którzy nie byli Niemcami, oraz ich decyzje nie są znane. To
może tłumaczyć, dlaczego Strasbourg „stał się” siedzibą „Wspólnego Rynku” - opartego na tym,
który przez nazistów był prowadzony przez cztery lata.

czeństwo. Niemcy w stolicy Alzacji mieli garnizon liczący 15 000 żołnierzy, a porównywalna liczba ludności niemieckiej miała pronazistowskie poglądy (przecież od 1940 roku byli to *Reichsdeutsche*, czyli etniczni Niemcy). Lotne kolumny Leclerca wyłaniające się z Wogczów i kierujące się w stronę, położonego niżej Renu miały przed sobą nie tylko perspektywę walki z niemieckim garnizonem, lecz również możliwość zdrady przez proniemieckich Alzaczyków, i to jeszcze przed dojściem do Strasbourga.

Jednak, jak odnotował to miody oficer artylerii, szczęście sprzyjało Leclercowi. „Ruszyliśmy przez równinę naszym jeepem. Razem z nami jechało cztery czy pięć czołgów i kilka półcieżarówek z piechotą. Mijaliśmy pracujących robotników oraz grupy niemieckich żołnierzy, którzy stali z rozdziawionymi ustami. Kiedy zobaczyli, że jesteśmy Francuzami, przestraszyli się na śmierć, ponieważ słyszeli, iż Francuzi nie biorą jeńców”. Atak Leclerca z pewnością się opłacał.

Lotne kolumny z fasonem parły do przodu. Jadący na czele francuscy oficerowie usiłowali zobaczyć słynną katedrę w Strasbourgu. Leclerc zobaczył kościół, rozkazał zatrzymać kolumnę i wydał polecenie oficerowi, który znał język niemiecki, by ten z publicznego telefonu zadzwonił do najbliższych niemieckich koszar. Francuski oficer krzychał do słuchawki, tak jakby znalazł się w trudnym położeniu: „Pilnie potrzebujemy tu wsparcia. Przyślijcie batalion!”.

Niemcy posłusznie skierowali batalion alarmowy, który wpadł prosto do worka. Leclerc nie wahał się. Jeden zdolny do walki batalion został wyeliminowany. Wydał rozkaz kontynuowania uderzenia na Strasbourg. Wiele lat po śmierci Leclerca, która nastąpiła w tajemniczych okolicznościach, wspomina tę akcję dowódca amerykańskiego korpusu, w którym była 2. DPanc, generał Haislip: „Gdy Leclerc opowiadała mi o tym był bardzo podekscytowany. Po prostu uwielbiał ten rodzaj działań”.

Cywil Dennis Woodcock, angielski kwakier jeżdżący ambulansiem we francuskiej jednostce, pamięta sytuację, jaka miała miejsce, kiedy Leclerc wjechał do stolicy Alzacji: „Niemcy nie mieli najmniejszego pojęcia, co się dzieje. [...] Byli całkowicie zszokowali. Wielu z nich w ogóle nie walczyło”. Byli to cywile, administracja, ludzie z teczkami lub będący na zakupach, z żonami lub bez. Trafiliśmy prosto między nich, a splamieni krwią francuscy żołnierze nie pasowali do tego miejsca”.

Gdzieś wybuchły walki. To nie martwiło Leclerca. Bardzo chciał święcić swój triumf- najpierw Paryż, teraz Strasbourg. Na wysunięte stanowisko dowodzenia przekazano zakodowaną wiadomość: „Szmątka w jodynie”. Francuz się nie wahał. Razem z eskortą ruszył do centrum dopiero co zdobytego miasta, które jest położone na brzegu niemieckiego Renu. Podażający za nim adiutant, kapitan Chatel, zanotował triumfalny wjazd:

W okresie rządów niemieckich miała miejsce bardzo aktywna współpraca między francuskim przemysłem ciężkim Alzacji i Lotaryngii a Rzeszą. Ten sam rodzaj współpracy został odnowiony już kilka lat po pokonaniu nazistowskich Niemiec. Nie było zaskoczeniem, że Strasbourg stał się pierwszą siedzibą struktury nazwanej później EWG.

Działy się fantastyczne rzeczy. Kiedy mijaliśmy zakład fryzjerski zobaczyłem, jak ginie niemiecki oficer, który wysiadł z samochodu sztabowego stojącego przy kra-
węźniku. Tramwaje nadal jeździły i wielu Niemców, przede wszystkim z jedno-
stek tyłowych, udawało się w miejsce wykonywania swoich obowiązków, nie
zdając sobie sprawy z naszej obecności. Wówczas zobaczyłem najbardziej wzru-
szającą scenę. Kiedy ludzie zdali sobie sprawę, że jesteśmy Francuzami, wielu
z nich upadło na kolana, płakało z radości i składało dziękczynne modlitwy. Jecha-
liśmy prosto do *Kaiserpalast*, gdzie mieściło się niemieckie dowództwo i kwatery
gestapo. Kiedy przybyliśmy, filiżanki z kawą dla niemieckich sztabowców, teraz
pod strażą, nadały się do picia. Tak wielkie było zaskoczenie.

W tym samym czasie porucznik Tony Triumpho zdecydował się przekroczyć
szeroki Ren, ostatnią poważną przeszkodę na drodze do Niemiec. „Grzaliśmy pro-
sto przez Strasbour, przejechaliśmy przez Ren i byliśmy już w Kehl po niemieckiej
stronie”. Wydawało się, że wokół nikogo nie ma. Przeprowadziliśmy rozpoznanie,
by dowiedzieć się czegoś więcej, ale wszystko, co usłyszeliśmy, to ćwierkanie pta-
ków. Było to niesamowite i opustoszałe miejsce”.

Niedaleko od nich korespondent wojenny BBC zanotował ten fakt dla słuchaczy
Home Service. „I są tam, na tle ciemnego od deszczu nieba na wschodzie widać
zarys odległych wzgórz - Schwarzwald, zachodniej granicy Rzeszy Hitlera. Czuli-
śmy, że zbliża się kres długiej podróży... *W końcu doszliśmy do Renul*”

Kiedy naczelny dowódca usłyszał te wieści w swoim dowództwie w pałacu
w Wersalu, nie był zadowolony. Leclerc ruszając na Ren nie zastosował się do
rozkazów. Później mówiono, że była to zasadnicza przyczyna jego niezadowolonia.
„Ike” nie był też zbytnio zadowolony ze sposobu, w jaki Leclerc zaczynał rządzić
w stolicy Alzacji. Zapowiedział, że za każdego Francuza zastrzelonego przez snaj-
perów rozstrzela pięciu niemieckich jeńców⁶⁰.

Wszędzie oficerowie Leclerca aresztowali francuskich urzędników, przedsię-
wzięwców i podejrzanych o pracę dla Niemców - a było ich całe mnóstwo⁶¹. W rze-
czywistości Eisenhower był tak rozwścieczony, że rozkazał Leclercowi przywrócić
w całym Strasbourgu poprzednie niemieckojęzyczne nazwy ulic. Miało to na celu
uniknięcie, jak oświadczył, „administracyjnego chaosu”, i niewiele brakowało, by
naczelny dowódca wrócił do niebiesko-białego znaku *Adolf-Hitler-Platz*.

⁶⁰ Kiedy de Gaulle przybył do Strasbourga kilka dni później, by uczestniczyć w dziękczynnej misie, okna katedry zostały zakryte kocami, co miało uniemożliwić prowadzenie celnego ognia snajperskiego.

⁶¹ Miesiąc po tym jak Leclerc zajął Strasbourg Niemcy i Francuzi przemysłowcy odbyli ściśle tajną konferencję, w hotelu Maison Rouge (hotel ten do dziś funkcjonuje). Grupa przemysłowa „Przyjaciele Reichsführera SS Himmlera” zdecydowała o sposobach kierowania i inwestowania niemieckiego kapitału w fabryki położone za granicą Niemiec, co miało finansować przyszłą „IV Rzeszę”. Po dziś dzień uczestnicy tej konferencji, którzy nie byli Niemcami, oraz ich decyzje nie są znane. To może tłumaczyć, dlaczego Strasbour „stał się” siedzibą „Wspólnego Rynku” - opartego na tym, który przez nazistów był prowadzony przez cztery lata.

Po rozważeniu wszystkich argumentów Eisenhower w ostatnim tygodniu listopada doszedł do wniosku, że nadszedł czas na złożenie wizyty w dowództwie, pod które podlegała 2. DPanc - w 6. Grupie Armii dowodzonej przez generała „Jake'a” Deversa. Deversowi zwrócono uwagę, że ma wykonywać rozkazy naczelnego dowódcy albo...

24 listopada Eisenhower i Bradley opuścili 3. Armią Pattona i ruszyli na południe na teren odpowiedzialności Deversa. Prowadziła sekretarka i kochanka Eisenhowera w jednej osobie Kay Summersby. Mimo że była Brytyjką, nosiła insygnia amerykańskiego podporucznika Pomocniczego Korpusu Kobiet. Zazwyczaj Eisenhower był szczęśliwy, kiedy znajdował się w drodze z zielonooką byłą modelką. Mogli wówczas uciec od wścibskich oczu i protokołu, jakie panowały w naczelnym dowództwie. Ale nie tym razem.

Tego piątku była paskudna pogoda, jego żona Mamie słała mu pełne zazdrości marudne listy z Waszyngtonu, Devers miał o sobie zbyt duże mniemanie, a Montgomery w Londynie ponownie próbował zniszczyć jego reputację. Ale najgorsze miało dopiero nadejść.

Właśnie pojawili się w sztabie dowódcy korpusu Haislipa i mieli przedyskutować problemy kontynuowania ofensywy w Alzacji, kiedy Haislip wybiegi na deszcz i bioto krzyżąc: „Generale, na miłość boską, właśnie jechałem powiedzieć, by pan nie przyjeżdżał. Proszę odjechać. Nie chcemy tu pana. Mamy meldunek o pancernym włamaniu na odcinku frontu utrzymywanym przez naszą kawalerię”.

Summersby spojrzała na innych kierowców. Twarze zdradzały ich myśli. Zauważyli, że personel dowództwa korpusu przygotowywał się do obrony. Skwitowali to słowami: „Kiedy dowództwo musi walczyć, generałowie się wynoszą”.

Eisenhower wyśmiał to ostrzeżenie. Mimo złego humoru generał zachnął się: „Cholera, Ham⁶², zaprosiłeś mnie na lunch i nie zamierzam wyjechać, póki go nie dostanę”.

Ale dowódca korpusu bliski paniki tylko pogłębił ponury nastrój Eisenhowera. Już nie lubił Deversa i jego plany również przestawały mu się podobać, tak jak to było przed 6 czerwca 1944 roku, kiedy krótko pracowali razem w Londynie. Bradley również nie był zachwycony swoim konkurentem w Alzacji. Później pisał tak: „Przyglądałem się Deversowi z bliska i mam na temat tego człowieka swoją własną niezależną opinię. Uważam go za gadułę, który plecie o nieistotnych sprawach, pozbawionego tolerancji egoistę, niezbyt lotnego i zbyt skłonnego do bezmyślnego nieprzygotowanego działania”.

Było to poważne oskarżenie kierowane pod adresem wyższego amerykańskiego dowódcy, ale ten punkt widzenia podzielał również Eisenhower. Nazwał on Deversa „generałem małego kalibru”, co było niezbyt pochlebną oceną trzygwiazdkowego generała na stanowisku dowódcy grupy armii. Ale czy były to prawdziwe przyczyny tego, że Bradley i Eisenhower przeczuwali co się wkrótce wydarzy?

⁶² Wado Hamilton Haislip.

Podczas posiłku Eisenhower odkrył, że mimo zagrożenia, Haislip i dowódca innego korpusu, generał Brooks, nadał planowali pokonanie Renu i uderzenie na Linie Zygryda. Obaj przygotowywali plany forsowania tej szerokiej rzeki między Strasbourgiem a niemieckim miastem Rastatt. Nad Ren skierowano patrole w silnej kompanii.

Żołnierze amerykańskiej 3. Dywizji Piechoty, „The Rock of the Marne”⁶³ w drodze w głąb Niemiec na wschód od Renu nie napotkali na poważny opór. Przeszli przez bunkry Linii Zygryda, do których zbliżali się bardzo ostrożnie (mieli na względzie to, co przeczytali w „Stars and Stripes” o atakach na nią na północy). Ich ostrożność była nieuzasadniona. Bunkry były opuszczone i wydawało się, że od dawna nikogo w nich nie było. Silne uderzenie przez Ren zaczęło przybierać kształt „walkoweru”.

Z pewnością uważali tak Haislip i Brooks. Przekazali swoje opinie dowódcy 6. Grupy Armii, generałowi Deversowi, a on dał im zielone światło do pokonania rzeki. Amerykańska 7. Armia, zasadniczy komponent grupy armii Deversa, miała żalosne notowania od chwili, gdy w sierpniu 1944 roku wylądowała na południu Francji. Teraz nadszedł czas, myślał Devers, by zwrócić uwagę „dżentelmenów z północy”. Wielu ważnych amerykańskich generałów podczas drugiej wojny światowej właśnie tak myślało - na polu walki pojawiła się troska o swój wizerunek publiczny.

Po tym, jak po drugiej stronie Renu utworzono silny przyczółek, Haislip i Brooks byli przekonani, że Devers zatwierdzi ich plany uderzenia po niemieckiej stronie i połączenia się z 3. Armią Pattona w okolicach Saary. W normalnych okolicznościach ów notoryczny poszukiwacz poparcia ośrodków opiniotwórczych i mediów nie wyraziłby na to zgody. Chciał zatrzymać całą sławę dla siebie. Lecz tym razem, jak to później odkryto, zgodził się. „Ole Blood an' Guts” w swoim kalendarzu zapisał, że gdyby był na miejscu Eisenhowera, wysłałby na drugą stronę Renu przynajmniej VI Korpus Brooks, którego zadaniem byłoby przeprowadzenie tej operacji.

Eisenhower miał inne zdanie. Po lunchu z Haislipem niewielka kawalkada ruszyła do sztabu Brooks. Tu Eisenhower odkrył, i to go zaalarmowało, że to dowództwo miało jeszcze lepiej przygotowane plany przedostania się przez Ren. Bez wstępnych konsultacji ze sztabem „Ike'a” w Wersalu, Brooks i jego sztabowcy siadali do planów przejścia przez Ren między Strasbourgiem a Rastatt. Stamtąd, jeżeli otrzymaliby zgodę na dalsze działania, mieli nadzieję dojść do sieci autostrad w południowych Niemczech, które z kolei doprowadziłyby ich do środkowych Niemiec. Bawarii i przez starą, z 1938 roku, granicę do Austrii, wówczas funkcjonującą pod nazwą „Ostmark” i będącą częścią Wielkiej Niemieckiej Rzeszy. Faktycznie taki miał być kierunek wiodącej do zwycięstwa ofensywy 7. Armii. Ale do tego miało dojść prawie aż 6 miesięcy później i do tego czasu sytuacja na zachodzie miała ulec dramatycznej zmianie.

*' Dywizja zdobyła swój przydomek podczas bitwy nad Marną w pierwszej wojnie światowej.

Eisenhower, wściekły ponad miarę (wówczas nie znano przyczyn jego złości¹⁰⁴), natychmiast opuścił sztab podwładnego. Nie poczekał na swoich oficerów sztabowych, by ci przeanalizowali sytuację. Wydał rozkazy ustne - na tak wysokim stanowisku czyn bez precedensu - natychmiastowego zatrzymania planowania operacji pokonywania Renu. Zamiast tego 7. Armia miała skierować się na północ i połączyć z Pattonem po zachodniej stronie Renu. Innymi słowy, 7. Armia Deversa ponownie miała osłaniać skrzydło 12. Grupy Armii Bradleya.

Kiedy Jake Devers usłyszał propozycję Eisenhowera, nie mógł uwierzyć własnym uszom. Po trzech miesiącach walki o Linie Zygryda, kiedy straty wynosiły już ponad 100 000 żołnierzy, 12. Grupa Armii Bradleya płytko weszła w niemieckie linie obrony między Gcilenkirchen oraz Aachen i nie była w stanie ich przełamać. Jedyne wpływy, jakie miały owe zażarte, złane krwią tygodnie walk na Niemców, to fakt, że skoncentrowali oni swoje odwody między Kolonią a Aachen, co miało zatrzymać uderzenie aliantów na leżący osiemdziesiąt kilometrów dalej Ren.

Devers był na brzegu Renu. miał przed sobą co najwyżej 90 metrów niestrzeżonej przeszkody wodnej (*de facto* Ren został już pokonany przez patrole z 3. DP). a Ike zamierzał go zatrzymać. Dlaczego? Czy dlatego, że Ike go nie lubił? W naczelnym dowództwie krążyła plotka, że Eisenhower powstrzymał się od wyrzucenia Deversa jedynie dlatego, iż naczelny dowódca nie mógł samodzielnie podjąć decyzji o usunięciu ze stanowiska trzygwiazdkowego generała.

Devers, po tym jak usłyszał nagłą i zaskakującą decyzję Eisenhowera, w drodze powrotnej do własnego dowództwa zdecydował się podjąć rękawicę. Miał przecież dostęp do najpotężniejszego generała w amerykańskiej armii, którym był szefsztabu, generał Marshall. Mimo że Marshall faworyzował Eisenhowera i awansował Ike'a, pomijając jednocześnie przy tym 366 innych równych mu rangą amerykańskich generałów, to surowy dowódca sił lądowych w Waszyngtonie nie przyjmował bzdurnych rozkazów od naczelnego dowódcy, który się go obawiał.

Devers w swojej kwaterze w hotelu Hermitage w Vittel, który nadal istnieje, zbierał myśli. Wiedział, że Eisenhower musi przyjść na oficjalną kolację - było to kwestią kurtuazji - i chciał się przygotować na jego i Bradleya wizytę.

Nie wiadomo, co dokładnie myślał. Normalnie bez ograniczeń wyrażał swoje opinie i nie chował ich dla siebie. Eisenhower powiedział o nim: „[Devers] często wygłasza nieprecyzyjne sformułowania i oceny. [...] [dotychczas] nie stworzył tu wśród poważnych amerykańskich struktur poczucia wiary i zaufania”. Wydaje się, że Devers nie wygłosił żadnych ostentacyjnych komentarzy dotyczących decyzji Eisenhowera. Jednak jego sztab czuł, że Eisenhower ponownie zamierzał ograniczyć wkład 7. Armii Deversa w wysiłek wojenny. Ponownie zwracające uwagę

¹⁰⁴ Istniało niewielkie niemieckie zagrożenie na skrzydle Haislipa, ale nie miało ono poważnego znaczenia.

nagłówki gazet były zarezerwowane dla Pattona i Bradleya. Tym razem ich przełożony miał uzmysłowić „dżentelmenom z północy”, co znaczy zarabiać na sobie.

Po zakończeniu oficjalnej kolacji w hotelu Hermitage trzej generałowie wrócili do prywatnego gabinetu Deversa, by przedyskutować proponowane przeprawienie się przez Ren.

Dyskusję otworzył Eisenhower, który oświadczył, że zanim podejmie się próbę przejścia przez Ren, należy zająć się częścią niemieckiej 19. Armii pozostałą po zachodniej stronie rzeki. Według Eisenhowera Devers ripostował, że mogłaby się tym „z łatwością zająć” francuska 1. Armia, znajdująca się w składzie jego grupy armii.

Być może Devers był zbyt optymistyczny w ocenie możliwości francuskiej 1. Armii. Poniosła ona ciężkie straty i oczekiwała na wzmocnienie ze środkowej Francji. W rzeczywistości jej dowódca, generał de Lattre de Tassigny, który swego czasu na ochotnika zgłosił się do Niemców, by wesprzeć ich w inwazji na Wielką Brytanię, skarżył się de Gaulle'owi, że Francja wydaje się zapominać o swojej armii walczącej w Alzacji.

Eisenhower sugerował, że ocena Deversa dotycząca francuskiego potencjału bojowego była „zbyt optymistyczna” i że „prawdopodobnie przecenił on możliwości prowadzenia obrony przez jednostki niemieckie, które uparcie utrzymywały swoje umocnione pozycje” (z pewnością myślał o trzymiesięcznej bitwie o Wał Zachodni). Temperatura dyskusji podniosła się jeszcze bardziej.

Eisenhower przywołał na pomoc całą swoją władzę, autorytet i prestiż, by powstrzymać Deversa. Dosłownie wydał mu rozkaz skierowania 7. Armii na północ i połączenia się z Pattonem w zagłębiu Saary. Stało to w przeciwieństwie z dyrektywą otrzymaną z jego własnego dowództwa, która podczas listopadowej ofensywy, tak nieszczęśliwie zakończonej w Hiirtgen, nakazywała wszystkim dowódcom wykorzystać każdą możliwość przekroczenia Renu.

Naczelny dowódca coraz bardziej naciskał. Jeżeli Devers nie postąpi zgodnie z jego „sugestiami”, Ike może być zmuszony do zabrania mu dwóch dywizji oraz przydzielenia korpusowi Haislipa większego obszaru odpowiedzialności na północnym wschodzie, co zmniejszy możliwości oddziaływania tego korpusu.

Devers gwałtownie zaprotestował. Z wściekłością w głosie zauważył, że to jego 7. Armia powinna być wzmocniona, a nie 3. Pattona, która wówczas wkopała się w błota Lotaryngii. Tu do dyskusji włączył się tzw. żołnierski generał⁵, strudzony generał Bradley, dawny podwładny Pattona, a teraz jego opiekun. Powiedział, że każda próba forsowania Renu i przejścia Linii Zygfryda byłaby poważnym głupstwem. Bradley, który nie wiedział o patrolach 3. DP, był zaskoczony, kiedy Devers

⁵ W środku wojny komórki armii odpowiedzialne za jej wizerunek nadawały większości amerykańskich generałów „odważne” przydomki - „Dziki Bill”, „Łysy Harry”, „Żelazny Mike”, etc. Próbowano zrobić to samo z bezbarwnym Bradleyem, ale wszystko, co wymyślono na rozkaz Eisenhowera, to „żołnierski generał”. Nigdy jednak się on nie przyjął. Żołnierze nic mają „żołnierskich generałów”.

stwierdził, że jego jednostki już pokonały Wał Zachodni na południe od Rastatt, a bunkry, które mijali po drodze, były opuszczone i nieobsadzone.

Eisenhowera w ogóle to nie obchodziło. Z uśmiechem od ucha do ucha, którym czarował publiczność kinowych sal po obu stronach Atlantyku, najwyraźniej myśłami nieobecny, rozkazał Deversowi wykonać otrzymane zadanie - oczyścić zachodni brzeg Renu w swoim obszarze odpowiedzialności. O przełamaniu Wału Zachodniego nie było mowy. Jeżeli Devers zaakceptuje rozkaz bez zastrzeżeń, będzie mógł zatrzymać swoje dwie dywizje, a nawet wdzięczny naczelny dowódca doda mu jedną ze świeżych amerykańskich dywizji pancernych, które z Wielkiej Brytanii pojawiły się na europejskim teatrze działań.

Był to szantaż, czysty i prosty. Ale Devers wiedział, że został pokonany. To były pierwsze godziny tego listopadowego ranka. Zrezygnował i pozwolił, by wygrał Eisenhower. Trzej generałowie byli zmęczeni, a oprócz tego jeszcze bardzo rozeźleni. Istnieje dokument, który mówi, że z tej odprawy Eisenhower wyszedł „wściekły jak diabli”. Devers, ze swojej strony, jeszcze w łóżku zastanawiał się, jak napisał w swoim dzienniku, czy nadal był „członkiem tego samego zespołu”.

Przed spotkaniem w hotelu Hermitage Devers i jego dwaj dowódcy korpusów byli przekonani, że nic będą mieli żadnych trudności w sforsowaniu Renu i przełamaniu Linii Zygfryda. VI Korpus Brooksa mógłby wtedy pójść na północny wschód w stronę Karlsruhe i oskrzydlić cały biegnący równoległe do Renu Wał Zachodni¹⁰⁰.

Argumentowano, że teren po przeciwnej stronie Renu między Strasbourgiem i Rastatt nie był odpowiedni do prowadzonego na dużą skalę przełamania. Jednakże, cztery miesiące później, kiedy 1. Armia zajęła „najsławniejszy most w świecie” w Remagen, Eisenhower nie zawahał się rozkazać swoim podwładnym, by „podjęli ryzyko”. Naczelny dowódca odłożył na bok wielki strategiczny plan Montgomery'ego, by przekroczyć wielką rzekę. Monty miał przekroczyć rzekę dwa i pół tygodnia wcześniej, Eisenhower zezwolił jego generałom pchnąć cztery pełne dywizje przez Remagen w najmniej prawdopodobne miejsca na całym froncie - gęsty lesisty pagórkowaty obszar z siecią drogową złożoną z wiejskich dróg drugiej klasy i ścieżek. Dlaczego w takim razie odrzucił on plan Deversa w listopadzie 1944 roku? Nie mogło to być wyłącznie kwestią terenu.

Na pierwszy rzut oka trudno dociec prawdy. Co dokładnie wydarzyło się tej późnej nocy na odprawie w hotelu Hermitage, dla studiujących drugą wojnę światową faktycznie stanowi zamkniętą księgę. Eisenhower bezpośrednio nie odnosi się do tego w swojej książce o kampanii, *Crusade in the West*. Nie czyni też tego Bradley w swoich dwóch tomach wspomnień. Chociaż miała ona decydujące znaczenie, wiemy o niej tylko to, że się odbyła, ponieważ Devers wspomina o niej w swo-

¹⁰⁰ W podobny sposób cztery miesiące później siły Pattona zmusiły Niemców do wycofania się z Wału Zachodniego. W przeciwnym razie znalazłyby się one w pułapce. Obrońcy natychmiast opuścili swoje stanowiska.

im dzienniku, podobnie jak major „Chef Hanscn. adiutant Bradleya. w swoim. Wydaje się, że ani Eisenhower, ani Bradley nie chcieli, by świat dowiedział się. że mogli pokonać Ren i włamać się w Linie Zygryda już w listopadzie 1944 roku. a nie dopiero w marcu 1945 roku.

Trzydzieści lat później tak pisał generał Garrison Davidson, saper z 7. Armii, który w listopadzie miał być odpowiedzialny za przesunięcie dwóch szturmowych dywizji przez Ren:

Interesujące jest przypuszczenie, co mogłoby być rezultatem wykorzystania niespodziewanego pokonania Renu pod koniec listopada. [...] Często zastanawiałem się, co mogłoby się zdarzyć, gdyby [Eisenhower] był na tyle śmiały, by podjąć skalkulowane ryzyko, jak uczyniłyby to Patton, zamiast zagrania bezpiecznej wersji. Być może sukces wyeliminowałby możliwość bitwy o Ardeny. Można było uniknąć 40 000 strat⁷, a wojna skróciłaby się o kilka miesięcy, co oszczędziłoby tysiące istnień ludzkich.

Ale generał Davidson. kiedy rozważał, co mogłoby się wydarzyć, gdyby naczelny dowódca podjął owo „skalkulowane ryzyko”, nie dostrzegł tego, że być może Eisenhower dążył do bitwy o Ardeny, że wiedział, iż Niemcy zamierzają zaatakować w Eifel i w Ardenach. i że *zachęcał do tego przeciwnika*.

Rok po bitwie o Ardeny zwycięski generał Eisenhower pisał do ówczesnego sekretarza wojny, Roberta Pattisona: „Niezmienne sprzeciwiam się wysiłkom mającym na celu opublikowanie obecnie jakichkolwiek informacji dotyczących bitwy o Ardeny. Nie wyrażam również zgody na przekazanie jakichkolwiek opisów poza Departament Wojny”.

Pattison, najwyraźniej nieświadomy, jak potężne stało się militarne lobby w Waszyngtonie, odpisał⁸: „Uważam, że główne części tej operacji [bitwy o Ardeny] - wydarzenia do niej prowadzące, przykłady walk i ich rezultat - powinny zostać przekazane narodowi. W przeciwnym razie społeczeństwo nie usłyszy o niczym więcej niż o poszukiwaniu winnych i wielu ludzi uwierzy, że armia coś ukrywa’.

Ale to nie „przykłady walk i ich rezultat” niepokoiły Eisenhowera. Ta sprawa była czysta. Wojska świetnie walczyły w bitwie nazywanej „Gettysburgiem Ameryki XX wieku”, a rezultat bitwy był pomyślny. Zakończyła się ona świetnym, choć kosztownym, zwycięstwem. Eisenhowera niepokoiły „wydarzenia do niej prowadzące”. Jednak w prawdziwie waszyngtońskim stylu machinacje, które miały miejsce na Kapitolu, doprowadziły do tego, że naród amerykański nigdy nie dowiedział

⁷Oficjalne amerykańskie dane mówią o stracie 80 000 żołnierzy. Brytyjczycy piszą o 250(1 (amerykańscy historycy o tym nic wspominają). Kolejne 100 000 strat poniesiono podczas czterech miesięcy 1945 roku po oficjalnym zakończeniu bitwy o Ardeny.

⁸ 19 grudnia 1945 r.

się, co wydarzyło się przed niemieckim „zaskakującym” atakiem na utworzonym przez Eisenhowera i Bradleya w Eifel i w Ardenach „froncie duchów”⁶⁹.

Istnieją trzy aspekty zbyt późnego odkrycia przez amerykańską generalicję, że Niemcom na Linii Zygfryda między Monschau i Echternach brakowało trzech armii, łącznie około 600 000 żołnierzy. W rzeczywistości było to spowodowane błędem pewnych ogniw wywiadu sojuszników, brakiem możliwości rozpoznania frontu z powietrza ze względu na złą pogodę i, co najważniejsze, faktem, iż operacja deszyfrażu „Ultra” nie przynosiła już rezultatów, ponieważ Niemcy korzystali wówczas z linii naziemnych i zaprzestali stosowania maszyn kodujących Enigma.

Do 1973 roku, kiedy po raz pierwszy ujawniono tajemnicę Enigmy, wojskowi historycy badający okres przed tym „zaskakującym” atakiem koncentrowali się na kwestiach wywiadu i rozpoznania lotniczego. Większość z nich doszła do wniosku, że ci, którzy byli zaangażowani w rozpoznanie lotnicze, przywozili ze sobą dowody na to, iż podczas ostatnich tygodni listopada i pierwszych grudnia coś wisiało w powietrzu. Informacje te nie były jednak prawidłowo interpretowane. W końcu, jak utrzymywali, połączenie nadmiernego optymizmu w naczelnym dowództwie i błędów wywiadu spowodowało, że Eisenhower przestał wierzyć w możliwość niemieckiego uderzenia.

I wówczas pojawiła się książka pułkownika lotnictwa Freda Winterbothama⁷⁰ *The Ultra Secret*, która ujawniała, że sojusznicy eksperci deszyfrażu mogli czytać kierowane do niemieckich dowódców rozkazy Hitlera niemal tak samo szybko jak ich odbiorcy. Odkrycie to wszystko zmieniło. Jednak ci, którzy dbali o reputację Eisenhowera, szybko znaleźli wytłumaczenie. Wstrząsnęło ono tymi, którzy utrzymywali, że Eisenhower dzięki operacji „Ultra” musiał wiedzieć, co się wydarzy. Jego obrońcy wskazywali, że Niemcy przed bitwą o Ardeny przestali korzystać z Enigmy. Ale najwyraźniej przeoczyli coś podejrzanego - dlaczego przeciwnik przestał wykorzystywać swoje zwykłe sposoby porozumiewania się. Czyżby próbował coś ukryć?

Obecnie nie ma to już znaczenia. Dziesięć lat po tym, jak debata o operacji „Ultra” odeszła już w zapomnienie, po ujawnieniu pewnych dokumentów w Waszyngtonie stało się jasne, że Eisenhower miał przez cały czas inne pierwszorzędne źródło wywiadowcze. Bez operacji „Ultra” i wszystkich innych konwencjonalnych źródeł informacji o zamiarach przeciwnika wiedział, co się dzieje po drugiej stronie Wału Zachodniego Hitlera zimą 1944 roku. Jego obrońcy mogli oszczędzić sobie kłopotu. Na scenie pojawił się MAGIC⁷¹.

⁶⁹ Do dzisiaj część stosownych dokumentów jest osłonięta „klauzulą tajności”, nawet relatywnie nieszkodliwe raporty inspektora generalnego sił lądowych USA dotyczące indywidualnych jednostek.

Winterbotham w rzeczywistości nie był pułkownikiem lotnictwa. Ale z powodu charakteru swojej służby, jak swego czasu powiedział autorowi, korzystał z takiego stopnia wojskowego, jaki sobie wybrał: „Mogłem być nawet cholernym admirałem, gdybym tylko chciał”.

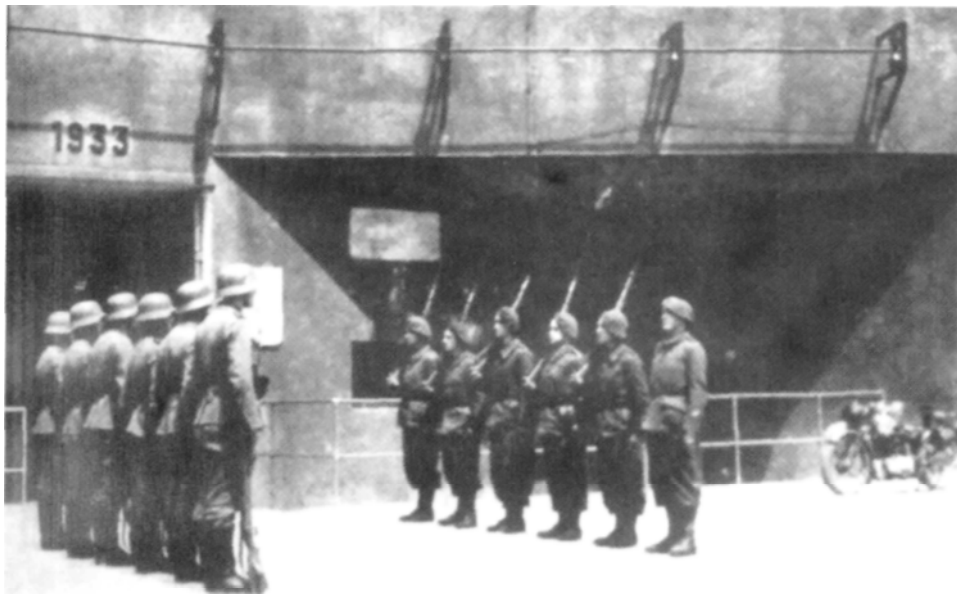
⁷¹ Tysiące dokumentów z operacji „Magie”, które odtajniono, były tak wymieszane, że można zakładać, iż była to celowa próba uniemożliwienia badaczom dotarcia do właściwych kawałków układanki.



„Zawiesimy nasze pranie na Linii Zygryda..



Goring obserwuje ukończoną
Linie Zygryda, 1940 r.



Kapitulacja. Niemieckie wojska przejmują Linie Maginota, 1 lipca 1940 r. Następnym razem, kiedy przy Fort Hochwald toczyła się walka, Niemcy bronili go przed Amerykanami.



Jak zawsze cierpią cywile. Niemcy uciekający przed amerykańskim uderzeniem wzdłuż granicy Alzacji znaleźli schronienie w grotach, gdzie trzymali kozy i krowy, które zapewniały im mleko i ser.



W oczekiwaniu na atak, „Zęby smoka” pod Brandseheid. W lewym górnym rogu widać las na Schnee Eifel.



„Zęby smoka” współcześnie.



Żołnierze baterii dowodzenia 903. dywizjonu artylerii polowej próbują w lesie Hurtgen wypchnąć z zasy snieżnej ciężarówkę z zaopatrzeniem.



Amerykańscy saperzy wykorzystują zdobyte na Niemcach arkusze blachy do pokrywania swoich drewnianych chat w lesie Hi/irtuen.



Amerykańska piechota w marszu, grudzień 1944 r.



Amerykańscy żołnierze z baterii artylerii polowej próbują zniszczyć niemiecki schron przy użyciu bazooki w zaśnieżonym lesie Hiirtuen.



Obrońcy Wалу Zachodniego. Doświadczona niemiecka piechota sama siebie nazywała „polnymi konikami”.



• *m* IjE

Dwóch kanadyjskich szeregowych spaceruje przed historycznym zamkiem Moyland nad Renem, który został zdobyty przez jednostki kanadyjskie. Na głowach mają zdobyczne kapelusze, a w rękach laski.



Przed nacierającymi na Ren jednostkami Eisenhowera pojawiła się ogromna zasłona dymna.



„Decydująca broń”.
Miotacz ognia „Crocodile”. czyli jedna z „zabawekChurchilla”.



Jeden z 4000 rannych z 4. DP w lesie Hürtgen.



Cena przełamania Wału Zachodniego. Amerykańskie groby na cmentarzu wojskowym Margraaten.



Żołnierze amerykańskiej 87. DP uwalniają Koblencję.



Mimo nałożonej na niego kary aresztu, ppłk Rieliardson z amerykańskiej 10. DPanc ryzykuje życie zakładając materiały wybuchowe pod mostem w I rewirze. Poległ kilka dni później. Patton nazywa go „narwanym, małym sukinysem”.



„Heartbreak Comer” - ostatnia pozycja Linii Zygryda zdobyta przez amerykańską armię przed rozpoczęciem bitwy w Ardenach.



Pojazdy mijają zakopany spychacz. Uderzenie 42. 1)P z 7. Armii na Niemcy. Schron po prawej należy do fortyfikacji Linii Maginota.



Miasto Cleve zajęte przez jednostkę piechoty lekkiej Somerset. Bitwa o Reichswald.



General porucznik Jacob L. Devers (po lewej) rozmawia z generałem brygady Peterem P. Rodesem; generał major Allison .I. Barnetl (po prawej) rozmawia z generałem majorem Wade'em H. I laislipem. St. Jean Rohrbaeh. Francja, luty 1945.



Niemcy zostali zmuszeni do zasilenia swoich szeregów młodymi chłopcami. Ci dwaj jeńcy, żołnierze 6. Górskiej Dywizji SS zostali schwytani przez, żołnierzy 7. Armii w pobliżu Wimmenau we Francji.



1200 żołnierzy, przeważnie Serbów, Jugosłowian i Rosjan, w zbiorowej ucieczce z niemieckiego szpitala dla jeńców wojennych w St. Wendel we Francji. Na zdjęciu czekają w bunkrze Linii Maginota na transport na tyły amerykańskiej 7. Armii.



Żołnierze 257. kompanii budowy linii łączności 7. Armii pracują tuż za nacierającymi wojskami.



Ostatnia przeszkoda - Ren został przekroczony. Amerykańskie wojska wykorzystują zdobyczne niemieckie działo przeciwpancerne 75 mm do ostrzału przeciwnika przy kanale Rhine Henie pod Recklirmhausen.



„Najsłynniejszy most w świecie” - most w Remagen (przed zawaleniem).



Zwycięstwo Paltona nad Renem. Podczas natarcia 3. Armii w stronę Renu do niewoli wzięto bardzo wielu jeńców.



Tędy przejechały. Autor wskazuje ślady gąsienic czołgów nadal widoczne w lesie pomimo upływu 50 lat.



Współczesne zdjęcie bunkra *Kulzenkopf*(„*Giova Kola*”).



Katzenkopf odnowiony w 1999 r. i otwarty dla publiczności.



Katzenkopf dzisiaj, dominujący nad rzeką Saucr, skąd amerykańska 76. DP rozpoczęła natarcie / I.uk
samburga w 1945 r.

2. Mroczny grudzień

Jest jasne, że strategia obronna przeciwnika będzie oparta na wyczerpaniu naszej ofensywy, po której między Roer i Erft dojdzie do prowadzonego silami pancernymi rozstrzygającego i wspieranego wszystkimi możliwymi środkami kontruderzenia.

Ocena wywiadowcza 1. Armii nr 37, 10 grudnia 1944

Około miesiąca przed tym, jak rozżłoszczony Eisenhower rozkazał Deversowi powstrzymać się od forsowania Renu i zaatakować Linie Zygfyda, w odległym Waszyngtonie protektor Ike'a, generał George Catlett Marshall, musiał podjąć bolesną decyzję.

Z natury surowy staromodny generał, który nawet prezydentowi nie pozwoliłby zwracać się do siebie po imieniu, nie lubił polityków. Zawsze mieszał się w sprawy, o których nic nie wiedzieli, a już w szczególności w sprawę jego ukochanej armii. Miody i obiecujący polityk, gubernator Tom Dewey, który ubiegał się o fotel prezydenta w wyborach w 1944 roku, groził, że ujawni wszystko, czego mógł się dowiedzieć (nie wiadomo, kto mu dostarczał te informacje) o najbardziej skrywanej operacji deszyfrazu prowadzonej przez amerykańskie siły zbrojne, która nosiła kryptonim „Magie”.

Przez ostatnie cztery lata, a może dłużej, specjaliści od deszyfrazu brali udział w ściśle tajnej operacji „Magie”, łamiąc kluczowe japońskie depeche w pobliskim Arlington Hall w Wirginii. Gubernator Dewey, bardzo dobrze znana opinii publicznej postać, przygotowywał się do ujawnienia faktu, że jego konkurent do urzędu prezydenta, Roosevelt, wiedział wszystko o „zaskakującym” japońskim ataku na amerykańską flotę w Pearl Harbor w 1941 roku. Innymi słowy, Dewey zamierzał wykorzystać ściśle tajną wojskową tajemnicę do zdyskredytowania Roosevelta i zapewnienia sobie zwycięstwa w wyborach. To była gra o bardzo wysoką stawkę, a jak wysoką, wiedział wyłącznie mocno zmartwiony Marshall.

Był to problem znacznie poważniejszy niż to, co wydarzyło się w Pearl Harbor 7 grudnia 1941 roku. Dewey nie wiedział, że Japończycy nadal kodują swoje depeche jak w operacji „Magie”. Gdyby podał do wiadomości publicznej to, co wiedział, mógłby zniszczyć operację wywiadu mogącą doprowadzić do zwycięstwa w wojnie. Była ona tak samo istotna jak operacja „Ultra” prowadzona z Bletchley Park. Co miał czynić Marshall?

Ostatecznie, bez wiedzy prezydenta Roosevelta, Marshall wysłał do Deweya emisariusza. Ale Dewey nie wierzył w to, co mówi mu szef sztabu sił zbrojnych USA. Uważał, że miało to usprawiedliwić i ukryć rzeczywiste posunięcia Roosevelta. W latach 1940-1941 prezydent próbował wszystkich sposobów, by wciągnąć Stany Zjednoczone do wojny przeciwko państwom osi. Tragedia Pearl Harbor, której (w opinii Deweya) mógł zapobiec, spełniła to zadanie.

Marshall spróbował ponownie. 27 września napisał zaadresowany do Deweya długi list, w którym wyjaśniał swoje stanowisko. Pisał tak:

Sednem obecnego dylematu jest fakt, iż posunęliśmy się dalej w rozkodowywaniu ich [japońskich] szyfrów i posiadamy inne kody, zarówno niemieckie, jak i japońskie, ale naszym zasadniczym źródłem informacji dotyczącym zamiarów Hitlera w Europie są wysyłane z Berlina depesze barona Oshimy, który opisuje rządowi Japonii swoje rozmowy z Hitlerem i innymi wysokimi urzędnikami Rzeszy. I to nadal są te same kody, co używane podczas ataku na Pearl Harbor.

Marshall oświadczył dalej, co następuje (ujawnił w ten sposób tajemnicę, która ujrzała światło dzienne długo po ujawnieniu operacji „Ultra”):

Przebieg kampanii generała Eisenhowera oraz wszystkie operacje na Pacyfiku mają widoczne związki, jeśli chodzi o koncepcję i czasowe ich przeprowadzenie, z informacjami, które przejęliśmy w wyniku złamania kodów. Fakt ten znacząco przyczynił się do zwycięstwa i w decydującym stopniu miał wpływ na obniżenie strat wśród Amerykanów.

Ambitny Dewey, jeszcze zanim skończył czytać długi list, rzucił: „Do diabła, nie wierzę, że Japonce nadal używają tych dwóch kodów” - przez co miał na myśli te wykorzystywane przez nich przed „dniem hańby” w Pearl Harbor.

Kurier Marshalla, który zawiózł list do Deweya, zapewnił byłego „pogromcę gangów” Nowego Jorku, że tak jest w rzeczywistości i że znajomość jednego z tych dwóch kodów „jest naszemu wywiadowi potrzebny jak krew”. W rzeczywistości Churchill uważał tę „tajną broń” - operację „Ultra/Magie” - za czynnik, który uratował Wielką Brytanię w trudnym okresie wojny.

Dewey odchrząknął i powiedział: „W tym liście niewiele jest spraw, o których bym nie wiedział. Chociaż jest pewna kwestia. Co, u diabła, wspólnego mają japońskie kody z Eisenhowerem?”.

Kurier, pułkownik Ciarke, dyskretnie uzmysłowił mu istnienie operacji kierowanej z Bletchley, jej wartość oraz znaczenie dla naczelnego dowódcy, jako podstawowego źródła informacji o Niemcach. Dodał, że przed 1944 rokiem rozkodowywanie japońskiego szyfru dyplomatycznego stało się dla Eisenhowera bardzo ważnym źródłem informacji. Liczbę odbiorców tzw. Black Book Ultra w Europie moż-

na było policzyć na palcach jednej ręki. Wśród nich był Eisenhower⁷². Owa „Ultra wewnątrz Ultra” była ściśle ograniczona do najwyższych amerykańskich przywódców, takich jak MacArthur na Pacyfiku i sam prezydent.

Ostatecznie Dewey został przekonany. Przeszedł do innego pokoju na krótką rozmowę ze swoim doradcą, a po powrocie powiedział Clarke'owi: „Panie pułkowniku, myślę, że nie mam pytań, które chciałbym panu zadać, ani nie będę rozmawiać o treści tego listu”. Następnie podali sobie ręce, a gubernator Dewey na odchodnym powiedział: „Cóż, mam nadzieję, że spotkamy się w bardziej sprzyjających okolicznościach”.

Do ponownego spotkania nigdy nie doszło, a list datowany 27 września 1944 roku, napisany podczas nieudanego uderzenia amerykańskiego V Korpusu na Linie Zygryda, znikł w ściśle tajnych archiwach na trzy lub cztery dekady.

Ale kim był japoński dyplomata Oshima? I dlaczego był tak ważny dla Eisenhowera, który przecież nie uczestniczył w walce z Japończykami na Pacyfiku? Co więcej, jaką odegrał rolę w wydarzeniach owego „czarnego Bożego Narodzenia” w 1944 roku?

W grudniu 1940 roku, rok przed Pearl Harbor, baron Hiroshi Oshima, żołnierz-
-arystokrata i zawodowy dyplomata, w wieku 54 lat powrócił do Berlina. Po raz pierwszy w stolicy nazistowskich Niemiec pojawił się w 1934 roku jako wojskowy attache rządu Japonii. Stał się wówczas gorącym zwolennikiem Hitlera i nawiązał bardzo dobre kontakty z najważniejszymi niemieckimi generałami i narodowymi socjalistami. Teraz Oshima wracał jako ambasador Japonii, który miał znakomite stosunki z fiihrerem. Było tak, ponieważ Hitler podziwiał Japończyków za ich kolejne zwycięstwa w Chinach i wkrótce miał wpaść w jeszcze większy zachwyt po tym, jak Japonia napędziła strachu Wielkiej Brytanii i Stanom Zjednoczonym na całym Dalekim Wschodzie. Tuż przed tym niewysoki pulchny „honorowy Aryjczyk” w okularach został zaufanym Hitlera... co bardzo pomogło aliantom.

Amerykańska służba wywiadu radiowego złamała japoński kod dyplomatyczny kilka miesięcy przed tym, jak baron Oshima powrócił do Berlina. W rezultacie Oshima okazał się kluczowym źródłem informacji o sposobie myślenia i planach Hitlera aż do kwietnia 1945 roku. Niski Japończyk, jako przedstawiciel najpotężniejszego sojusznika Niemiec w „pakcie stali” czy „osi” (Niemcy, Włochy i Japonia), znajdował się prawdopodobnie bliżej fuhrera niż wielu jego zaufanych.

Przez lata nieświadomy niczego Oshima odkrył przed aliantami w 1941 roku, że Niemcy zmirzają zaatakować Rosję. Dwa lata później donosił swoim przełożonym w Tokio, że mimo obecności sojusznicznych „baronów bombowców” nad niemieckimi miastami, nie wpływa to na produkcję wojenną Niemiec. W styczniu 1944 roku

⁷² Zimą 1944 r. Marshall zaczął umieszczać wyciągi z najważniejszych japońskich depech w oprowionej na czarno publikacji. W lutym 1944 roku zaczął przysyłać „Black Book Ultra” do prezydenta Roosevelła.

wysłał do Japonii depeszą informującą, że niemiecka produkcja ciężkiego uzbrojenia, czyli czołgów i samolotów, w rzeczywistości wzrosła, co później potwierdził niemiecki minister ds. produkcji wojennej Speer⁷³.

W miarę jak zbliżał się D-Day. Oshima stawał się nieocenionym źródłem informacji dotyczących fortyfikacji „Wału Atlantyckiego”. Przekazywał Japonii szczegóły niemieckiej obrony pod Dieppe, Boulogne, Hawrem itd., podawał nawet miejsca lokalizacji pojedynczych karabinów maszynowych. Mógł nawet przekazać do Tokio, czyli również sojuszniczym służbom wywiadu radiowego w Arlington i Bletchley, że Hitler nic wierzył w desant aliantów w Normandii. To spowodowało, że Eisenhowerowi było znacznie łatwiej podjąć decyzję o skierowaniu sił inwazyjnych 6 czerwca 1944 roku do Francji.

Latem 1944 roku Oshima długo się nie odzywał. Nasłuch czekał z niecierpliwością. W końcu 4 września Oshima przekazał Tokio, że jutro ma spotkanie z Hitlerem. W tym czasie we Francji Wehrmacht został już pokonany i uciekał na wschód, szukając schronienia za Linią Zygfryda. Naturalnie sekretni badacze eteru w Wielkiej Brytanii i w Stanach Zjednoczonych nic mogli się doczekać, by rozpocząć prace nad depeszami Oshimy.

Początek depeszy zawierał zwyczajowy hitlerowski bełkot. Fihrer potrafił być rozwlekły jak typowy grubawy niemiecki mieszczuch deliberujący przy miejscowym *Stammtisch* (stole jadalnym) nad piwem i precelkami. Ale dalsza część wiadomości była prawdziwym szokiem dla prowadzących nasłuch. Hitler powiedział Oshimie, że teraz, kiedy jego dywizje są bezpieczne za Wałem Zachodnim, zaplanował kontratak siłami ześrodkowanymi na południowy wschód od Nancy, które wkrótce miało być stanowiskiem dowodzenia 3. Armii Pattona.

Wiadomość, że nazistowskie Niemcy mogą rozważać kontratak na tym etapie wojny na zachodzie, kiedy niemiecka armia we Francji była najwyraźniej całkowicie rozbita, musiała spowodować, iż analitycy interpretujący wiadomości od Oshimy mało nie padli z wrażenia. Ale kiedy przebrnęli przez kody, znaleźli więcej niespodzianek. Oshima podsumował, co mu Hitler powiedział: „Ma on zamiar, jak tylko obecnie organizowana, licząca ponad milion żołnierzy armia będzie gotowa, połączyć ją z jednostkami wycofywanymi ze wszystkich frontów i, po uzupełnieniu sił powietrznych, rozpocząć ofensywę na dużą skalę na zachodzie”.

Według Oshimy Hitler liczył na to, iż przygotowywanie tych sił odbędzie się pod osłoną chmur i złej pogody, co zazwyczaj miało miejsce na Linii Zygfryda we wrześniu i w październiku. Alianci nic mogliby wówczas w pełni wykorzystać swojej

⁷³ Jednym z powodów, dla których Niemcy przenieśli produkcje, do krajów okupowanych, takich jak Czechosłowacja (Skoda) i Francja (Renault), był fakt, że alianci niechętnie je bombardowali. Przykładowo czeskie fabryki Skody produkowały 25 procent wszystkich niemieckich pojazdów pancernych, a szef zakładów Renault z powodu kolaboracji z Niemcami został pod koniec wojny zmuszony do samobójstwa.

przygniatającej przewagi w powietrzu. Oshima twierdził, że Hitler zaatakuje na zachodzie „po pierwszym listopada”.

Było to ostatnie spotkanie Hitlera z japońskim ambasadorem, ale nadal utrzymywali stosunki, kontaktując się w sprawie bomby atomowej⁷⁴. Czy wywiad aliantów mógł jednak wierzyć w to, co Oshima, nawet nieświadomie, im mówił? Czy Hitler w jakiś sposób nie nakręcał Japończyków? Na pewno było jasne, że hitlerowskie Niemcy sajuż niemal pokonane. Istniał tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

Atak, który przewidywał Oshima, miał nastąpić w Lotaryngii w połowie września. 18 września 5. Armia Pancerna von Manteuffla (miała ona wkrótce odegrać kluczową rolę w bitwie o Ardeny) uderzyła na 3. Armię Pattona pod Luneville w pobliżu Nancy. Niemiecki kontratak trwał jedenaście dni i zakończył się porażką. Jednak Niemcom udało się zatrzymać natarcie Pattona na Linie Zygfyda. Tego roku nie miał przejść przez nią „jak błyskawica”.

Ośrodki w Bletchley i w Arlington koncentrowały swoje wysiłki na operacji „Magie”. Podczas tego okresu Oshima wysłał do Tokio 28 depesz dotyczących zbliżającej się niemieckiej ofensywy. 16 listopada spotkał się z ministrem spraw zagranicznych Niemiec von Ribbentropem, który wcześniej był ambasadorem Niemiec w Wielkiej Brytanii⁷⁵. Oshima przypomniał pisałkowatemu „*Etigland-Experte*”, co fiihrer powiedział o wielkim kontrataku na zachodzie.

Von Ribbentrop wykręcał się. Nie chciał odkryć szczegółów terminarza Hitlera. Powiedział, że Niemcy mogą zaatakować na zachodzie. Z drugiej strony, mogą uderzyć na Armię Czerwoną na wschodzie.

Oshima wspomniał o wielkiej ofensywie Ludendorffa z marca 1918 roku, która odrzuciła brytyjską 5. Armię we Francji w kierunku kanału La Manche. Jednak, jak sugerował ambasador, niektórzy historycy stali na stanowisku, że w rzeczywistości ofensywa ta przyspieszyła porażką Niemiec. Czy nie byłoby lepiej i mądrzej „dla Niemiec prowadzić wojny na wyniszczenie”, tak jak robiły to podczas ostatnich trzech miesięcy na Wale Zachodnim?

„Absolutnie nie - odpowiedział von Ribbentrop. - Kanclerz uważa, że nie możemy wygrać wojny prowadząc jedynie obronę. Wielokrotnie potwierdzał swój zamiar podejmowania działań zaczepnych do samego końca”.

Oshima wyszedł ze spotkania z von Ribbentropem nie przekonany do jego racji. Wysłał do Tokio wiadomość, że uwaga ministra spraw zagranicznych Niemiec była

⁷⁴ W ostatnich miesiącach wojny japońskie i niemieckie okręty podwodne przewiozły niektóre z największych tajemnic wojskowych Niemiec, w tym wyniki prac badawczych nad bombą atomową, do Japonii.

⁷⁵ Syn von Ribbenropa był oficerem SS, uczył się w szkole prywatnej w Wielkiej Brytanii i był prawdopodobnie jedynym żołnierzem, który uczył się w takiej szkole, a następnie służył w elitarnej dywizji SS - Die Leibstandarte „Adolf Hitler”. Von Ribbentrop junior był uczestnikiem bitwy w Ardenach.

„jednym z tych przykładów, iż prawda z ust kłamcy sięga najwyższego punktu oszukaństwa”. Jednak jeszcze tego samego dnia zmienił zdanie. Wysłał do Tokio kolejną depezę, w której pisał, że: „możemy bez zastrzeżeń przyjąć”, iż kierownictwo Niemiec zamierza wykonać uderzenie; ponieważ „możliwości manewru Niemców ograniczając się dosłownie do dawnego terytorium Niemiec”⁷⁶ [...] nie będą mieli wyboru i będą musieli otworzyć drogę przelewem krwi w jednym bądź w drugim kierunku”. W jego opinii „droga krwi” miała wieść na zachód.

Z dwudziestu ośmiu depeż, które Oshima wysłał do Tokio między 16 sierpnia a 15 grudnia 1944 roku, w osiemnastej pisał, że Niemcy zamierzają podjąć ofensywę tak szybko, jak to tylko możliwe. W ósmej japoński ambasador oświadczał w zafaniu, że atak na dużą skalę wkrótce się zacznie, a za najbardziej prawdopodobny obszar uderzenia Niemców uważał rejon Aachen. To oczywiście było proponowane przez Modlą „małe rozwiązanie”.

Powstaje teraz pytanie, dlaczego Eisenhower po otrzymaniu tych informacji nie podjął żadnych działań przed „zaskakującym atakiem”, który przyniósł tak duże straty w ludziach oraz spowodował utratę zajmowanego terytorium. Wiemy z korespondencji między Marshalllem a Deweyem, że amerykański szefsztabu uważał, iż rozszyfrowane depeże Oshimy odgrywały kluczową rolę w decyzjach podejmowanych przez Eisenhowera w Europie. I jedna z pierwszych oficjalnych wizyt Eisenhowera po pokonaniu Niemiec w 1945 roku miała miejsce w Arlington. Ustami zastępcy swego szefa sztabu, generała Vanderberga, przekazała deszyfrantom, że zdobyte przez nich informacje opisujące niemieckie fortyfikacje „miały kluczowe znaczenie dla sukcesu desantowania sojuszników w czerwcu 1944 roku” oraz że chce wyrazić „swoją wdzięczność za informacje z przechwyty japońskich depeż dyplomatycznych, które do niego docierały”.

Jeżeli więc naczelny dowódca zawsze opierał swoje strategiczne decyzje na ocenach wywiadowczych zdobytych w operacjach „Ultra” oraz „Magie” i dotyczących niemieckich zamiarów, to dlaczego rozszyfrowane depeże kierowane z Berlina do Tokio nie zaalarmowały go o zbliżającym się niebezpieczeństwie - nawet jeśli operacja „Ultra” nic była skuteczna w stu procentach? Oshima w przeszłości miał zawsze wiarygodne informacje. We wrześniu 1944 roku niemiecki kontratak pod Luneville, przewidywany przez Oshimę, pokazał, że nadal można na nim polegać. Czy było to ze strony Eisenhowera po prostu wielkim zaniedbaniem? Inne czynniki wskazywały, że jeśli Niemcy mają zaatakować, to uczynią to z pozycji rozmieszczonych na Linii Zygfryda wzdłuż rzek Our i Sauer. Obszar ten był idealny do osłony zgrupowań wojsk. Niekiedy niemieckie pozycje znajdowały się w odległości zaledwie kilku metrów od amerykańskich okopów. Front mógł być z powodzeniem zaopatrywany poprzez Ren przez kilka wybudowanych w Eifel w czasach kaisera wojskowych

⁷⁶ Przez „dawnie terytorium Niemiec” rozumiał on Niemcy z granic z 1938 r., oskrzydłone przez wrogów: Rosję w Prusach Wschodnich i alianłów na Linii Zygfryda.

stacji przeładunkowych⁷⁷. Ale, co najważniejsze, był to amerykański „front duchów”, broniony przez cztery dywizje na odcinku długości 100 kilometrów (dwie z nich nie brały jeszcze udziału w walkach, a pozostałe dwie, 4. i 28. DP, poniosły ciężkie straty w ostatnich bojach w okolicach Hiirtgen).

Eisenhower w swojej poufnej notatce skierowanej w grudniu 1945 roku do sekretarza stanu w Departamencie Wojny, Pattisona, przyznał, że wiedział, iż Niemcy mają zaatakować. Problem leżał w tym, iż nie wiedział, gdzie to nastąpi. Mijał się z prawdą. Wiedział, że nastąpi to na słabym „froncie duchów”. Inni w obozie alian-tów też o tym wiedzieli.

12 grudnia Patton, cztery dni przed niemieckim atakiem i siedem dni przed we-zwaniem Eisenhowera, by coś zrobił z tym „zaskakującym atakiem”, wydał swojemu sztabowi rozkaz „przygotowania się na każdą ewentualność” i przeanalizowa-nia, co 3. Armia może osiągnąć, jeżeli otrzyma rozkaz przełamania na północy. Skąd Patton wiedział? Czy z jego strony były to tylko pełne inwencji domysły? Czy też wiedział wcześniej, że Niemcy wyjdą z Walu Zachodniego i zaatakują z linii rzek Our i Sauer? A jeżeli wiedział, to kto przekazał mu tę informację?

Nawet Brytyjczycy, którzy od czasu rozbieżności między Montym a Ike'em doty-czących dowodzenia mieli raczej luźne związki z Eisenhowerem, już wcześniej wiedzie-li, że coś wisi w powietrzu. Ćwierć wieku po tych wydarzeniach generał David Bel-chem, szef oddziału operacyjnego Montgomery'ego oświadczył: „Pamiętam, że na bry-tyjskim odcinku frontu mieliśmy skąpe wskazówki o możliwym działaniu przeciwnika w Ardenach na początku grudnia. Ale informacja ta była tak mętna, a nasi amerykań-scy sojusznicy tak pewni braku aktywności w tym regionie, że zbagatelizowaliśmy je”.

Być może informacja była „mętna”, ale w ciągu 36 godzin od niemieckiego ata-ku, zanim nawet podwładni Eisenhowera zdali sobie sprawę z tego, kto na nich uderzył, Montgomery już (nieoficjalnie) przejmował dowodzenie nad 1. i 9. Armią. Postawił w stan pogotowia swój liczący pięć dywizji XXX Korpus i skierował go w Ardeny, jednocześnie przesuwając jednostkę SAS oraz kawalerię pancerną na po-zycje ryglowe nad Mozą⁷⁸ w Ardenach - i wszystko to bez zgody Eisenhowera. W jaki sposób Montgomery tak dobrze się przygotował? Intuicja... przewidywa-nie... czy konkretna wiedza o zbliżających się wydarzeniach?

Przed grudniem 1944 roku armie Eisenhowera bez skutku walczyły o Linie Zyg-fryda przez długie trzy miesiące. Straty były bardzo wysokie i na początku grudnia dywizje piechoty Eisenhowera, na których spoczywał ciężar walki, liczyły 80 pro-

⁷⁷ Podczas przygotowań do ofensywy do takich miast jak Wittlich, Gerolstein i Kyllburg skiero-wano około 500 pociągów - fakt, o którym wywiad sojuszników wiedział.

⁷⁸ Moza była w Ardenach ostatnią naturalną przeszkodą. Niemcy po jej pokonaniu mieli przed sobą tylko płaską Nizinę Belgijską prowadzącą do strategicznego portu zaopatrzeniowego Antwer-pii, który był ich ostatecznym celem. Rola jednostek brytyjskich w zatrzymaniu Niemców w tym rejonie nigdy do końca nie została szczegółowo wyjaśniona. Jak po fakcie lamentował Montgomery: „Im mniej mówimy o Ardenach, tym lepiej”.

cent stanu wyjściowego. W samym Hurtgen 1. Armia dosłownie co dwa tygodnie wysyłała na uzupełnienie kolejną dywizję piechoty i luzowała ją po tym czasie, zdzięsiątkowaną, ze stratami sięgającymi wśród strzelców 50 procent.

Śmiały, nawet jeśli ślepy, duch panujący w sztabie Eisenhowera sprawiał, że alianci utrzymywali, iż wygrywają ową bitwę na wyniszczenie. W rzeczywistości było inaczej. Niemcy powołali kilka nowych, mniejszych dywizji, które wyposażono w najnowocześniejsze systemy uzbrojenia. W tym okresie wojny produkcja zbrojeniowa Niemiec była najwyższa, a sojusznikom było coraz trudniej wypełnić luki po zdzięsiątkowanej piechocie.

Z tego powodu Wielka Brytania była zmuszona rozwiązać dwie dywizje - 50. i 59. i wcielić ich jednostki do innych dywizji. Churchill wydał rozkaz o powołaniu kolejnych 250 tysięcy żołnierzy do piechoty, mimo że większość z nich pochodziła z „rezerwy” i miała blisko 45 lat. Bradley ze swojej strony rozkazał skierować na front z jednostek tyłowych 5 procent żołnierzy i apelował, by zgłaszali się ochotnicy spośród czarnych żołnierzy. A w ówczesnej armii panowała ścisła segregacja rasowa.

Jak więc wówczas Eisenhower miał przełamać impas na froncie z Niemcami i w końcu stworzyć wyłom w Linii Zygryda? Ową krwawiącą raną należało się wcześniej czy później zająć, w przeciwnym razie nie można było wykluczyć dymisji. Tolerancja Marshalla na porażki miała swoje granice.

Jesienią 1944 roku rozdrażnionemu Eisenhowerowi musiało się wydawać, że istnieje tylko jeden sposób na wyciągnięcie Niemców z Linii Zygryda i zmuszenie ich do walki na terenie, który został przez niego wybrany - gdzie mógł wykorzystać przewagę aliantów w broni pancernej i ich panowanie w powietrzu. Miała to być pułapka na Niemców, propozycja kuszącego celu, o którym Hitler by myślał, że jest łatwy do osiągnięcia przy zmasowaniu środków na froncie zachodnim. A celem miał być „front duchów”.

Niemcy mieli sześć tygodni na ocenę potencjału amerykańskich jednostek zajmujących front na długości 100 kilometrów. Każda amerykańska dywizja zajmowała odcinek dwa razy dłuższy od norm taktycznych dotyczących kontaktu z najlepszymi jednostkami bojowymi przeciwnika. Norma mówiła o średnio ośmiu kilometrach. Niemieccy szpiedzy - „śpiochy”, agenci pozostawieni na zajętych we wrześnie przez aliantów terytorium oraz specjalne grupy rozpoznawcze (jak stwierdzono później) weszły na tyły frontu sojuszników i doszły aż do Bastogne. W ten sposób Niemcy dostrzegli słabość VIII Korpusu Middletona w Ardenach. Nawet generał pułkownik von Manteuffel, dowódca niemieckiej 5. Armii Pancernej, obserwował amerykańskie 106., 28. i 4. dywizje piechoty z pozycji niemieckich.

Eisenhower nic uczynił nic, by skorygować słabość „frontu duchów”. W grudniu na froncie 12. Grupy Armii Bradleya operacje zaczepne stanęły dosłownie w miejscu. Nigdzie na całej długości Linii Zygryda nie było ani jednej sojuszniczej dywizji pancernej, która prowadziłyby walkę. Wszystkie czternaście znajdowały się w odwodzie. Dlaczego? Ponieważ Eisenhower potrzebował dywizji pancernych na ty-

łach amerykańskich korpusów na „froncie duchów” do szybkiego reagowania na działania Niemców po ich „zaskakującym” ataku z Wału Zachodniego.

Eisenhower, jak już sugerowano, *wiedział*, że Niemcy uderzą. *Chciał*, by tak się stało. Był przygotowany na poświęcenie niedoświadczonej młodzieży przebranej za piechotę i utrzymującej linię rzek Our i Sauer, jeżeli to miało wyciągnąć przeciwnika na otwartą przestrzeń. Wiedział, że nie przetrwa kolejnej Normandii, gdzie alianci potrzebowali czasu od czerwca do sierpnia, by wyrwać się z przyczółków na plażach. Straty były przerażające.

Za to krytykowano Montgomerygo, który był naczelnym dowódcą sił lądowych. Normandia oznaczała początek upadku najświetniejszego dowódcy frontowego aliantów.

Teraz dowódcą wszystkich sił lądowych aliantów był Eisenhower - od końca września jego pierwsze stanowisko w polu. Wielokrotnie nie udało mu się przełamać Linii Zygfryda. Prędzej czy później opinia publiczna Stanów Zjednoczonych miała dowiedzieć się o wydarzeniach na niemieckiej granicy i o tym, jak wielu żołnierzy zginęło na tym cholernym Walcu Zachodnim⁷. Polecałyby wtedy głowy, a Eisenhower wiedział, że Churchill nadal był potężnym człowiekiem i wsparłby każde posunięcie, które przywróciłoby „Monty'ego” ponownie na to stanowisko.

Linia Zygfryda już zbyt długo go zatrzymywała. Nadszedł czas, by „fryce” wyszli w końcu z tych swoich pieprzonych bunkrów oraz zza „zębów smoka” i rozpoczęli walkę na otwartym terenie.

Po drugiej stronie czterech dywizji Middletona na „froncie duchów” Niemcy właśnie do tego się przygotowywali, przekonani, że przeciwnik nie wie, co go czeka. Była „za pięć dwunasta”. Zginęło już blisko 3 miliony niemieckich żołnierzy. Pozostali przy życiu, najlepsi i najodważniejsi, najbitniejsi i najbardziej fanatyczni zamierzali podjąć ostatni rozpaczliwy wysiłek, by zmienić los Rzeszy. Hasso von Manteuffel, Otto Skorzeny, Heilmann z legendarnych Zielonych Diabłów... oraz pozostali skazani na przegraną, zdesperowani bohaterowie „Tysiącletniej Rzeszy” wiedzieli, że albo teraz, albo nigdy.

Była 5.30 16 grudnia 1944 roku - chwila, która miała zmienić resztę historii XX wieku. Niemcy w końcu wychodzili z fortyfikacji Linii Zygfryda.

⁷ Można by było napisać całą książkę; o tym, jak wewnętrzne problemy polityczne Stanów Zjednoczonych od 1942 r. wpływały na prowadzenie wojny w Europie.

3. Przełamanie

Jesteśmy Amerykanami... Mamy wygrywać.

Mel Brooks, „Playboy”, 1985

Podczas gdy Niemcy wyczekiwali, w wielu miejscach niczego niepodejrzewające mięso armatnie nadal uderzało na Wal Zachodni, a przecież ci na górze wiedzieli już, że ich wysiłki poszły na marne.

Zapomniana 7. Armia Deversa⁵⁰ doszła do granicy niemieckiej i Linii Zygfryda. Kilka dni wcześniej jej 45. Dywizja Piechoty (znana jako „Thunderbirds” - taki emblemat na rękawach mieli jej żołnierze*) stanęła pod Lembach, pierwszą niemiecką wioską po drugiej stronie granicy z Francją.

Wtedy dowódca 158. dywizjonu artylerii, pułkownik Dwight Funk, zatelefonował do swojego przełożonego, dowódcy 157. batalionu 45. DP pułkownika Waltera O'Briena. Zameldował mu, „panie pułkowniku, z pozycji, na których się znajdujemy, możemy położyć ogień zaporowy po drugiej stronie granicy. Na jedno pana słowo ześrodkujemy ogień na Niemcy”. O'Brien się nic wahał. „Na co pan czeka?” - krzyknął do słuchawki. „Ognia!”

Tej soboty przed świtem zwycięska piechota dywizji „Thunderbirds” po raz pierwszy zbadała obronę Linii Zygfryda⁵¹. Ponownie miała uczynić to dopiero za trzy miesiące, a wówczas większość żołnierzy tej dywizji była już zabita bądź ranna.

* Ptaki grzmotów. Nazwa ta wywodzi się z wierzeń niektórych indiańskich plemion Ameryki Północnej. Były one przekonane, że za deszcz, grzmoty i błyskawice odpowiedzialne są olbrzymie ptaki [przyp. tłum.].

⁵⁰ Amerykańska 7. Armia została stworzona przez Pattona na potrzeby inwazji na Sycylię w 1943 r. Patton został odwołany ze stanowiska jej dowódcy z powodu słynnego „incydentu ze spoliczkowaniem” żołnierza. Dowodzenie przejął generał „Sandy” Patch. Był to spokojny człowiek bez tej płomiennej energii i niebanalnego sposobu bycia Pattona. Z pewnością nie był dobry w przekazywaniu informacji dziennikarzom. W rezultacie 7. stała się „zapomnianą armią”.

⁵¹ W ciągu trzech dni jej dowódca otrzymał rozkaz zatrzymania uderzenia i 45. DP została wycofana, by zmierzyć się z nieznanym w bitwie o Ardeny (operacja „Northwind”).

Na szczęście dla tych pierwszych plutonów i kompanii 45. DP początkowo niemiecka obrona w lesistym, pofałdowanym terenie nie była zbyt silna. 1, jak mówi kronika 45. DP: „Łatwość, z jaką przełamano granicę, nie wskazywała na zażarte walki, które miały później nastąpić”. Atakujący później już udoskonalili procedurę „zdejmowania” wstępnej obrony. Wykorzystywali w tym celu taktykę opracowaną przez Niemców. Kronika „Thunderbirds” zapisała:

Zauważono [...], że przeciwnik pozostaje wewnątrz betonowych bunkrów, dopóki nic otrzyma informacji o zbliżającym się przeciwniku. Kiedy ten pojawił się w zasięgu widzenia Niemców, żołnierz na wysuniętej placówce podawał sygnał gwizdkiem i Niemcy opuszczali schrony i obsadzali posterunki w transejach oraz okopach strzeleckich przygotowanych wokół każdego bunkra. W tych pozostawały wyłącznie karabiny maszynowe.

Ta taktyka obróciła się przeciwko Niemcom. Kiedy tylko dostrzeżono pozycję obronną na Linii Zygfyda, dowódca pododdziału piechoty wzywał artylerię, moździerz i czołgi do ześrodkowania ognia na bunkier i transeje. To uniemożliwiało przeciwnikowi wykorzystanie tej pozycji. Wówczas piechota rozpoczynała natarcie na schron.

Co odważniejsi, żądni chwały i być może śmierci, żołnierze potrafili sami zdobyć bunkier. Gdy taki śmiałek docierał do martwego pola, brał ostatni głęboki oddech i sprintem ruszał do otworu wentylacyjnego na górze schronu. Jeżeli przeżył, wrzucał jeden z tych strasznych granatów fosforowych, z których Amerykanie korzystali do otwarcia bunkra.

Niemcy wewnątrz zazwyczaj panikowali. Dusili się piekącym białym oślepiającym dymem, próbowali gasić płonące grudki fosforu na swoich mundurach i ciele (można było to zrobić jedynie przez odcięcie dopływu tlenu; w innym wypadku fosfor wypalał ciało aż do kości) i wybiegali ze schronu do transei. Te były już pokryte ogniem moździerzy i karabinów. Jak oględnie zapisano to w kronice, schwytni w otwartym terenie bez miejsca na ucieczkę „Niemcy poddawali się lub umierali”.

Zanim wydarzenia wyprzedziły dywizję „Thunderbirds”, która została zmuszona do wycofania się z Linii Zygfyda, żołnierze, którzy zdobyli doświadczenie we Włoszech i w południowej Francji wykonali wyłom o szerokości 1500 metrów i weszli na Wał Zachodni na głębokość 1100 metrów. By zdobyć zaledwie siedem schronów, potrzeba było całej liczącej 15 000 żołnierzy dywizji i cztery dni walki, ale 7. Armia mogła powiedzieć, że ma na swoim koncie swój pierwszy triumf na Linii Zygfyda. Tej soboty poranne wydanie „Stars and Stripes” donosiło po jej skromnym zwycięstwie: „7. wchodzi do Niemiec”.

Na drugim krańcu długiej Linii Zygfyda, całkowicie nieświadoma tego, co miało się na jej odcinku w ciągu najbliższych godzin zdarzyć, znajdowała się inna doświadczona amerykańska dywizja-2. DP „Indianhead”. Ostatecznie po tygodniach

walk zajęła ona kluczowe skrzyżowanie wiodące do niemieckich linii obrony w Hurtgen. Żołnierze nazwali skrzyżowanie Wahlerscheid położone na północ od Monschau „Rozdrożem złamanych serc”. Tu obecnie znajdowało się północne skrzydło wielkiej niemieckiej „zaskakującej” ofensywy. Ale tego dnia to Amerykanie wykorzystali czynnik zaskoczenia.

Nocą, kiedy każdy ich ruch był kryty przez wilgotną mgłę, dwa bataliony 2. DP weszły na niemieckie pozycje i przyłapały przeciwnika we śnie w okopach i schronach. Czołowe jednostki nie czekały, aż „fryce” się obudzą. Ruszyły do przodu. Błyskawicznie zajęły *Zollhaus* - posterunek celny na granicy belgijsko-niemieckiej, który ich tak długo w tym miejscu zatrzymywał. Znalezione w nim 76 śpiących niemieckich żołnierzy, którzy poddali się bez stawiania oporu. Następnie piechota zdobywała schron za schronem, wykorzystując taktykę, której nauczyli się w listopadzie. Tuż przed świtem było po wszystkim. Przy niezwykle niskich stratach (zginął tylko jeden żołnierz, jeden zaginął, a siedemnastu było rannych) piechota „Indianhead” zdobyła wszystkie przewidziane do zajęcia obiekty. W końcu „Rozdroże złamanych serc” należało do Amerykanów.

Ale wówczas dostrzegli pierwsze pomarańczowe błyski na horyzoncie. Poprzez lodowaty wiatr wiejący nad nimi mogli usłyszeć grzmiącą artylerię. Zaskoczeni patrzyli przed siebie. Coś poważnego działo się w okolicach Monschau. Ale co to, do diaska, było?

Kapitan MacDonald, przyszły kronikarz bitwy o Ardeny, był tam o świcie. Prowadził swoją I kompanię do ataku na czele z amerykańską niedoświadczoną 99. DP „Checkerboard”, kiedy również usłyszał złowrogi pomruk artylerii. Ale przekonał się, że coś naprawdę było nie tak, kiedy żółtodzioby z 99. DP zaczęły przemycać przez zamglone, zielone fortece naprzeciwko Linii Zygfryda.

Było ich około 200, szli zdeorganizowani i przestraszeni. Powiedzieli dwudziestodwuletniemu kapitanowi, że uderzyli na nich „fryce”, ponieśli poważne straty i nie zamierzają zostać, by ponownie otrzymać cios od nacierającego przeciwnika. Zaniepokojony MacDonald próbował im wytłumaczyć sytuację, ale tylko dwóch z nich na ochotnika zdecydowało się zostać i walczyć.

Wówczas zaczęły się prawdziwe kłopoty. Okopany i oczekujący na przeciwnika, który miał nadejść od strony przeciwnego grzbietu, MacDonald słyszał coraz głośniejsze odgłosy ognia broni strzeleckiej i wezwał wsparcie ogniowe. Jednak nie miał szczęścia. Najwyraźniej również inni dowódcy kompanii z 2. DP robili to samo. Wszędzie atakowali „fryce”. MacDonald później pisał:

Fala za falą wydająca zagrzewające do walki okrzyki niemiecka piechota szturmowała niewielkie pokryte drzewami wzniesienie zajmowane przez trzy plutony. Na ich pozycje szedł ciągły grad ognia, a obrońcy odpowiadali salwa za salwą. Niemcy gęsto padali trupem. Kilka pocisków artyleryjskich, które udało nam się wystrzelić, trafiły w atakujących przed naszą linią i kiedy chwi-

lami cichł ogień karabinów, mogliśmy słyszeć ich krzyki. Ale Niemcy nadal się zbliżali.

Zaczynało brakować amunicji. MacDonald poinformował o tym batalion. Otrzymał odpowiedź, która brzmiała: „Utrzymać pozycje za wszelką ceną”. Autor rozważał drażliwy problem, czy dowództwo batalionu rzeczywiście wiedziało, co te słowa oznaczały. „Musimy utrzymać stanowiska do ostatniego zabitego lub wziętego do niewoli. Ostatnia pozycja I kompanii! I co się w zamian zyska? Nic oprócz czasu - na ciałach poległych żołnierzy. *Czasu!*”

Wszędzie wokół pozycji MacDonalda wybuchwały pociski artyleryjskie 88 mm, które eksplodowały wyrzucając w powietrze czerwone i żółte płomienie oraz wstrząsały ziemią. Wielkie ponadpięćdziesięcotonowe pomalowane na biało potwory zaczęły przedzierać się przez pokryte śniegiem jodły i bez wysiłku łamały je jak zapałki.

„Na miłość boską, panie kapitanie - u kresu swojej odporności łkał przez polowy telefon jeden z dowódców plutonów - niech pan ściągnie czołgi. Na miłość boską, niech pan coś zrobi. Te sukinsyny siedzą 70 metrów stąd i walą z 88 mm do naszych okopów [...] jak do kaczek. Na miłość boską!”

Ale młody oficer podczas pierwszego dnia zdobywania doświadczeń bojowych nie mógł nic zrobić. Shermany skierowane do wsparcia ich ataku podwinęły ogony i umknęły na bezpieczne tyły. Wszystko, co mógł uczynić, to krzyczeć przez niesamowity hałas: „Na miłość boską utrzymajcie... Musimy się utrzymać”.

Jednak nie było już czasu na utrzymywanie pozycji. Żołnierze zaczęli porzucać wyznaczone im odcinki. Uciekali dwójkami i trójkami. Ich twarze były „puste i pozbawione wyrazu”. Kiedy MacDonald patrzył na nich, unikali jego wzroku, opuszczali oczy i patrzyli w inną stronę. Jego kompania rozpadała się.

Lekceważąc latające w powietrzu kule i odłamki MacDonald wstał. Jak podczas gry na boisku szkolnym ze złością rozpostarł ramiona. Próbował zawrócić ich na miejsca, jednak bezskutecznie. Żołnierze mieli już dość. Zarówno wiarusy, jak i żółtodzioby „Indianhead” straciły całą swoją odwagę i determinację. Oszołomieni i na wpół żywi odchodzili na tyły i znikali w zielonych lasach Ardenów.

Pół godziny później resztką I kompanii walczyła o swoje życie. Poprzez łoskot i grzechot jednego z karabinów maszynowych, który wciąż próbował stawiać opór i powstrzymać atakujących, MacDonald usłyszał swojego przełożonego, porucznika Wilsona, wrzeszczącego „Wycofać się!”. MacDonald później wspominał:

Chciałem go posłuchać, ale byłem w ogniu krzyżowym ciężkich karabinów maszynowych i atakujących. Zacisnąłem zęby i czekałem, aż ogień przycichnie. A on nie cichł. Wskoczyłem z okopu i na ślepo pobiegłem w stronę tyłów. Kule cięły za mną powietrze. Załoga czołgu dostrzegła, że biegniemy i z zaciekłością otworzyła ponownie ogień. Pociski ścinały czubki drzew wokół nas, jak gdyby to były zapałki. Ale nikt nie upadł.

Zbliżał się zmierzch i MacDonald oraz niedobitki jego kompanii wiedzieli, że nie dojdą do Rocherath i Krinkelt⁸². Bez namysłu weszli między drzewa. MacDonald wspomina:

Poślizgnąłem się i zaryłem twarzą w śnieg. Wstałem i ponownie upadłem. Przeklinałem swoje śliskie buty. Nie obchodziło mnie już, czy Niemcy nadal strzelają. Miałem przemoczone stopy. Cały byłem spocony i zaschło mi w ustach. Chciałem zapalić. Czułem się jak bezradny mały rozpaczliwie uciekający na ślepo robak, kiedy wielki potwór podniesie zwalony pień, pod którym dotychczas żył. Zastanawiałem się, czy nie byłoby lepiej zginać i być może położyć temu wszystkiemu kres.

Na całej długości Linii Zygryda młodzi żołnierze walczyli, umierali, wpadali w rozpacz, uciekając próbowali ocalić życie i podnosząc w geście poddania ręce tracili godność. VIII Korpus Middletona składający się z doświadczonych żołnierzy i żółto-dziobów nagle załamał się. Wydawało się, że nie ma już żadnej nadziei. Wielu z nich czuło, że nie ma szans, przeciwnik skierował do walki swoje najlepsze jednostki, Niemcy mieli przewagę 4:1 i byli dowodzeni przez elitę dowódców Trzeciej Rzeszy.

Zawodowy historyk wojskowości, pułkownik Dupuy, autor historii nieszczonej amerykańskiej 106. Dywizji Piechoty, która w walce była dokładnie pięć dni, napisał:

Przejdźmy do niepodważalnych faktów. Na tej drodze*³ tego dnia zapanowała panika, zwykła, bezpodstawna panika. Wydawało się, że wszyscy, którzy mieli i nie mieli na to usprawiedliwienia, tego dnia kierowali się na zachód, na zachód od Schoenberg i na zachód od St. Vith. Jeepy - ciężarówki, czołgi, działa i inne ciężkie pojazdy artylerii, które zajmowały trzy czwarte szerokości drogi; niektóre z nich jechały obok siebie. Często pojazdy jechały w trzech rzędach, nierzadko wpadały do rowów. I wszystko to na dwupasmowej drodze. I ponownie to 7. Dywizja Pancerna [która otrzymała rozkaz wsparcia piechoty] kierowała się na tyły...

Innymi słowy panowało całkowite i beznadziejne zamieszanie oraz rozpacz.

Uczucia zwykłego żołnierza, który został powołany do wojska przez militarną maszynę Stanów Zjednoczonych, przewieziony na drugi koniec kuli ziemskiej i wy-

- Dwie belgijskie wioski, które zostały zaatakowane w pierwszej kolejności. Dwa miesiące później Knnkelt była ostatnim wyzwolonym kawałkiem belgijskiego terytorium. Było to pięć miesięcy po tym, jak alianci weszli do Belgii.

Była to ta sama droga, wzdłuż której atakował 22. pp pułkownika „Bucka” Lanhama, kiedy po raz pierwszy trzy miesia. ee wcześniej uderzano na Linie Zygryda.

rzucony na tym „zadupiu świata”, mogą być niezłe wyrażone słowami Mela Brooksa. Żydowski komik i filmowiec opisał swoje własne doświadczenia w wywiadzie dla „Playboya” 40 lat później:

Ktoregoś dnia załadowali nas na ciężarówkę, zawieźli na stację kolejową, umieścili w zamkniętym pociągu z zaciemnionymi oknami. Wysiedliśmy z pociągu, wsiedliśmy na łodzie. Wysiedliśmy z łodzi, wsiedliśmy do ciężarówek. Wysiedliśmy z ciężarówek. Zaczęliśmy maszerować. Nagle wszędzie wokół nas *Uaauhuaahuaahl* Syreny! Tygrysy! Niemcy nas okrzykli. To bitwa o Ardeny! Ręce do góry! „Zaraz - mówię - właśnie wyjechaliśmy z Oklahomy. Jesteśmy Amerykanami... Mamy wygrywać”. *Niesamowicie* straszne, ale zdołaliśmy uciec... *A oni* zaczęli wtedy strzelać. „Nadchodzi poczta”. Gówno! Tylko Burt Lancaster tak mówi. My mówiliśmy „O Boże, o Chryste!” - kto wie, może mógł nam pomóc. On też był Żydem... MATKO!

Być może to śmieszne, ale nie do śmiechu było 20 000 zabitych, rannych lub wziętych do niewoli młodym Amerykanom, którym przytrafiło się to podczas trzech dni ataku przez rzeki Our i Sauer.

„Zaskakująca” niemiecka kontrofensywa w Ardenach (która oczywiście Eisenhowerowi była nie na rękę) oznaczała koniec pierwszej kampanii sojuszników skierowanej przeciwko Linii Zygfryda. Od 13 września prawie milion żołnierzy alianatów próbowało przebić ją w kilku miejscach - od Geilcnkirchen na północy, wokół Aachen i Hiirtgen w centrum oraz w Lotaryngii, gdzie próbowała to uczynić 7. Armia.

Włamania te w najlepszym przypadku nie miały głębokości większej niż kilka kilometrów (pod Jiilich). Z wyjątkiem odcinka w Eifel wokół lasu Hurtgen, nie zdobyto też jej kluczowych fragmentów, a tam teren w ogóle nie nadawał się do zmasowanego ostatecznego uderzenia. Natomiast koszt liczony przez pryzmat strat był przerażający.

Podczas tej pierwszej kampanii straty amerykańskiej 1. Armii wyniosły 7024 poległych, rannych i zaginionych żołnierzy, a kolejne 4860 trafiło do niewoli. Straty 9. Armii (a ta stosunkowo późno weszła do bitwy) wyniosły 1 135 zabitych, 6864 rannych lub zaginionych, a kolejne 2093 znalazło się w niemieckich obozach jenieckich. Straty te należy powiększyć o kolejnych 11 000 amerykańskich żołnierzy, którzy służyli w jednostkach podległych brytyjskim lub kanadyjskim dowódcom. Łącznie na froncie tym amerykańskie straty wyniosły 68 000 żołnierzy. Oprócz tego w 1. Armii doliczyć należy kolejnych 50 672 żołnierzy ujmowanych w wykazach strat niebojowych, a w 9. Armii było ich 20 787. W bitwach o Saarę i później o Wał Zachodni straty bojowe i niebojowe 3. Armii Pattona wyniosły łącznie 67 956 żołnierzy. W rezultacie podczas trzyipółmiesięcznych prób przełamania Linii Zygfryda straty wyniosły 200 000 żołnierzy, co można porównać do średniej wielkości miasta.

Z obecnej perspektywy widać, że Niemcy w 1944 roku podczas bitwy o Linie Zygryda cały czas dominowali. 16 grudnia wyprowadzając atak zdecydowali się nagle ją przerwać. I chociaż naprawdę nigdy nie mieli inicjatywy i byli zmuszeni reagować na posunięcia sojuszników, to wpłynęli na wynik bitwy o Wał Zachodni, broniąc się słabymi i *ad hoc* zgromadzonymi siłami, a w tym samym czasie przygotowali jednostki do wykonania kontrataku z Linii Zygryda w Ardeny.

Należy jednak powiedzieć, że Niemcy również ponieśli bolesne straty. Nie były one jednak tak duże jak aliantów. Ale po 96 dniach oblężniczych walk żołnierze Modla nadal byli w stanie kontynuować działania. To VIII Korpus Middletona załamał się i zaczął wycofywać w Ardenach. Tak wyglądał początek amerykańskiego „Gettysburga XX wieku”, największej i najdłuższej bitwy, w której walczyli żołnierze sił amerykańskich podczas drugiej wojny światowej i w całym XX wieku. Komu w końcu przypadło zwycięstwo?

Młodzi mężczyźni w szarych i oliwkowych mundurach, przedzierający się przez śnieg i lasy Ardenów nie zawracali sobie głowy takimi pytaniami. Na głowie mieli inny problem - chcieli przeżyć.

A na pokrytych grubą warstwą śniegu wzgórzach i grzbietach Eifel, gdzie był Wielki Wał Niemiecki, zapadła cisza. Wydawało się, że potężny prehistoryczny drańpiezny stwór odpoczywał i czekał na ponowne pojawienie się żołnierzy. Co do tego nie było wątpliwości. Mieli wrócić.

Część 3

styczeń-marzec 1945

Nadal możemy przegrać tę wojnę.

generał Patton, 4 stycznia 1945

1.

Odpowiedzialność ponownie przejmują Brytole

Zobaczyć rok 1945 i przeżyć.

żołnierski żart

Rankiem 16 stycznia 1945 roku żołnierze 1. i 3. Armii w śniegu po pas, na śliskich i oblodzonych drogach pokonywali silny niemiecki opór i próbowali doprowadzić do połączenia wojsk. Ich celem było małe zniszczone graniczne belgijskie miasteczko Houffalize, skąd na swoje wyprawy ruszał Hemingway. Nie miało już znaczenia, że 1. i 3. Armia kilka dni wcześniej połączyły się już pod La Roche, co było symbolem zakończenia bitwy o Ardeny. W zawiłej śnieżnej sfotografowano połączenie brytyjskiej jednostki Black Watch z 84. DP „Rail-Splitters”, która zdobyła sławę pod Geilenkirchen. Tym razem świat miał się dowiedzieć, że walki prowadzili amerykańscy żołnierze dowodzeni przez amerykańskich generałów⁸⁴.

Przez trzydzieści jeden dni wojska aliantów, przeważnie amerykańskie, były się w najgorszych warunkach, jakich doświadczyła Europa w czasie ostatnich dwudziestu pięciu lat. Bez przerwy wiał zimny wiatr, ziemia była pokryta grubą warstwą śniegu. W temperaturach utrzymujących się ciągle poniżej zera piechota raz za razem wchodziła do bitwy. Twarze żołnierzy pod wpływem wyjącego wiatru, który niósł ostre jak brzytwy kawałeczki zamrożonego śniegu wyglądały jak dobrze wygarbowana czerwona stara skóra. Najczęściej wojna ta wyglądała jak „mozolne przedzieranie się przez błota”. Sojusznicze siły powietrzne na krótko pojawiły się w okresie Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Pojazdy opancerzone ślizgały się na belgijskich drogach, które były oczyszczone ze śniegu przez saperskie buldożery, ale zamieniły się w lite tafle zdradzieckiego lodu. Ogólnie biorąc, walki, zabijanie i cierpienia jak zwykle były losem BSP (Biednej Skrwawionej Piechoty).

Houffalize, ostatnie miasto na obszarze położonym przed niemiecką granicą i Wąłem Zachodnim, było ostrzeliwane przez najnowszą tajną brytyjską broń - pociska-

⁸⁴ Montgomery właśnie ujawnił, że podczas bitwy o Ardeny to on dowodził większością amerykańskich jednostek (w tym 1. Armią) i pomógł zatrzymać niemieckie natarcie na Możę siłami brytyjskiego XXX Korpusu. To oświadczenie skutecznie zakończyło „szczególne stosunki” między najwyższymi dowódcami, z których Brytyjczycy byli (i nadal są) tak dumni.

mi z zapalnikami zbliżeniowymi, kierowanymi radarem o bezprecedensowej dokładności i śmiertelnej skuteczności.

Feldmarszałek Model nadal rozpaczliwie próbował utrzymać miasto z kluczowym skrzyżowaniem dróg. Po poważnej walce z Hitlerem o pozwolenie na wycofanie i uratowanie pozostałych jednostek pancernych, w końcu uzyskał ją i przez pięć dni jankesi płacili wysoką ceną za próby zajęcia Houffalize - miasta, przez które wymknęły się czołgi.

Brytyjski korespondent wojenny R. W. Thompson z „Sunday Times”, który szedł za Amerykanami, posuwającymi się naprzód powoli - do dwóch kilometrów dziennie, zauważył piękno ośnieżonych wzgórz Ardenów. Dostrzegł też, że:

Z każdym kilometrem do przodu piękno to staje się zagrożeniem. Przerazające jest walczyć dając z siebie całą energię, jaką człowiek może zebrać. [...] Pod górę na każdym wzgórzu żołnierze pchają ciężkie ciężarówki próbujące zyskać przyczepność kół przy pomocy łańcuchów. Wszędzie pojazdy gąsienicowe beznadziejnie ślizgają się i wpadają głęboko do rowów. [...] Ale cały czas pracują buldożery, usuwając i rozbijając śnieg z lodem na proch, a cywile rozbijają go kilofami i łopatami. Każdy kopie łopata aż do ziemi i podrzuca ją pod koła, które muszą chwycić [...] do ich uszu dociera cały czas huk ciężkiej artylerii, która niszczy ów biały świat wybuchami płomieni.

Kiedy Thompson relacjonował desperacki wysiłek Amerykanów, którzy dążyli do połączenia swoich sił, i kiedy fotografowie z korpusu łączności Stanów Zjednoczonych niecierpliwie oczekiwali na możliwość zrobienia zdjęć tego, co nazwano „historycznym wydarzeniem”, Patton i jego kierowca, sierżant Mims, ruszyli w drogę ze sztabu w Luksemburgu, by obejrzeć dopiero co wyzwolone miasto. Jak zawsze Patton nie mógł zaprzepaścić szansy na osobisty rozgłos.

Trzydzieści jeden dni wcześniej obaj ruszyli w drogę z Nancy w nieznaną. Bradley, kiedyś podwładny Pattona, powitał go z otwartymi ramionami - Patton i jego 3. Armia były jedyną amerykańską jednostką pod jego rozkazami, Montgomery dowodził wtedy (choć skrycie) 1. i 9. Armia.

Patton cieszył się swoim nowym zakresem kompetencji, zwłaszcza że Bradley był mu tak wzruszająco wdzięczny. Razem tworzyli legendę „oblężenia i odsieczy” Bastogne oraz jej „poobijanych sukinsynów”. Odtąd było ono nazywane „Nuts City”⁸⁵.

⁸⁵ Bastogne nigdy się nie poddało i, jak ujawnił Patton, w mieście było więcej obrońców niż atakujących. Kiedy amerykański dowódca odpowiedział na niemieckie żądania poddania miasta swoim słynnym zwrotem „Nuts” (wielu sądzi, że jego odpowiedź była bardziej plastyczna), miejscowi uważali, że ma to związek z ich dorocznym orzechowym jarmarkiem. Obecnie od 50 lat robią oni dobry interes na „Nuts City” i na jego wojennym „oblężeniu”.

Patton nawet zgodził się podać do dymisji razem z Bradleyem, jeśli Montgomery znów otrzyma całkowite dowództwo nad amerykańskimi wojskami, tak jak miało to miejsce w Normandii. Ale poprzedniej niedzieli Monty nabazgrał w swoim notatniku czczą butną relację, z której wynikało, że to on wygrał bitwę o Ardeny. „Mały smród Monty”, jak Patton tytułował marszałka polnego, nie był brany pod uwagę i Patton zamierzał cieszyć się swoim drugim symbolicznym zwycięstwem pod Houffalize.

Uderzenie na Houffalize, które zostało „niezwykle łatwo wyzwolone”, jak przedstawił to Patton, zamieniło się w coś na kształt tournée po polu bitwy. W pewnym punkcie generał rozkazał Mimsowi zatrzymać się i wziąć ze skraju drogi niemieckiego strzelca karabinu maszynowego, który najwyraźniej chciał się poddać. Mims zwrócił się do niego, a ten nie odpowiadał. Kierowca dotknął Niemca. Ku jego przerażeniu mężczyzna powoli się przewrócił, nadal utrzymując postawę z podniesionymi rękami, i trzymając pas naboju do MG 42. Jak się okazało, został trafiony i natychmiast zamarzył na śmierć.

Było to typowe dla natarcia w takich warunkach pogodowych, ale jednak zniechęcało. Wkrótce potem Patton rozkazał swojemu kierowcy ponownie się zatrzymać, żeby mógł sprawdzić coś, co wyglądało jak linia czarno-purpurowych wypustek wystających ponad powierzchnią błyszczącego śniegu. Generał uważał, że może to być mina nowego typu. Ale tak nie było. Jak się okazało, były to palce martwego żołnierza, którego buty zostały skradzione, gdy ten zginął. Nawet zatwardziały „Ole Blood an' Guts” przyznał się później w sztabie, że był to „paskudny widok”. Ostatnie boje w bitwie o Ardeny rozegrały się w swego rodzaju zamrażarce, która natychmiast przebarwiała zmarłych na kolor dojrzałego czerwonego wina.

Ale kiedy Patton wjeżdżał do tego zrujnowanego miasta, zastanawiając się, czy powinien włożyć kolorowy film do swojego aparatu, by sfotografować zwłoki tak jak naprawdę wyglądały (Patton zawsze fotografował poległych żołnierzy), jego przełożony Eisenhower, będący daleko w Paryżu, zastanawiał się, co zrobić z Pattonem. Prowadzący inspekcję generał Everett Hughes, stary plotkarz i serdeczny kumpel zarówno Ike'a, jak i „George'a”, usłyszał od naczelnego dowódcy: „Everett, George jest wspaniałym żołnierzem i muszę skłonić Marshalla, by coś dla niego zrobił, zanim wojna się skończy!”.

Chociaż Eisenhower wiedział, że Patton „wyzwolicielem poobijanych sukinsynów z Bastogne”, miał odegrać poważniejszą rolę w zbliżającej się drugiej bitwie o Wał Zachodni, musiał też wziąć pod uwagę Brytyjczyka Montgomery[^]go, wtedy szczególnie znieawidzonego wśród żołnierzy Stanów Zjednoczonych.

^{***} Później Hughes szybko polecał do sztabu Pattona, by przekazać swojemu przyjacielowi, co powiedział „Ike”. Ale Patton był zbyt zajęty kierowaniem działaniami swoich podwładnych i jak zanotował w swoim dzienniku Hughes, przedstawiał „swoje zalety”. Jest dobry - bo on tak mówi. Podczas kampanii Patton najwyraźniej miał trzy kochanki - Francuzkę, Angielkę i swoją siostrzenicę Jean Gordon, która po śmierci Pattona popełniła samobójstwo.

W końcu Eisenhower zdecydował, że pozwoli Montgomery'emu na drugie uderzenie w Linia Zygryda na północy. Tam Anglik miał zaatakować trójkątny sektor bronionego przez Niemców terenu, w przybliżeniu liczący 30 kilometrów szerokości, zwany występem Heinsberg i broniony przez trzy główne linie fortyfikacji, które były „odgałęzieniami” Linii Zygryda.

Pierwsza z nich obejmowała ciągłą linią okopów z zapasami broni, osłanianych drutem kolczastym i polami minowymi, z pozycją odwodów na tyłach. 2,5 kilometra za pozycją odwodów znajdowała się druga linia. Trzecia rozciągała się od Linii Zygryda do punktu położonego tuż za małym miastem Heinsberg. Cała ta budząca grozą pozycja została obsadzona przez dwie niemieckie dywizje piechoty, wspierane przez 156 dział oraz 18 dział szturmowych, dodatkowo znajdowała się tam również śmiertelna broń, jednak Anglicy nadal o niej nie wiedzieli - morderczy, przesiąknięty wodą teren.

Występ Heinsberg nie był pozycją łatwą do zdobycia, chociaż Montgomery miał do swojej dyspozycji dwie dywizje piechoty, jedną dywizją pancerną i 1. Brygadą Komandosów. Dowodzona przez generała „Butchera” Thomasa 43. DP była w boju od Normandii i miała ogromne doświadczenie. Mimo przerażających strat nigdy nie zawiodła Thomasa. Inna dywizja, 52. „Nizinna” była mniej doświadczona. Szkoliła się przez większą część wojny jako dywizja górską tylko po to, by wejść do działań w październiku 1944 roku nie w górach Norwegii, jak przewidywali żołnierze, ale w najniższym punkcie Europy Północnej - na holenderskich wyspach Walcheren. Jednak zachowała ona większość swojego początkowego personelu i nie została osłabiona masowym napływem dziewiętnastoletnich żołnierzy, którzy w najlepszym razie mieli trzy miesiące szkolenia.

Ogólnie rzecz biorąc żołnierze tych dywizji, którzy zostali powołani w Szkocji (znajdowało się wśród nich dużo Anglików udających Szkotów), byli nieustępliwymi ludźmi małego wzrostu. Wyszli z Wielkiej Depresji i okresu zasiłków, przeżyli lata trzydzieste łącząc skromne środki z wrodzonym spięciem. Armia podkarmiła ich, dając im krzepą i mięśnie, ale nie była w stanie zmienić ich brutalnego usposobienia i upodobania do strzelaniny (zwłaszcza kiedy byli pijani). Byli to budzący grozą przeciwnicy. Jeśli jeniec nie poddawał się wystarczająco szybko, „Jocks”, jak ich powszechnie nazywano, nie dawali „starym Nicmiaszkom” kolejnej szansy. Kiedy oficjalny raport kompanii podawał, że „nie wzięto żadnych jeńców”, wszyscy wiedzieli dlaczego.

Żołnierze 1. Specjalnej Brygady Komandosów byli nie tylko twardzi, ale również zdyscyplinowani. Średnia ich wieku była wyższa niż wśród innych żołnierzy. Walczyli począwszy od prowadzonych od 1940 roku najazdów na kole podbiegunowym. Nauczyli się wypełniać rozkazy, prowadzić uderzenia, tam gdzie najmniej tego oczekiwano. Ich dowódca ujął ich żołnierskie zalety w prostych słowach: „błyskawicznie reagują w pierwszym kontakcie z wrogiem i prowadzą do niego ogień tak długo, aż są pewni, że go zlikwidowali”.

Ogólnie rzecz biorąc zarówno doświadczeni, jak i niedoświadczeni żołnierze stanowili twardy materiał- po życiu w wojsku nie oczekiwali wiele i nie byli rozczarowani.

wam tym, co mieli. Byli szczęśliwi, że mogą korzystać z tych nielicznych przyjemności, które nieregularnie do nich docierały- amerykańskiego piwa, jajek smażonych na łopacie, metalowych pojemników z kiepskiej jakości papierosami.

Mówili własnym językiem, który pochodził z czasów, kiedy „starzy harowali” w odległych zakątkach imperium, nad którym słońce nigdy nie zachodzi. Dla nich *dollai* znaczyło „szalony”, *dhoby* - „myć się”, *wallah* - „mężczyzna”, *bint* - „kobieta”, a *char* był nieodzownym napitkiem, bez którego przeciętny *squaddie* nie mógł funkcjonować - herbata.

Podczas miesięcy spędzonych w Europie w ich języku pojawiły się nowe słowa: *zig-zag* znaczyło „pijany”, *jig-jag* - „kopulować”. Wszystko, co znaleziono lub splądrowano, deklarowano jako „wyzwolone”, być może ze względu na oficjalną nazwę ich wojska - „Brytyjska Armia Wyzwoleńcza” (British Liberation Army - BLA). Jak żartowali szydery, skrót ten wskazywał ich przyszły los - Burma Looms Ahead [Przed Nimi Birma -*przyp. tłum.*].

Wtedy ci młodzi mężczyźni, ostro trzymani w ryzach swojej klasy i swojego systemu pułkowego, z przydomkiem „Hells Last Issue” (Highland Light Infantry) i „Straż Poncjusza Piłata” (Royal Scots) mieli uczestniczyć w pierwszej bitwie drugiej kampanii o Wielki Wał Niemiec.

O 7.30 16 stycznia 1945 roku szkocka piechota w swoich maskujących mundurach ruszyła do ataku przez mlecznobiałą mgłę. Pierwsza fala z bagnietami przeszła przez sięgającą kolan mgiełkę i czekała na pierwszy jazgot niemieckich MG 42.

I wkrótce się odezwały. Kiedy usłyszano pierwszą serię karabinu maszynowego o szybkostrzelności tysiąca strzałów na minutę, błyskawicznie zareagowały nawet największe wygi. Kiedy żołnierze z 4. batalionu pułku Royal Scots Fusiliers pokonywali pierwszy strumień i wspinali się na przeciwległy wysoki grzbiet, Niemcy otworzyli ogień ze znajdującego się naprzeciwko domu. Nagle „Jocks” gwałtownie ruszyli do działań. Ignorując zasieki i pola minowe przyspieszyli. Ze wszystkich stron zaczęli padać zabici i ranni. Ale nadal atakowali, ignorując budzące litość krzyki swoich rannych towarzyszy: „Sanitariusz, na miłość boską, nosze... nosze”. Wybór był tylko jeden- albo leją, albo wychodzą z kibelka.

Fizylier Dennis Donnini, dziewiętnastoletni uczestnik tej fali szturmowej, który służył w wojsku zaledwie siedem miesięcy, był jednym z trafionych. Dostał w głowę i straciwszy przytomność wpadł do zamarzniętego okopu. Tym, którzy byli za nim, musiało się wydawać, że jest już po nim. Poza tym, dlaczego miałoby być inaczej? Jego ojciec nawet nie był Brytyjczykiem; był włoskim handlarzem lodów z północy Anglii, który nigdy nie został naturalizowany i na tej wojnie stracił już jednego ze swoich trzech synów.

Młody Donnini myślał inaczej. Odzyskał świadomość. Z trudem stanął na nogach, z rany na głowie lała mu się krew, przeszedł trzydzieści metrów. Podszedł do pierwszego z bronionych przez Niemców domów i wrzucił przez okno granat do środka. Przez rozbitą framugę poszedł czarny dym. W środku słychać było okrzyki przerażenia i gniewu. Kilka chwil później niemieccy obrońcy w panice uciekli w głąb linii schronów.

Donnini oraz kilku innych żołnierzy dziesiątkowanego plutonu atakowali dalej. Przebiegli przez pole pod morderczym ogniem karabinów maszynowych. Z trudem i głośno oddychali, ich płuca pracowały jak miechy. W końcu znaleźli schronienie w stodole. Ale nie Donnini. Słabł w oczach, lecz wyniósł z pola bitwy rannego żołnierza. A potem ten odważny, miody człowiek o ciemnych błyszczących oczach jeszcze złapał karabin Bren i sam zaatakował niemieckie okopy znajdujące się sto metrów dalej.

Prowadził ogień z biodra i ponownie został trafiony. Przyklęknął na jedno kolano, było słycać jego gorączkowy oddech. Nadal strzelał. Zmusił się do wstania. Ale szczęście szybko go opuszczało. Niemiecki żołnierz rzucił granatem, kiedy Donnini był zaledwie 10 metrów od okopu. Natychmiast znikł w błysku fioletowego światła. Kiedy jego towarzysze ponownie go zobaczyli, widać było, że nogi uginają mu się jak nowo narodzonemu źrebięciu. Zginął. Później został pośmiertnie odznaczony najwyższym orderem Imperium Brytyjskiego za męstwo na polu walki - Krzyżem Wiktorii.

Donnini nic był jedynym. Mniej więcej dzień później komandos z 1. Brygady Specjalnej zostali przywożeni ogniem przed pierwszą ufortyfikowaną pozycją, którą atakowali tuż pod wsią St. Joostburg. Żołnierze z Zielonych Beretów leżeli w śniegu razem ze swoimi rannymi. Plutonowy Erie Harden z Królewskiego Korpusu Medycznego (nie był lubiany przez towarzyszy, ponieważ byli oni przekonani, że wszyscy sanitariusze okradają rannych, kiedy ci są nieprzytomni) na ochotnika zgłosił się do zabrania rannych komandosów.

Otrzymał zgodę i pomknął 100 metrów do przodu pod silnym ogniem karabinów i pistoletów maszynowych. Dotarł do rannych i opatrzył oficera oraz trzech żołnierzy. Ale poświęcenie młodego plutonowego na tym się nie zakończyło. Zaczął ściągać na tyły co poważniej rannych żołnierzy. Nagle krzyknął i zatrzymał się. Obserwujący go zamarli. Został trafiony. W boku Hardena widniała bolesna rana. Ale to go nie zatrzymało. Po kilku chwilach zebrał siły i ponownie podjął ryzyko ratowania rannych. Gdy wrócił na własne pozycje, rozżłoszczony lekarz wojskowy sklął go i rozkazał mu zostać na miejscu. Miał więcej nie wychodzić.

Harden odmówił wykonania rozkazu. Dwukrotnie zebrał grupę ochotników z noszami, którzy mieli zabrać rannych. Z powodu upływu krwi wyraźnie słabł. Na końcu ściągnął oficera, który samotnie i w bólu od dawna czekał na ewakuację. Mimo to rozkazał, by właśnie jego zabrać na samym końcu.

Ale szczęście Hardena się skończyło. W drodze powrotnej z rannym oficerem młody sanitariusz został trafiony w głowę. Runął jak rażony toporem, tym razem na dobre. Również otrzymał Krzyż Wiktorii i też tym razem nadano go pośmiertnie.

Walki trwały dalej. Zginęło bądź odniosło rany bardzo wielu żołnierzy. Niektórzy otrzymywali najwyższe odznaczenie - Krzyż Wiktorii - za zdobycie kilku kilometrów kwadratowych przeklętych pokrytych śniegiem pól, które dziś są pastwiskami dla krów i które niewielu Brytyjczyków mogłoby wskazać na mapie, a być może nawet żaden z nich.

Zdobyto pierwszą linię niemieckiej obrony, potem drugą. Komandosi wywalczyli sobie przejście przez gęste, pełne chaosu niemieckie pozycje i stwierdzili, że w ogó-

le nie potrafia określić, gdzie się znajdują. Jedynejeniec, którego wzięli do niewoli, również nie potrafił im pomóc. Był tak samo zdezorientowany jak oni. Nawet gdy został lekko „przyciśnięty”, nie potrafił niczego powiedzieć o pozycjach swoich towarzyszy. Powtarzał jedynie, niemal jak litanią, której nauczył się w dzieciństwie: „chcę umrzeć za Fiihlera, chcę umrzeć za Fiihlera”. W archiwach nie ma informacji, czy poirytowani komandosowie spełnili jego życzenie. Dalej w zamieszaniu błędzili przez dymy pola walki. Kiedy komandosowie biegiem ruszyli w stronę pierwszej linii zajętych przez Niemców budynków, pociski smugowe kreśliły w powietrzu zygzaki, jak roje rozłozszczonych czerwonych szerszeni.

Oficer służb medycznych kapitan Moore wpadł do małej piwniczki. W migoczącym płomieniu ogarka świecy zobaczył umorusaną grupę „starych i zasuszonych ludzi zbitych razem pod zniszczonymi prześcieradłami i kocami”. Niektórzy z nich byli Niemcami, inni Holendrami, którzy zostali sprowadzeni zza pobliskiej granicy do pracy w miejscowych gospodarstwach. Młoda Holenderka miała bóle porodowe.

Kapitan Moore, zapominając o toczącej się wokół bitwie, pomaga! w przyjsciu na świat „malutkiego holenderskiego chłopczyka”. Jego podwładni oddali swoje płaszcze, by „ogrząć biedną dziewczynę”. Chwila ta była krótkim epizodem człowieczeństwa wśród krwawych okrutnych zgonów.

Uzbrojeni i nieuzbrojeni Niemcy byli wszędzie. Szeregowy Whcelcr, który pilnował zajętej piwnicy, kiedy jego koledzy mieli dalej nacierać, nagle stanął twarzą w twarz z kilkoma „niewyraźnymi postaciami”. Nie mieli na sobie zielonych беретów komandosów, lecz niemieckie hełmy. Wheeler był przekonany, że to jego kumple robią mu kawał.

„Nie przestraszycie mnie, głupie gnoje” - krzyknął.

„Nie?” - odpowiedź nadeszła w języku angielskim, ale z akcentem niemieckim.

Chwilę później Wheeler trafił „do wora” jako niemiecki jeniec wojenny.

Dalej w górę linii jeep z trzema komandosami w ciemności wpadł na pozycje przeciwnika. Samochód został nagle zatrzymany przez śmiercionośny stalowy drut rozciągnięty nad drogą, który na szczęście trafił w metalowy stojak na masce jepepa, zamontowany w wyraźnie określonym celu - aby drut nie ściał głów pasażerów pędzącego pojazdu.

Kierowca kapral Selby zareagował jak prawdziwy komandos. Zakręcił jeepem w ciasnym kole. Ale nie miał szczęścia. Zanim Niemcy zdążyli zareagować, a dwaj pasażerowie wyskoczyć z niedużego otwartego pojazdu, wpadł na minę. Tylna oś wyleciała w powietrze i rozpadła się na kawałki. Selby został wyrzucony, miał złamaną nogę i był poważnie ranny w ramię.

Szeregowy Connolly, który znajdował się na tylnym siedzeniu jepepa, uciekł w mrok ścigany przez wściekły niemiecki ogień z broni strzeleckiej. Później tej nocy zupełnie wyczerpany dotarł do własnych linii. Wypił wzmocnioną rumem herbatę, którą mu zaproponowano, i wtedy spytał o Selby’ego. Powiedziano mu, że „podoficer” zniknął i później niefortunny kapral został sklasyfikowany jako „zaginiony, przypuszczalnie poległy”. Dwa i pół dnia później, wartownik dojrzał „sylwetkę pełznącą po drodze między pozycjami przeciwnych stron”.

To był kapral Selby - pokryty zaschłą krwią i strasznie wyniszczony. Wokół rannej nogi była zakręcona zaimprovizowana brudna opaska uciskowa. Przebywał na odkrytym terenie, w temperaturach poniżej zera, bez jedzenia i wody przez sześćdziesiąt godzin. W tym czasie został poważnie ranny. Pomimo to zdołał zauważyć wiele stanowisk przeciwnika i nalegał na przekazanie tych danych oficerowi oddziału wywiadu, zanim w końcu otrzymał błogosławieństwo zastrzyku morfiny i zapomnienia. Przed 24 stycznia „Jocks” zbliżyli się do swojego celu, Heinsberga. Przetrzymali trzydzieści godzin stałego ognia artyleryjskiego i moździerzowego. Część z nich załamała się. Ostatecznie mieli w większości 19, a nawet 18 lat. Ale nadal posuwali się naprzód pod działą Wału Zachodniego.

King's Own Scottish Borderers już ponieśli zbyt wielkie straty. Wtedy kompania B tego pułku, dowodzona przez majora Hogga, trafiła pod ciężki ogień. Hogg, poważnie ranny, upadł. Zanim zemdłał, zażądał postawienia zasłony dymnej, by ukryć złapanych w pułapkę żołnierzy. Artylerzyści bez namiarów nie mogli pomóc. Poprosili o współrzędne. Ale wtedy Hogg stracił świadomość. Dowodzenie przejął starszy sierżant. Nie na długo. Został ciężko raniony, tak samo jak zastępca dowódcy, który został zabity bezpośrednio przez pocisk z moździerza. Łączność kompanii z tyłami, w szczególności z oczekującymi artylerzystami, wydawała się całkowicie zerwana. Wyglądało na to, że kompania B została skazana na zagładę.

Wówczas artylerzyści usłyszeli nagle silny, spokojny głos ze szkockim akcentem. To był plutonowy Alexander Leitch, jedyny żyjący podoficer kompanijnego punktu dowodzenia. Artylerzyści o tym nie wiedzieli, ale był on całkowicie sam w dymiących ruinach bunkra. Leitch poprosił o zasłonę dymną, tak samo jak jego nieprzytomny dowódca, tym razem jednak podane zostały współrzędne potrzebne kanonierom do prowadzenia ognia.

Wkrótce dym wypełnił pozycje zajmowane przez niedobitków i mogli się wycofać. Sanitariusze ruszyli przez podziurawiony dymiący księżycowy krajobraz i zaczęli zbierać tych, którzy nic mogli poruszać się o własnych siłach. Leitch spokojnie patrzył na nich i zanim ruszyli spytał, czy jeszcze wrócą. Zaskoczeni sanitariusze zapytali po co. Leitch, spokojny jak zawsze, powiedział: „Myślę, że zostałem ranny w obie nogi”. Tak było - jedna była mocno rozdarta, drugą, która wisiała na pasie skóry, prawie odcięta przez artyleryjskie odłamki.

Pół godziny później, kiedy sanitariusze zaczęli opatrywać półmartwego operatora radiostacji, King's Own Scottish Borderers ruszyli za Royal Scots do zniszczonego i pokrytego dymem miasteczka Heinsberg. Brytyjski atak na Wielki Wał Niemiec zakończył się powodzeniem; straty wyniosły blisko 1000 żołnierzy⁸⁷.

Listę strat 52. DP powiększono o kilkaset pozycji niebojowych. Oczywiście były one również w innych uczestniczących w operacji jednostkach. Wkrótce brytyjska armia traciła dziennie równoważnik jednego batalionu (około 1000 żołnierzy).

Marszałek polny Montgomery, dawniej bohater, teraz czarny charakter bitwy o Ardeny, przygotowywał się do stawienia czoła głównej pozycji obrony Linii Zygfryda. Miał zaatakować przez las Reichswald na granicy między Holandią a Niemcami. Celem było przełamanie obszaru Cleves-Goch-Udem-Calcar. Następnie brytyjskie i kanadyjskie jednostki miały skierować się w stronę Renu, skąd „mały smród”, jak zazwyczaj nazywał go Patton, miał uruchomić swój wielki plan uderzenia przez rzekę.

Montgomery miał wystarczająco dużo problemów z terenem, Linia Zygfryda i siłami niemieckimi. Ale kiedy marszałek polny całe miesiące wcześniej planował poważne uderzenie, nie zdawał sobie sprawy z tego, że będzie musiał stawić czoło jeszcze poważniejszym problemom wewnątrz obozu aliantów - amerykańskim generałom.

2. Znów na Wał Zachodni

Powiesimy nasze pranie na Linii Zygryda -jeśli Linia Zygryda nadal tam jest.

marsz okresu wojny

Na granicy między Belgią i Niemcami żołnierze wahali się i znów czekali, dokładnie tak jak miało to miejsce we wrześniu. Tym razem byli ostrożniejsi. Motto żołnierzy brzmiało „zobaczyć rok 1945 i przeżyć”. Bitwa o Ardcny dopiero co się zakończyła i generalicja chciała, by ponownie zaatakowano, chociaż dywizje szturmowe miały zaledwie 70 procent oficjalnego stanu strzelców.

W górę Ardenów, gdzie 3. Armia oczekiwała na „zwycięzcę spod Bastogne”, który miał wygłosić przemówienie, panowała straszna pogoda. Wydawało się, że zima nigdy się nie skończy. Codziennie gęsto sypał śnieg. Saperzy Pattona rozpaczliwie walczyli, by utrzymać sponiewierany system w działaniu. Kierowcy „Red Bali Express” walczyli na drogach, by dowieźć zaopatrzenie. Regulujący ruch żandarmi byli odnajdywani zamrożeni na swoich oddalonych posterunkach.

We wsi Lanzerath, która wcześniej, w pierwszych dniach niemieckiej ofensywy, była celem grupy SS Peipera, sierżant sztabowy Giles i jego kompania saperów pracowali nad budową nowego mostu przez Our. Za kilka dni miała go potrzebować piechota Pattona. Sierżant w swoim dzienniku zapisał: „To dziwka”. „Rzeka ma 57 metrów szerokości, a głęboka jest na 30 metrów. Pogoda pod psem - pada śnieg i wieje wiatr. No i co jakiś czas strzela do nas artyleria. Tak wygląda moje wyobrażenie o PG [prawdziwym gnoju]. Chłopaki, to robota na 24 godziny na dobę i nie oszczędzać koni”.

Amerykański sanitariusz, Lester Atwell, stacjonujący niedaleko od niemieckiej wioski Kobscheid po drugiej stronie rzeki, tego samego dnia napisał: „Kapitan w ciszy chodził w tę i z powrotem, niecierpliwie oczekiwał na rozkaz wymarszu” i zaatakowania Linii Zygryda. Nagle pomyślałem i zacząłem się modlić „Boże, nie pozwól, by doszło do masakry. Pomóż im. Zakończ to”.

Atwell obawiał się nie tylko przyszłości, martwiła go również terażniejszość. W jego dywizji piechoty oraz w innych wyznaczonych do przeprowadzenia drugiego amerykańskiego ataku na Linie Zygryda, początkowo setkami, a następnie tysiącami.

strzelcy zaczęli chorować. Ostre zapalenie układu oddechowego dziesiątkowało całe kompanie. Mróz i choroby stóp stanowiły kolejny powód do obaw. Kiedy pojawiła się gangrena, żołnierze tracili palce, stopy, nawet całe nogi. Zanim rozpoczęła się ofensywa 3. Armii, służby medyczne musiały zająć się taką liczbą chorych amerykańskich strzelców, która była porównywalna z całą dywizją piechoty - łącznie około 14 000. Byli oni tak schorowani, że nigdy nie mieli już wrócić na linię frontu.

W Ardenach i w Eifel napięcie rosło. A śnieg nadal walił z nieba płatami.

Trzy tygodnie wcześniej, kiedy armia Pattona nadal walczyła na przedmieściach Bastogne, generał zapisał w swoim dzienniku przerażającą myśl, że „nadal możemy przegrać tę wojnę”. Jego nastrój uległ dramatycznej zmianie. Mimo wszystkich kłopotów był pełen nieskrępowanego optymizmu. Wydawało się, że nie obchodzi go pogoda, stan zdrowia jego żołnierzy, fakt, że będzie atakował Linie Zygryda, która do tej pory była w stanie wytrzymać i odeprzeć każde uderzenie aliantów.

Jego sukces w Ardenach spowodował, że w gazetach pojawiło się mnóstwo przychylnych mu uwag, o które tak zabiegał w USA, i przywróciły go do centrum wydarzeń. Usunięty ze stanowiska przez Eisenhowera na Sycylii, zwolniony na zieloną trawę, trzymany z boku przez większą część inwazji, pozostawiony w pomocniczym prawym skrzydle w Lotaryngii, nadal wierzył w swój sukces (jak zapisał 31 grudnia 1943 roku na Sycylii): „Mój los jest już zapisany i byłbym głupcem i tchórzem, gdybym w to wątpił. Już nie. [...] A teraz po dalsze sukcesy. [...] Przeznaczenie będzie trzymało mnie na powierzchni wydarzeń”.

Królewska proza. Ale sentyment dla Pattona oznaczał bardzo wiele. I mimo wszystkich swoich błędów i pobłażania samemu sobie, wiedział kiedy nadchodzi dla niego czas żniw. Miał wystarczająco silne poczucie realizmu. I wtedy nadeszła ta chwila.

Nareszcie Eisenhower zaczął go popierać. Dał sobie spokój z Montgomerym. Jak Eisenhower powiedział już długo po wojnie korespondentowi „Telegrapha”, Comeliusowi Ryanowi: „On [Montgomery] miał do mnie i do Amerykanów tak przekłety osobisty stosunek, tak dbał żebyśmy, a w szczególności ja, nie mieli żadnych zasług, nie wspólnego z wojną, iż w końcu przestałem się z nim komunikować”.

Bradley ze swojej strony był tak niesamowicie wdzięczny Pattonowi za jego pomoc w czasie bitwy o Ardeny, że zrobiłby wszystko, by wesprzeć dowódcę 3. Armii i pozbawić znienawidzonego Montgomery'ego nawet kawałka sławy związanego ze zwycięstwem nad Niemcami w 1945 roku. Kiedy jeden z oficerów sztabowych Eisenhowera zasugerował, że Patton będzie musiał skierować niektóre swoje dywizje z Ardenów i Eifel do wsparcia ofensywy Montgomery'ego na północy, Bradley powiedział mu, że jeśli SHAEF* chce „zniszczyć całą operację”, to

* Supreme Headquarters Allied Expeditionary Force. Naczelne Dowództwo Sojuszniczych Ekspedycyjnych [przyp. tłum.].

może to zrobić, i do diabła z nim. Ale gorzko dodał: „Eisenhower musi zdawać sobie sprawę [...] że jest to coś więcej niż zwykła operacja... na szali znajduje się prestiż amerykańskiej armii”.

Jeżeli Bradley zamierzał zachować kontrolę nad armią, co miało przywrócić mu dobre imię w Ardenach, bardzo potrzebował Pattona. Ten o tym wiedział i 12 stycznia powiedział do Bradleya: „Nie obchodzi mnie, gdzie uderzymy”. Bradley w pełni się z nim zgadzał. Od czasu, kiedy w działania zaangażował się Patton, było mniej prawdopodobne, by Eisenhower pozwolił działać Montgomery'emu na północy. Nieuchronnie to oznaczało, że dwa związki operacyjne 12. Grupy Armii Bradleya - dowodzona przez Simpsona 9. Armia oraz 1. Hodgesa weszłyby pod kontrolę brytyjskiego marszałka polnego.

Obaj generałowie bardzo się ucieszyli, kiedy Eisenhower 23 stycznia zgodził się, by Patton prowadził to, co później nazwano „agresywną obroną” w Ardenach i w Eifel. Było to zielone światło, na które czekał Patton. W rękach starego „Ole Blood an' Guts” „agresywna obrona” miała stać się prowadzoną na wielką skalę kampanią. Być może Eisenhower również o tym wiedział.

W ostatnim tygodniu stycznia Patton w 3. Armii miał 13 dywizji. Niektóre z nich były najlepsze w całej amerykańskiej armii. Znajdowały się wzdłuż trzech frontowych rzek między Francją i Belgią a Niemcami - Our, Sauer i Mozela. Mogły zostać użyte do przełamania Linii Zygfryda między St. Vith na północy i Saarlautern na południu. Bradley był przekonany, że taki był zamiar Pattona.

Patton kategorycznie mu oznajmił: „Jestem najstarszym wiekiem i najbardziej doświadczonym dowódcą liniowym w amerykańskich siłach lądowych w Europie, i jeżeli mam przejść do obrony, to chcę, by zdjęto mnie ze stanowiska”. W celu obejścia ograniczeń nakładanych na niego przez Ike'a wykorzystywał swoją metodę „zupy na gwoździu”*. Taktykę tę Patton wyjaśnił swojemu zaskoczonemu sztabowi jeszcze w 1944 roku. „Włóczęga wszedł kiedyś do pewnego domu i poprosił o nieco wrzątku, by mógł przyrządzić »zupę na gwoździu«. Gospodyni zainteresowała się i dała mu wodę, do której włóczęga włożył wypolerowany błyszczący gwoździec. Następnie poprosił o kilka ziemniaków i marchewek, by zupa nabrała nieco aromatu, a na koniec wyjednał nieco mięsa. Innymi słowy - aby zaatakować, musimy udawać, że prowadzimy rozpoznanie, następnie wzmocnić siły je prowadzące i ostatecznie wtedy przejść do uderzenia”. W ten sposób mógł grać na nosie samemu Ike'owi i oczywiście wyłączyć Monty'ego.

Plan Pattona, który miał być wprowadzony w życie 29 stycznia, inicjowała doświadczone 4. DP „Ivy Leaf”. Jeden batalion miał pokonać rzekę Our prawie w tym samym miejscu, gdzie dywizja ta przeszła przez nią jeszcze we wrześniu 1944 roku. Po sforsowaniu za batalionem miała pójść cała dywizja, a następnie reszta amerykańskiego VIII Korpusu. Na południe od niego III Korpus miał przejść przez rzekę

* W oryginale zupa z kamienia [przyp. tłum.].

Sauer, a za nim tydzień później XII Korpus. 19 lutego ostatni korpus Pattona - XX miał wejść do bitwy granicznej o Linie Zygryda.

Patton czuł, że cała jego armia będzie zaangażowana w „rozpoznanie pancerne”, o którym wiedział Eisenhower. Dlatego oczekiwał na reakcję Eisenhowera. Przy odrobinie szczęścia naczelnym dowódcą mógł dojść do wniosku, że 3. Armia była mocno zaangażowana w uderzenie na Wał Zachodni i dalej poza Eifel. tak że nie będzie mogła prowadzić innych operacji, dopóki Patton nie zakończy swoich działań.

Plan był błyskotliwy i odważny, typowy dla „Ole Blood an' Guts”. Jednak, co ważniejsze, miał duże znaczenie dla ostatecznego wyniku wojny i przyszłości Europy Zachodniej. Było to również typowe dla dowódców okresu wojny myślących podobnie jak Patton i nie mających kontaktu z rzeczywistością. Prowadzili wojnę tak, jak gdyby była ona ich osobistą sprawą, niezależną od uzgodnionej całościowej strategii i politycznych uwarunkowań.

Gdyby fortel Pattona zadziałał (a wydawało się, że było to coś więcej niż zwykły podstęp**), *Schwerpunkt* aliantów przesunąłby się bardziej na południe niż początkowo planowano. Jeszcze przed inwazją na plaże Normandii uzgodniono, że uderzenie aliantów na Rzeszę będzie miało miejsce na północy. Miało być skierowane na Zagłębie Ruhry, przemysłowe serce Niemiec, a następnie na Berlin. Ale taka ofensywa byłaby nieuchronnie dowiedziona przez Montgomery'ego. Brytyjski marszałek polny był najwyższym oficerem sojuszniczym na tym obszarze i miał podporządkowane sobie jednostki brytyjskie, kanadyjskie oraz amerykańską 9. Armie. Było to przekleństwo dla amerykańskiej generalicji, w szczególności dla Bradleya.

Jeśli Pattonowi udało się przeprowadzić swój plan, większość amerykańskich armii w Europie, zarówno w 12. jak i 6. Grupie Armii, mogła zakończyć wojnę wśród wspaniałych górskich krajobrazów Bawarii i austriackich Alp (i tak było). Ale to dałoby Armii Czerwonej czas i możliwości zajęcia strategicznych punktów - Berlina, Wiednia i Pragi. Rezultatem byłaby radziecka dominacja nad Europą Środkową - zarówno militarna, jak i polityczna.

To, co planowali Patton i Bradley (najwyraźniej za plecami Ike'a) w hotelu Alpha, w sztabie Bradleya w zrujnowanym prowincjonalnym mieście w Luksemburgu, mogło zdecydować o politycznym losie Europy Środkowej do końca XX wieku.

Na tym odległym granicznym obszarze nadal padał śnieg, a młodzi żołnierze wzdłuż linii rzeki tłoczyli się na brukowanych uliczkach wpołzniszczonych wiosek położonych w pobliżu frontu. Wszędzie panował chaos, zamieszanie i bałagan. Były tam shermanny, półciężarówki White, ciężarówki, ciężkie haubice 203 mm - ślady ich gąsienic po dziś dzień można znaleźć na polach i w lasach tego rejonu. Była to potężna oliwkowo-

^{ss} Jest bardzo prawdopodobne, że Eisenhower wiedział o wszystkim, co planują Bradley i Patton, i zgadzał się z nimi. Ale w imię brytyjsko-amerykańskiej jedności trzymał się z daleka od tej „tajnej intrygi”.

szara maszyna, zajmująca każde pole, każde małe gospodarstwo, każdą drogę i wszystkie jej elementy były skierowane w jedną stronę- na Niemcy.

Wojsko czekało, żołnierze byli podenerwowani, pili na umór, za dużo palili, pisali swoje „ostatnie listy”, testamenty i zastanawiali się, kto otrzyma swoje 10 000 dolarów z żołnierskiego ubezpieczenia, jeżeli...

Wtedy między nimi nie było zbyt wielu doświadczonych żołnierzy. Zimowe walki zebrały swoje żniwo. Do szturmowej piechoty trafiali żołnierze żandarmerii, lotnictwa i osiemnastoletni rekruci ze Stanów Zjednoczonych. Wkrótce miały się pojawić czarne twarze- ochotnicy ze służby zaopatrzenia, którzy porzucali swoje bezcenne insygnia, by służyć w piechocie w armii, w której nadal panowała rasowa segregacja.

Marzli w ruinach, przycupnęli w swoich okopach, w drewnianych chałupach, pospiesznie zbudowanych dla nich przez saperów. Rozebrali i wyczyścili swoją broń. Kaemiści sprawdzali, czy co trzeci nabój w długich pasach amunicji noszonych w niedużych oliwkowych metalowych pudełkach by) smugowy. Doświadczeni żołnierze mimo zimna i trudnych warunków zmieniali bieliznę. Wiedzieli, że jeżeli zostaną trafieni i zabrudzone ubranie zetknie się z raną, mogłoby to skończyć się zgorzelą gazową. Inni wkładali metalowe lusterka do golenia albo, nawet lepiej, grube Biblie w swoje kieszenie na piersiach. Wszyscy słyszeli o żołnierzu, któremu życie uratowała Biblia. Jakoś zawsze ten żołnierz należał do innej jednostki.

Rankiem 29 stycznia 1945 roku artyleria otworzyła ogień. Stara pieśń o śmierci zagrała jeszcze raz. Jak tylko batalion szturmowy 4. DP ruszył do ataku, zaczął sypać śnieg. Za nim zaróżowiło się niebo. Wyglądało to jak otwarcie drzwi jakiegoś olbrzymiego piekarnika... dziwne drżenie... ryk... hałas ekspresu pędzącego przez pustą stację o północy z maksymalną prędkością. Ogień zaporowy jednostek amerykańskich pokrywał grubą warstwą wzniesienia terenu znajdujące się poza Linia Zygfryda.

Przeżeni, z otwartymi ustami jak wiejskie głupki, ogłuszeni rozdzierającym hałasem, żołnierze piechoty ruszyli w górę z boczna na dawne wrześnie pole bitwy. Inni ślizgali się i potykali na zamrożonej Our, a oślepiający śnieg nadal niemiłosiernie padał. Znaleźli się z powrotem tam, gdzie byli już dawno temu, ale jak musiało się wydawać doświadczonym żołnierzom -w zupełnie innej epoce. Schweiler, miejsce *Schloss Hemingstein*, zostało odzyskane. Dzień później zdobyto Bleialf. Potem Buchet, skąd 22. pp pułkownika „Bucka” Lanhama puścił w ruch pierwszy atak na fortyfikacje „Czarnego Człowieka” Wału Zachodniego.

Porucznik George Wilson, jeden z trzech oficerów batalionu pozostałych przy życiu od wrześnie ataku 4. DP. „był przeżony” walką, która wydawała się trwać wiecznie, „wiele ciał nadal leżało tam, gdzie padli żołnierze, po części przykrytych kocami lub śniegiem. Długi, szeroki, łagodny stok był zasypany wrakami spalonych shermanów i kilku niemieckich tygrysów. Najwyraźniej nasze straty były kilka razy większe od strat przeciwnika”.

Z tego samego miejsca, skąd pięć miesięcy wcześniej obserwował atak na „Verdun w Eifel”, Wilson ponownie widział atak 2. batalionu 22. pp na Brandscheid:

Piechota posuwała się naprzód przez pole walki, wspierana przez artylerię, ogień czołgów, a także ręczne granaty i miotacze ognia, kiedy podeszła dostatecznie blisko. Do niektórych betonowych bunkrów przez kominy wrzucono granaty; strzelnice innych zostały trafione przez miotacze ognia. Co najmniej jeden został rozpruty przez spychacz na podwoziu czołgu. Niemcy nigdy nic powinni tego zaczynać. Udowodniliśmy ponownie, że fortyfikacje mogą być zdobyte.

Wówczas było już po wszystkim i jego własna kompania F ruszyła do głównego ataku na pobliskie miasto Prum. Wilson nigdy do niego nie dotarł. Jego dowódca kompanii został zabity, a on sam ranny w stopę. To oznaczało, że od tych nerwowych dni poprzedniej jesieni, kiedy w powietrzu wisiał zapach zwycięstwa, został w niej tylko jeden doświadczony żołnierz w służbie czynnej.

Ale Amerykanie jeszcze nie skończyli z Brandscheid. Wówczas nieszczęsna doświadczona amerykańska 90. DP miała w tym obszarze zmienić 4. DP. Przeszła przez pozycje na granicy, gdzie amerykańska 106. DP „Golden Lions” (na emblemacie dywizji znajdował się złoty lew) poddała się w grudniu ubiegłego roku. Była to największa kapitulacja amerykańskiej jednostki bojowej od czasu zakończenia wojny domowej. Pewien szeregowy pamiętał, że Bleialf wyglądało „niesamowicie strasznie [...] jak gdyby przez nie przeszedł milion duchów z poprzednich kampanii”.

Ale żołnierze 90. DP nie obawiali się duchów. Byli zbyt zajęci eliminowaniem przeciwnika. Łatwo przeszli przez to, co uważali za opuszczone pozycje Wалу Zachodniego. Ale wkrótce potem „martwe” schrony i bunkry powróciły do życia. Kapitan Colby, weteran 90. DP wspominał: „W wyniku zastosowania niemieckiej taktyki zniknęły całe plutony piechoty. Niemcy poddawali bunkier, następnie kierowali na niego artylerię i moździerze, co zmuszało atakujących do poszukiwania w nim ukrycia. Później ogniem przykrywali wejście, a Niemcy po zmroku okrążali bunkier i wysadzali go. Żołnierze wkrótce nauczyli się, że bezpieczniej było na zewnątrz fortyfikacji”.

Kapelan pułku, ojciec Murphy, zanotował: „Schrony naprawdę są śmiertelną pułapką. Jak wpadniesz do środka, to już nie ma wyjścia”.

Również poza bunkrami znajdowały się „śmiertelne pułapki”. W Brandscheid, dokładnie w trakcie zmiany 4. Dywizji Piechoty na 90., Niemcy przyłapali Amerykanów z opuszczoną gardą. Przeciwnik atakował pełnymi kompaniami. W zamieszaniu atakujący weszli niemal do środka zrujnowanej wioski. Doszło do walki wręcz. Była ona okrutna, nikt nie oczekiwał litości ani jej nie okazywał. W końcu Amerykanie odepchnęli Niemców, ale ponieśli wysoką cenę. W początkowym amerykańskim ataku i niemieckim kontrataku, który po nim nastąpił, 3. batalion 22. pp stracił połowę swoich żołnierzy. Jakie straty poniosła 90. DP, archiwa nie zanotowały. „Verdun w Eifel” zasłużyło na swoje przerażające i skrwawione imię.

Ale ci nowi żołnierze, którzy mieli uczestniczyć w kolejnych walkach o Lilię Zygryda, różnili się od swoich poprzedników. Tym razem nie było czekolady Hershey czy gumy do żucia dla niemieckich dzieciaków ani kawy czy puszkowanej żywności

dla Niemców, ani „Cameli” dla staruszków. Ci żołnierze byli zgorzkniali i brutalni. „Dobra” zostały zastąpione przez ciosy, kopnięcia oraz groźby z użyciem karabinów.

Pozostała niewielka liczba cywili została bezceremonialnie wykopana ze swoich skromnych domków i zniszczonych gospodarstw. Zostały one zajęte przez jankesów, którzy chcieli zapomnieć o zimnie i wietrze. We wsi Winterspelt starzy ludzie nadal pamiętają, jak pozostałych 108 mieszkańców, w tym chorych i przykutych do łóżek, zostało wepchniętych do dwóch niewielkich domków. Do Auw żołnierze weszli wykorzystując przerażonych cywili jako ludzkie tarcze, a potem zajęli wieś. W Elcherrath, pierwszej wiosce zajętej w tej ofensywie, żołnierze wyrzucali wszystko na drogę. Rozbijali obrazy, zdzierali zasłony, skradli wszystkie cenne przedmioty. A następnie lam, gdzie nie było już nic do zabrania, podkładali ogień. Przerażonym cywilom wydawało się, że jankesi specjalnie byli złośliwi, bezmyślni i okrutni.

Miody Johannes Nobiisch, który był w Elcherrath, później napisał: „Być może to zniszczenia i rzeź, jakie Amerykanie widzieli w północnej Belgii i w Luksemburgu, spowodowały, że to zrobili. Być może pewną rolę odegrała w tym propaganda Gobbelsa, który mówił, że każdy niemiecki dom będzie fortecą. W każdym wypadku rezultaty ich działań na granicy były fatalne”.

I tak było. Mimo że niemiecki naród „tęsknił za pokojem”, jak określił to Nobiisch, to niemieccy żołnierze, lub przynajmniej większa część z nich, walczyła z desperacją, czasami fanatyczną, odwagą. W czasie kolejnych trzech miesięcy, kiedy alianci doszli do Renu lub już go przekroczyli, niemiecka armia straciła aż 33 procent swoich żołnierzy, a pozostałe 66 procent w okresie walk między Niemcami a aliantami w Europie Zachodniej w okresie 1944-1945. Nie trzeba dodawać, że straty aliantów były równie wysokie. Na Linii Zygryda ponownie połała się krew.

Żołnierze wydawali się tego nie dostrzegać. Ci, którzy przetrwali zacięte walki w bitwie o Ardeny, stali się twardzi, a nawet, jak podejrzewał Nobiisch, brutalni. To było sześć okrutnych tygodni. Ci, którzy ocalili, mieli zapamiętać je do końca życia. Jeśli nie liczyć walki w lesie Hurtgen, amerykańska armia nie uczestniczyła wcześniej w tak zażartych starciach. Teraz celem było po prostu zabijanie Niemców.

Kapitan Colby z 90. DP, patrząc jak artylerzyści ostrzeliwali niemieckie schrony w Eifel pod Prum, podziwiał ich zręczność i technikę, kiedy obsługiwali działa 155 mm. Pocisk trafiał w schron i pokrywał go ścianą ognia. [...] Z systemu wentylacyjnego wyskakiwało idealne kółko z dymu”.

Colby'ego „ogarnęły dreszcze”, tym silniejsze, że porucznik kierujący ogniem powiedział: „Wewnątrz już nikogo nie ma. A jeśli jest, to ma podsmażony mózg”. I jeszcze dodał: „Do diabła, walnijmy jeszcze parę razy, zanim zacznie się zabawa. Chcesz wystrzelić jednego?”.

Colby później wspominał: „Jak mógłbym odmówić?”. Oficer artylerii nastawił celownik olbrzymiego działa i Colby strzelił. Nie mógł nie trafić. Kiedy artylerzysta już nie było, on oraz jego żołnierze przesunęli się do przodu, by obejrzeć swoje

dzieło; wewnątrz bunkra znaleźli „jedynie martwych żołnierzy przeciwnika, na których twarzach malowało się przerażenie”.

Bez żadnych uczuć dla żołnierzy, których właśnie zabił, skomentował: „Nieważne, ile tam może być bunkrów lub schronów, ważne, że to człowiek je zbudował i człowiek je zniszczy. Starannie dopracowany system »zębów smoka« okazał się bezużyteczny i wywołał wśród nas podziw dla pracy, jaką włożyli w niego Niemcy”.

Pogląd ten podzielał Patton, który z miasta Luksemburg przyjechał do Eifel, by sprawdzić, jak jego piechota daje sobie radę w atakach na Wielki Wał Niemiec. Po inspekcji zdobytego bunkra (zajęto go przez tylne wejście), oficjalnie oświadczył, iż jest to dowodem na „całkowitą bezużyteczność stałej obrony. [...] Na wojnie jedyną pewną obroną jest atak, a skuteczność działań zaczepnych zależy od wojowniczej duszy osób ją prowadzących”.

Najwyraźniej Patton niczego się nie nauczył w czasie ostatnich sześciu miesięcy czołowych ataków na Linię Zygryda. Zawsze odnosił się wyłącznie do teorii ataku, która była przestarzała już w czasie amerykańskiej wojny domowej prowadzonej prawie sto lat wcześniej i która spowodowała, iż tak wielu amerykańskich żołnierzy tak bezsensownie straciło życie.

Bez względu na to, co myślał Patton, krwawe, czasami pozbawione sensu uderzenia na Wał Zachodni miały być przeprowadzone przez kolejne dwa miesiące, zanim sam „Ole Blood an' Guts” wskazał, że istnieje inny sposób skutecznej walki przeciwko ufortyfikowanym pozycjom.

Ale to miało być w przyszłości. Podczas pierwszego tygodnia lutego 1945 roku Patton był bardziej zainteresowany dalszym prowadzeniem swojego „pancernego rozpoznania”. Częściowo przełamał Wał Zachodni w rejonie Bleialf-Prum. Czy pozwoli mu się na wykorzystanie jego dalszych 11 dywizji do ataku przez Sauer, Saarę, a nawet Mozelę? Nagle naczelne dowództwo Eisenhowera i sztab Bradleya dziwnie ucichły. Co się działo w Wersalu? Czy przymykali oko na jego działania w Eifel? Czy powinien dalej realizować swój pierwotny plan? Czy też Monty i jego polityczny szef Churchill mieli wpływ na „najlepszego generała, jakiego miała Wielka Brytania”, jak Patton często pogardliwie przezywał Ike'a?

Przez dzień lub dwa przyczółek Pattona po drugiej stronie rzeki Our był już wystarczająco silny i generał zajął się planowaniem kolejnych ataków. Ruszył, by spotkać się z potężnym generałem Eddym, dowódcą XII Korpusu. Korpus Eddy'ego miał uderzyć 6 lutego przez rzekę Sauer w rejonie Wallendorf-Echternach, skąd Amerykanie we wrześniu ubiegłego roku musieli się wycofać. Patton nalegał na dowódcę korpusu, by przyspieszyć datę uderzenia. „Proszę to zrobić czwartego” - powiedział Eddy'emu.

Eddy, ukrywający przed Pattonem nadciśnienie i inne dolegliwości, eksplodował „Do diabła, generale, pan nigdy nie daje mi czasu na przygotowania. [...] Problem polega na tym, że nie docenia pan czynnika czasu i przestrzeni na wojnie”.

Patton nie był w nastroju do dyskusji. Musiał uruchomić drugie uderzenie, zanim Eisenhower mógłby je zatrzymać. Poirytowany Patton odpowiedział pocerwienią-

łemu na twarzy dowódcy korpusu, którego już niejednokrotnie uprzedzał, że usunie go ze stanowiska, jeżeli nie będzie wykonywał rozkazów - „Ach tak? Gdybym je doceniał, nadal znajdowałibyśmy się nad Sekwaną”.

Eddy niechętnie się poddał, zwłaszcza że wiedział, iż będzie w kłopotach, ponieważ jego waleczna, ale niedoświadczona 76. Dywizja Piechoty miała próbować przekroczyć rzekę pod Echternach. Doszło do tego 4 lutego.

Tego dnia Patton zdecydował się podjąć skalkulowane ryzyko. Zadzwonił na główne stanowisko dowodzenia Bradleya w Namur w Belgii, by wyjaśnić ze swoim przełożonym termin 4 lutego. Bradleya nie było na miejscu. Według jego szefa sztabu był w Wersalu i uczestniczył w odprawie z Eisenhowerem. Patton odetchnął z ulgą. Mógł tę sprawę załatwić z szefem sztabu generałem Levem Allenem. Był to jeden z „jastrzębi”, który życzliwie odnosił się do decyzji Pattona, dającym pierwszeństwo jednostkom amerykańskim, bez względu na to, czy Eisenhowerowi się to podobało, czy nie. Nie obchodził go również wpływ decyzji Pattona na sztabowe plany Montgomery'ego obejmujące uderzenie na północy. Allen powiedział, że nie widzi przeszkód. I plan, i terminy w nim zawarte są do zaakceptowania.

Ułga Pattona trwała krótko. Godzinę później Allen oddzwonił. Cichym, zgaszonym głosem powiedział: „George, niestety nie. Masz nic nie robić... oczekuj dalszych rozkazów”.

Patton był zszokowany. Odwrócił się do oczekującego Eddy'ego, a na jego twarzy malowała się złość. Powiedział dowódcy korpusu, by na razie zawiesił prowadzenie wszelkich operacji. Wkrótce potem zwołał odprawę we własnym sztabie, na której zwrócił się do zgromadzonych: „Dla mnie to nie brzmi dobrze. Obawiam się, że ponownie zostaniemy zatrzymani w pół kolejnej ofensywy, tylko po to, by zacząć kolejną, wiecie gdzie, tam gdzie możliwości powodzenia są niewielkie [Patton najwyraźniej odnosił się do ataku Montgomery'ego na północy]. Odnoszę wrażenie, że SHAEF zostało jak zwykle skierowane na boczny tor, co wyniesie na szczyt marszałka polnego”.

Zły, że został w taki sposób zatrzymany, Patton jak trąba powietrzna ruszył na inspekcję frontu, kontrolował i krytykował, dawał upust swojej wściekłości. Burę zbierał każdy, od kaprała do generała. Jednemu z generałów powiedział, że osobiście zmusi go do przepłynięcia przez wartką rzekę, jeżeli ten wkrótce nie skieruje swoich jednostek przez Mozelę.

W sztabie 94. DP w Saarze wpadł w ślepe furie, kiedy dowiedział się od dowódcy dywizji, generała Malony'ego, że tu stosunek strat bojowych do niebojowyci był najgorszy w dowodzonej przez niego całej 3. Armii. „Jeżeli pan nie zrobi czegoś, by poprawić sytuację, sam pan znajdzie się wśród strat niebojowyci - i to cholernie szybko!” - powiedział Malony'emu.

To było typowe dla George'a S. Pattona. Jego humor nie poprawił się, kiedy po powrocie do swojego sztabu odebrał telefon od Bradleya. Bradley bez wstępów powiedział: „Monty znów to zrobił. Ty i Hodges przechodźcie do defensywy, a Montgomery wznowi ofensywę na północy”.

I doda! pospiesznie, przewidując wybuchową reakcję Pattona: „Tym razem to nie Ike. Rozkazy przysły z połączonego sztabu... Brooke [brytyjski szef sztabu] nawet nakłonił generała Marshalla [amerykańskiego szefa sztabu] do współpracy z nim. Nie wiem, dlaczego się zgodził. Prawdopodobnie bardzo zależy mu na ponownym wprowadzeniu do działań tych 14 brytyjskich dywizji siedzących na dupach w Belgii”⁸⁹.

„Co oni chcą osiągnąć?” - zapytał Patton.

„Montgomery chce jak najszybciej zabezpieczyć długi odcinek Renu, tak by mógł szybko wkroczyć do Niemiec, jeżeli te nagle się załamia”.

„Gówno! - zaklął Patton z odrazą. - Jestem przekonany, że mamy znacznie większe szanse szybszego dojścia do Renu, jeżeli będziemy kontynuowali nasze natarcie. Kiedy zaczynają Brytyjczycy?”

„Prawdopodobnie dziesiątego” - odpowiedział Bradley.

„Wątpię, czy Monty będzie gotowy przed dziesiątym - zauważył Patton. - Ale co my mamy w tym czasie robić?”

Bradley miał własne plany, o których Patton najwyraźniej nie wiedział⁹⁰, i po chwili odpowiedział: „Możesz kontynuować działania zaczepne do 10 lutego... a może nawet nieco później, przy założeniu, że twoje straty nie będą zbyt duże i będziesz miał wystarczającą ilość amunicji”.

Nie było to wicie, ale Patton cieszył się i z tych okrucich. Wiedział, że nawet jego protektor Ike obawiał się surowego generała Marshalla. Patton musiał przyznać, że podzielał to uczucie. Zdarzyło mu się w obecności Marshalla, że nie był w stanie wskazać na mapie pozycji niektórych własnych jednostek. Szef sztabu przewalkował go, dowódcę armii, w obecności innych dowódców, jak podporucznika po sześćdziesięciodniowym kursie. Gdy Marshall mówił „Stop”, to właśnie to miał na myśli.

Ale Patton nadal miał przed sobą dziesięć dni, dziesięć drogocennych dni, podczas których miał wprowadzić swoją armię do walk w Niemczech. Bitwa o Linie Zygryda mogła trwać nadal.

⁸⁹ Podczas gdy Montgomery znalazł jednostki amerykańskie walczące u boku brytyjskich, często je wizytował i pamiętał nazwiska dowódców dywizji i pułków, amerykańscy dowódcy, tacy jak Bradley, prawie nigdy nie pojawiali się z inspekcją w armii brytyjskiej. Pięć dywizji „siedzących na dupach w Belgii” miesiąc wcześniej ocaliło skórę Bradleya w Ardenach, a wtedy znajdowały się na północy Niemiec i gotowały się do zmasowanego uderzenia na Linie Zygryda z udziałem 200 000 żołnierzy.

⁹⁰ Przepuszczalnie Bradley planował ofensywę do Renu na kierunku zarówno 1., jak i 3. Armii. Planowane było połączenie się ich między Kolonią a Mainz, skąd miało się rozpocząć forsowanie rzeki. To pozbawiłoby rozmachu planowane przez Montgomery'ego forsowanie rzeki, a miało być ono obserwowane przez wszystkich, począwszy od Eisenhowera do córki Churchilla - Mary.

3.

Reichswald i Zielone Diabły

Panowie, „stańcie na baczność przed tymi cholernymi „spadochroniarzami.

brygadier Essame, luty 1945

1 lutego 1945 roku, o czym Patton jeszcze nie wiedział, jego znieawidzony rywal Montgomery także otrzymał zielone światło do działań. Ten sygnał nadszedł jednak od samego naczelnego dowódcy. Eisenhower zgodził się, by pozwolić marszałkowi polnemu na wykorzystanie w głównej ofensywie na północną część pozycji Linii Zygryda zarówno kanadyjskiej 1. Armii (która w 80 procentach składała się z jednostek brytyjskich), jak i brytyjskiej 2. Armii.

Dowódca kanadyjskiej 1. Armii generał Crerar został o tym natychmiast powiadomiony i zwołał konferencję prasową, by poinformować rzesze korespondentów przydzielonych do jego sił, które liczyły blisko pół miliona żołnierzy. W archiwach nie ma danych o tym, jak zareagował Crerar, kiedy otrzymał nowe zadanie. Pięćdziesięciosiedmioletni generał zbliżał się do wieku emerytalnego. Jak zanotował jeden z dziennikarzy: „Nie jest to błyskotliwa postać... to nie Montgomery. Ale udowodnił... że w tych chwilach, kiedy ważą się trudne decyzje, zachowuje zimną krew i stalowe nerwy”.

Wówczas generał Crerar miał potrzebować swojego absolutnego opanowania. Miał dowodzić w pełnej podstępów bitwie największą armią w historii Kanady, nawet jeśli składała się ona w większości z brytyjskich jednostek.

Crerar, w holenderskim mieście Tilburg poinformował dziennikarzy o operacjach „Veritable” i „Grenadę”, które miały rozpocząć się w Nijmegen, przejść przez las Reichswald i wejść w pofałdowany rolniczy oraz lesisty teren, a także oczyścić obszar między Mozą i Renem.

Operacja ta może długo trwać, a walki mogą być zażarte i mordercze. Jednak wszyscy żołnierze są przekonani, że odniesiemy sukces w zaszczytnym wypełnieniu zadania, za które przyjąłmiśmy na siebie odpowiedzialność.

Dla niektórych co bardziej cynicznych słuchaczy Crerar musiał mówić bardziej przekonująco niż miał do tego prawo. Była to kwestia nie tylko zbliżającej się bitwy i związanych z nią problemów, ale również samych „Canucks”, jak Brytyjczycy

nazywali Kanadyjczyków. Ogólnie rzecz biorąc, w tej wojnie nie mieli oni szczęścia. Pierwsze lata wielkiego konfliktu spędzili raczej beczynnie w Anglii. Następnie w 1942 roku miała miejsce operacja pod Dieppe, gdzie cała kanadyjska dywizja piechoty została dosłownie zmieciona z powierzchni ziemi.

Ich straty w Normandii były równie wysokie, a nieruchawy sztab Crerara pozwolił zbyt wielu jednostkom przeciwnika na wyjście z krwawej kąpieli pod Falaise w sierpniu 1944 roku. I nie spowodował tego brak odwagi Kanadyjczyków, którzy byli mężni i bitni. Do jesieni 1944 roku kanadyjskie 2. i 3. dywizje piechoty straciły odpowiednio 8211 i 9263 żołnierzy. Był to w tym czasie najwyższy wskaźnik strat w siłach podporządkowanych Montgomery'emu".

Przyniosło to problemy nie tylko natury militarnej, lecz również politycznej. Siły militarne Kanady w Europie były na wyczerpaniu, a że wszyscy kanadyjscy żołnierze pełniący służbę poza Kanadą byli ochotnikami, każde krwawe starcie w Europie wywoływało w ich ojczyźnie gorączkową dyskusję. Crerar nie mógł pozwolić sobie na wysokie straty. Z tego powodu Montgomery musiał wzmocnić „kanadyjską” armię (tylko z nazwy) tak dużą liczbą brytyjskich dywizji.

Oprócz tego Montgomery nie lubił Crerara, który zawsze musiał konsultować się z premierem Kanady, zanim podjął, z punktu widzenia Monty'ego, czysto wojskową decyzję. W opinii marszałka polnego kanadyjski dowódca był doświadczony, ale zbyt zachowawczy - był wytworem wojny pozycyjnej w okopach i tego sposobu myślenia, który sięgał swoimi korzeniami okresu pierwszej wojny światowej.

Dlatego też zadanie przełamania się przez fortyfikacje Linii Zygfryda, która była pierwszą poważną przeszkodą, postawiono brytyjskiemu XXX Korpusowi dowodzonemu przez Horrocksa. W jego strukturze znajdowały się kanadyjskie 2. i 3. DP. „Jorrock” bez przerwy walczył od 1940 roku i podczas pięciu lat walk był poważnie ranny. Jeżeli ktokolwiek mógł doprowadzić do przełamania, był to, jak uważał Montgomery, dowódca XXX Korpusu.

Olbrzymia kanadyjska 1. Armia, razem z 1. Armią generała Hodgesa oraz 9. Armią generała Simpsona na prawym skrzydle, czekała. Wkrótce obie amerykańskie armie miały wejść do działań, spróbować przełamać się przez swoje odcinki Wału Zachodniego i wyjść na otwartą przestrzeń nadreńskich nizin. Ponad milion żołnierzy aliantów przygotowywało się do kluczowej bitwy ostatniego okresu wojny w Europie.

Dla większości z nich owe poważne kwestie nie liczyły się. To, co im powiedziano, ów „szeroki obraz” blakł w obliczu ich osobistych rozważań. A te w zasadzie zamykały się w pytaniu - „Czy uda mi się przeżyć?”.

" Straty były równie wysokie wśród oficerów „wypożyczonych z Kanady” i przydzielonych do brytyjskich dywizji. Mieli oni uzupełniać stanowiska po rannych i poległych dowódcach jednostek piechoty.

Sanitariusz Lester Atwell, przydzielony do amerykańskiej 87. Dywizji Piechoty zanotował w swoim dzienniku w pierwszym tygodniu lutego: „Tego kawałka wojny najbardziej się obawiałem. [...] Zawsze myślałem, że fryce będą walczyć jak diabły o każdy kawałek niemieckiej ziemi. [...] Bałem się tej Linii Zygfryda”. Później, kiedy jego dowódca powiedział żołnierzom, że naprawdę będą szturmować Wał Zachodni, Atwell zapisał swoją modlitwę: „Boże, nie pozwól, by doszło do masakry. Pomóż im. Zakończ to! We własnej wyobraźni widziałem, jak biegną, jak są trafiani i jak się zwijają. Nie potrafiłem przestać o tym myśleć. Słyszałem śpiew Anglików i Angielek w małym zadymionym pubie w Stone »Powiesimy nasze pranie na Linii Zygfryda...«”.

Brytyjski oficer czołgista, który w tym samym tygodniu pojawił się na polu bitwy nie miał takiej wyobraźni. Ale czuł to samo, kiedy o zmroku patrzył na Reichswald i był pełen obaw wobec zbliżającej się przyszłości. Później napisał: „W dolinie znajdowały się skupiska domów w kilku zrujnowanych wioskach, które wyznaczały holendersko-niemiecką granicę, a za nią wyłaniał się zakazany obszar Reichswaldu. Nie był to miły widok, a kiedy lał deszcz, mogliśmy sobie wyobrazić, jakie na nizinie przed nami jest błoto”.

Major Fergusson z jednostki piechoty „Black Watch”, który w chwili zakończenia wojny mógł powiedzieć, że walczył na trzech kontynentach, miał bardzo podobne odczucia: „W końcu byliśmy na Linii Zygfryda i wielu z nas czuło strach. Istniała nadzieja, że zbliżająca się bitwa może być w tej wojnie ostatnią. Przeciwnik nie odda łatwo Linii Zygfryda. Mógł równie dobrze stworzyć na niej swoją ostatnią linię obrony”.

Porucznik John Foley, dowódca kompanii czołgów Churchill, obserwując tego dnia linię frontu napisał: „Reichswald wyglądał ponuro i niegościnnie, tak masywnie, jakby był wycięty w granicę”. Jego towarzysz zauważył: „Oto on. Oto nasz cel na pierwszy dzień. Niemcy uważają, że las jest przeszkodą przeciwczołgową. Być może jest to prawda”.

Kolejny oficer nie był tego taki pewien. Wiedząc, że muszą pokonać zewnętrzną linię obrony Wału Zachodniego, zanim jeszcze wejdą do lasu, powiedział: „Najpierw musimy tam dotrzeć”.

Później Foley przeprowadził odprawę swoich podwładnych, a starsi podoficerowie zapytali go, dlaczego tak późno rozpoczynają atak (o 10.30). Foley z wystudowaną zimną krwią odpowiedział, że o tej porze bitwę rozpoczynają dżentelmeni i udając, że ziewa, dodał: „No cóż, najprawdopodobniej do dziewiątej będę jeszcze spał, później mycie i golenie, jakieś śniadanko, a potem naprzód na linię wyjściową”. Foley z zalem później komentował: „To był miły sen - dopóki trwał”.

Najbardziej zaciętymi obrońcami w tej bitwie mieli być, w opinii dowódcy brytyjskiej 51. Dywizji Highland generała Renniego, który wkrótce poległ w walce, owi „mali, cholerni spadochroniarze”. W Reichswaldzie przed kanadyjską 1. Armią było sześć batalionów spadochroniarzy -jednostki powietrznodesantowc jedynie z nazwy. Większość żołnierzy nigdy nie była we wnętrzu samolotu, nie mówiąc już o skakaniu na spadochronie. Ale wszystkie przejęły tradycje i poczucie obowiązku przynależne elitarnym *Falischirmjager*, zwycięzcom z krajów Beneluksu z 1940 roku i Krety w 1941 roku.

Pewien dowódca jednostki spadochroniarzy zwykle mówił swoim nowym żołnierzom: „Od chwili, gdy żołnierz na ochotnika zgłasza się do mojego pułku, wkracza w nowy porządek człowieczeństwa. Ma nad sobą jedno jedynie prawo, te dotyczące naszej jednostki. Musi odrzucić wszelką słabość oraz osobiste ambicje i zdać sobie sprawę, że walczymy o istnienie całego niemieckiego narodu”.

Oficer wywiadu aliantów i przyszły dziennikarz Milton Schuhnan z kanadyjskiej armii w ten sposób scharakteryzował Niemców: „Ich wiara w fihrera i sprawą jeszcze nie umarła. [...] Nie poddali się rozpaczy i beznadziei. [...] Większość z nich przeszła tylko trzy miesiące szkolenia podstawowego. Ale mają dwie inne zalety - młodość i wiarę”.

Była tam również jednostka spadochronowa, która miała się stać podstawą niemieckiej obrony pod Priim. Stała naprzeciw oddziałów Pattona i wkrótce miała walczyć z jego 4. DP. Była to 5. Dywizja Spadochronowa dowodzona przez generała Heihnanna. Po bitwie o Ardeny Zielone Diabły Heilmanna (wierzyli, że tak nazywali ich żołnierze aliantów, ale nic było to prawdą) liczyły zaledwie 1500 żołnierzy, a Amerykanie przewyższali ich liczbą dziesięciokrotnie.

Jednak Ludwig Heilmann, bohater bitwy pod Monte Cassino, nie czuł przerażenia. Podczas przygotowań do kolejnego uderzenia Pattona on i jego dowódcy (tylko jeden z nich miał doświadczenie bojowe zdobyte w jednostce spadochronowej) oceniali swoje szanse. Porucznik Oscar Kauschmann zauważył: „80-100 jankeskich czołgów przeciwko naszym 10 samobieźnym działom. Nieźle, co?”. I dodał: „W każdym przypadku Amerykanie mają nad nami przewagę - *haushoch Oberlegetif*”².

Jednak ich dowódcy nadal zapewniali: „Wiejskie domy mają mocne piwnice. Niech nas wykurzą”. Być może nie jest zaskoczeniem, że jeden z uczestników przedbitewnej odprawy, pułkownik Gróschke, jechał na stanowisko dowodzenia własnego pułku myśląc: „Mam wrażenie, że nasze słabości są naszą siłą”.

Ale sytuacja broniących się, chociaż było ich niewielu, nie była tak zła, jak część z nich uważała. Teren, którego bronili, stanowił łańcuch poszarpanych, czasami zalesionych wzgórz, które ciągnęły się aż do Mozeli. Wzdłuż Sauer, którą Patton miał następnie sforsować, wzgórze kryły kilka z najpotężniejszych fortyfikacji Wału Zachodniego (w tym *Panzerwerk Katzenkopf*). Tu zaczynały się linie betonowych bunkrów z okresu przedwojennego oraz nowych zbudowanych we wrześniu z ziemi i drewna.

Ostatnim miasteczkiem przed Mozelą był Wittlich. Stąd Rundstedt dowodził ofensywą 1940 roku. Było ono osłaniane co najmniej przez piętnaście linii obrony. A na niedokończonej wówczas autostradzie prowadzącej na wschód od Wittlich stały pochylne startowe VI, w tym okresie wykorzystywanych w działaniach lądowych¹³.

² Dosłownie „przewaga wysokości budynku”.

¹³ Pochylnie te znajdując tam jeszcze dzisiaj, nie dostrzega się ich i są zapomniane. Co ciekawe, w pobliżu znajduje się była amerykańska baza raketowa.

Bez względu na to, co o swoich szansach w zbliżającej się bitwie z Amerykanami i Anglikami myśleli niemieccy oficerowie i szeregowi, ich wyżsi dowódcy nie byli pod wrażeniem możliwości przeciwnika. Oto ocena sporządzona przez niemiecką 1. Armię Spadochronową:

Ważne zwycięstwa w północnej Francji miały bardzo pozytywny wpływ na morale jednostek brytyjskich i kanadyjskich. Jednak należy dostrzec, że jednostki angielskie mogą osiągnąć powodzenie jedynie przy silnym wsparciu powietrznym. Jeżeli go zabraknie, wówczas ich żołnierze tracą bojowego ducha. Reasumując należy stwierdzić, że ich zwycięstwa są wynikiem przewagi materiałowej. Uderzenie bez silnego wsparcia artylerii, lotnictwa i jednostek pancernych jest nie do pomyślenia. [...] Jednak Anglicy przechodzą bardzo dobre szkolenie i nawet z dotychczasowymi stratami posiłki kierowane na front z Anglii są nadal dobrze przygotowane.

Autor tej oceny w swoich ostatnich przesycionych patriotyzmem i nacjonalizmem słowach utrzymywał: „Oczywiście nie można porównywać ducha walki angielskiego czy amerykańskiego żołnierza z niemieckim. Niemieccy żołnierze są od nich znacznie lepsi. [...] Najlepszym tego przykładem było Arnhem, gdzie angielska 1. Dywizja Powietrznodesantowa została pokonana przez nasze wojska lądowe, ponieważ Anglikom zabrakło ich normalnego wsparcia artyleryjskiego i panowania w powietrzu”.

Część tej oceny niewątpliwie miała na celu podniesienie ducha wśród pełnych zwątpienia i gotowych do dezercji żołnierzy niemieckich. Jednak na nieszczęście dla aliantów wielu Niemców, którzy mieli bronić się na Linii Zygfyda, wierzyło we własną propagandę. Ich jedynym zadaniem było utrzymanie obrony i mogli to uczynić, nawet jeśli przeciwnik miał przewagę, a wówczas „za pięć dwunasta” wkroczyłyby fihrer ze swoją *Wunderwaffe* i w ciągu dnia zmienił sytuację na korzyść Niemiec.

Do samego końca, kiedy zwycięscy alianci zbliżali się do Renu, niemieccy jeńcy gorąco zapewniali, że Niemcy nadal mogą wygrać wojnę. I rzeczywiście owi „cholerni spadochroniarze” tak odważnie i z takim fanatyzmem stawiali opór, że kiedy w końcu się poddali, brygadier Essame z brytyjskiej 43. DP rozkazał swoim sztabowcom stanąć na baczność i oddać honory tym, którzy przeżyli i byli kierowani do obozów jenieckich. Ściągnął tym na siebie gniew londyńskiej prasy.

Pattona nie wzruszała ani siła obrony, ani determinacja obrońców. W przeciwieństwie do Montgomery'ego, który był przerażony tym, jak brytyjscy generałowie szafowali ludzkim życiem podczas pierwszej wojny światowej, Patron, tak długo, jak były osiągane cele, niewiele troszczył się o straty⁹⁴.

Większość amerykańskiej generacji (Eisenhower, Bradley etc.) nie uczestniczyła w pierwszej wojnie światowej, a w rzeczywistości w żadnym konflikcie przed drugą wojną światową. Młodzi generałowie pojawiali się w ostatnim etapie wojny, kiedy już zwycięstwo wisiało w powietrzu, a krwawe wyniszczające bitwy stanowiły już przeszłość. Patton był ranny, ale ku jego zażenowaniu, został trafiony w pośladek.

Trzydzieści sześć godzin przed uderzeniem na Eifel Patton powiedział swoim dowódcom korpusów, że to Moni ponownie otrzymał priorytet, a także stwierdził: „Do 10 lutego 3. Armia będzie podejmowała wysiłki prowadzące do przełamania Linii Zygfryda w rejonie Eifel. [...] Oznacza to, że mamy wykonać uderzenie, którego celem jest związanie jak największej liczby jednostek przeciwnika i przez to ułatwienie zadania Montgomery'emu”. Ponownie Patton nie mógł oprzeć się pokusie, by zrobić uwagę pod adresem „małego angielskiego smroda”, chociaż akurat tym razem „smród” być może nawet nie wiedział, że miała zaatakować 3. Armia Pattona. Bo niby skąd miałby to wiedzieć, jeżeli, jak sam Patton powiedział, wysiłki te były utrzymywane w tajemnicy?

Po długich rozważaniach nad sposobami wyprowadzenia uderzeń przez trzy korpusy 3. Armii (oczywiście zwyciężył plan Pattona), dowódca przyjął od swoich generałów przysięgę, że zachowają wszystko w tajemnicy. Powiedział: „Jeśli ci dżentelmeni na północy [miała na myśli Montgomery'ego] dowiedzą się, co chcemy zrobić, wyrwą nam kilka dywizji. Niech dowiedzą się o tym dopiero wtedy, kiedy zobaczą je na mapach”.

Tak w 1945 roku prowadzono wojnę w Europie.

Wtedy niemieccy obrońcy wiedzieli już, co się kroi. W armii Pattona zapanowała cisza radiowa - pewna oznaka, że dzieje się coś poważnego. Obserwatorzy ze swoich pozycji na Linii Zygfryda mogli widzieć przygotowania jankesów prowadzone na płaskiej luksemburskiej nizinie w delcie po drugiej stronie Sauer. I chociaż Patton przechwalał się, że jego 90. DP wyeliminowała 120 schronów w 120 minut, ta sama dywizja poniosła poważne straty, kiedy Niemcy wykonali zaskakujący kontratak i odbili Brandscheid. Od znajdujących się w niemieckiej niewoli jeńców wydobyto informacje.

Zaskakującemu uderzeniu Pattona nie pomogły zbyt wiele amerykańskie ulotki propagandowe wystrzeliwane na drugą stronę Sauer na pozycje niemieckiego 80. Korpusu. Wieczorem 6 lutego rodzina Nobiiisch, kryjąca się w niewielkiej wiosce Niederraden, zdziwiła się, kiedy zobaczyła sierżanta ze sztabu, którego znali. Rozgorączkowany i zaczerwieniony podoficer zeskoczył z roweru. Przyjechał ze swojego posterunku i przywiózł ze sobą „jankeską ulotkę”. Wyjaśnił, że Amerykanie całe popołudnie strzelają nimi, a ich artyleria oznacza również pociskami dymnymi sektory ognia. Szesnastoletni Johannes, przyszły profesor uniwersytetu, rozemocjonowanym głosem przeczytał tekst: „Towarzysze 915. pułku [niemiecka jednostka broniąca tego odcinka Wału Zachodniego]. Nadchodzimy. Opuśćcie wasze bunkry i schrony i poddajcie się”.

Nagle matka Johannesesa „zbladła jak ściana” i zgasiała lampę naftową. W ciszy przerywanej jedynie terkotem amerykańskiego karabinu maszynowego, podobnego do dźwięku wydawanego przez rozżłoszczonego dzieckoła, młody Nobiiisch zastanawiał się, czy to tylko jankeską propaganda, czy też rzeczywiście nadchodzą?

80. Korpus oczywiście uznał za prawdziwą tę drugą ewentualność. Tego wieczora dowódca korpusu zameldował dowództwu grupy armii: „Możemy spodziewać się ataku po obu stronach Wallendorf. Mogą dojść nawet do Echternach. I nie będą to tylko działania rozpoznawcze”.

80. Korpus w rejonie Bleialf-Prum walczył już z 4. DP oraz z 87. i 90. DP i wówczas musiał zmierzyć się z kolejnym zagrożeniem, które pojawiło się po drugiej stronie Sauer. Niemieckie dowództwo zgodziło się ogłosić alarm bojowy w swoich korpusach. Tego wieczora, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy niemiecki podoficer przywiózł propagandową ulotkę do Nobiischów, 80. Korpus wydał rozkaz elektryzujący wszystkie jego frontowe jednostki: „*Alarmstufe Eins*” (pełna gotowość bojowa).

Cztery godziny później, o pierwszej w nocy, amerykańska artyleria z Luksemburga rozpoczęła potężny ostrzał. Był on znacznie większy niż ten, który 16 grudnia 1944 roku rozpoczął „zaskakującą” niemiecką ofensywę. Wywiad 80. Korpusu nie mylił się- „Jankesi” pokonywali Sauer, a dalej na południu Mozelę. Ale w przeciwieństwie do przyłapanych z opuszczoną gardą w grudniu Amerykanów, tym razem niemieccy obrońcy czekali za murami ze stali i betonu.

Nieco dalej w Niemczech pułkownik Mabry, dowódca 2. batalionu z 8. pp znajdującego się w składzie 4. DP rozmawiał ze swoimi oficerami o ataku, który miał nastąpić nazajutrz. Na podłodze drzemał kapitan Robert Fellers - stary przyjaciel pułkownika, nieświadomy tego, co się działo w małej wiosce regionu Eifel. Walczył na plaży „Utah” w dniu lądowania aliantów we Francji, był jednym z nielicznych w 4. DP, którzy mieli za sobą doświadczenie, i właśnie powrócił z zasłużonej przepustki w Paryżu. Kilka chwil wcześniej Fellers w oka mgnienia zapadł w głęboki sen przy piecu, co zostało skomentowane sprostnymi uwagami przez pozostałych oficerów. Cicho pochrapywał, a znużony sztab batalionu omawia! plany działań.

Kiedy Mabry podszedł do połowego telefonu, by połączyć się z jednym ze swoich dowódców kompanii i uzyskać potrzebne mu informacje, wszyscy usłyszeli dźwięk jak przy rozdieraniu arkusza blachy. Pułkownik instynktownie rzucił się na podłogę, a pocisk niemieckiej artylerii eksplodował na zabłoconym, pokrytym brukiem podwórku.

Wybuch wtargnął przez otwarte drzwi. Niósł ze sobą ostre jak brzytwa odłamki eksplodującego szrapnela. Mabry został trafiony i krzyknął z bólu. To samo przytrafiło się większości jego oficerów. Odłamki przeszły przez grubą ścianę w miejscu, gdzie znajdował się otwór na komin piecyka. Właśnie one poraniły oficerów batalionu.

Mabry zebrał siły, otarł krew i pochylił się, by obudzić Fellersa, który najwyraźniej dalej spał. Potrząsnął kapitanem. Wówczas głowa Fellersa przechyliła się na bok. Mabry zdębiał. Cały tył głowy kapitana był we krwi. Mabry przez skrwawioną wielką ranę widział nawet mózg Fellersa. Kapitan nie żył.

Poruszony Mabry powiedział swoim oficerom: „W jak niezwykły sposób nadchodzi śmierć. Tam na plaży, gdzie szalało piekło, Fellers nawet nie był draśnięty. A tu...”.

Dowódca batalionu po raz ostatni spojrzął na poległego oficera, zanim sanitariusze zabrali go do „wozu mięsa” i cichym głosem powiedział: „Czy myślicie, panowie, że to był jakiś znak?”⁵.

⁵ W szczególności był to znak dla Mabry'ego. Już następnego dnia opuścił stanowisko dowódcy batalionu, chociaż pozostał w czynnej służbie i jako generał służył w Korci i w Wietnamie.

4. Na nowo przez Sauer

Czy myślicie, panowie, że to był jakiś znak?

pułkownik Mabry, 4. DP

Było nadal ciemno, ale żołnierze już spychali trzydzieści osiem gumowych łodzi Luftwaffe, które saperzy znaleźli gdzieś w Luksemburgu, w lodowatą bystrą wodą Sauer po obu stronach zniszczonego średniowiecznego i prowadzącego do Niemiec mostu.

Dokładnie dziewięćdziesiąt dni wcześniej żółtodzioby z 76. DP jeszcze szkoliły się w walce z pozorowanymi jednostkami przeciwnika na spokojnych wzgórzach Wisconsin. Teraz, razem z doświadczonymi 5. i 80. DP 3. Armii, mieli przejść krwawy chrzest przy forsowaniu rzeki granicznej.

To nie było łatwe zadanie. Nawet najbardziej niedoświadczeni z nowych jednostek zdawali sobie z tego sprawę. W świetle dziennym mogliby od razu zorientować się, jak trudny będzie atak. Znajdowali się na zalanej równinie, a fryce mogli ich bez przeszkód obserwować. Po przeciwnej stronie Sauer przeciwnik ukrył się w swoich ciemnych bunkrach, między innymi w słynnej „Głowie Kota” położonej na stromych lesistych wzniesieniach terenu. W konsekwencji przeciwnik wiedział wszystko o ich planach, podczas gdy Amerykanie nie mieli przed sobą rozpoznanego przeciwnika. Jeden z garstki pierwszych żołnierzy, którzy ocalili, stwierdził następnie: „Przysięgam, to było zbyt wiele jak dla zwykłych ludzi”.

Wówczas robota - jak się okazało krwawa - rozpoczęła się. W lecie w tym miejscu rzekę Sauer można było przejść w bród stosunkowo łatwo⁹⁹. Zimą, kiedy śniegi na wzgórzach zaczynały topnieć, rzeka stawała się wzburzonym szalejącym żywiołem, wezbranym i mającym od 30 do 60 metrów szerokości, płynącym z prędkością prawie 20 kilometrów na godzinę. Nowi chłopcy stanęli wobec najtrudniejszego zadania w podległym Pattonowi 12. Korpusie.

Kiedy zagrzmiały „long Toms”, wielkie amerykańskie działa kalibru 155 mm, próbując wyeliminować wszystkie znane pozycje Niemców na przeciwległym brzegu,

⁹⁹ Autor lo uczynił.

czołowa kompania 76. DP ruszyła, dokładnie o 1.00 w nocy 7 lutego. Znajdujący się w jednej z pierwszych kruchych łodzi szeregowy Harry Goede dostrzegł, jak pociski smugowe przeciwnika uderzały o wodę i ich łodzie, wystukując na nich śmiertelny alfabet Morse'a. Łódź płynąca za nim została trafiona i natychmiast zatonała. Nikt się nie uratował. Żołnierze byli obciążeni zbyt wielkim ekwipunkiem. W innym miejscu na łódź Goede'a poszedł ogień z niemieckiego MG 42. Piechota wykorzystując kolby karabinów w charakterze wiosł próbowała uciec od morderczej serii.

Nie udało się. Towarzysze Goede'a wpadli w panikę i do łodzi dostała się woda. Zaczęła tonąć. Goede nie zawahał się. Teraz każdy mógł liczyć wyłącznie na siebie. Przechylił się przez burtę. Wielu innych uczyniło to samo. Jednak uderzenie lodowatej wody odebrało im siły oraz ekwipunek. Nurt zaczął ich spychać, krzyczeli, w szaleńczym wysiłku machali rękoma, wołając o pomoc, która nigdy nie miała nadejść.

Goede, który dobrze pływał, usłyszał, jak ktoś w pobliżu woła o pomoc. Popłynął pod prąd i podtrzymał tonącego sanitariusza, który był obciążony torbami z wyposażeniem. Jakoś go uchwycił i zaczął holować. W świetle niemieckich rakietnic wolno opadających nad rzeką i rozświetlających wszystko swoim upiornym nierealnym światłem, Goede holował sanitariusza w kierunku przeciwnego brzegu.

Bez broni, drżący ze strachu i z zimna, dwaj żołnierze ukryli się między zamrzniętymi trzcinami na niemieckim brzegu rzeki i patrzyli, jak ogień przeciwnika masakruje żołnierzy znajdujących się na rzece i na jej drugim brzegu. Obaj wiedzieli, że patrzą na rzeź.

Tylko jedna łódź z 8 żołnierzami dotarła na niemiecki brzeg. Utracono trzydzieści pięć z trzydziestu sześciu łodzi Luftwaffe. W innych miejscach dwie kompanie szturmowe straciły 50 procent stanu w ciągu godziny. Z dwudziestu oficerów przeżyło tylko pięciu.

Ocaleni wiedzieli, że muszą odsunąć się od rzeki. Przemoczeni i wymęczeni, z wodą chlupiącą w butach, zaczęli wspinać się w górę zboczy, między niemieckimi schronami w kierunku płaskowyżu Ferschweiler, który dominował nad lewą stroną drogi wiodącej do ich celu - Bitburga.

Inni ruszyli w kierunku najbliższego, położonego około pięciu kilometrów dalej miasteczka Irrel. Wiedzieli, że w tym miejscu czekała na nich druga co do wielkości fortyfikacja Linii Zygfryda *Panzerwerk Katzenkopf*, którą w 1939 roku osobiście wizytował Hitler, kiedy prowadził inspekcję Wału Zachodniego. Ta perspektywa nie dodawała im odwagi.

Jednak być może byli na tyle niedoświadczeni i entuzjastycznie naiwni, że nie w pełni doceniali stojące przed nimi trudności. Poruszali się do przodu w małych grupach, w ciemnościach gramolili się pod górę, a drogę od czasu do czasu przecinał im pocisk smugowy. Do takich odważnych zaliczali się sierżant Bliss i szeregowy Meyer, którzy byli odcięci od swojego plutonu. Ostrzelani na otwartej przestrzeni rzucili się na ziemię i odkryli, że „jaskinia”, którą napotkali, nie była wcale jaskinią i że znajdują się na „wierzchu tego, co później okazało się schronem o siedmiu pomieszczeniach pełnych szkopów”.

Pluton szeregowego Ulricha został starty z powierzchni ziemi, gdy tylko wsiadł do swoich łodzi. Eksplodujące pociski wyrwały Ulrichowi karabin z ręki, oszołomiły go i chwilowo oślepiły błyskami wybuchów. W szaleńczym biegu ruszył w las. Dostrzegli go Niemcy z karabinem maszynowym. Posłali w jego kierunku serię. Przestraszony rzucił się na ziemię. Później nie bez humoru relacjonował: „Nie widziałem nikogo z mojej jednostki. Czułem, że jestem sam. [...] Wydawało mi się, że jestem jedynym jankesem w Niemczech i że cały Wehrmacht celuje we mnie”.

Ta okropna noc była taka sama dla dosłownie każdego żołnierza, który ją przeżył. Nikt nie czuł, że przynależy do jakiejś jednostki. Brakowało oficerów. Jak zwykle byli pierwszymi, którzy zostali eliminowani. Kilka nietkniętych jednostek, z reguły niewielkich, było dowodzonych przez sierżantów, a czasami nawet przez szeregowych.

Sierżant John Shepherd z plutonu broni ciężkiej był jednym z anonimowych bohaterów nocnego forsowania Sauer. Jego przełożony w zamieszaniu bitewnym został ciężko ranny. Dowodzenie przejął Shepherd. Nie czuł się szczęśliwy w nowej roli, ale wiedział, że musi wykonać rozkazy, które otrzymał ranny oficer. Przekrzykując potworny hałas broni strzeleckiej krzyknął do swoich żołnierzy: „Chłopaki, mamy osłaniać lewe skrzydło batalionu”.

Jeden z żołnierzy z przekąsem odkrzyknął: „Do diabła, sierżancie, czy to tam, gdzie siedzą te niedobre stare fryce?”.

Dokładnie to miał na myśli Shepherd. Ruszyli więc pod górę i w końcu znikli wśród dymów i zamieszania panującego na polu bitwy. Prawie tydzień później dumny sierżant Shepherd mógł zameldować swemu dowódcy, że „żołnierze utrzymali swoje pozycje przez pięć dni”. Rzeczywiście żołtodziobom udało się przez pięć dni nie dopuścić do powstania zagrożenia na skrzydle batalionu.

Tego dnia w innych miejscach Niemcy przy wsparciu trzech czołgów wyprowadzali kontrataki przeciwko resztkom czołowych amerykańskich kompanii. Za czołgami posuwała się niemiecka piechota. Sierżant Charles Smith z przerażeniem obserwował, jak pierwszy czołg podjechał na 20 metrów od jego okopu. Jeszcze w Wisconsin słyszał, co niemieccy czołgiści robili z okopaną piechotą, która nie chce się poddać. Ustawiali się nad okopem, a następnie obracali czołgiem dookoła. Albo dochodziło do zawalenia ścian okopu, co prowadziło do pogrzebienia żywcem, albo przerażeni żołnierze piechoty dusili się spalinami czołgu.

Smith nie musiał się martwić o to, co robić. Obok niego szeregowy Lyle Corcoran skoczył tuż przed czołgiem na równe nogi. Jedyne pozostający przy życiu żołnierz z granatnikiem uniósł swoją bazookę. Spokojnie odczekał, aż czołg obróci się do niego bokiem. I strzelił. A potem jeszcze raz. Z tej odległości nie mógł chybić. Czołg Mark IV [prawdopodobnie autor ponownie ma na myśli Pzkw IV -*przyp. tłum.*] raptownie się zatrzymał. Chwilę później buchnęły z niego płomienie, a niemiecki atak został zatrzymany.

Niektórzy z żołtodziobów tego małego plutonu nic mieli tyle szczęścia. Sierżant Guido Fenice z przerażeniem patrzył jak drugi czołg przejechał nad okopem, w którym się ukrył wraz z kilkoma żołnierzami: „Za czołgiem biegło siedmiu Niemców

i strzelali do nas w dole. Trafili jednego, a ja złapałem jego karabin i odpowiedziałem ogniem. Wtedy czołg utknął w biocie".

Obrońcy natychmiast wykorzystali sytuacją. Sierżant i dwóch szeregowych rzuciło się do przodu. Wrzucili granaty w otwarte włazy wieżyczki czołgu. Nastąpił wybuch, i to był koniec niemieckiego ataku. Piechota wróciła do schronów, a ostatni czołg umknął w las. Na razie żołtodzioby były bezpieczne.

Ani 5., ani 80. DP na lewym skrzydle 76. DP nie odniosła sukcesu. Obie wpadły w poważne kłopoty. 5. DP, która sforsowała już pod ogniem przeciwnika kilka rzek, zdołała pierwszej nocy przepłynąć na drugi brzeg jedynie szesnastu przestraszonych żołnierzy. Ponownie amerykańskie jednostki szły w rozsypaną, kiedy Niemcy ostrzeliwali je ogniem artylerii. W ciągu kilku minut żołnierze działali na zasadzie ratuj się kto może, a ostatniego niech diabli wezmą.

Sanitariusz szeregowy Harold Garman znalazł się pod ostrzałem na środku nurtu w łodzi z rannymi. Ci, którzy nie zostali trafieni, wyskoczyli z łodzi i pozostawili rannych swojemu losowi. Jednak Garman pozostał. Ześlizgnął się do wody i pod silnym ogniem zaczął spychać potrzaskaną łódź z krzyczącymi i jęczącymi rannymi w kierunku brzegu. Kule świstały i waliły w powierzchnię wody wokół niego, ale jakimś cudem udało mu się.

Później, kiedy Patton wręczał młodemu sanitariuszowi Congressional Medal of Honor za jego heroiczną odwagę [polskim odpowiednikiem tego orderu jest Virtuti Militari -*przyp. tlim.*], zapytał go, dlaczego to uczynił. Jak to potem opisał Patton, Garman „wyglądał na zaskoczonego i powiedział - cóż. ktoś to musiał zrobić, panie generale".

Niemiecka artyleria zaczęła walić w opanowany przez Amerykanów brzeg rzeki Sauer. Tuż nad nim znajdował się wielki klasztor i bazylika poświęcone świętemu Willibrodowi, angielskiemu mnichowi z IX wieku, który stąd wyruszał, by nawracać pogańskich Germanów. Amerykanom, którzy znali tę historię, musiało się wydawać, że praca świętego poszła na marne.

Mimo wszystko amerykańscy saperzy pracowali pełną parą, by naprawić łodzie, środki transportu, podpory mostów i inny sprzęt, co miało wesprzeć garstkę żołnierzy z XII Korpusu, którzy przedostali się na drugą stronę Sauer i utrzymywali niewielki przyczółek. Musieli oni przeciwstawić się nie tylko artylerii przeciwnika. Niemcy próbowali stawiać spływające z nurtem rzeki miny, które miały zniszczyć przeprawy, a gdzieś tam niemieckie samoloty śmigały na wysokości drzew i strzelały do jankesów.

Najważniejsze było przełożenie przez rzekę linii telefonicznej, by amerykańscy dowódcy mogli pozyskiwać informacje o tym, co się dzieje po drugiej stronie rzeki i w jaki sposób mogą udzielić pomocy otoczonej piechocie. Ale jak zawsze przy budowie przepraw żołnierze zajmujący się łącznością nie najlepiej wykonywali swoje zadanie.

Dwóch odważnych żołnierzy zgłosiło się na ochotnika do przepłynięcia z kablem pokrytej pianą od ognia niemieckiej artylerii rzeki Sauer. Ale dotarli nie dalej niż do połowy. Zatrzymały ich śmiercionośne niemieckie pływające miny.

Amerykańscy łącznościowcy próbowali dalej. Dobry strzelec wykorzystał bazo-
oką do przerzucenia kabla na drugą stronę rzeki, ale niemiecki ogień wkrótce go
przerwał.

Sfrustrowani i zdesperowani Amerykanie, którzy potrzebowali informacji o stra-
tach i sytuacji na drugim brzegu, wypróbowali nową taktykę. Wzdłuż brzegu rzeki,
w pobliżu bazyliki z dwoma wieżami, ustawiono świece dymne. Kiedy tylko dym
położył się na wodzie, nowi ochotnicy zaczęli płynąć na drugi brzeg z nowym, tym
razem obciążonym kablem, tak by Niemcy nie mogli go widzieć.

Zdążyli na czas. Niemcy domyślili się, co się dzieje za ścianą dymu i wypuścili na
wodę więcej pływających min. Jedna wybuchła bezpośrednio nad kablem. Ale ten
znajdował się pięć metrów pod powierzchnią i nie został uszkodzony.

W końcu Amerykanie mieli połączenie telefoniczne. Przez Sauer w obu kierun-
kach zaczęły przepływać informacje. Coraz mniejszy przyczółtek potrzebował żyw-
ności, amunicji i środków medycznych. Pilnie poproszono również o olej do czysz-
czenia broni.

Dowódca 76. DP generał Schmidt wydał rozkaz podniesienia w powietrze wszyst-
kich samolotów rozpoznania artyleryjskiego. Miał nowatorski pomysł na wykorzy-
stanie nieuzbrojonych maszyn Piper Cub. Nadal nad rzeką nie było mostu, brako-
wało łodzi, dlatego zaplanował wykorzystanie lekkich jednopłatowców do dostar-
czenia amunicji i innego zaopatrzenia¹⁷.

Gdy tylko wzeszło słońce, piloci wystartowali. Żartowali, że „igrają z losem”,
a przecież tak było w rzeczywistości. Zeszli nisko nad przyczółtek i zrzucili najpo-
trzebniejsze zaopatrzenie, tak jak to robili lotnicy z okresu pierwszej wojny świato-
wej. Napotkali jednak silny ogień niemieckich karabinów maszynowych.

Sierżant Williams z 76. DP wspominał później: „Naprawdę koniec zapasów amu-
nicji i żywności był już bliski, kiedy samoloty Piper Cub zaczęły zrzucać nam zaopa-
trzenie. Pierwsze paczki wylądowały na otwartym terenie kontrolowanym przez
snajperów, ale później piloci trafili w skraj lasu, tam gdzie byliśmy”. Porucznik Ro-
bert Seiter był jednym z tych żołnierzy, którzy tego pełnego zamieszania i śmierci
ranka z radością patrzyli na samoloty rozpoznawcze.

Jego żołnierze mieli zaledwie po pół racji żywnościowej. Z wodą było jeszcze
gorzej. Ich manierki były dosłownie puste, a żołnierze nie śmieli zejść do rzeki, byje
napełnić. „Mam trochę wody w manierce - powiedział Seiter kilka dni później od-
działowi ratunkowego - która przeciekała przez koc nad moim okopem. Smakowa-
ła i wyglądała jak farbka do tkanin. Ale nie była zła. Korzystaliśmy z naszych table-
tek do oczyszczania wody”.

Część z żołnierzy nie miała w ustach pożywienia od blisko dwóch dni. I to mimo
pełnych odwagi wysiłków żołnierzy, takich jak starszy szeregowy Lowell, który

¹⁷ Miesiąc wcześniej Patton bawił się ideą wykorzystania samolotów Piper Cub do przerzucenia
jednostek szturmowych przez Ren. Jest oczywiste, skąd wziął sic. ten pomysł.

ryzykował życie na ziemi niczyjej pod ogniem karabinów maszynowych przeciwnika, by ściągać paczki z żywnością i amunicją, lub pilot kapitan Dean, który został odznaczony przez dowódcę korpusu generała Eddy[^]go za wykonanie trzech lotów z zaopatrzeniem przez Sauer w obliczu morderczego ognia przeciwnika.

Generał Eddy nie był jedynym wysokim rangą oficerem, który pojawił się wówczas na froncie pod Sauer. Był tam również nie kto inny, tylko sam dowódca 3. Armii, generał Patton. Właściwie posunął się on dalej niż reszta generacji i pojawił się między zaskoczonymi żołnierzami po drugiej stronie rzeki. Do dziś krążą legendy o tym, jak to uczynił.

Pewnego pochmurnego dnia jeep Pattona przejechał przez prowizoryczny most pontonowy wybudowany przez saperów 5. DP pod osłoną gęstej zasłony dymnej. Ku swemu zaskoczeniu zacięcie walczący żołnierze piechoty dostrzegli między sobą samego wyelegantowanego, odprasowanego „Ole Blood an' Guts” w polakierowanym hełmie z trzema ponadwymiarowymi gwiazdami i słynnymi pistoletami. Szybko rozeszła się wieść, że „stary” nie mogąc normalnie pokonać Sauer, przepłynął ją.

„Stars and Stripes” później donosił: „Walki na froncie są źródłem najbardziej niewiarygodnych opowieści. Oto jedna z nich. Nagle znikąd w środku nocy pojawia się generał Georg S. Patton Jr. Krzyczy: »Odwołać łodzie! Zbyt dobrze je widać. Płyniemy!«. Wojsko waha się. Generał rusza do działania. Wchodzi do wody i zaczyna płynąć kraulem. W pół drogi na drugi brzeg odwraca się i macha. Zachęcone wojsko skacze do wody i płynie za nim”.

Chociaż raz Patton, który zawsze odgrażał się, że zamknie „Stripes”, jeśli tylko będzie mógł, musiał być usatysfakcjonowany. To była jeszcze jedna legenda, dodana do zbioru tych, które opiewały jego umiejętności na wojnie. Wkrótce nadszedł kres tych legend, ale w swoim czasie nowi wielbiciele zrobili z Pattona największą amerykańską wojskową postać okresu drugiej wojny światowej.

Następnego dnia po tym, jak rzekomo pokonał Sauer w taki imponujący sposób. Patton zajął się bardziej prozaicznymi sprawami. Razem z generałem „Redem” Irwinem z 5. DP, jednym z prawdziwych liniowych żołnierzy, przeprowadził inspekcję części Wału Zachodniego, przez którą przełamała się „Walcząca 5.” Irwina. Zastosowała ona jedynie prawdziwie skuteczną technikę zdobywania bunkrów - od tyłu.

Patrząc na wysadzone pomalowane na czarno tylne drzwi^{9*} jednego z większych bunkrów na stoku, Patton zauważył: „Teraz wiem, że Niemcy są szaleni”. Z żalem potrząsnął głową. „Czasami jest mi przykro, że słowo *obrona* zostało kiedykolwiek wymyślone. Począwszy od Wielkiego Muru Chińskiego, a skończywszy na Linii Maginota, *nic... nigdzie... nie* zostało z powodzeniem obronione”.

Wojskowy historyk musi, poza kilkoma wyjątkami, zgodzić się z generałem Pattonem.

⁹ Wejścia z reguły były ochraniające przez stalowe drzwi. Niekiedy załoga musiała wchodzić przez kilka stalowych załomów prowadzących w dół do wąskiego podziemnego korytarza.

Dwaj generałowie stali tam w zimny lutowy dzień, a działa groźnie grzmiały w od-dali. Czego Patton nie rozumiał, to to, że nadal było wielu Niemców, którzy wierzy-
li, słusznie bądź niesłusznie, że Wielki Wał Niemiecki może stawić opór szturmom
aliantów i doprowadzić ich do wygrania tej wojny.

Patton w wielu punktach miał racją, przynajmniej wtedy, kiedy w grą wchodziła
Linia Zygryda nad rzeką Sauer. Drugi największy ze wszystkich bunkier, „Kocia
Głowa”, który kosztował tak dużo, a jego budowa trwała dwa pełne lata, poddał się,
czy raczej został opuszczony, bez walki. Kilka amerykańskich pocisków wylądowało
na wzniesieniach, gdzie za miasteczkiem Irrel znajdowała się ta wielka fortyfikacja,
i to wystarczyło. W ciągu nocy większość z osiemdziesięciu czterech żołnierzy obsa-
dzających go uciekło na wschód, a tylko garstka pozostała, by poddać się 76. DP.

Ponieważ przypuszczano, że został on zaminowany i są w nim wybuchowe pu-
łapki, jedynie najśmielsi między zwycięskimi Amerykanami odważyli się zaryzyko-
wać wejście do stalowych kopuł. Stąd też prawie trzy lata później francuskie siły
okupacyjne używając materiałów wybuchowych zamknęły wejścia do tego potęż-
nego bunkra, który na kilku piętrach krył w sobie czterdzieści pięć pomieszczeń,
automatyczne miotacze ognia, karabiny maszynowe, systemy klimatyzacyjne itp.
Następnie o nim zapomniano, tak jak o innych bunkrach Wału Zachodniego, które
nadal stoją na płaskowyżu Ferschweiler^{9\}

Ta ciągnąca się na przestrzeni blisko pięćdziesięciu kilometrów Linia Zygryda
została przełamana jednak dopiero 10 marca, kiedy faworytka Pattona - 4. Dywi-
zja Pancerna - osiągnęła swój cel - Ren.

Po trzech dniach ciągłych ataków żółtodzioby z 76. DP nadal codziennie trafiały
na dziesiątki schronów.

Na każdym kilometrze kwadratowym rozlokowanych było piętnaście obiektów,
co 40 metrów był jeden, które później dywizyjna kronika nazwała - „gniazdami
szczurów”. Dodatkowo na samych wzgórzach Ferschweiler była setka innych ufor-
tyfikowanych pozycji, okopów i pól minowych. Jak skomentował to jeden z żołnie-
rzy przybyłych na front 11 marca, patrząc na pole walki z Luksemburga: „Święty
Jezu, co za robota!”.

Prowadzony z pełnym rozmachem atak, zaplanowany przez samego podpułkow-
nika, został skierowany na pojedynczy schron, który zatrzymywał całą liczącą
15 000 żołnierzy dywizję. Dywizjon artylerii przez piętnaście minut prowadził na
niego ostrzał. Po nim ogień otworzyły moździerze. Na końcu w szare niebo po-
mknęła zielona flara. Był to sygnał dla specjalnie dobranych drużyn szturmowych,
które miały zaatakować bunkier.

^{9\} Prawie trzydzieści lat później ochotnicza straż pożarna z Irrel zaczęła prowadzić prace wyko-
paliskowe i odnalazła bunkier dokładnie w takim stanie, w jakim został on pośpiesznie opuszczony
w lutym 1945 roku. Wkrótce może on stać się atrakcją turystyczną, podobnie jak forty Linii Magino-
ta. *Sic transit...*

Kiedy odważnie ruszyli do przodu, prowadzący oddział zawadził o sprytnie ukryty drut odciągowy. Wszędzie wokół zaczęły eksplodować miny. Miody oficer idący na czele potknął się. Został trafiony. Ale podniósł się i nadal biegł do przodu, kryjąc się jak inni, jakby uciekając przed potężną ulewą. Piechota szturmowa znalazła się około dwudziestu pięciu metrów od stawiającego opór schronu. Osłaniające ich karabiny maszynowe przestały strzelać. Nic mogli podtrzymywać ognia - to było zbyt niebezpieczne, mogli trafić we własnych kolegów.

Grupa szturmowa była zdana na siebie. Jeden z żołnierzy podbiegł do bunkra. Rzucił ładunek wybuchowy w stronę stalowej osłony dużego otworu strzelniczego. Błyskawicznie przypadł do ziemi, a w powietrzu wokół niego świstały kule. Nastąpił głośny wybuch. Kiedy się rozpłynął dym, czekająca w napięciu amerykańska piechota zobaczyła, że znikła jedynie część metalowej osłony, która nadal zasłaniała otwór.

Kolejny odważny ochotnik rzucił się do przodu, by zakończyć zadanie. Ale jego ładunek również eksplodował w niewłaściwym miejscu. Sierżant zaklął. Zanim ktokolwiek zdążył go zatrzymać, ruszył przed siebie, trzymając w obu rękach granaty. Odchrząknął i rzucił je przez otwór zrobiony przez pierwszy ładunek. Tym razem się udało.

Przeciwnik miał już dość. Piętnastu Niemców trzymało całą amerykańską dywizję przez ponad dzień i zagrażało drogę 15 000 młodych amerykańskich żołnierzy. Wyszli z rękami nad głową, ze strachem wykrzykiwali drżącymi głosami: „*Kamerad... bitte nicht schiessen... bitte*”.

5. Patton rusza sam

*Do diabła, Braci, dlaczego SHAEF nie zostawi nas w spokoju?
Wolałbym walczyć z Hunami niż ciągle z Ike'em i Montym.*

generał George S. Patton do generała Bradleya, luty 1945

Podczas gdy 4. DP walcząc ze spadochroniarzami Heilmanna zbliżała się do Priim, a ulubiona jednostka Pattona 4. DPanc podchodziła do Linii Zygfyda w pobliżu Bitburga i gotowała się do uderzenia w stronę Renu, większa część 3. Armii Pattona odpoczywała. Po tygodniu zaciętych bojów o schrony, których było nawet do 15 na każdym kilometrze kwadratowym, reszta 76. DP powróciła przez Sauer na tyły i została nakarmiona, napojona oraz wykąpana, co stanowiło część przygotowań do następnej fazy uderzenia na Wał Zachodni.

W kronice 76. DP zapisano: „Wszystko, co można było dostrzec w tych brudnych wąsatych twarzach, przygarbionych ramionach, w marszu zabłoconych stóp, to znużenie żołnierzy, którzy przechodzili przez niekończące się niebezpieczeństwa, mieli niedostatek żywności i jeszcze mniej snu przez prawie tydzień - całkowite, absolutne wyczerpanie”.

Kilkuset żołnierzy piechoty przemaszerowało na otwartą przestrzeń w pobliżu jednej z położonych nad rzeką luksemburskich wsi. Tu jednostki kwatermistrzowskie rozstawiły prysznice. Rozebrali się do naga, nie troszcząc się o to, że patrzą na nich miejscowe kobiety i dzieci i rzucili swoje poplamione mundury w błoto. Miały być wyczyszczone później. Następnie, szurając butami ruszyli do namiotów, gdzie zanim zostali odwyszawiceni DDT przez ludzi w czarnych maskach ze strzykawkami, myli swe wychudzone brudne ciała w gorącej wodzie i mydle. Wracali do cywilizowanego życia, przynajmniej na chwilę. Jeden z żołnierzy powiedział: „Musiałem przejść przez Francję, Belgię i kawał Luksemburga, by mieć szansę na gorącą wodę i kawałek mydła. Ale było warto!”.

Inni zwycięzcy żołnierze zapuścili korzenie tam, gdzie walczyli. Sierżant Giles znalazł się na odizolowanym odcinku frontu - „nic, prócz pni sosen, wszystkie gałęzie połamane, górne części drzew porozrywane pociskami” - było „dziwnie, niesamowicie i cierpła mi skóra”. Ale bardziej martwiło go to, co miało nadejść wraz ze wznowieniem ofensywy.

Obawiałem się tej Linii Zygfyda. Nadal boję się Renu. To jasne, że są przyparci do muru i że szalony Hitler, zanim się podda, będzie walczył do ostatniego Niemca.

Inni doświadczeni żołnierze - sanitariusz Atwell oraz jego towarzysze nie troszczyli się już o to, gdzie są i co się z nimi stanie. Nudzili się w potrząskanym przez pociski wiejskim kościółku katolickim, w którym znajdował się połowy punkt opatrunkowy. Na okrągło oglądali Abbotta i Costello w filmie *Zagubieni w haremie* i Ritę Hayworth w *Dziewczynie z okładki*, póki nic zaprotestował kapelan. Tuż po zakończeniu wojny Atwell napisał:

Wtedy nikt się o nic nie troszczył. Nie kończyło się zdań, słuchacze tracili zainteresowanie, a ich twarze były puste; każdy ziewał, przeciągał się, pisał chaotyczne listy... Żołnierze kręcili się wokół zakrystii i napadali na siebie jak szczeniaki: „No dalej, k... m... Oż ty eh... zabieraj ode mnie swoje kulasy, tłusty sukinsynu!... Mówię ci, chłopie, jeżeli kiedykolwiek pojedą do domu na urlop, to będą musieli spalić las i przesiać popiół, żeby mnie znaleźć!”.

Był to już znajomy nastrój żołnierzy po walce; odreagowywali i przygotowywali się do nowego psychicznego i fizycznego wysiłku w kolejnej bitwie, która z pewnością miała nadejść.

Patton wziął swój pierwszy urlop w tej kampanii. Spędził kilka dni w Paryżu, gdzie, jak zapewniał go dyrektor Folies Bergeres, w jego domu „zawsze może odpocząć”, kiedy tylko ponownie pojawi się w Paryżu. Tego dnia w swoim dzienniku zapisał: „Nie potrafię sobie wyobrazić bardziej niespokojnego miejsca na brak odpoczynku niż Folies, gdzie jest blisko setka prawie nagich kobiet”. Następnego dnia oddawał się swojej kolejnej pasji - myślistwu, ale musiał przerwać wyprawę ze względu na zatrucie żołądkowe. Nie byłby sobą, gdyby nie podejrzewał, że ktoś chce się go pozbyć. Dzień później zaczął podejrzewać, że jego telefon jest na podsłuchu.

Charakterystyczne dla niego było to, że im bardziej w Europie normowała się sytuacja, tym bardziej był przekonany, że jego koledzy-generałowie chcą go powstrzymać, a nawet, że mogliby go zamordować. Montgomery nadal był „małym smrodem”, zawsze próbującym przeszkadzać jego 3. Armii. Eisenhower był „tchórzem” i interesował się jedynie tym, by po wojnie objąć urząd prezydenta. I Bradley, i dowódca 1. Armii Hodges byli „niczym”. Nawet podwładni mu dowódcy korpusów byli niezdyscyplinowani i nic nie warcili. W swoim dzienniku Patton pisał: „Muszę walczyć o każdy metr. To nie przeciwnik próbuje mnie zatrzymać; to oni”.

Patton prawdopodobnie wiedział, że ostatecznie najlepszym sposobem na pokonanie Linii Zygfryda jest jej obejście, tak jak w 1940 roku uczynili to Niemcy z Linia Maginota. Otworzyli sobie furtkę przez Ardeny i wyszli na jej tyły na północnym skrzydle. Było oczywiste, że na północy Linii Zygfryda w Reichswaldzie tak właśnie zamierza postąpić Montgomery.

Zakończona powodzeniem próba przełamania przez Pattona Wału Zachodniego w rejonie Eifel nic miała decydującego wpływu na liczący 640 kilometrów łańcuch fortyfikacji. Jak dotychczas Niemcom udało się zamknąć włamanie wojsk Pattona. Nie doszło do masowego wycofania w stronę Renu, do czego niewątpliwie miało dojść na północy.

gdyby tylko Montgomery przełamał się przez linię. Wówczas Niemcy musieliby się wycofać - w przeciwnym razie wprost z bunkrów i schronów trafialiby do niewoli.

To, czego Patton potrzebował w trzecim tygodniu lutego 1945 roku, to zgoda na kontynuowanie uderzenia, zwłaszcza przez Mozelę z amerykańską 1. Armią na lewym i dowodzoną przez Patcha 7. Armią na prawym skrzydle, które miały wspierać potężną, wyłącznie amerykańską ofensywę Pattona w kierunku Renu. Ale zdawał sobie sprawę z tego, że to nie była uzgodniona strategia. W jego opinii to wydarzenia, okoliczności i osobowości kształtowały strategię, a nie nieznany oficer sztabowy siedzący tysiące kilometrów dalej za bezpiecznym biurkiem. Co Marshall w Waszyngtonie lub Eisenhower w Wersalu wiedzieli o rzeczywistej sytuacji na froncie? W pełnym pasji wybuchu złości w obecności Bradleya komentował ówczesną strategię, która dawała pierwszeństwo Montgomery'emu na północy: „W porządku, panie generale, to niezły plan. Robi wrażenie na papierze. Ale nadaje się wyłącznie do prowadzenia wojny z odległości 8000 kilometrów stąd [z Waszyngtonu], Tu próbujemy walczyć z przeciwnikiem zgodnie z sytuacją, jaka w danym miejscu panuje. Nic na mapie czy w teorii. [...] 3. Armia chce walczyć. 1 chce ona skończyć tę cholerną wojnę”.

Patton przedstawił propozycję, która sama w sobie nie wydawała się szczególnie radykalna. Dotyczyła jednej dywizji pancernej i jednego niemieckiego miasta. Być może nieświadomie wpadł na pomysł, który miał całkowicie złamać potęgę Linii Zygfryda. Zaproponował: „możemy zająć Trewir”^{****} w ciągu dwóch dni. [...] Teraz Hunowie nas nie zatrzymają!”.

Patton wówczas tego nie wiedział, ale wkrótce miał znaleźć się na pozycji, która spychała Montgomery'ego na północy na drugi plan. Rezultat proponowanych przez Pattona działań byłby polityczną katastrofą, ale to go nie obchodziło. Miał odbudować prestiż amerykańskiej armii. To Amerykanie, a nie Brytyjczycy mieli chodzić w chwale zwycięzców. Rola Montgomery'ego byłaby zredukowana zaledwie do osłony skrzydła atakujących „jankesów”. A naturalnie Patton i jego 3. Armia byłiby sprawcami zbliżającego się zwycięstwa. Długo po tym, jak Bradley, Simpson, Hodges. a nawet Eisenhower zostaliby zapomniani, amerykański naród pamiętałby George'a S. Pattona Juniora. „Ole Blood an' Guts” zamierzał do tego doprowadzić.

W Reichswaldzie nadal trwał mozolny marsz. Uderzenie rozpoczęło się w deszczu. Siedem dni później nadal nieustannie padał deszcz, przygńębający i z furją zamieniający pole bitwy w grzęzawisko - przypominające najgorsze warunki, w jakich walczone podczas pierwszej wojny światowej.

W rzeczywistości obrońcy pomogli nacierającym wysadzając zapory na Roer pod nosem amerykańskiej 9. Armii Simpsona, która była podporządkowana Montgomery'emu na północy. Powstała fala powodziowa całkowicie zatrzymała uderzenie Simpsona i całkowicie zalała nizinę wokół Reichswaldu. Wojenny korespon-

^{****} Dawne rzymskie miasto było kluczowym węzłem na obszarze operacji 3. Armii w pobliżu Mozeli.

dent „Sunday Times” R. W. Thompson zapisał, że pole bitwy „praktycznie przekształciło się w miejsce do prowadzenia operacji morskich. Na powierzchni wody widać było jedynie dachy domów, wieżyczki opuszczonych czołgów, rozwalone pnie drzew, końcówki słupów telegraficznych i wszystkie okropne śmieci wojny. Gdyby nic to, mogłoby to być morze”.

Znajdujący się na czele żołnierze XXX Korpusu Horrocksa żartowali, że są „wodnymi szczurami” (za przykładem „szczurów pustyni” walczących w Afryce Północnej). Ruszyli do bitwy w małych łodziach, a nocą rozbili obozowiska na wyspach z błota.

Dostarczenie żywności na te odizolowane pozycje zabierało nawet osiemnaście godzin. W pewnym momencie Horrocks mógł zapewnić swoim 200 000 żołnierzom zaledwie 500 samopodgrzewających się puszek z zupą. Jak wspomina kapitan służb kwatermistrzowskiej J. Moore z jednostki East Lanes, przy próbach dowożenia żywności: „Nie widziano żadnych dróg. To było jezioro. [...] Mogliśmy się przedostać, ponieważ wiedziałem, gdzie pod wodą znajduje się droga, ale szczęście nas opuściło i kierowca Bean wjechał w jeden z niemieckich okopów. Nic nie można było zrobić ani nikogo za to winić. Wyostałem się z samochodu i próbowałem dalej iść na piechotę. Woda sięgała mi do ud, amfibie DUKW ochlapwały mnie, ale przeżyłem”. Fakt, udało mu się, ale pewna kompania East Lanes nie dostała tego dnia swojego gulaszu wołowego.

Pozbawiona osłony pancernej, od dawna umęczona piechota brnęła przez błoto i wodę atakując bunkry i schrony obsadzone przez „cholernych spadochroniarzy”. Ich przeciwnikiem były również miny, dla piechoty najstraszniejsza broń wojny. Ich jedyną obroną przed nimi był bagnet, którym nakłuwano grunt. Miny miały przeróżny kształt i rozmiar, od prawie tak dużych jak przykrywa kosza na śmieci min Teller - do „odcinacza jaj”, małej miny przeciwpiechotnej, której potoczna nazwa wskazywała na jej charakterystyczny sposób działania.

Nawet saperzy posiadający odpowiednie wyposażenie nie potrafili znajdować nowych plastikowych, szklanych czy drewnianych min, a także min-pułapek”. Alf Jones z jednostki Royal Engineers twierdził: „Jeżeli chodzi o mnie, to miny z tego cholernego Reichswaldu były najgorsze w tej całej pieprzonej wojnie. [...] Wszystko, co ci biedacy z piechoty mogli zrobić, to nakłuwac grunt pod wodą, a w tym czasie nad ich głowami latały kule. Mogę powiedzieć wam, że to nie był piknik”.

Straty były wysokie, Brytyjczycy i Kanadyjczycy tracili każdego dnia 1500 żołnierzy. Masowo trafiali oni do szpitali wojskowych w Belgii, a nawet w Wielkiej Brytanii. Oficjalny kanadyjski historyk wojskowy, pułkownik Stacey, po wojnie pisał:

Często były one połączone ze sobą drutami odciągowymi. Podniesienie jednej miny powodowało detonację kolejnej. Inne miały mocowane pod spodem zapalniki wielkości pudełka od zapalek, które inicjowały eksplozję w chwili, kiedy saper uważał (co było błędem), iż bezpiecznie podniósł śmiertelną pułapkę.

Niech nikt nie ma błędnego mniemania o zaciętości walk w tych ostatnich miesiącach. I w tym zmierzchu bogów obrońcy Rzeszy charakteryzowali się absolutnym fanatyzmem i przejawiali desperacką odwagę. W szczególności w walkach na zachód od Renu walczyli szczególnie zawzięcie, czyniąc bitwy o Reichswald i Hoehwald trudnymi do zapomnienia w annałach tej wojny.

Straty wśród Kanadyjczyków były horrendalnie wysokie. W pełni ochotnicza armia kanadyjska w Europie gwałtownie wykruszała się. W kanadyjskich portach załadunkowych szerzyła się dezercja. Zgorzkniała piechota była zdana na siebie. Kucharze, pisarze i kierowcy zostali błyskawicznie przeszkoleni na żołnierzy piechoty. Ale w przeciwieństwie do starych wyg znających reguły walki, ci mieli niezbyt duże szanse na przeżycie. Nawet doświadczeni żołnierze byli wycieńczeni przez nieustannie nakładane na nich zadania.

Jednak w ostatniej wielkiej bitwie tej wojny Kanadyjczycy uczynili wiele dla przełamania Linii Zygfryda. Lista przyznanych w lutym i w marcu Krzyży Wiktorii jest dowodem ich męstwa. Sierżant Aubrey Cousins razem z garstką żołnierzy powstrzymał atak „cholernych spadochroniarzy” Renniego. Zmusił Niemców, by skryli się przed jego ogniem i stał się jednoosobową armią. Zatakował dom zajęty przez Niemców, zabił dwudziestu z nich i jeszcze więcej wziął do niewoli. Następnie umocnił swoją pozycję, oznajmił wyczerpanym podwładnym, że „rusza na tyły, by złożyć meldunek dowódcy” i pięć minut później zginął od kuli niemieckiego snajpera.

Kolejnym bohaterem był major Tiltson z Canadian Essex Scottish. Kiedy przez gąszcz zapór z drutu kolczastego prowadził atak na umocnioną pozycję, został ciężko ranny w głowę i nadal dowodził swoją kompanią. Celnym rzutem granatu uciszył niemiecki karabin maszynowy. Wtedy został ponownie trafiony, tym razem w biodro. Upadł, ale nie zrezygnował i nadal kierował działaniami swoich żołnierzy w walce wręcz z Niemcami.

Niemiecy spadochroniarze zebrali swoje siły. Wyprowadzili kontratak z dzikim wrzaskiem, przekleństwami i wojennymi okrzykami. Tym razem Kanadyjczycy stracili 75 procent swoich żołnierzy, ale nadal dawali sobie radę z atakującymi. Tiltson wpadł do zalanej wodą dołu. Na przemian tracąc i odzyskując przytomność próbował zachęcać do walki swoich zdesperowanych żołnierzy. Znowu dostał, ale nie chciał, by go ewakuowano. W końcu Niemcy zostali odepchnięci i wtedy dopiero na wpół żywy major pozwolił, by zabrano go na noszach. Został odznaczony Krzyżem Wiktorii, ale przyplącił to ciężkim kalectwem. Lekarze musieli mu amputować obie nogi.

Ostatecznie kanadyjska 1. Armia zapłaciła wysoką cenę. Straciła 379 oficerów i 4935 żołnierzy. Brytyjczycy ponieśli jeszcze większe straty-770 oficerów i 9600 żołnierzy, większość w ostatnim tygodniu lutego.

Miłosierna śmierć na froncie zwykle przychodziła szybko - trzaśnięcie z karabinu snajperskiego, jak dźwięk wydawany przez łamaną nogą gałązkę; huk tnących powietrze pocisków kalibru 88 mm; wysoki, histeryczny skowyt MG 42. Ranni to zupełnie inna sprawa - popielate twarze, oczy szeroko otwarte w szoku. Nie wie-

rzyli, że są ranni, leżeli w błocie i słyszeli krzyki: „Sanitariusz... Gdzie do diabła jest sanitariusz?”. Następnie ranny żołnierz dostawał się w twarde zakrwawione ręce sanitariuszy, którzy cięli mundury swoimi szczyrkami, podawali wyglądające jak małe tubki pasty do zębów zastrzyki z morfiny, próbując tamować upływ jasnoczerwonej krwi delikatnie uciskali grube bandaże z żółtymi podkładkami.

Jeepy i ambulanse miały się między polem walki a wysuniętymi punktami opatrunkowymi po drogach rozjeżdżonych przez czołgi. Znekani wojskowi lekarze w poplamionych krwią fartuchach, czasami pracujący przy syczącym płomieniu lampy naftowej cięli, kroili, łatali, bandażowali, próbując sprawić, by ranny przetrwał następny etap swojej długiej podróży.

Przyczepiano tabliczki z opisami ran. na czołach ołówkiem wypisywano podaną dawkę morfiny oraz inne medyczne szczegóły. I kierowano ich otępiałych na zachód, czujących w nozdrzach woń środków dezynfekujących i kawy.

Później pojawiało się więcej lekarzy - tym razem starszych - mierzących puls, zrywających bandaże, wachających rany tych, którzy zbyt długo znajdowali się na polu walki, by wyczuć zapach gangreny. Niewielka część otrzymywała „czerwony krążek”. Wygrywali los na loterii. Ich rany były na tyle poważne, że kierowano ich na dalsze leczenie do Wielkiej Brytanii.

Reszta zostawała na tyłach, między innymi w szpitalach w Louvain, Brukseli i Bruges. Pierwszych kilka dni spędzali w narkotycznym śnie, zanim lekarze zaczęli nad nimi pracować. Monty potrzebował zwykłych żołnierzy. Na froncie brakowało piechurów. Więc łatano ich i kierowano z powrotem na front.

Oczywiste, że niektórzy nie chcieli wracać. Ale wielu cieszyło się z możliwości ponownego spotkania kumpli. Tu w końcu wiedzieli, na czym stoją. Jeżeli mieli ponownie walczyć, lepiej było wśród kompanii, którą się znało i na której można było polegać. Pewien ranny oficer po powrocie do swojego batalionu powiedział:

Wzmocniło mnie i odświeżyło to, że ponownie po miesiącach zazdrości i niskiej rywalizacji tam daleko na tyłach, znalazłem się na pierwszej linii frontu w dobrej kompanii, współpracującej ze sobą, wykazującej pełen humor stoicyzm. [...] Kompania, kiedy weszła na nasz obszar, rzeczywiście stanowiła niesamowity widok. Żołnierze byli obładowani normalnym ładunkiem amunicji, broni, kilofów, łopat, ale dodatkowo każdy z nich niósł jakieś osobiste skarby; niektórzy mieli lampy naftowe lub piecyki olejowe; inni nieśli koce lub kosze, pojawiły się dwa pododdziały, w których każdy niósł w torbie kawał świni upolowanej dzień wcześniej. W swoich mundurach polowych wyglądali jak motłoch, a ich twarze były zsiekanie wiatrem.

R. W. Thompson uważał ich za „cholernych bohaterów”.

Zdrowi czy ranni, wkrótce mieli przebić się przez Linie Zygryda, której tak wielu z nich się obawiało. Żołnierze piechoty nie mieli nawet 20 lat i w 1939 roku nosili jeszcze krótkie spodenki, kiedy ich starsi bracia przechwalali się, że „powieszaswoje

pranie na Linii Zygryda. Droga matko, czy masz jakieś pranie?". Pięć lat wcześniej doszło do porażki. Teraz „dzieciaki” - które z powodu wojny nigdy nie miały normalnego dzieciństwa - uczyniły to.

To oni wyrwali się z „kotła Nijmegen”¹⁰², przełamali przez Linią Zygryda oraz oczyścili Reichswald i pobliskie obszary. Pokonali najlepsze jednostki, jakie jeszcze mieli Niemcy, owych „cholernych spadochroniarzy”, którzy byli nawet lepsi niż Waffen SS. Ci, kiedy zostali zaatakowani miotaczami ognia, walczyli jak diabły i wrzeszczeli: „No, chodźcie i dorwicie nas, wy angielskie [*sic!*] sukinsyny!”.

Montgomery był z nich zadowolony. Podobała mu się nawet praca kanadyjskich oficerów sztabowych, chociaż początek bitwy okazał się całkowitym chaosem. W rzeczywistości marszałek polny był w ogóle w dobrym nastroju. Czuł, że otrzymał od Eisenhowera zielone światło, a podwładni Bradley i Patton ponownie znaleźli się pod kontrolą amerykańskiego naczelnego dowódcy.

Na nieszczęście Montgomery nie miał wyczucia. Uważał, że inni są tacy jak on. I chociaż mógł być okrutny - bez wyrzutów sumienia usuwał sobie podległych generałów, nawet kiedy jeden z nich wybuchnął płaczem podczas rozmowy z dowódcą armii - jednak nie żywił do nikogo urazy. W styczniu wskazał na Bradleya, by ten zajął jego ówczesne stanowisko, ponieważ w trakcie bitwy o Ardeny sam popełnił szereg błędów. Spodziewał się, że Amerykanin weźmie na siebie ciężar walki, ponieważ on sam uczyniłby tak dla dobra ogółu.

Oczywiście Montgomery nie był do końca naiwny. Wiedział, że nie wszyscy generałowie dorastają do jego poziomu (poza tym był przecież synem biskupa). Kiedy dowiedział się, że Eisenhower zgodził się na ograniczone pokonanie Renu i zajęcie Ruhry (na taki sposób działania Montgomery naciska! od dnia uderzenia na plażę Normandii), pisał do prywatnego sekretarza króla Jerzego VI: „Ponownie mamy całkowitą rację. Myślę, że Eisenhower przeszedł przez dość zacięte walki i 5 lutego podczas odprawy w Namur [w sztabie Bradleya] po raz pierwszy stanął po mojej stronie, a nic poparł Bradleya. Powinniśmy teraz przyjrzeć się, czy potrafi on utrzymać okręt na stałym kursie. Straci panowanie nad sobą kilka razy, zanim Bradley & spółka podczas mojej nieobecności *znajdą do niego dojście*”.

Montgomery, stuprocentowy zawodowy żołnierz, nie doceniał, jak wielką rolę miała osobowość dowódcy czy prestiż narodu w ostatecznym zniszczeniu i przełamaniu Linii Zygryda. Bradley, który wtedy znenawidził Monty'ego, był bardziej niż zwykle zdeterminowany, by ściągnąć kierunek głównego uderzenia aliantów w wyłącznie amerykańską strefę działań operacyjnych. Nieświadomie, bądź kierowany innymi motywami, Eisenhower zagrał na korzyść Bradleya.

Dowódca naczelny został przekonany podczas przeprowadzonej od 4 do 6 lutego odprawy w Namur, że jeżeli Montgomery 'emu pozwoli się na „ryzyko” poważnego uderze-

¹⁰² Na tym obszarze od czasu niepowodzenia pod Arnheim znajdowało się kilka brytyjskich dywizji. I stały tam tak długo, że jedna z nich, 49. DP. była nazywana przez pozostałe brytyjskie jednostki „Nijmegen Home Guard”.

nia na wąskim odcinku Renu w kierunku Ruiny, to wcześniej należy uporządkować ugrupowanie aliantów i rozmieścić ich armie na całej długości Renu. Jak w tajnym dzienniku generała zapisał major Hansen⁴, adiutant Bradleya, jego doradca i szef propagandy: „Jestem przeświadczony [to jest Bradley], że jeżeli zamierzamy uderzyć na Niemcy na wąskim froncie... to najpierw należy wyprowadzić uderzenie do Renu na całej jego długości, tak by zająć silne pozycje obronne, które mogłyby być obsadzone minimalną liczbą jednostek bez poważnego niebezpieczeństwa większego niemieckiego ataku”.

Prawdziwym zamiarem Amerykanów było niedopuszczenie do kolejnego „zaskakującego” ataku, takiego jak uderzenie Niemców w Ardenach. Nadal dręczyła ich myśl, że Bradley został przyłapany w Ardenach z opuszczonymi spodniami, ale tym razem było to coś znacznie poważniejszego. Sugerując, że 3. Armia Pattona i 1. Armia Hodgesa powinny dojść do Renu, zanim Montgomery uruchomił swój plan forsowania rzeki, Bradley próbował przydzielić swoim dowódcom armii główną rolę w ostatecznej bitwie o Rzeszę. Chciał tego również jego odpowiednik - dowódca 6. Grupy Armii „Jake” Devers. Podlegli mu dowódcy 7. Armii - „Sandy” Patch, i 1. Armii Wolnych Francuzów de Lattre de Tassigny również mieli podejść do rzeki.

Montgomery na północy przełamał się przez swój odcinek Wału Zachodniego. Hodges i Patton również to uczynili, ale w centrum. W rezultacie ich jednostki przeszły Linie Zygfyda na szerokim froncie od Holandii do granicy Luksemburga z Niemcami. Jednak nadal olbrzymia część Wału Hitlera była nietknięta. Dotyczyło to linii od Trewiru przez niemiecki kraj Saary, na całej długości Alzacji aż do Bazylei na granicy Francji, Niemiec i Szwajcarii. Zajęcie całej linii potężnych fortyfikacji wymagało, nawet w ostatnich dniach „Tysiącletniej Rzeszy”, olbrzymiego wysiłku. I byłoby niepotrzebne, gdyby uderzenie na północy, takie jak Montgomery 'ego, wyszło na skrzydło Wału Zachodniego.

Patton nie interesował się tym, co myśli Eisenhower. Zyskał, chociaż pośrednio, okazję do ponownego wprowadzenia do operacji 3. Armii. W rzeczywistości jego krótki urlop w Paryżu mógł być częścią planu, jaki układał sobie w głowie. Dowódca 3. Armii opuścił Paryż z czymś więcej niż tylko zatruciem pokarmowym.

Na pozór pojechał do Paryża, by wypocząć i rozerwać się. Był w Folies, prowadził górnolotne pogawędki z Hemingwayem i jego „frycowa”, Marleną Dietrich, rozmawiali o powieści *Słońce też wschodzi* oraz o tym, że kierowca gwiazdy filmowej kilka dni wcześniej został zastrzelony przez amerykańskiego wartownika. Ale pobyt w Paryżu znaczył więcej niż te fakty. Patton wrócił z krótkiego urlopu ze zgodą na wykorzystanie odvodu SHAEF, amerykańskiej 10. DPanc. Jak to zrobił oraz w jaki sposób zamierzał wykorzystać ją w operacji „zamknięcia kotła”, było, jak to zapisał pod datą 1 marca 1945 roku jego adiutant pułkownik Charles Codman, jego wewnętrzna sprawa i „rzucanie światła na sposób prowadzenia obrony aktywnej przez generała”.

Patton i jego 3. Armia mieli znów odnieść sukces.

⁴ Jak wielu młodszych oficerów sztabowych Bradleya, tak i ten wydawał się mieć całkowicie antybrytyjskie nastawienie.

6. Trewir

*Zająłem Trewir dwoma dywizjami. Co chcecie, żebym uczynił?
Oddać miasto?*

Patton do sztabu Eisenhowera, 1 marca 1945

Żaden obcy najeźdźca nie może wejść do miasta. Nawet jeżeli będziemy zmuszeni zabijać ich gołymi rękoma, to Trewir musi pozostać wolny.

Niecodzienny rozkaz fuhraera, wyrażony w tak brutalny sposób musiał zelektryzować Modla. Dowódca Grupy Armii B, który był odpowiedzialny za obronę Nadrenii i resztki Linii Zygryda, nie łudził się co do Adolfa Hitlera. Chociaż pozostał u łask po „spisku generałów”, którego celem w lipcu 1944 roku było zabicie Hitlera, to wiedział, że fiihrer nie miał litości dla dowódców, którzy go zawiedli.

W ciągu kilku ostatnich miesięcy Hitler postawił przed sądem wojennym więcej niż kilku dowódców za opuszczenie zajmowanego obszaru, a w kilku wypadkach w Rosji doszło do egzekucji dowódców dywizji. Feldmarszałek Model wiedział, że nic będzie wyjątkiem. W najlepszym razie zostanie usunięty ze stanowiska, tak jak Hitler uczynił to z feldmarszałkiem von Rundstedtem, zwalniając go ze względu na wiek. W najgorszym razie mógł skończyć przed plutonem egzekucyjnym.

W rozmowie telefonicznej z 27 lutego 1945 roku Model jednoznacznie wyjaśnił swoje stanowisko szefowi sztabu 80. Korpusu. W ostrych bezkompromisowych słowach wychrypiął w słuchawkę: „Fiihrer oświadczył, że Trewir jest miastem-fortecą. Rozkazał natychmiast podjąć odpowiednie kroki. Trewir ma być broniony jak forteca. Proszę natychmiast przekazać ten rozkaz do pułkownika Bachmanna, miejscowego komendanta Trwiru. Proszę mi meldować o wykonanych zadaniach”.

Szef sztabu 80. Korpusu musiał doskonale zdawać sobie sprawę, że Trewir równał się z Aachen i był jednym z najstarszych i najbardziej przesyconych historią miast w Niemczech. Czy miał być zmieciony z powierzchni ziemi tak jak niemal stało się to z Aachen? Nie zaakceptował automatycznie i bez wątpliwości rozkazu fuhraera. tak jak uczyniłoby to wielu wyższych niemieckich oficerów. Zamiast tego zaprotestował: „Nie mogę wykonać takiego rozkazu z tymi wojskami, jakie mam. [...] Amerykańskie czołgi sajuż na stanowiskach na wzgórzach Pellingen (wioska położona w pobliżu Trwiru). Nie można utworzyć forticy w ciągu kilku dni”.

Model grubiańsko potraktował jego zastrzeżenia. „Mówiłem już o tym fuhrerowi. Nic go to nie interesuje. Osobiście wydał rozkaz o stworzeniu z Trewiru fortecy... I mamy go wykonać”.

Szefowi sztabu najwyraźniej nie brakowało tego, co Niemcy nazywają *Zivilcourage*^M. Ze złością odpowiedział: „Niech pan robi, co pan uważa za stosowne. Ja nie potrafię wykonać tego rozkazu. Nie może pan spodziewać się po mnie, że przekażę w dół niewykonalny rozkaz. I proszę powiedzieć tym na górze [rozłoszczony generał nie ośmielił się wymieniść nazwiska Hitlera], że nic można obronić Trewiru mając 6000 pijanych i nieuzbrojonych żołnierzy *Volkssturmu*^N”.

Odpowiedzi Modlą nie zanotowano. Ale nie ma wątpliwości, że po charakterystycznym wybuchu oskarżeń i gróźb zdał sobie sprawę, że przedstawiciel 80. Korpusu przekazywał mu nieprzyjemne, aczkolwiek wyłącznie niepodważalne fakty. Jeżeli Trewir miałby być broniony zgodnie z życzeniem fihrera, to 80. Korpus potrzebował regularnych jednostek - najlepszych, jakie można było mieć - fanatycznych młodych żołnierzy Waffen SS.

6. Dywizja SS Piechoty Górskiej oraz austriacka 2. Dywizja Górską przez większą część wojny walczyły w nieprzyjaznej tundrze i lasach Finlandii. Tu, w pobliżu koła podbiegunowego, złożone wyłącznie z ochotników formacje walczyły z Rosjanami w zaciętych bitwach, z których relacje nigdy w całości nie znalazły się na kartach historii. Tam wojnę prowadzono zarówno z żywiołami przyrody, jak i z „Iwanem”.

We wrześniu 1944 roku Rosjanie zmusili sojuszników Niemiec, Finów, do poddania się i cała dywizja SS, licząca 15 000 dobrze wyszkolonych, doświadczonych, twardych młodych żołnierzy została wycofana do Niemiec na łodziach, ciężarówkach, pociągach, a nawet na saniach ciągniętych przez renifery. Cztery miesiące później 6. Dywizja SS została rzucona do „drugiej bitwy o Ardeny”, kiedy Niemcy przeciwko amerykańskiej 7. Armii w Alzacji rzucili osiem dywizji. Tam, zanim z powodu wysokich strat i braku ciężkiego sprzętu została wycofana z działań, prawie doprowadziła do powodzenia niemieckiej ofensywy.

Ale nadal była elitarną jednostką, która razem z austriacką 2. Dywizją Górską i osłabioną Dywizją Grenadierów Ludowych miała zatrzymać Pattona. Jej młodym żołnierzom wpajano arogancką butę SS oraz wiarę, iż „Nowe Niemcy” mogą jeszcze wygrać tę wojnę. Wymagano od nich tylko utrzymania pozycji, dopóki fihrer nie wprowadzi do działań przeciwko jankesom obiecanej *Wunderwaffe*.

Bez wiedzy dowództwa i żołnierzy 3. Armii (choć operacja „Ultra” musiała dać Pattonowi dane o tym, co się dzieje), 6. Dywizja SS i austriacka 2. Dywizja Górską weszły w rejon Saarbrücken-Sarreguemines nadal chroniony przez Wał Zachodni, natomiast pocięty teren dolin Saary i Mozeli był gotów do bitwy z jankesami.

Dosłownie „odwaga cywilna” - umiejętność postawienia się; przełożonym i wyartykułowania własnego zdania, cecha rzadko spotykana wśród Niemców.

¹¹¹⁵ Niemieckie jednostki obrony terytorialnej.

Wówczas 3. Armia Pattona znajdowała się w odległości 10 kilometrów od Trewiru. Teren z północnego wschodu był trudny. Forsowanie amerykańskiej 94. DP przez Saara zakończyło się całkowitą porażką. Dwa bataliony szturmowe na środku nurtu zostały wzięte pod ogień niemieckiej artylerii. Na ich małe łódki spadł deszcz pocisków. Była to powtórka z forsowania 76. DP przez Sauer. Jak dla amerykańskiej piechoty, to było za wiele. Wpadli w panikę. Wściekle wioślując uciekali na swój brzeg rzeki. Za sobą pozostawili dziesiątki łodzi wypełnionych zabitymi i umierającymi towarzyszami.

W zamieszaniu jednostki 94. DP zaczęły walczyć z „pożyczoną” formacją Pattona - 10. DPanc. Doszło do regularnej wymiany ognia. Został on przerwany dopiero wtedy, gdy ktoś zauważył, że to Amerykanie strzelają wzajemnie do siebie w lesie. To kosztowało pechową 94. DP kolejne pół kompanii.

Ostatecznie obie dywizje przeszły przez Saarę. Ale Niemcy nadal byli gotowi do prowadzenia walki. Poza tym przebiegiem bitwy interesował się sam zaniepokojony fiihrer, który znajdował się w swoim bunkrze w Berlinie. 6. i 2. dywizje górskie wyprowadziły atak przy wsparciu niemieckiej 11. DPanc. Przez chwilę 5. batalion rangersów, amerykańskich komandosów, był odcięty. SS miało nawet tupet zażądać od nich poddania się, i to pod koniec wojny.

Garstka bitnych rangersów odmówiła. Patton wiedział, że SHAEF wkrótce będzie chciało mieć 10. DPanc z powrotem, i uczynił wszystko, by ich ocalić. Otrzymali zaopatrzenie z powietrza. Zastosowano tę samą metodę jak przy 76. DP nad Sauer. Przez cały dzień samoloty rozpoznania artyleryjskiego Piper Cub wykonywały loty z zaopatrzeniem i dostarczały amunicję, żywność i wodę broniącym się rangersom. Ostatecznie komandosi utrzymali pozycje, ale za wysoką cenę. Jak zwykle piechota musiała zapłacić słony krwawy rachunek.

Odkryto niemieckie pole minowe chroniące wysunięte wioski Pellingen i Ollmuth. Przeszkoda ta natychmiast całkowicie zatrzymała amerykańskie natarcie. Do przodu ruszyli saperzy. Niemcy zaczęli strzelać do odważnie, powoli i z trudem pracujących saperów ze znajdującej się w Trewirze artylerii przeciwpancernej. W końcu oczyścili teren z min, ale ponieśli przerażające straty. 40 procent z nich zostało zabitych lub rannych.

Znajdująca się na czele i wspierana przez czołgi 94. DP natrafiła na linię bunkrów Wału Zachodniego, która była wybudowana na samym początku istnienia Wielkiego Wału Niemiec. To ją zatrzymało. Niemcy i Amerykanie przez całą noc walczyli o umocnienia. W końcu amerykańscy żołnierze załamali się i odstąpili. Ci, którzy tego nie uczynili, musieli sami znaleźć drogę z powrotem. Pewien maruder, kapitan Standish, został znaleziony trzy dni później zupełnie sam; jego kompania znikła, a on był wygłodzony i w stanie szoku.

Czas uciekał. Patton naciskał na generała Malony'ego, by ten podtrzymał natarcie, nawet groził mu, że usunie go ze stanowiska. Pułkownik Codman telefonicznie zaplanował jeszcze jedno spotkanie swojego szefa i pechowego Malony'ego. Kiedy elegancki wóz Pattona dotarł do zaplanowanego miejsca spotkania, nadgorliwy

żandarm, na szczęście dla generała, skierował go gdzie indziej. Nagłą zabójcza salwa niemieckiej artylerii trafiła w pierwotne miejsce spotkania. Niemcy podsłuchiwali linie telefoniczne Amerykanów. Patton przeżył, by dalej walczyć, a Malony otrzymał kolejną szansę.

Teraz załogi czołgów Morrisa mogły dostrzec już Trewir. Amerykanie mogli zająć stare rzymskie miasto, o czym nie wiedział dowódca 10. DPanc. Większość regularnych niemieckich jednostek wycofała się, w mieście pozostała wyłącznie artyleria przeciwlotnicza, a jej obsługę stanowiły oddziały Hitlerjugend. Pozostała w mieście piechota składała się z pijanych pododdziałów *Volkssturmu*, gotowych pod najmniejszym pretekstem do natychmiastowej ucieczki.

W tym samym czasie SHAEF i najwyraźniej sam Bradley chodzili na palcach wokół Pattona. Bradleyowi bardzo było potrzebne powodzenie Pattona w bitwie o Ardeny i sukcesy w styczniowych walkach, ale wówczas mający dostęp do Eisenhowera dowódca 12. Grupy Armii przejawiał zazdrość o sukcesy Pattona, który był stale obecny na nagłówkach gazet. Bradley czuł się opuszczony i zaczął naciskać na Pattona, by zwrócił do odvodu SHAEF 10. DPanc"".

Lecz dowódca 3. Armii utrzymywał, że nie jest w stanie zająć Trewiru bez 10. DPanc. Co miał robić? Zdecydował, że po raz kolejny wypróbuje jeden ze swoich starych wybiegów. Chciał przerwać łączność z tyłami -' sztabem Bradleya i dowództwem Eisenhowera SHAEF w Wersalu. Była to taktyka, której nie śmiałby wypróbować żaden inny amerykański dowódca. Nikt, kto dowodził 300 000 żołnierzy nie zrywałby łączności z przełożonym, ot tak sobie, nawet na 24 minuty, a Patton uczynił to na 24 godziny.

Wczesnym rankiem 1 marca Patton wydał rozkaz o zmianie kierunku uderzenia na Trewir. 94. DP miała zatrzymać swoje natarcie na linię bunkrów Wału Zachodniego. Zamiast tego czołgi 10. DPanc miały wyprowadzić zaskakujący szturm na stare miasto Pellingen.

Początkowo atak nie odniósł powodzenia. Niemieckie skrzydło broniące Trewiru przed bombardowaniami z powietrza skierowało swoje działa 88 mm oraz szybkostrzelne sprzężone działa 20 mm na nacierające amerykańskie czołgi. W krótkim czasie cztery shermany zostały wyeliminowane z walki, ale Amerykanie nadal kontynuowali natarcie. Wyzwolili obóz jeńiecki w Petrisburgu tuż obok Trewiru. Ale zanim uwolnili wychudzonych wiwatujących na ich cześć jeńców, których wielu pojmano podczas ostatniej walki o Linie Zygryda, stracili większość sił i dysponowali jedynie czterema czołgami i pięcioma półciężarówkami. Patton słono płacił za zwycięstwo.

""Zazdrość Bradleya jest wyraźnie widoczna w filmie *Patton*. Ówczesny pięciogwiazdkowy generał został zatrudniony przez wytwórnię jako konsultant specjalny tego filmu. Dopilnował, by (zosta) przedstawiony jako spokojny i rozsądny, natomiast Patton wyglądał na zapalczego (jednocześnie geniusza), który musiał być ciągle pod kontrolą.

Ale nie był tego świadomy. Polecał na odprawę z dowódcą VIII Korpusu generałem Middletonem do zniszczonego belgijskiego miasta Bastogne. Zauważył, że nikt w dowództwie nie spodziewał się, że „Ole Blood an' Guts” znajdzie się tak daleko na tyłach.

Niecierpliwość Pattona była oczywista. Dowódca 10. DPanc, generał Morris, nie był zadowolony z dokonań własnej dywizji i wysłał swojego szefa sztabu, by ten osobiście dowiedział się, co się dzieje. Ale daleko nie dojechał. Został ostrzelany przez niemieckie moździerze, ranny w głowę i musiał być błyskawicznie ewakuowany na tyły.

Rozpoczęły się walki uliczne. Patrole oficerskie skierowane na zasypane gruzem ulice przez komendanta miasta, pułkownika Bachmanna, zatrzymywały Amerykanów, wykazując się odwagą i umiejętnościami prowadzenia walki. Z drugiej strony niemiecki *Volkssturm*, który nadawał swoim batalionom imponujące nazwy, takie jak „Porta Nigra”¹⁰⁷, łupiły piwnice „metropolis mozelskiego wina”, jak Trewir sam się zwał. Idąc do boju niemieccy żołnierze, delikatnie to określając, zataczali się i podnosili ręce, zanim usłyszeli takie polecenie od jankesów.

Obrona najstarszego niemieckiego miasta zaczęła się gwałtownie załamywać. Max Jordan, korespondent wojenny niemieckojęzycznej nowojorskiej gazety „New Yorker Staatszeitung und Herold” informował swoich czytelników: „Wyobraźcie sobie, że jeszcze w grudniu podczas bitwy o Ardeny Trewir stanowił niemieckie centrum zaopatrzeniowe... Dziś śródmieście oprócz Porta Nigra leży w gruzach”.

Słyszac, jak Jordan mówi płynnie po niemiecku do cywila, niezidentyfikowany, umorusany i zmęczony bojami amerykański żołnierz ujął to bardziej zwięźle: „Nix Trewir - Trewir kaputt!”.

Niemcy próbowali wysadzić mosty na Mozeli, co mogło uniemożliwić 10. DPanc otrzymanie posiłków z zachodu, ale nie udało im się to. Pułkownik Jack Richardson - nazwany przez Pattona „odważnym skurwysynem” - na którego nałożono areszt i który oczekiwał na sąd wojenny, zaryzykował życie, by w niezwykle śmiałym ataku zająć Römerbrücke (rzymski most). Nikt się nie dowiedział, jakie popełnił przestępstwo. Kilka dni później poległ w boju, a wysuwane pod jego adresem oskarżenie zostało po cichu wycofane.

Bachmann w końcówce walk wysłał ostatnią wiadomość. Nie było w niej heroicznego wyzwania pułkownika Wilcka z Aachen, który wysyłał swoją sześcioletnią córkę wcześniej. Brzmiała ona: „Jednostki garnizonu Trewir całkowicie okrążone. Z posiadanymi siłami nie mogę odbić Römerbrücke. Zamierzam przebić się po zapadnięciu zmroku”.

Tej nocy działa Trewiru ucichły. W dowództwie niemieckiej 7. Armii przygotowywano ostateczny raport dotyczący walk w starym mieście. W raporcie czytamy m.in.: „Uciekli do domów. [...] Gdy tylko zaatakowali Amerykanie, batalion *Volks-*

¹⁰⁷ Słynna rzymska „Czarna Brama”, którą rozkazał odnowić sam Napoleon.

sturmu »Porta Nigra« rzucił się do ucieczki. Żołnierze batalionu »Ruwer« [nazwa pochodziła od miejscowej rzeczki] spili się i nie mogli walczyć".

Mimo to pięć dni później Goebbels mówił przez radio, że „w Trewirze nadal trwają zacięte walki". Ale Trewir już padł. Pułkownik Bachmann, który zamierzał „się przebić" znikł bez śladu. Nigdy już o nim nie usłyszano. 3000 odważnych żołnierzy *Volkssturmu* bez stawiania oporu trafiło do amerykańskiej niewoli.

Jeśli chodzi o Pattona, to czuł on, że ma świat u swoich stóp. Chociaż przełożeni chcieli go powstrzymać odbierając mu 10. DPanc, pokonał „fryców". Kiedy SHAEF usilnie depešowało, by obszedł Trewir, ponieważ do zajęcia miasta będą potrzebne cztery dywizje, i że dowództwo chce z powrotem swoją 10. DPanc, mógł triumfalnie nadać przez radio odpowiedź: „Zająłem Trewir dwoma dywizjami. Co chcecie żebym uczynił? Oddał miasto?".

1 marca zaczął się najważniejszy tydzień kampanii 1945 roku w Europie Zachodniej. Następne siedem dni miały zadecydować o powojennym kształcie kontynentu. Zaczęło się od zajęcia małego znaczącego Trwiru, słynnego jedynie z tego, że był najstarszym miastem Niemiec, a zakończyło 7 marca zdobyciem „najważniejszego w tym tygodniu mostu świata" - wiaduktu kolejowego nad Renem w Remagen. Ostatecznie te dwa, najwyraźniej nie mające ze sobą związku, militarne posunięcia miały oznaczać radykalną zmianę w strategii aliantów. Zdecydowało to o błyskawicznej utracie znaczenia Linii Zygryda (proces ten był znacznie szybszy, niż eksperci początkowo to oceniali) i o zdecydowanej zmianie kierunku ostatniego uderzenia aliantów na hitlerowską Rzeszę.

W dniu, kiedy padł Trewir, Eisenhower nie szukał swojej „wypożyczonej" 10. DPanc, jak mógł podejrzewać to ukryty w Bastogne i zachowujący ciszę radiową Patton. Raczej był w drodze do sztabu „Big Simpa", by pogratulować dowódcy 9. Armii. Armia generała Simpsona przebiła się przez zalaną nizinę Renu i zajęła Miinchen-Gladbach¹⁰⁸, do tego czasu największe zdobyte niemieckie miasto. Operacja toczyła się bez przeszkód „jak mecz piłkarski, a każde zagranie było perfekcyjne".

Tak jak „Big Simp", jak zwykle z głową ogoloną na zero, powiedział Eisenhowerowi, Munchen-Gladbach znajdowało się zaledwie 32 kilometry od Renu. Następnego dnia miał rzucić swoją 9. Armię i spróbować zająć most na rzece - według rozpoznania powietrznego na tym odcinku frontu było osiem mostów i nadal były one nietknięte.

Takie wieści musiały ucieszyć Eisenhowera. Wiedział, że Patton ledwie przedostał się przez Linie Zygryda. Patch i jego 7. Armia nadal mieli przed sobą dużą część Wału Zachodniego. Jedynie 1. Armia Hodgesa miała szanse pokonania Simpsona w wyścigu do Renu, czym dla amerykańskich generałów stał się ten etap działań. Jeżeli chodzi o Montgomery'ego, nie wydawało się, że zależy mu na zaję-

¹⁰⁸ Obecnie mieści się tam dowództwo Brytyjskiej Armii Renu.

ciu jakiegoś mostu. Jego umysł był całkowicie zajęty dokładnie zaplanowanym pokonaniem Renu, które miało nastąpić za trzy tygodnie.

Dwaj generałowie wyruszyli na tyły na inspekcję około 3000 piechoty z dywizji, która właśnie zajęła Munchen-Gladbach. Obaj brnęli przez bioto, a żołnierze krzyczeli „Hej, to Ike”. Eisenhower porozmawiał z nimi przez pięć minut i gotował się już do odejścia. Zanim zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, poślizgnął się i twardo klapnął w bioto w swoich kosztownych, szytych przez Savile Row, spodniach. Zakłopotany naczelny dowódca wstał i podniósł ręce w geście zwycięstwa, tak jak to robią bokserzy, a do widowni kin na całym świecie skierował swój słynny szeroki uśmiech. Co powiedział później, nie zanotowano, ale znamy kilka słów, które skierował do rozbawionego incydentem „Big Simpa”: „Dam ci radę. Za kilka dni możesz spodziewać się u siebie premiera Churchilla. Jaki masz samochód?”.

Simpson odpowiedział, że ma jedynie plymoutha. Będący w wylewnym nastroju Eisenhower powiedział: „Zajmęsię tym. I jeszcze jedno; Churchill lubi szkocką whisky. Zawsze miej pod ręką dobrze zaopatrzone barek”.

Dwa dni później Churchill oraz szef sztabu brytyjskiej armii Brooke ruszyli w dwóch rolls-royce'ach do Simpsona. Spotkali się w Maastricht, gdzie przygotowali się do inspekcji na froncie 9. Armii. Zanim opuścili miasto, Simpson dyskretnie zapytał Churchilla, czy nie ma ochoty na wizytę w toalecie. Premier, który miał pewne zahamowania w tych kwestiach, zapytał: „Jak daleko do Wału Zachodniego?”. Kiedy usłyszał, że to półtorej godziny drogi, powiedział, że ta sprawa może poczekać.

Podróż była pełna wrażeń. W lesie Churchill dostrzegł znak drogowy. Napis na nim brzmiał: TO BYŁA LINIA ZYGFRYDA. Sto metrów dalej stały kolejne znaki z zawieszonymi na nich ubraniami i można było przeczytać kredą napisane słowa TO JEST PRANIE.

Jeżeli Churchill wyraził swoje zdanie na ten temat, to nie zostało to zapisane. Ale musiał być w dobrym nastroju. Po prawie sześciu latach „krwi, trudu, potu i łez” mocno przechwalony Wielki Mur Niemiec był już prawie przeszłością. Stojącym przy drodze żołnierzom 9. Armii pokazał swój słynny gest zwycięstwa (znak V) i dość dziwnie się uśmiechnął.

Wkrótce uśmiech ten został wytłumaczony. Jadący na sygnale jeep, kierowany przez zdenerwowanego żołnierza, wyprzedził samochód premiera. Brytyjski kierowca zatrzymał się, a nieskazitelni żandarmi skierowali Amerykanina do Churchilla. Amerykański żołnierz zasalutował i przekazał małą paczkę. Premier rozpakował ją. Ku zdziwieniu wszystkich zawierała ona komplet sztucznych zębów. Churchill zapomniał o nich i teraz najwyraźniej nie przejmując się tym, że na niego patrzy, założył je i wydał kierowcy polecenie kontynuowania jazdy.

Kiedy zbliżali się do małego kratownicowego mostu nad wąwozem, Simpson zauważył: „Panie premierze, granica między Holandią a Niemcami znajduje się pod tym mostem”.

„Zatrzymać samochód - rozkazał Churchill. - Wsiądźmy”. Premier prowadził, za nim szli Simpson, Brooke oraz grupa oficerów sztabowych i korespondentów

wojennych. Minęli zbiornik z legendarną „gorzałą” i przeszli przez most. Ześlizgnęli się na brzeg rzeki i znaleźli się przy długim rzędzie „zębów smoka”. Tu zaczęli, aż wszyscy do nich dołączyli, w tym rozgorączkowany korespondent i fotografowie, którzy szykowali się do wykonania zdjęcia „wielkiego człowieka” na tle Linii Zygfryda.

Ale Churchill miał inny pomysł. „Panowie - zaczął głosem, który dodawał brytyjskiemu narodowi tak wiele otuchy w najtrudniejszych chwilach wojny. - Proszę dołączcie do mnie. Oddajmy mocz na Wielki Wał Zachodni Niemiec”. Skinął palcem na fotografów, którzy już przygotowywali swoje aparaty. „To jedna z tych operacji związanych z tą wojną - dodał - która nie powinna mieć swojego fotograficznego odzwierciedlenia”. I rozpiął guziki rozporka.

Brooke był pod wrażeniem „dziecięcego uśmiechu ujawniającego niesamowitą satysfakcję, która rozlała się na twarzy [Churchilla], kiedy ten patrzył w dół obserwując ten doniosły moment”.

Churchill w końcu odsikał się na Wał Hitlera. Było już prawie po wszystkim.

7. Ostro do przodu

Wspominajcie mnie, gdy już nie będę żył, i nie zlekceważcie mojej śmierci.

Keith Douglas. Royal Armoured Corps, poległy,
Normandia, 1944

Rankiem 7 marca pierwsze czołgi Pattona z 4. DPanc dotarły do Renu. W zaledwie pięćdziesiąt godzin przejechały one całą drogę, od małego znaczącego młyna w Eifel nieopodal Bitburga do wielkiej rzeki^{****}. Dziesięć godzin później żołnierze 9. DPanc z 1. Armii przejeżdżali przez rzekę po moście w Remagen^{****}. Później Hitler miał lamentować: „Dwa przyczółki rozstrzygnęły o losie Niemiec-Normandia i Remagen”. Patton otrzymał pocztą gratulacje od generała, którym pogardzał, harującego jak wół Courtneya Hodgesa, dowódcy 1. Armii.

Zgodnie ze zwyczajem, w jaki amerykańska generalicja prowadziła wojnę w 1945 roku, Patton został poproszony do telefonu. Po drugiej stronie linii był dowódca walczącej w Saarze amerykańskiej 7. Armii, generał „Sandy” Patch.

„Georgie - krzyknął Patch. - Chcę ci pogratulować”.

„Za co, Alec?” - zapytał zaskoczony Patton.

„Za to, że twoja armia jako ostatnia dotarła do Renu” - zabrzmiała odpowiedź.

Patton pomyślał przez chwilę i wówczas domyślił się, o czym mówi Patch.

„Dzięki, Alec - w jego głosie było słychać nawet wdzięczność. - I ja również chcę tobie pogratulować”.

Tym razem to Patch był zaskoczony. „Za co?” - zapytał.

Patton roześmiał się i odpowiedział - „Za to, że dowodzisz pierwszą armią, którą odrzucono od Renu^{****}”.

^{****} W rozmowach z miejscowymi cywilami, którzy byli tam, kiedy Amerykanie rozpoczęli swą wielką ofensywą, autor dowiedział się, że byli oni zaskoczeni faktem, iż jankesi odnaleźli w tej odległej dolinie niewidoczny młyn.

^{****} Ostatnie badania sugerują, że bohater tejsze operacji porucznik Timmermann, Amerykanin niemieckiego pochodzenia, nie był tamtego dnia na moście.

^{****} Patton miał na myśli wycofanie Patcha z pozycji, które 7. Armia zajęła w listopadzie 1944 roku.

Jak mówią świadkowie, Patch, który zmarł krótko po zakończeniu wojny, roześmiał się.

Kiedy Hodges miał już swój przyczółek po drugiej stronie Renu w Rcmagen, Patton wraz ze swoim sztabem uzasadniał: „Obecnie przekroczenie Renu nie stwarza przewagi taktycznej. Gdyby ten most nie został zdobyty, uderzenie do linii rzeki prawdopodobnie byłoby najlepszym posunięciem, jakie moglibyśmy uczynić”.

Patton już marzył o kolejnej kampanii swojej 3. Armii. Myślał, że nic otrzyma na to zgody, choć w rzeczywistości Eisenhower już zezwolił Bradleyowi, zazdrośnemu przełożonemu Pattona, by Patton ruszył do przodu. Swoim planistom powiedział:

Obecnie naszym najistotniejszym celem jest Palatynat. Oni [Niemcy] mają tam grupę armii, która nadal utrzymuje Linie Zygryda i góry Hunsruck² na północy, broniąc się przed amerykańską 7. Armią. Meldunki G-2 donoszą, że na skrzydle Hunsruck zamierzają oni nas zatrzymać. [...] Cóż, przełamaliśmy się już wcześniej przez taki teren. Miało to miejsce w Eifel i równie szybko możemy to uczynić w Hunsruck. Nie widzę żadnych powodów, dla których nie mielibyśmy wyjść na tyły Niemców w ciągu kilku dni [...], wówczas kiedy możemy pokonać [Ren] w każdej chwili. To będzie łatwizna.

Patton traktował swoją armię jakby gdyby była ona jego prywatnym folwarkiem, i czynił z nią to, co chciał. Wkrótce miał się zacząć ostatni atak na Linie Zygryda.

„Uśmiechnięty Albert”, jak nazywano nowego niemieckiego naczelnego dowódcę na zachodzie, feldmarszałka Alberta Kesselringa, domyślał się, co planuje Patton, nawet zanim uderzył on na Palatynat (obszar między Mozela a Renem). W drugim tygodniu marca przeprowadził inspekcję w niemieckiej 7. Armii, by osobiście rozpoznać się w istniejącej sytuacji.

Kesselring był w Niemczech uważany za eksperta od obrony. Od 1943 roku, chociaż nominalnie był oficerem Luftwaffe, w całych Włoszech walczył z siłami Brytyjczyków i Amerykanów. Zawsze polegał na zdecydowanych oficerach (pułkownik Heilmann - dowódca 5. Dywizji Spadochronowej był jednym z nich) oraz na pociętym, górskim terenie, który umożliwiał zadawanie aliantom wysokich strat. „Uśmiechnięty Albert” planował zastosowanie tej samej taktyki do obrony tej części Wału Zachodniego, która nadal była w niemieckich rękach.

Obszar ten obejmował około 6000 kilometrów kwadratowych. Znajdował się na nim mocno uprzemysłowiony okręg Saary oraz przemysłowe ośrodki miejskie, o których Kesselring wiedział, że mogą wspierać się w prowadzeniu działań obronnych. Takie obszary mogły połączyć całe dywizje. W tym samym czasie Kesselring zda-

² - Dosłownie „grzbiet Hunów”, przez który prawdopodobnie przeszli oni w V wieku, zanim zostali pokonani przez Franków pod Chalons-sur-Marne.

wał sobie sprawę, że zaraz po Zagłębiu Ruhry Zagłębie Saary było najważniejszym ośrodkiem przemysłowej potęgi Niemiec. Tu wydobywało się około 10 procent węgla i produkowało niemal 20 procent żelaza i stali. Wielkie fabryki chemiczne i rafinerie, takie jak IG Farben w Ludwigshafen i Mannheim dostarczały około 40 procent produkcji chemikaliów w całych Niemczech, a fabryka olei syntetycznych w Hamburgu była jedną z niewielu, które nadal utrzymywały produkcję.

Jednak najważniejsze było, że na tym obszarze znajdowała się najsilniejsza część całego Walu Zachodniego razem z nadal znajdującym się w niemieckich rękach fragmentem Linii Maginota.

Było ironią losu, że wybudowana przez Francję linia fortyfikacyjna miała zostać ostatecznie wykorzystana przez Niemcy do odparcia ataku, nie tylko sił amerykańskich, lecz także francuskich - 1. Armii dowodzonej przez de Lattrego.

Lecz potężnie zbudowany, bezpośredni i wiecznie optymistyczny niemiecki feldmarszałek dostrzegał również pewne nieodłączne zagrożenia związane z tą silną pozycją obronną. Pisał tak: „...3. Armia koncentruje swoje siły na prawym skrzydle naszej 7. Armii [w rejonie Saary] [...] nieustające silne uderzenia na prawe skrzydło naszej 1. Armii [oznaczają, że] dojdzie do okrążenia naszego jedyne bastionu na zachód od Renu - Palatynatu Saary, co ma na celu rozbicie Grupy Armii G i przez pokonanie Renu stworzenie bazy wyjściowej do prowadzenia operacji skierowanych na południe Niemiec”.

W amerykańskich kronikach dotyczących historii kampanii 1945 roku w Europie zapisano, że Patton później twierdził, iż złapał Niemców w pół kroku; że zaskoczył ostatnich obrońców Walu Zachodniego wychodząc na icli tyły. W rzeczywistości prawda wyglądała zupełnie inaczej. Kesselring przewidział działania 3. Armii Pattona. Jego problemem było jedynie to, że niewiele mógł uczynić, by zatrzymać Pattona.

Generał pułkownik Paul Hausser, który przez żołnierzy swojej 7. Armii nazywany był „Papą Hausserem” nie miał odwodów i nie mógł liczyć na żadne wzmocnienie. Był dosłownie odcięty od głównych sił niemieckiej armii. Jednooki generał SS, wracający do zdrowia po ranach, jakie otrzymał wycofując się z Normandii i w bitwie w Ardenach, już wcześniej mówił poprzednikowi Kesselringa, feldmarszałkowi von Rundstedtowi, że jedynym sposobem na uratowanie niemieckich wojsk w Palatynacie Saary było ich stopniowe wycofanie z tego obszaru. Odpowiedź von Rundstedta była ostra i nieustępliwa. „Utrzymać Palatynat Saary”.

Kesselring był tak samo twardy jak von Rundstedt, jednak miał znacznie większe doświadczenie w prowadzeniu operacji obronnych. Zachęcał Haussera do walki. W swoich pamiętnikach pisał: „Wał Zachodni i obszar przed nim położony [...] nic może być pokonany bezpośrednio, a zachodnia część Palatynatu ze swoimi naturalnie położonymi pozycjami obronnymi stwarzała poważne trudności nacierającemu, jednocześnie dając nam możliwość prowadzenia mobilnej obrony”. Innymi słowy była to sytuacja, do której „Uśmiechnięty Albert” po działaniach we Włoszech był przyzwyczajony. Tam podczas osiemnastu miesięcy „mobilnej obrony” dosłownie wykończył brytyjską 8. i amerykańską 5. Armię. Naturalnie nic mógł uczynić tego

samego w Niemczech, zwłaszcza po uwzględnieniu ówczesnego stanu Wehrmachtu, ale mógł zmusić Amerykanów do płacenia wysokiej ceny za ich ostatni atak na Wał Zachodni. Była to, jak uważał, kwestia utrzymania nerwów na wodzy. Stąd też jego rozkazy kierowane do jednostek broniących wału w rejonie Saary były „kategoryczne”. Brzmiały one: „Trzymać się”.

Hausser, który przysięgę na wierność („Naszym honorem jest nasza lojalność”) składał swojemu przełożonemu Heinrichowi Himmlerowi, wydawał się nie wierzyć w utrzymanie pozycji w tej przegranej sytuacji. Według niego mogła ona jedynie doprowadzić do katastrofy z udziałem niemieckiej piechoty, która sama nazywała siebie „polnymi konikami”. Jego przydomek „Papa Hausser” nie był nadany przypadkowo. Zaprotestował przeciwko rozkazowi Kesselringa i powiedział mu, że stanowi on zaproszenie do katastrofy. Zwrócił się do niego z pilną prośbą o wycofanie i przejście przez Ren, póki nie będzie zbyt późno. Powiedział „Uśmiechniętemu Albertowi”, że „polityka prowadzenia kompleksowej obrony na zachód od rzeki może jedynie zakończyć się katastrofalnymi stratami i prawdopodobnie całkowitym unicestwieniem”.

Kesselring, chociaż z reguły nie wątpił w trafność swoich decyzji, tym razem zawahał się.

Hausser naciskał - „Decyzja o wycofaniu za Ren musi być szybko podjęta”.

Kesselring odmówił. „Nie wyrażam zgody, utrzymać pozycje”.

Hausser powtórzył swoje zastrzeżenia, lecz Kesselring nie zmienił decyzji. Wiecznie obecny uśmiech znikł. „To jest mój rozkaz. Pan musi utrzymać te pozycje”.

Wtedy jednak nawet generałowie SS kwestionowali rozkazy i nie wykonywali ich. Gdy tylko Kesselring i jego sztab wyniósł się, Hausser powiedział swoim oficerom sztabowym i dowódcom dywizji, by rozpoczęli przygotowania do wycofania. Informacje o ich planach miały być niejawne i przekazywane jedynie tym, którzy musieli o nich wiedzieć. Do wycofania miało dojść, nawet gdyby kosztowało to Haussera „*Kopfund Kragen*”¹.

Tego samego dnia, kiedy osłabiony eksplozjami, wybuchami min i uderzeniami z powietrza most Ludendorffa ostatecznie zwałił się do Renu, pozostawiając wojska czterech dywizji 1. Armii po drugiej stronie rzeki, Eisenhower po raz pierwszy od blisko trzech miesięcy wyjechał do 3. Armii Pattona. Naczelny dowódca zwracając się do Pattona perorował: „Problem z wami w 3. Armii polega na tym, że [...] nie doceniać swojej własnej wielkości. Brak wam zaufania do siebie. Niech świat pozna, co robicie, w przeciwnym razie amerykańscy żołnierze nie będą w pełni doceniani”.

Później Eisenhower sformułował takie słowa: „George, jesteś nie tylko dobrym generałem, jesteś generałem, który ma szczęście, a jak zapewne pamiętasz, Napoleon wyżej cenił szczęście od umiejętności”.

Patton zażartował: „Cóż, to pierwszy komplement, jaki usłyszałem od ciebie w ciągu dwóch i pół roku wspólnej służby”.

¹ Dostłownie „głowę i kołnierz”, czyli życie.

Tego wieczora podczas kolacji jeden z jego oficerów sztabowych powiedział: „Czego nie potrafię zapomnieć, to jego [Eisenhowera] zdania, w którym mówi, że 3. Armii brak zaufania do siebie. Jak to wytłumaczyć?”.

„To łatwe - stwierdził Patton, podnosząc głowę znad miski z zupą. - Wkrótce Ike będzie się ubiegał o urząd prezydenta. 3. Armia to wiele głosów”. Patton uważał skryte uśmiešky oficerów siedzących wokół stołu i z przekonaniem dodał: „Myślicie, że żartuję? Nie. Poczekamy, zobaczymy”.

Oczywiście okazało się, że Patton miał rację. Ale wtedy już od dawna nie było go wśród żywych. I jak się okazało, uwagi przyszłego prezydenta oraz sposób, w jaki Patton je interpretował, ukazywały relacje między amerykańskimi generałami panujące tamtej wiosny w Europie. Dla amerykańskich generałów przyszłość kontynentu niewiele znaczyła. Wojna była prawie wygrana. Generałowie wykonali swoje zadanie. Czekali na powrót do domów i przyszłe nagrody. Umierający prezydent Roosevelt tracił panowanie w Waszyngtonie i kontrolę nad amerykańską armią w Europie. Wyżsi oficerowie w zasadzie mogli robić to, co chcieli. I nikt nie wiedział tego lepiej niż sam Patton. Stawał się sam dla siebie prawem i swoją część wojny prowadził według własnych zasad - dopóki niełaska i śmierć nagle go nie dopadły.

Amerykańska 7. Armia, która miała wykonać ostatnie uderzenie na Linie Zygryda, była „zapomnianą amerykańską armią”. Eisenhower nigdy nie wykorzystał swoich służb prasowych do rozgłaszania jej dokonań, ponieważ do Dcversa czuł antypatię. A „Sandy” Patch, dowódca 7. Armii, nie był człowiekiem, który by sam siebie promował. W niektórych dowództwach uważano, że 7. Armia miała łatwą drogę od desantowania w południowej Francji w sierpniu 1944 roku. Jej przedarcie się na północ w stronę francuskiej Alzacji nazywano „szampańską kampanią” - wzdłuż całego jej szlaku nieźle pito i przechwalano się.

Wydawało się wówczas, że wszystko ulegnie zmianie. W składzie 7. Armii znajdowało się 13 dywizji-nigdy wcześniej nie miała aż tylu. Niektóre z nich wycofano z armii walczących na północy - oczywiście ich dowódcy protestowali. Jej uderzenie na Palatynat Saary miała wspierać słynna 3. Armia, a Patton był wcześniej pierwszym dowódcą 7. Armii. Oczywiście Patton postrzegał sprawę inaczej. Trzydzieści sześć godzin przed uderzeniem 7. Armii na Linie Zygryda, co miało nastąpić 15 marca, 3. Armia Pattona zaatakowała przez Mozelę w kierunku Hunsruck. Jeśli chodziło o „Ole Blood an' Guts”, to 7. musiała się obejść bez niego.

Biedna piechota nic nie wiedziała o takim rozwoju sytuacji. Doświadczone jednostki, takie jak 45. DP oraz nowe, jak 63. DP i 70. DP”\ rozpoczęły przekraczanie granicy francuskiej i weszły do niemieckiej Saary.

Setkami maszerowali przez zaniedbane francuskie wsie, gdzie językiem niemieckim posługiwano się po obu stronach granicy. Witano ich tam okrzykami „Vive l’Amerique” i „Brawo!”. Nie robiło to na nich wrażenia. Ci sami ludzie entuzja-

^{1M} Straty 70. DP w „drugiej bitwie w Ardcnach” od stycznia wyniosły blisko 3000 żołnierzy.

stycznie pozdrawiali niemieckich najeźdźców w maju 1940 roku, i przez całą wojnę pracowali dla nich za dobre pieniądze. Nie zwracali uwagi na niemieckie ulotki propagandowe, które leciały na nich z nieba i na których wydrukowano, że na Linii Zygryda oczekuje na nich gorące przyjęcie. Wyrzucali je (lub wykorzystywali je do bardziej prozaicznych celów) i, jak to określili kronikarze, „przysięgali, że dotrzymają obietnicy i powieszają swoje pranie na Linii Zygryda”.

Jednak ich dowódcy nie byli tak optymistyczni. Generałowie 45. DP wiedzieli, że na pozycjach Linii Zygryda będzie się znajdowało pięć batalionów Waffen SS. W większości wypadków naturalna bariera, jaką była rzeka Saar, która tak drogo kosztowała żołnierzy Pattona, biegła między bunkrami Wału Zachodniego lub znajdowała się bezpośrednio przed nimi. Dodatkowo wzdłuż niej ciągnęły się kilometry „zębów smoka”, które nadal stanowiły skuteczną barierę przed zmasowanym atakiem czołgów mogących wspierać uderzenie piechoty.

Oczywiście generalicja nie przekazywała swoich obaw jednostkom szturmowym piechoty. Generałowie twierdzili, że bunkry były obsadzone rezerwami Luftwaffe oraz Kriegsmarine, a ci żołnierze nie wiedzieli zbyt wiele o walce na lądzie. Porucznik Chappel z 70. DP nie był tego taki pewien. Później komentował to tak:

„Nie miało żadnego znaczenia, czy mieli pojęcie, czy też nie o taktyce piechoty. Całe ich zadanie polegało na siedzeniu wewnątrz grubych betonowych bunkrów i naciskaniu języków spustowych karabinów maszynowych. Czystym samobójstwem była próba pokonania pola przeczesywanego precyzyjnym ogniem przeciwnika, ale rozkaz to rozkaz, i zamierzaliśmy spróbować.

Jeden z żołnierzy 70. DP pamiętał początek uderzenia „Trailblazers”¹¹⁵:

Tej nocy, 16 marca, panowała ciemność i było cicho. Zbyt cicho! Rozkazy, które z reguły były wykrzykiwane, wydawane były niemal szeptem. Wśród żołnierzy panowała głęboka cisza, jak zawsze przed bitwą.

Sierżant Rysso z tej samej dywizji wspominał:

„Mój pluton zaczął pierwszy. Z przodu miałem dwie drużyny, jedną z tyłu. Jak tylko ruszyliśmy, fryce ostrzelali nas ogniem artylerii i moździerzy, jednak większość pocisków eksplodowała za naszymi plecami. Starszy szeregowy Condict był pierwszym żołnierzem, który znalazł się po drugiej stronie wzgórza przed Linia [Zygryda]. Kiedy wrócił, był zlany potem i błady. Powiedział tylko: „Będzie ciężko”.

Szliśmy do przodu dopóki dwa wiodące plutony nie znalazły się na szczycie wzgórza. Wszyscy mogliśmy zobaczyć „zęby smoka”, schrony, okopy i transeje. Wzgórze było całkowicie pozbawione miejsc, gdzie moglibyśmy się ukryć,

¹¹⁵ Tak nazywano 70. DP.

i byliśmy na nim widoczni jak na dłoni. Fryce musieli nas zauważyć. Zaczekali, aż wyszliśmy na płaski teren, i wtedy zaczął i.

Żołnierze 70. DP, chociaż byli przygotowani na atak, dali się zaskoczyć. W ich stronę leciały pociski smugowe. Moździerze wydawały charakterystyczny wysoki dźwięk. Natychmiast zaczęli ginąć żołnierze i doszło do zamieszania. Ludzie padali jeden za drugim. Niemieccy obrońcy strzelali seriami nawet do wszędzie porozrzucanych kup gnoju - na wypadek, gdyby rozproszeni jankesi próbowali się za nimi schować.

Zatrzymani dowódcy kompanii wezwali artylerię, próbując osłonić niedobitki żołnierzy i dać im możliwość ruchu. Ale pociski amerykańskiej artylerii odbijały się od grubych betonowych schronów jak piłeczki do tenisa stołowego.

Wezwano czołgi. Jeden z shermanów dał dyla, gdy tylko znalazł się po drugiej stronie wzgórza i dostrzegł linię plujących ogniem bunkrów.

Ale reszta zażarcie walczyła dalej, posuwała się do przodu i zmagania te trwały przez kilka minut. Pociski latały we wszystkich kierunkach. Jak zawsze, żołnierze w czołgach bez osłony piechoty czuli się zagrożeni. Nawet jeden niemiecki żołnierz, uzbrojony w jednostrzałowy panzerfaust mógł się podczołgać i zniszczyć czołg wraz z załogą. Dowódcy czołgów tracili nerwy. Pod osłoną zasłon dymnych zaczęli się wycofywać i usprawiedliwiali to zatrzymanej i zaskoczonej piechocie tym, że dla wąskich miękkich gaśienic ich czołgów grunt jest zbyt błotnisty i grząski.

Sierżant Rysso wiedział, kiedy może się uznać za pokonanego. Teraz czuł się odpowiedzialny za swoich żołnierzy. Później powiedział:

Kiedy dotarliśmy w bezpieczne miejsce, zacząłem się przyglądać moim niedobitkom. Dunn [sanitariusz] dwukrotnie ruszył w pole, by zabrać rannych, ale karabiny maszynowe zmusiły go do odwrotu. Newton [inny sanitariusz] ruszył razem z Penlandem, Dunnem, Boeringiem i Mannem. Co dziwne, ta grupa nie ściągnęła na siebie ognia, choć Niemcy musieli ich widzieć. Znaleźli martwego Palmcra, Castro miał złamaną nogę, Jannick był nieprzytomny i miał dziurę w głowic. [...] Cuervo i Condict również odnieśli ciężkie rany. Newton robił co mógł dla żołnierzy. Wszyscy dostali po zastrzyku z morfiny i czekali na noszowych.

Nazwiska poległych i rannych żołnierzy pamiętają jedynie ci dowódcy, którzy nie zginą w bitwie. Ale osobiste, zapomniane małe tragedie, które ponad pół wieku temu tego marcowego dnia przydarzyły się plutonowi Rysso, dotyczyły również setki innych pododdziałów dywizji szturmowych.

Wszędzie zatrzymane dywizje wzywały straszne „Jabos”, jak Niemcy nazywali bombowce nurkujące lotnictwa taktycznego. Z prędkością ponad 600 kilometrów na godzinę wypadały one z szarego nieba i niszczyły bunkry pociskami raketowymi i niewielkimi bombami. Fala za falą ciężkie samoloty z Dowództwa Lotnictwa Bom-

bowego RAF, którym dowodził „Bomber” Harris, atakowały fortyfikacje zatrzymujące uderzenie doświadczonej 45. DP w kierunku Homburga.

Ale Niemcy nadal utrzymywali swoje pozycje, chociaż część ich jednostek nie była prawdziwą frontową piechotą. Żołnierze kompanii C 274. pułku piechoty z 70. DP wzięli do niewoli w jednym z bunkrów Wału Zachodniego operatora karabinu maszynowego, który miał tak słaby wzrok, że nie widział nic poza końcem swojego karabinu. Po prostu za każdym razem, gdy słyszał komendę „ognia!”, kierował broń w stronę, w której miał znajdować się przeciwnik, i naciskał język spustowy. Był to kolejny „przemoczony i ubłocony fryc”, który pozostawiony sam, kiedy jego towarzysze opuścili bunkier, próbował się poddać. Jak podaje kronikarz, „przez trzy dni jak szalony machał rękoma przed bunkrem, by się dać wziąć w niewolę. Jednak wszyscy ignorowali jego obecność”. W końcu jeden z batalionów dywizji rozwinął w pobliskiej wsi swój punkt dowodzenia i „tym razem niemiecki żołnierz, by nie zostać przeoczonym, przekonał sołtysa, by ten zaprowadził go na punkt dowodzenia. W końcu mu się udało. Był szczęśliwy, że może pójść do obozu”.

Jednak szczęśliwych historii do zapamiętania było bardzo mało. Na polu walki zbyt wiele było cierpienia, nieszczęść i śmierci. Sierżant Peniand, który został ranny na ziemi niczyjej tuż przed bunkrami Wału Zachodniego, wspomina to tak:

Kątem oka dostrzegłem dwóch żołnierzy pomagających trzeciemu dojść do leja. Przyjrzałem się dokładniej i po prawej poznałem Andrews, który wspierał rannego w prawe udo Darlinga. Nie zdążyłem do końca wyartykułować komendy „Padnij”, kiedy trafił ich pocisk artyleryjski. Widziałem potężny błysk eksplozji i chmurę czarnego dymu. Kawałki ciała żołnierzy wyleciały w powietrze. Podmuch wybuchu wrzucił mnie na dno lejka wypełnionego biotem i wodą. Jedno straszliwie porozrywane ciało przeleciało nad moją głową i wpadło do wody tuż obok mnie. Przed wybuchem obok mnie stał Newton i on też wpadł do wody. Złapałem go, by nie utonął. Cały był pokryty krwią żołnierzy, którzy zginęli. Zapytałem go, czy został trafiony. Powiedział, że nie wie i podczołgał się, by pomóc innemu, który dostał, i kierował się w stronę wody, odpychając się jedynie nogami. Rozejrzałem się i zobaczyłem wystającą z wody pierś oraz ręce żołnierza. Myśląc, że jest jeszcze żywy i może się utopić, złapałem za nie, by go wyciągnąć. Jednak kiedy go wyciągnąłem, zobaczyłem, że odniósł poważne obrażenia i już nic żył. Puściłem go z powrotem do wody.

Zdobycie Wielkiego Wału Niemiec zmuszało aliantów do płacenia najwyższej ceny krwi. Ale dzięki 3. Armii Pattona, niemiecki front za Wałem Zachodnim w Palatynacie Saary szybko się załamywał. Jego dywizje pancerne prężyły w stronę Renu i dotarły tam przed Montgomerym w kilku różnych miejscach. W rzeczywistości szturm i wycofanie się Niemców, które pod jego wpływem nastąpiło, były tak szybkie, że generał Ferber podległy dowódcy niemieckiej 7. Armii - „Papie” Hausserowi, kierował operacjami z budynku poczty. Jego podstawo-

wym środkiem łączności była cywilna sieć telefoniczna, a telefonistki przekazywały raporty o ruchach jankesów.

Patton nie tolerował sprzeciwu. Każda wioska, która nie wywiesiła białej (łagi - nawet jeżeli miałyby to być „białe kalesony dziadka” (jak określił to jeden z oficerów 3. Armii), była obejmowana „tatyka pomników 3. Armii Pattona”. Wieś pokrywał ogień artylerii. Jak twierdził Patton, zniszczona miejscowość miała być niemal niezapomnianym pomnikiem szlaku bojowegojego armii.

Sprawy miały się bardzo podobnie na obszarze odpowiedzialności 7. Armii, gdzie działały dywizje generała Patcha. „Trudno opisać zniszczenia - pisał dowódca 45. DP generał Frederick. - Na naszej drodze nie sposób jest znaleźć przedmiot stworzony ręką człowieka. Nie można znaleźć budynków odpowiednich na punkty dowodzenia - to spalona ziemia”.

20 marca zdesperowane niemieckie dowództwo rzuciło do działań 300 różnych samolotów, w tym nowe odrzutowce, co miało zatrzymać triumfujących Amerykanów. Amerykańska artyleria przeciwlotnicza zestrzeliła dwadzieścia pięć maszyn, kolejne osiem na ziemią posłały Siły Powietrzne USA. Niemcy nie wznowili więcej takich działań.

Dwa dni później dywizja „Rainbow” ze składu 7. Armii wykonała silne i ostateczne uderzenie na Wał Zachodni. Ale wtedy Niemcy już się wycofywali.

Ci, co mogli to uczynić, zwłaszcza generalicja, kierowali się w stronę Renu. Po przejściu na drugi brzeg czuli, że ponownie mogą odsunąć to, co nieuniknione, na kolejne kilka dni. Ale w końcu musieli się poddać i część z generałów właśnie tam i wtedy to uczyniła. Inni żołnierze cicho przechodzili na tyły, przeszukiwali zrujnowane i opuszczone domy, by znaleźć to, co zwali *Raubervivil* (szabrowane cywilne ubrania - proste wyświechtane odzienie) i bez papierów o zwolnieniu z wojska zniknąć między cywilami.

Wtedy jednak żołnierze 7. Armii jeszcze o tym nie wiedzieli. A nawet jeżeli mieli tego świadomość, to zachowywali czujność. Każdy wiedział, jak głupio byłoby wtedy, w przeddzień zwycięstwa, zginąć. Na przykład jednostka sierżanta Rysso-247. pułk piechoty - przygotowywała się do ataku na Wał Zachodni pod Saarbrücken. Pułk ten do tej pory poniósł ciężkie straty, a jego żołnierze stali się bardzo ostrożni, *na prawdę* bardzo ostrożni.

Jego dowódca, pułkownik Landstrom, poprzedniego dnia skierował patrole na stronę przeciwnika, które stwierdziły, że wszystkie bunkry i schrony są zajmowane przez Niemców. Kolejnego dnia obserwator artylerii dostrzegł coś, co wydawało mu się człowiekiem machającym białą flagą z kościelnej wieży. Poleciał wstrzymać ogień kierowany na niemieckie pozycje po drugiej stronie Saary. Gdy tylko Amerykanie przerwali ogień, Niemcy skierowali ogień z karabinów maszynowych i moździerzy na linię 247. pp. Nie poddawali się.

Saperzy zaczęli ściągać łodzie desantowe do forsowania Saary i ataku na Wał Zachodni. Landstrom nie był zadowolony z perspektywy pokonywania rzeki pod ogniem, ale co miał robić? Tego popołudnia inny dowódca pułku zadzwonił do niego

i powiedział: „Dowódca dywizji oczekuje, że pokonamy rzeką dziś wieczorem. Ty masz wybrać dokładną godzinę. Jeżeli będziesz potrzebował pomocy, wystarczy, że ją wezwiesz. Jeśli ci się powiedzie, mój 2. batalion rusza za tobą”.

Landstrom przyjął tą wiadomość. Wiedział, że „przed nimi znajdował się najsilniejszy fragment najstaranniej wybudowanego systemu fortyfikacji w całym świecie. Schrony blokowały przejście na odcinku wielu kilometrów. Nikt nie próbował nawet myśleć o tym, co mogłoby się wydarzyć podczas pokonywania przeszkody wodnej przed frontem elektrycznie sterowanych karabinów i dział po drugiej stronie”.

Część jego oficerów nie wierzyła, by Niemcy byli w stanie dalej walczyć. Uważali, że przeciwnik już się wycofał i zostawił za sobą jedynie kilku operatorów karabinów maszynowych. Przekonywali, że zamiast prowadzenia szturm na pełną skalę, dowódca powinien ograniczyć się do wysłania, tak jak poprzednio, kilku patroli.

Pułkownik Landstrom nie podzielał ich opinii. Powiedział: „Jeżeli rozpoczniemy forsowanie, to dotrzemy na drugi brzeg. Patrole nie są dobrym pomysłem. Woła ruszyć całością sił. Godzina forsowania zostanie wyznaczona między północą a świtem. Nadal jesteśmy ostrzeliwani przez działa przeciwnika kalibru 50 i 80 mm. Oznacza to, że opór Niemców jest taki sam jak poprzednio”. Po tym rozkazał swoim oficerom powrót do pododdziałów. I to było wszystko.

Pułkownik Wallace Cheeves. oficer 70. DP, który opisał ostatnie uderzenie na Wał Zachodni, wspominał:

Noc 19 marca była cicha i spokojna. Z południa wiał ciepły wiatr i niósł ze sobą szmer oświetlonej gwiazdami rzeki. W położonych wzdłuż brzegu okopach żołnierze patrzyli w niebo i czekali...

Zakończenie

Czasami nawet generałowie moczą swoje gacie.

anonimowy brytyjski oficer sztabowy

O świcie 20 marca 1945 roku 70. DP ruszyła przez rzekę Saar. Wiodący natarcie żołnierze oddziału pułkownika Landstroma wylądowali na drugim brzegu rzeki i przekonali się, że bunkry i schrony, których się tak obawiali, były puste. Nocą niemieccy obrońcy cichcem opuścili je i nad ranem znajdowali się w pełnym odwrocie, kierując się w stronę Renu.

Za nimi pozostała stęchła pusta przestrzeń - mieszanka odoru nieświeżych, niemitych ciał, dymu grubej czarnej machorki, którą palili, i rozpachy. Alianci w końcu mogli powiesić swoje pranie na Linii Zygryda. Wielki Wał Niemiecki został pokonany¹¹¹.

Dwa dni później żołnierze Pattona zaczęli przekraczać Ren nad Saarbrücken, w punkcie, który był ostatecznym celem działania 70. DP, zanim wyszła ona ze strefy działań wojennych. Przypadek, szczęście i spryt pozwoliły 5. DP ze składu armii Pattona pokonać rzekę pod słynącą z produkcji wina wioską Oppenheim, zanim Niemcy, a raczej Bradley, Eisenhower czy Montgomery się o tym dowiedzieli.

Patton był jak psotne dziecko, które czuje, że powinno być ukarane za swojażłośliwość, ale liczy na to, że uda mu się uniknąć tej kary. Mając jedynie niecałą dywizję piechoty, zdobył przewagę nad marszałkiem polnym, którego drobiazgowy plan zakładał zmasowane bombardowania oraz uderzenie dwóch dywizji z powietrza.

Kiedy tego samego dnia - 23 marca - Montgomery rozpoczął swój atak na północy, Patton osobiście przekroczył Ren pod Oppenheim. Kiedy dotarł na drugi brzeg, poślizgnął się. Elegancko upadł na jedno kolano i podparł się dwoma rękami. Kiedy wstał, ręce miał pełne niemieckiej ziemi. „A jednak Wilhelm Zdobywca” -zawołał z uśmiechem, kierując te słowa do patrzących na niego korespondentów, którzy oczywiście byli zaskoczeni tym odwołaniem¹¹⁷.

¹¹¹ Istnieją opowieści o pojedynczych bunkrach i schronach broniących się; w odległych miejscach aż do końca wojny, ale autorowi nie udało się ich zweryfikować.

¹¹⁷ Wilhelm Zdobywca poślizgnął się; podczas lądowania pod Hastings w 1066 roku. co /ostało przyjęte jako zły omen. Wilhelm oczyścił atmosferę przez wzięcie do ręki garści „angielskiej ziemi” •

Patton później napisał w swoim dzienniku: „Dojechałem do rzeki i pokonałem ją po pontonowym moście, zatrzymałem się w połowie, by odlać się do Renu”.

Feldmarszałek Model, „feldmarszałek gołowąs”, jak pogardliwie wyrażał się o nim von Rundstedt, był pierwszym pokonanym na Wale Zachodnim. Zanim Patton przekroczył Ren, Model był już u kresu wytrzymałości. Jego Grupa Armii B została stłoczona w „kotle Ruhry”. Blisko pół miliona mężczyzn i kobiet zostało otoczonych przez dwie amerykańskie formacje - 1. i 9. Armię, które każdego dnia uderzały z pełnym impetem w okrażone wojska.

Bradley, poniżony przez Modla w grudniu 1944 roku podczas bitwy w Ardenach, chciał się zemścić. Obiecał Białą Gwiazdę każdemu amerykańskiemu żołnierzowi, który doprowadzi do niego żywego lub martwego niewysokiego niemieckiego feldmarszałka z monoklem w oku. Oficerowie sztabowi Modlą sugerowali mu, że powinien poddać się jankesom, póki jest jeszcze na to czas.

Model kategorycznie odmówił. Zachnął się z lodowatym wyrazem twarzy: „Niemiecki feldmarszałek nie poddaje się”.

W drugim tygodniu kwietnia, kiedy było już jasne, że jego pobite jednostki zamknięte w „kotle” będą musiały się poddać lub walczyć do samego końca. Model oraz garstka najbardziej mu lojalnych oficerów zgodnie z ówczesną terminologią „dali nura” i zostali „U-Bootami”. Model znikł w głębi lasów.

Rankiem 21 kwietnia Model oraz jego towarzysze w zimnym słońcu poranka, po nocy spędzonej na nierównej ziemi, rozprostowywali nogi. Jeden z oficerów sztabowych, major Behr, zgłosił się na ochotnika, by pójść do najbliższej wioski Wedau i sprawdzić, czy już tu dotarł przeciwnik. Model zgodził się i wręczył młodemu oficerowi kilka osobistych rzeczy, by ten przekazał je pani feldmarszałkowej... tak na wszelki wypadek. Behr oddalił się. Wtedy po raz ostatni widział swojego przełożonego.

Około południa Model poprosił swojego adiutanta pułkownika Pillinga, by ten towarzyszył mu podczas spaceru po lesie. Prawie wcale ze sobą nie rozmawiali do momentu, kiedy Model nakazał adiutantowi zatrzymać się. Zgodnie z oświadczeniem Pillinga z 1951 roku Model powiedział do niego: „Wszystko jest lepsze od trafienia w ręce Rosjan”. Wyciągnął pistolet. „Tu mnie pochowasz”.

Po tym jak Model oddał do siebie śmiertelny strzał, Pilling ściągnął na polanę podpułkownika Michaela. Wspólnie dwóch oficerów sztabowych pochowało *der Chef* w płytkim grobie pod wielkim dębem. Owinęli jego ciało w płaszcz. Mocno ubili ziemię i ułożyli na niej darń, aby nic było żadnego śladu, że został tu pochowany jedyny niemiecki feldmarszałek, który popełnił samobójstwo podczas drugiej wojny światowej nie zmuszony do tego przez nazistowskie władze. Oficerowie niezauważeni przez nikogo oddalili się.

Ale ktoś - nigdy nie dowiedziano się kto - powrócił później do tego miejsca, gdzie między liśćmi w trawie ukryty był grób Modla i prawdopodobnie bagnetem zaczął wycinać znaki na pniu drzewa. Coś musiało mu przeszkodzić i napis pozostał niedokończony. Dziesięć lat później pojedyncza litera „M” dała synowi Modlą Hansowi Georgowi wskazówkę, gdzie znajduje się miejsce spoczynku jego ojca.

W 1955 roku niewielka tajna grupa majątnych Niemców prowadzona przez dwóch leśniczych w zielonych mundurach zaczęła odkopywać szczątki Modła. Znaleźli zawinięte w szary zapleśniały płaszcz Wehrmachtu kawałki szkieletu. Pospiesznie i raczej bez wielkich ceremonii¹⁸ szczątki zostały załadowane do samochodu i wywiezione na południe. Celem było Eifel - owe „przerazające Eifel”, o które tak walczyli amerykańscy żołnierze dziesięć lat wcześniej.

Później tego samego dnia pojazd i osoby towarzyszące dotarły do Hurtgenwald - „fabryki śmierci” sprzed dekady. Przejechali przez Grosschau i Kleinhau, gdzie Hemingway widział „na wpuł upieczonogo szkopa” zjadanego przez „szkopskiego psa”. W końcu mały konwój zatrzymał się przy *Ehrenfriedhof* (Cmentarzu Zasłużonych) w Vossenack, w sercu dawnej Linii Zygfryda. Tu kości Modła zostały złożone obok jego szeregowych, którzy zginęli w tej wielkiej bitwie. Na grobie został umieszczony skromny kamień, taki jak setki innych z napisem: „Walter Model - FM”¹⁹.

Pierwszym ze zdobywców Wału Zachodniego, który zmarł po samobójstwie Modła, był generał „Sandy” - dowódca amerykańskiej 7. Armii. Oficjalnie był to atak serca spowodowany ciągłym napięciem podczas kampanii. Ci, którzy go znali, mówili, że Patch zmarł z powodu „złamanego serca”. Nigdy nie wrócił do siebie po śmierci syna, który zginął w boju. Zanim kapitan Patch odniósł rany, został wyznaczony na stanowisko w sztabie swojego ojca. Mówiło się, że generał Patch czuł, iż powinien zatrzymać swojego syna w sztabie. Zamiast tego pozwolił mu powrócić do jednostki piechoty, gdzie ten kilka dni później zginął. Generał i jego żona nigdy nie zdołali przezwyciężyć uczucia winy, zwłaszcza że małe dzieci ich syna, a ich wnuki, nigdy nie miały już zobaczyć swojego ojca.

Generał George S. Patton również miał wnuki czekające na niego w USA. Ale „Ole Blood an' Guts” nie chciał wracać do domu. Podczas swojego pierwszego i jedyne go urlopu z rodziną w lipcu 1945 roku przeraził ją, mówiąc na do widzenia: „Cóż, sądzę, że to jest pożegnanie. Nie zobaczę już was”. Kiedy jego córka zaprotestowała, Patton dodał: „Cholernie szkoda, że nie zginąłem, zanim zakończyły się walki, cholernie szkoda... Ale niech tak będzie”. Wówczas ostatni raz jego dzieci widziały go żywego.

Sześć miesięcy później Patton nie żył - zmarł w wyniku ran odniesionych w wypadku samochodowym. 24 grudnia 1945 roku został, podobnie jak Model, pochowany między swoimi żołnierzami w Hamm, tuż obok miasta Luksemburg, skąd rok wcześniej kierował kontratakami podczas bitwy w Ardenach, a następnie uderzeniem przez Sauer-Our w stronę Linii Zygfryda - zaledwie 32 kilometry w linii prostej.

¹⁸ Zapytany przez autora o tą sprawę generał brygady Model, co zrozumiale, niechętnie przekazał parę szczegółów.

¹⁹ Historia się na tym nie kończy. Około 1997 roku grób Modła (kwatery 1073/1074) w Vossenack został otwarty przez nieznaną osobą bądź osoby. Jego szczątki zostały zabrane. Po dziś dzień nie wiadomo, kim byli rabusie ani co stało się z prochami feldmarszałka.

Z jego miejscem spoczynku łączy się również pewna niewyjaśniona kwestia. Choć trzech powojennych prezydentów USA, w tym były przełożony Pattona Eisenhower, znajdowało się w odległości umożliwiającej dojazd samochodem do grobu Pattona, to jedynym zauważalnym „starym towarzyszem”, który w 1946 roku złożył wizytę na cmentarzu był Winston Churchill. Wydaje się, że żołnierz, który doprowadził do zniszczenia Wału Zachodniego, nie cieszył się zbyt dużym poważaniem. Wyglądało to, że generalicja chce zapomnieć o tym, że Patton kiedykolwiek istniał.

Tak więc żołnierze, którzy walczyli o Linie Zygryda, wraz z upływem czasu jeden za drugim znikali ze sceny. Dowódca amerykańskiej 1. Armii Hodges zmarł w 1966 roku w wieku blisko 80 lat. Młody dowódca kanadyjskiej 1. Armii Simonds zmarł w 1974. Montgomery, który był najbliższy rozjechania całego Wielkiego Wału Niemieckiego pod Arnhem we wrześniu 1944 roku, zmarł w 1976 roku „dokumentnie sfiksowany, niezdolny wypowiedzieć jednego logicznie brzmiącego słowa”¹².

Podczas gdy zwycięzcy wymierali, narodziła się tajemnica w pośredni sposób łącząca miejsce wiecznego spoczynku Pattona z grobem jego głównego przeciwnika - Modlą. Wdowa po Pattonie zmarła w 1957 roku. W jakiś czas później odkryto, że jej grób w Green Meadows w Kalifornii jest pusty. Co się stało z popiołami Beatrice Ayer Patton?

Jeszcze w 1946 roku od dawna cierpiąca kochająca żona Pattona zwróciła się do władz wojskowych USA o pozwolenie na pochowanie jej szczątków obok „Zdobycy Linii Zygryda”. Odmówiono jej. Delikatnie poinformowano ją, iż zabraniają tego przepisy wojskowe. Ale Pattonowie to zdecydowany i stanowczy ród. Jakiś czas po śmierci matki dwoje dzieci Pattonów, George i Ruth Ellen, razem z dwoma swoimi synami złożyli wizytę na grobie George'a Pattona w Hamm.

Na białym murze otaczającym położony na wzgórzu cmentarz, na którym spoczywają tysiące poległych w młodym wieku w walkach o „straszliwe Eifel” żołnierzy Pattona, wymieniona czwórka dostrzegła kota. Nigdy nie dowiedzieli się, co on tam robił, ale według egipskiej mitologii kot jest personifikacją bogini szczęśliwej śmierci. Widok ten zainspirował córkę Pattona. Ruth Ellen otworzyła torebkę, wyjęła kopertę z prochami matki i posypała nimi grób ojca. W końcu połączyli się. Jak zawsze Pattonowie zdołali zagrać na nosie władzom.

Ale największym szydercą okazał się Bradley. Przeżył wszystkich generałów, którzy przełamali się przez Wielki Wał Niemiecki, i zamierzał ostatnie słowo zachować dla siebie.

W tym samym roku raczej mało znany amerykański autor pochodzenia węgierskiego, Ladislas Farago, sprzedał prawa do sfilmowania biografii Pattona (*Patton: Ordeal and Triumph*, 1964 r.). General armii Omar Bradley, wdowiec w wieku

¹² Słowa jednego z oficerów sztabowych Montgomery'ego skierowane do autora tuż przed śmiercią marszałka polnego.

73 lat, zaskoczył wszystkich i ponownie się ożenił. Jego wybranka, fertyczna dwukrotna rozwódka o jasnopopielatych włosach miała 44 lata.

Wówczas, za sprawą kontaktów i uporu nowej pani Bradley, „żołnierski generał”, jak próbowano nazywać prostego bezbarwnego dowódcę grupy armii, znalazł się obok takich gwiazd kina, jak James Stewart i Gregory Peck oraz obok aktora, który później został politykiem, Ronalda Reagana.

W życiu starego generała, o którym wielu sądziło, iż od dawna nie żyje, powtórnie pojawił się Patton. Biografia autorstwa Farago znajdowała się na etapie tworzenia scenariusza, a człowiek, który miał wyprodukować film, Frank McCarthy (podczas drugiej wojny światowej był jednym z asystentów generała Marshalla w Waszyngtonie), poprosił Bradleya o konsultację.

Ale pięciogwiazdkowi generałowie nie są tani. Kitty Bradley przekonała McCarthy'ego, by wypożyczył opublikowane dwadzieścia lat wcześniej wojenne wspomnienia Bradleya *A Soldier's Story* jako materiał do filmu. Ale na tym się nie skończyło - zarówno ona, jak i generał znaleźli się na liście plac jako główni doradcy. Wynegocjowała gwarantowane płace z góry oraz procent od zysków. Zakrawało na ironię, że od dawna nieżyjący Patton miał dostarczyć człowiekowi, którym pogardzał, łatwy dochód do końca życia.

Chociaż wszyscy byli pod wrażeniem gry George'a C. Scotta jako Pattona - mówi się, że prezydent Nixon wielokrotnie oglądał ten film podczas kryzysu w Wietnamie - to Bradley zdołał wprowadzić do niego własne opinie, punkt widzenia i przede wszystkim swoje uprzedzenia. Nawet jeśli wówczas nikt tego nic dostrzegł, Bradley zemścił się na Pattonie i Montgomeryem za prawdziwe bądź urojone afronty, jakich od nich doznał.

„Monty” został przedstawiony jako człowiek wiecznie próbujący znaleźć się przed Amerykanami i nienawidzący Pattona za dynamikę, energię i ambicję. Począwszy od inwazji na Sycylię, zespół Farago-Bradley utrzymywał, że istniała ciągła rywalizacja między Pattonem a „małym angielskim smrodem”. W rzeczywistości wydaje się, że było zupełnie na odwrót. Montgomery w swoim osobistym dzienniku po 28 lipca 1943 roku nie wspomina o Pattonie. W tym okresie niepokoił się jedynie słynnym „incydentem ze spoliczkowaniem”, który jego zdaniem nie powinien być upubliczniony.

Według Warwicka Castle'a, wydawcy gazety brytyjskiej 8. Armii, został on jedynie raz upomniany przez Monty'ego, kiedy w 1943 roku napisał artykuł mówiący o tym, że w sprawie Pattona prowadzone jest śledztwo za spoliczkowanie załamane go żołnierza, który cierpiał na zmęczenie bojowe. „On [Montgomery] nie uważał, by było to właściwe. [...] Patton był dobrym człowiekiem i powinienem ponownie rozpatrzyć tę sprawę”.

W sprawie „wyścigu o Mesynę” między Montgomeryem a Pattonem. co było wyraźnie nakreślone w filmie, szef sztabu Monty'ego Freddie de Guinand¹²¹ oświad-

¹²¹ De Guinand nic miał powodu, by darzyć Montgomery'ego po wojnie sympatią. Monty usunął go ze stanowiska i nawet nie pozwolił na uczestnictwo w defiladzie zwycięstwa w Londynie.

czył, że nie było żadnego wyścigu czy też rywalizacji. „To wszystko bzdura [...] byliśmy zachwyceni, kiedy usłyszeliśmy, że Patton pierwszy dotarł do Mesyny. Co do tej fikcyjnej sceny w filmie [...] całkowity nonsens! Monty maszerujący na czele swoich szkockich jednostek piechoty górskiej [...] czysta bzdura!”

Mimo niezwykłej subtelności jak na człowieka o jego usposobieniu, Bradley wciąż płuł jadem na swego byłego przełożonego-podwładnego Pattona. Farago pisał:

Generał Bradley często rości sobie prawa do pomysłów i planów z okresu wojny, które ze swej strony Patton przedstawia! jako rezultat własnych projektów i burzy mózgu. [...] Ale faktem pozostaje, że plany i pomysły Pattona są w pełni udokumentowane w ówczesnych papierach, a stwierdzenia Bradleya roszczonego sobie prawa do tych samych pomysłów zostały opublikowane później - w 1951 roku¹²², kiedy wśród żywych nie było już Pattona, który mógłby je zakwestionować lub skorygować.

W filmie rola Bradleya jest grana przez doświadczonego aktora o szczerym wyglądzie, Karla Maidena (który w ogóle nie wyglądał jak Bradley). Przez cały czas próbuje powstrzymać Pattona. Co najmniej raz ostrzega go, że sam dla siebie jest największym przeciwnikiem i jeżeli się nie zmieni, to jego służba zakończy się haniebnie. Naturalnie właśnie tak się dzieje, mimo największych wysiłków Bradleya mających na celu ocalenie George'a przed nim samym. W filmie Patton jest kimś w rodzaju rebelianta (*maverick* - termin, który na stałe wszedł do historii wojskowości USA). Natomiast to Bradley jest prawdziwym autorem jego zwycięstw. Pochodzący z zamożnej wyższej klasy Patton być może wiele osiągnął, ale to solidny Bradley, na którym można polegać, to „żołnierski generał” jest tym, który wygrał dla Stanów Zjednoczonych wojnę w Europie.

Jeżeli Patton był nieco „niezrównoważony” przez cały okres walk w Europie (film kładzie nacisk na jego „wizje” i „głosy” oraz na wspomnienia z poprzedniego wcielenia, kiedy, jak utrzymywał, był „rzymskim centurionem”), to Bradley przez ostatnie krwawe miesiące lat 1944-1945 był realistą.

Najwyraźniej zapominając, że Patton ocalił mu skórę podczas bitwy w Ardenach, po tym jak Niemcy wykonali „zaskakujące” uderzenie z Linii Zygfryda, Bradley pisał po śmierci Pattona: „Nie zamierzam pomniejszać jego niezwykłych osiągnięć, ale podczas wielkich i dramatycznych dokonań Pattona, poczynszy od Sycylii, a skończywszy na Bretanii i Sekwanie [...], przeciwnik stawiał mu niewielki opór lub nie stawiał żadnego”.

Taką ocenę otrzymali zarówno Montgomery, jak i Patton i taka po sukcesie filmu istnieje w wyobraźni ludzi. Każdy z tych rzekomych „rywali” mógł wykonać decydujące uderzenie i wyjść na skrzydło Linii Zygfryda na północy lub na południu.

¹²² Kiedy opublikowano *A Soldiers Story*.

W rzeczywistości Eisenhower przy wsparciu Bradleya zamierzał wykonać uderzenie na Wał Zachodni na całej jego długości. W warunkach panujących na froncie zachodnim w latach 1944-1945 takie uderzenie dosłownie nigdzie nie miało szans powodzenia. Eisenhower inspirowany przez Bradleya, który dążył do utrzymania „prestżu amerykańskiej armii”, o swoim nie wspominając, nadal trwał przy swoim.

W rezultacie Bradley, który dowodził trzema amerykańskimi armiami atakującymi na całej długości Wału Zachodniego od francuskiej Saary do Holandii, zdobył sławę zwycięzcy. Wojna w Europie została prawdopodobnie przedłużona o sześć miesięcy, ponieważ aliantom nie udało się przełamać Linii Zygfryda. Było to zwycięstwo militarne, nie polityczne. I oznaczało śmierć lub osobistą katastrofę dla około 750 tysięcy młodych amerykańskich, brytyjskich, kanadyjskich i francuskich żołnierzy zmuszonych do ryzykowania życiem w zimowej kampanii, która jak długo była oparta o strategię działań na szerokim froncie autorstwa Eisenhowera i Bradleya nie miała szans powodzenia.

A co z „żołnierskim generałem”, dowódcą tych armii, które ostatecznie w niewłaściwym miejscu się przełamały? Nic zmarł w łóżku jak wielu z tych starców, którzy posłali żołnierzy na gwałtowną i tragiczną śmierć. Według Claya Blaira, który w imieniu Bradleya pisał za niego książki: „Mniej niż dziesięć minut po odebraniu wyróżnienia¹²³, kiedy odwożono go na wózku do windy, osiemdziesięcioośmioltni Bradley zmarł, a jego żona Kitty, asystenci oraz około setki gości nie mogło mu w niczym pomóc. Zmarł natychmiast. [...] Najwyraźniej nie czuł bólu; nie pojawiły się ani konwulsje ani skurcze; było to ciche przejście od życia do śmierci”.

Sześć dni później generał armii Omar Bradley, zdobywca Wielkiego Wału Niemieckiego z pełnym wojskowym ceremoniałem został złożony do grobu na cmentarzu narodowym w Arlington.

I było po wszystkim.

¹²³ Złoty Medal Narodowego Instytutu Nauk Społecznych w Nowym Jorku.

Bibliografia **(wg oryginału angielskiego)**

Książki

- Allied Forces, 12th Army Group G-3, *Report of Operations* (Final After Action Report), t. 5, Wiesbaden, 1948.
- Astor Gerald, *A Blood Dimed Tide: The Battle of the Bulge by the Men Who Fought It*, New York, Donald A Fine Inc., 1992.
- Ayer Fred Jr., *Before the Colors Fade*, Boston, Houghton Mifflin, 1964.
- Baldwin Hanson W., *Battles Lost and Won*, New York, Harper & Row, 1966.
- *Command Decisions*, New York, Harcourt Brace & Co., 1959.
- Blumenson Martin, *US Army in World War II: European Theater of Operations - Breakout and Pursuit*, Washington, Office of the Chief of Military History, Dept of the Army, 1961.
- Bond Brian, *Britain, France and Belgium, 1939-1940*, London, Brassey's, 1990.
- Bovy Marcel, *La Bataille de l'Ambleve*, Liege, Les Amities Mosanes, 1947.
- Bradley Omar N., *A Soldier's Story*, New York, Henry Holt & Co., 1951.
- Brc 11 - S m i t h Richard, *Hitler's Generals*, San Rafael, Presidio Press, 1977.
- Bryant Arthur, *Triumph in the West*, New York, Doubleday, 1959.
- Bu 1 l o c k Alan, *Hitler: A Study in Tyranny*, New York, Harper, 1953.
- C a l v o c a r e s s i Peter, *Top Secret Ultra*, New York, Pantheon, 1980.
- Churchill Winston S., *Triumph and Tragedy*, Boston, Houghton Mifflin, 1953.
- Codman Charles R., *Drive*, Boston, Little, Brown & Co., 1957.
- Cole Hugh M., *The Ardennes: The Battle of the Bulge* (in USA WWII series), Washington, OCMH, 1965.
- *The Lorraine Campaign*, Washington, Historical Division, Dept of the Army, 1950.
- Collins Joseph Lawton, *Lightning Joe: An Autobiography*, Baton Rouge, Louisiana State University Press, 1979.
- Columbia Broadcasting System, *From D-Day Through Victory in Europe*, New York, CBS, 1945.
- C o r t e s i Lawrence, *Valor in the Bulge*, Zebra Books, 1986.
- C r i t c h e l i Laurence, *Four Stars of Hell*, McMullen, 1947.
- D a v i s Franklin M. Jr., *Breakthrough*, Derby Ct, Monarch, 1961.

- Davis Kenneth Sydney, *Experience of War: The United States in World War II*, New York, Doubleday, 1965.
- DeMan, Paul, *Wartime Journalism 1939-1943*, Lincoln, University of Nebraska Press, 1988.
- Dowling David, *The Devil's Yirtuosos: German Generals at War*, New York, St Martin's Press, 1977.
- Dra per Theodore, *The 84th Infantry Division in the Battle of Germany, November 1944-May 1945*, New York, Viking Press, 1947.
- Dupuy R. Ernest, *St Vith. Lion in the Way*, Washington, The Infantry Journal Press, 1949.
- Eisenhower Dwight D., *Crusade in Europe*, Garden City NY, Doubleday, 1948.
- Eisenhower John S., *The Bitter Woods*, New York, Putnairfs, 1969.
- Elstob Peter, *Bastogne: The Road Błock*, New York, Ballantine, 1968.
- *Hitler's Last Offensive*, New York, Macmillan, 1971.
- Esposito Vincent J., *The West Point Atlas of American Wars*, New York. Frederick A. Praeger, 1959.
- Farago Ladislas, *Patton: Ordeal and Triumph*, New York, Dell Publishing Co.. 1965.
- Franks Norman L. R., *The Battle of the Airfields: 1st January 1945*, London, W. Kimber, 1982.
- Fusell Paul, *Wartime: Understanding and Behaviour in the Second World War*, OUP, 1989.
- Gavin James M., *On to Berlin: Battles of an Airborne Commander, 1943-1946*, New York, Viking, 1978.
- Giles J. H., *The G.I. Journal of Sergeant Giles*, New York, Houghton Mifflin.
- *Those Damned Engineers*, New York, Houghton Mifflin.
- Greenfield Kent Roberts (red.): *Command Decisions*, New York. Harcourt Brace, 1959.
- Greil Lothar, *Die Wahrheit unter Malmedy*, Schild Verlag.
- Guderian Heinz, *Panzer Leader*, New York, E. P. Dutton & Co., 1965.
- Guinand Sir Francis de, *Generals at War*, London, Hodder & Stoughton, 1964.
- Hart B. H. Liddell, *The German Generals Talk*. New York, Wm Morrow, 1948.
- Heffner Richard D., *A Documentary History of the United States*, New York, The New American Library of World Literature Inc., 1956.
- Hitler Adolf, *Hitler's Secret Conversations, 1941-1944* (angielskie tłumaczenie: *Tischgesprache* by Norman Cameron and R. H. Stevens), New York, Farrar Straus & Young, 1953.
- *Mein Kampf* (angielskie tłumaczenie: Ralph Manhcim), Boston. Houghton Mifflin, 1943.
- Horrocks Sir Brian, *Escape to Action*, New York, St Martin's Press, 1961.
- Ingersoll Ralph, *Top Secret*, New York, Harcourt Brace, 1946.
- Irving David J. C., *The War Between the Generals*, London, Allen Lane, 1981.

- Jacobsen H. A., Rohwer J., *Decisive Battles of World War II: The German View*, New York, Putnam's, 1965.
- Keefer Louis E., *Scholars in Foxholes: The Story of the Army Specialized Training Program in World War II*, McFarland & Co. Inc., 1988.
- Knickerbocker H. R., Thompson Jack, Belden Jack, in.: *Danger Forward*, Atlanta, Albert Love Enterprises, 1947.
- Lame G. R. de. *La Bataille de la Gleize-Stoumont*, Brussels, UAlliance.
- Leigh Randolph, *48,000,000 Tons to Eisenhower*, Washington, The Infantry Journal Press, 1945.
- Lewin Ronald, *Ultra Goes to War: The First Account of World War II's Greatest Secret Based on Official Documents*, New York, McGraw Hill, 1978.
- Liversidge Douglas. *The Third Front*, London, Souvenir Press.
- Lyman Samuel, Marshall Atwood, *Bastogne: The Story of the First Eight Days*, Zenger Publishing Company, 1946.
- MacDonald Charles B., *A Time for Trumpets: The Untold Story of the Battle of the Bulge*, New York, Morrow, 1985.
- *The Siegfried Line*, Washington, OCMH, Dept of the Army, 1963.
- MacDonald John, *Great Battlefields of the World*, London, Michael Joseph, 1984.
- MacKenzie Fred, *The Men of Bastogne*, New York, McKay, 1968.
- Manteuffel A. D. Hasso von, *Panzer-Division im Zweiten Weltkrieg*, Verdingen am Rhein, Joseph Broich, 1965.
- Marshall S. L. A.; *Bastogne: The First Eight Days*, Washington, The Infantry Journal Press, 1946.
- Merriam Robert E., *Dark December*, Chicago, Davis, 1947.
- *The Battle of the Ardennes*, London, Souvenir, 1958.
- Montgomery Bernard Law, *Normandy to the Baltic: 21st Army Group*, Germany, British Army of the Rhine, 1946.
- *Memoirs*, Cleveland, World Publishing Company, 1958.
- Morgan Kay Summersby, *Eisenhower Was My Boss*, Dell.
- *Past Forgetting: My Love Affair with Dwight D. Eisenhower*, New York, Simon & Schuster, 1976.
- Niedermayer Walter, *Into the Deep Misty Woods of the Ardennes*, Halldin, AG Publishing Company, 1990.
- Nobccourt J., *Hitler's Last Gamble*, New York, Schocken, 1969.
- Pallud Jean Paul, *After the Battle of the Bulge: Then and Now*. London, Battle of Britain Prints, 1984.
- Parker Danny S., *Battle of the Bulge: Hitler's Battle for the Ardennes*, Hippocrene Books Inc, 1991.
- Pallon George S. Jr., *War As I Knew It*, Boston, Houghton Mifflin, 1947.
- Pergrin David, Hammel Erie, *The Story of the 2nd 91st Engineer Combat Battalion Part III*, New York, Ballantine, 1989.

- Pickal k i c w i c s Janusz, *Spione, Agenten, Soldaten*, Sud-West Verlag.
- Pogue Forrcst C, *The Supreme Command*, Washington, OCMH, Dept of the Anny. 1954.
- R a p p o r t Leonard, Northwood Arthur Jr., *Rendezvous with Destiny: A History of the 101st Airborne Division*, Washington, Infantry Journal Press, 1948.
- R o t h b r u s t Florian K., *Guderian's XIX Panzer Corps & The Battle of France: Breakthrough in the Ardennes May 1940*, Greenwood Publishing Group Inc., 1990.
- R o y s t e r Charles, *The Destructive War: William Tecumseh Sherman, Stonewall Jackson and the Americans*, New York, Alfred Knopf, 1991.
- S c h u l m a n Milton, *Defeat in the West*, New York, Ballantine.
- S p e e r Albert, *Inside the Third Reich: Memoirs* (tłumaczenie angielskie: Richard i Clara Winston), New York, Macmillan, 1970.
- S t a w s o n J. M., *The Battle for the Ardennes*, New York, Scribner's, 1972.
- T o l a n d John, *Battle: The Story of the Bulge*, New York, Random House, 1959.
- W e i n g a r t n e r James J., *Crossroads of Death: The Story of the Malmedy Massacre and Trial*, Berkeley, University of California Press. 1979.
- W h i t i n g Charles. *1944: In Combat from Normandy to the Ardennes*, New York, Stein & Day, 1984.
- *The Battle of Hiirtgen Forest*.
 - *Ardennes: The Secret War*, Jove Publications, 1990.
 - *Death of a Division*, New York, Berkeley Publishing, 1991.
 - *Massacre at Malmedy: The Unknown Battle of the Bulge*, New York, Stein & Day, 1971.
 - *Operation Northwind: The Unknown Battle of the Bulge*, London, Leo Cooper wspólnie z Seeker & Warburg, 1986.
 - *Skorzeny*, New York, Ballantine.
- W i l m o t Chester, *The Struggle for Europe*, Harper & Row, 1952.
- Y o u n g Donald J., *The Lions Share*, Aptos, California, Avranches Press. 1990.

Artykuły

- A l e x a n d e r Martin S., *Prophet Without Honour? The French High Command and Pierre Taittingers Report on the Ardennes Defence, March 1940*, „War and Society” (Australia), 1986 nr 4(1), s. 53-77.
- A m b r o s e Stephen E., *The Bulge*, MHQ: „The Quarterly Journal of Military History”, 1989 nr 1(3), s. 22-33.
- „American Legion Magazine” series on The Battle of the Bulge, cz. 1, *Hitler Plans the Impossible* (styczeń 1966); cz. 2, *Disaster and Reaction in the Ardennes* (lutyl 1966); cz. 3, *The Bulge is Erased* (marzec 1966).

- Blumentritt Gunther, *Field Marshal von Rundstedt's Own Story of the Battle of the Bulge*, „Collier's”, 3 stycznia 1953.
- Cole Hugh M., *The Ardennes: Battle of the Bulge*, w serii USA WWI. Washington, OCMH, 1965, s. 260-264.
- Crandell William F., *Eisenhower the Strategist: The Battle of the Bulge and the Censure of Joe McCarthy*, „Presidential Studies Quarterly”, 1987 nr 17(3), s. 487-501.
- Doherty John Stephen, *The Battle Babies: The Saga of the 99th Division*, „Saga”, styczeń 1945.
- Drapeer Theodore, *Battle in the Bulge*, „Infantry Journal” LVI, maj 1945, s. 8-17.
- Endsley Mark C., *9th Infantry Division Activated - Glories of Past Are Revived*, „Army Information Digest”, marzec 1966.
- Gordon John, *The Gunners of Bastogne*, „Field Artillery Journal” nr 54, wrzesień-październik 1986, s. 15-21.
- Hartman Douglas R., Paul Andrea I., *The Butler B Miltonberger Collection*, „Nebraska History” 1988 nr 69/4, s. 199-203.
- Hood Barton F., *Operation Grief*, „Military Review” XXXIX, styczeń 1960, s. 37-43.
- Karl Dennis R., *Drive for Berlin: the Debate Over Strategy in the Invasion of Germany*, „American History Illustrated” 1985 nr 20(4), s. 21-27.
- Luttichau Charles V. von, *The German Counteroffensive in the Ardennes*, „Command Decisions”, Washington, GPO, 1960, s. 463-469.
- MacDonald Charles, *The Neglected Ardennes*, „Military Review” XLIII, kwiecień 1963, s. 74-89.
- *The Battle for Eisenborn Ridge*, „The Johns Hopkins Magazine”, grudzień 1959.
- Marshall S. L. A. i in., *Christmas Eve at Bastogne*, „Infantry Journal” LVII, grudzień 1945, s. 8-15.
- Mallers James R., *Murder at Malmedy*, „Army 31”, grudzień 1981, s. 32-35.
- Merriam Robert E., *Bulgeland Revisited*, „Infantry Journal”, grudzień 1949.
- Middleton Drew, *The Battle that Sealed Germany's Fate*, „New York Times Magazine”, 16 grudnia 1984.
- Peterson Ivan H., *They Took the Nazis' Sunday Punch*, „Saturday Evening Post”, 28 września 1946.
- Porch Douglas, *French intelligence and the Fall of France, 1939-40*, „Intelligence and National Security” (Wielka Brytania), 1989 nr 4(1), s. 25-28.
- Privratsky Kenneth L., *Mobility versus Sustainability*, „Military Review” 1987.
- Raymond Allen D. III, *The Battle of St Vith*, „Armor”, listopad-grudzień 1944.
- Starr Mark, *Take no Prisoners*, „Newsweek”. 29 kwietnia 1985.
- Stevenson Charles S., *A Christmas Card from the General: Bastogne 1944*, „Army 25”, grudzień 1975, s. 24-25.
- Thompson Royce L., *Ardennes Campaign Statistics, 16 December 1944 - 19 January 1945*, „Study OCMH”, 28 kwietnia 1952, s. 29.

US Army 101st Airborne Division: History of the 101st Airborne Division, 1942—1964. Mimeo, Ft Campbell, Ky, 1964, s. 42-65.

US Army, European Theater of Operations, Historical Division: Interviews w/Obst Joachim Peiper.

- Interrogations 10-11, September 1945, p 23 Garland reprint WWII „Military Studies”, t. 2.

Van Straten James G., Kaufman Lynn W., *Lessons from Team SNAFU*, „Military Review” 1987.

Weingartner James J., *Olto Skorzeny and the Laws of War*, „Journal of Military History”, v55, kwiecień 1991.

Spis treści

Słowo wstępne autora.....	5
Mapy.....	11
Preludium walki 1936-1944.....	17
Część 1: wrzesień-grudzień 1944.....	39
1. Doszli do linii.....	41
2. Pierwsza krew.....	50
3. Pat.....	63
4. Spiskowcy.....	72
5. Odpowiedzialność przejmują Brytole.....	81
6. Fabryka śmierci.....	91
Część 2: listopad-grudzień 1944.....	101
1. Nad Renem.....	103
2. Mroczny grudzień.....	113
3. Przełamanie.....	122
Część 3: styczeń-marzec 1945.....	129
1. Odpowiedzialność ponownie przejmują Brytole.....	131
2. Znow na Wał Zachodni.....	140
3. Reichswald i Zielone Diabły.....	150
4. Na nowo przez Sauer.....	157
5. Patton rusza sam.....	165
6. Trewir.....	173
7. Ostro do przodu.....	181
Zakończenie.....	191
Bibliografia.....	198